

GRAŻYNA
JEROMIN-GAŁUSZKA

Długie lato
w Magnolii

Prószyński i S-ka

Copyright © Grażyna Jeromin-Gałuszka, 2014

Projekt okładki

www.studio-kreacji.pl

Zdjęcie na okładce

plainpicture/BY/EastNews

Redaktor prowadzący

Anna Derengowska

Redakcja

Ewa Witan

Korekta

Grażyna Nawrocka

ISBN 978-83-7961-780-7

Warszawa 2014

Wydawca

Prószyński Media Sp. z o.o.

02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28

www.proszynski.pl

*...nie ma bowiem racji, czemu raczej tu niż gdzie indziej, czemu raczej teraz niż wtedy...
Kto mnie tu postawił? Na czyj rozkaz i z czyjej woli przeznaczono mi to miejsce i ten czas?*

Blaise Pascal

COŚ SIĘ ZACZYNA...

Nazywam się Maurycy Murawski i jestem autorem popularnych powieści kryminalnych. Tak przynajmniej od czasu do czasu lubię o sobie myśleć. Od czasu do czasu nawet w to uwierzę. Dopóki coś lub ktoś nie sprowadzi mnie na ziemię. Na przykład ekspedientka w spożywczym na dole, gdzie każdego ranka robię zakupy.

– Panie Maurycy! – zagadnęła mnie pewnego dnia, ledwie wszedłem do sklepu. – Mój siostrzeniec był wczoraj z dziewczyną na spotkaniu z jakimś autorem kryminałów w Domu Księgarza. Zgadnij pan, jak się nazywał?

– No jak? – zapytałem, domyślając się, że kobiecie nie chodzi o nazwisko siostrzeńca. I mając świeżo w pamięci wieczór autorski z poprzedniego wieczoru, na który przyszło parę osób. Całkiem, jak mi się zdaje, przypadkowych. Pytanie jednego z nich: „Dlaczego pan pisze książki”, było jednym z trzech, które w ogóle padły. Pozostałych nie pamiętam.

– Maurycy Murawski! – wykrzyknęła.

– O!

– Jak to mówią, nie jednemu psu Burek.

– No nie jednemu – przytaknąłem zgodnie.

– Pan by coś napisał – rzuciła za mną, gdy już wychodziłem. – Pan masz taką fantazję.

– Fantazję? – Zaintrygowany tą opinią zatrzymałem dłoń na klamce i odwróciłem się w stronę ekspedientki.

– Codziennie pan kupujesz inny chleb. Ludzie przeważnie jeden i ten sam. A pan nie!

Popularność, myślałem, wracając do domu z przypadkowo zdjętym ze sklepowego regału chlebem, w świecie, w którym więcej jest osób piszących niż czytających książki, to pojęcie względne. Na szczęście nie o nią mi chodziło, gdy zaczynałem pisać pierwszą powieść. Nie mówię tego głośno, bo i tak nikt nie uwierzy.

A chleb... Przynoszę go do domu i za każdym razem zastanawiam się, po co kupiłem cały zamiast połówki. Albo ćwiartki. Dwie kromki na śniadanie, obiad na mieście, kolacja różnie – i resztę wyrzucam ptakom.

Z wykształcenia jestem ornitologiem.

Zacząłem nawet pisać książkę o ptakach – opowieść dla dużych dzieci o poszukiwaniu swego gniazda. Bez moralizowania i infantylnych metafor. Zwyczajnie.

Pomysł był wynikiem pierwszej po studiach pracy. Polegała ona na liczeniu ptaków w Bieszczadach. Penetrując przez lornetkę otwarte przestrzenie, dostrzegłem jednego samotnie szybującego nad połoniną. W mojej głowie zrodziła się historyjka o skrzydlatym rodzeństwie, któremu wichura zniszczyła uwite z mozołem gniazdko, a jastrząb rozdzielił oboje w powietrzu. Jedno z nich ciągle wraca w pobliże gniazda, chociaż już go nie ma, i czeka na drugie. Tydzień, miesiąc, dwa miesiące...

Dwa ptaszęta, on i ona... – to był początek pierwszego zdania, zapisanego w notesie, gdy usiadłem pośrodku rozległej połoniny. Rozejrzałem się na wszystkie strony, wyciągnąłem twarz ku słońcu i pod zamkniętymi powiekami zobaczyłem początek prostego życia, jakie od tego momentu mógłbym prowadzić.

Nie dokończyłem tej historyjki, którą zamierzałem zilustrować własnoręcznie zrobionymi zdjęciami aparatem marki Nikon, bo pewnego dnia co innego przykuło moją uwagę i uruchomiło wyobraźnię w innym kierunku.

Pewnego dnia dostrzegłem na ścianie zalesionego wzgórza mężczyznę spoglądającego

w stronę samotnej chaty w dole. Przed nią, na progu, siedziała kobieta, a obok niej dziecko.

Oto facet – zaczęła pracować wyobraźnia, eliminując z tego sielskiego obrazka kobietę i dziecko – który po wielotygodniowej pracy w lesie wraca do domu i zastaje go pustym. Nie ma rodziny, nie ma psa i najmniejszego śladu, że coś tu się zdarzyło. Wychodzi więc na wzgórze, skąd widać jak na dłoni dom z całym obejściem, i obserwuje go przez wiele dni. Pewnego dnia widzi, że do jego domu wchodzi, jak do swojego, obcy człowiek...

Tak się zrodziła moja pierwsza historia kryminalna. A po niej następna. Do liczenia ptaków w Bieszczadach czy gdziekolwiek indziej już nigdy nie wróciłem.

Moje powieści kryminalne (poza dwoma pierwszymi, które rozeszły się w sporym nakładzie) cieszyły się umiarkowaną popularnością, pozwalając na bardzo skromne przeżycie od jednej do drugiej. Miałem tak niewielkie wymagania, że zdołałbym przeżyć nawet za jeszcze mniej. Odkąd jednak nastąpił renesans tego gatunku literackiego, takich jak ja, piszących lepiej lub gorzej, pojawiło się na pęczki, a moje powieści giną wśród innych jak pojedynczy człowiek w tłumie.

Cóż, taka kolej rzeczy – nigdy nie miałem złudzeń, że dorównam popularnością klasykom gatunku i stanę się bajecznie bogaty. Dlatego już dawno z pokorą przyjąłem propozycję brata i pomagam mu w prowadzeniu restauracji na Mokotowie. Praca jak praca, pieniądze jak pieniądze. Zwykła przeciętność, szarość, nużąca powtarzalność miejsc i zdarzeń. Chyba dlatego jeszcze piszę. W fikcyjnej rzeczywistości, nawet jeśli głównym jej motywem staje się zbrodnia, bywa inaczej. Jaśniej lub mroczniej – wszystko jedno – najważniejsza jest aura, w której aż duszno od zdarzeń i emocji.

Być może za czymś takim podświadomie tęsknię, bo moje życie płynie spokojnie, leniwie, odtąd dotąd. Pisanie, posiłki, wieczory w restauracji brata, która jest zwykłą knajpą i nie wyróżnia się niczym spośród setek innych. Ja też nie robię nic, co można by uznać za niezwykle. Nawet się o to nie staram. Moje powieści, oprócz tych dwóch pierwszych, są jak tysiące innych. Jedyną fantazję więc objawiam przy porannym zakupie chleba, codziennie kupując inny. Choć i tu można by się spierać, czy to fantazja, czy też czysty przypadek, wynikający z zasady nieprzywiązywania się do niczego. Nawet do określonego gatunku pieczywa.

Od czasu do czasu jednak coś odzywa się na dnie mojego serca, a wtedy przychodzi myśl, gdzie bym teraz był i co bym robił, gdybym wiele lat temu, w pewien lipcowy dzień – do dziś pamiętam, że było to dwunastego – nie ujrzał mężczyzny na ścianie pewnego wzgórze. Może gdzieś z dala od zgiełku wiódłbym jakieś spokojne i nudne życie. Zamiast jak teraz – tylko nudne.

Od czasu do czasu próbuję o czymś marzyć. I marzę, przewrotnie, o wielkich miastach niezasypiających nocą. O rozświetlonych ulicach, gwarze, który nigdy się nie kończy, więc nawet nie wiadomo, kiedy się zaczyna, o pulsującej masie (ludzi), w której każdy składnik (człowiek), niczym pojedyncza cząsteczka atomu uczestniczy w pewnym procesie, ale sama w sobie nie znaczy nic. Wychodzę więc czasami na gwarne ulice, usiłując doznać tego uczucia, że jestem częścią czegoś, co naprawdę żyje. Spaceruję po nich, nie zwracając sobie głowy tym, gdzie jestem i w jakim kierunku idę. Potem wracam naładowany energią, pozwalającą na kontynuację przez kilka kolejnych godzin pojedynczego istnienia.

W moim życiu nie ma ważnych ludzi. Dziewczyna, znudzona ośmioletnim bezowocnym związkiem, coraz rzadziej daje się namówić na wspólny wieczór. Przestała wierzyć w człowieka, z którym dałoby się ułożyć życie. Ale w pisarza jeszcze wierzy. Na jednym z blogów literackich, skoncentrowanym przede wszystkim na literaturze kryminalnej, co jakiś czas przypomina moje pierwsze dwie powieści. Prowokuje „dyskusje”, cytuje, uparcie i nedorzecznie nie pozwalając o mnie zapomnieć nielicznym, choć bardzo wiernym fanom tamtych dwóch książek.

Z bratem, starszym o pół pokolenia, łączy mnie tylko to, że mieliśmy wspólną matkę, ćpunkę, która pewnej zimy przedawkowała na Dworcu Centralnym. Rzucił studia i zaczął sprzedawać smażone kiełbaski przy drodze, by utrzymać nas obydwu, dzięki czemu nie trafiłem do domu dziecka. Stawał na głowie, bym omijał wszystkie ciemne bramy, zasyfione podwórka i dworce – ulubione miejsca naszej matki. Cieszył się jak dziecko, gdy zacząłem studia. Wyposażył mnie w drogi aparat fotograficzny, gdy je kończyłem. Jednak nic poza tym nas nie połączyło.

Teraz, kiedy on wieczorami wraca do swojej rodziny, zastępuję go do północy i w zasadzie obydwu nam jest to na rękę. Ja mam na przeżycie od pierwszego do pierwszego i nie muszę rezygnować z pisania powieści kryminalnych, choć robię to już chyba tylko z przyzwyczajenia, on może utrzymać rodzinę, a personel pracuje ze świadomością, że właściciel wciąż czuwa, dzięki czemu to wszystko jakoś się jeszcze toczy...

Po co to wszystko piszę? Chciałbym powiedzieć, że sam nie wiem. Ale wiem. Dotarłem do momentu, poza którym już nic nie ma. Nie chce mi się kłaść do łóżka ani z niego wstawać. Iść, biec, otwierać i zamykać drzwi. Nie chce mi się otwierać ust, by cokolwiek powiedzieć, przytaknąć bądź zaprzeczyć. Cokolwiek bym zrobił, nie robię nic, bo wciąż tkwię na dworcowej ławce w odległym od podróżnych krańcu peronu. Obok siedzi matka, ale nawet nie wie, że siedzi, bo przed chwilą dała sobie w żyłę i to był strzał życia. Na zewnątrz minus dwadzieścia siedem stopni, tu niewiele mniej, ale ona już tego nie czuje. Ja też nie czuję. Zamiast palców mam dziesięć sopli lodu. Moje stopy to grudy zmarzniętej brei. Głowa to czapa z lodu. Zaraz to wszystko ruszy z trzech stron w jedno miejsce: do serca. Skuje je lodem i unieruchomi na zawsze.

Ktoś przyjdzie i wyniesie mnie z tej lodowej otchłani na rękach, ale będzie tak, jakby nie przyszedł nikt...

Sto razy dziennie wracam do tej ławki zapomnienia i jedno, co mnie jeszcze od niej oddala i nie pozwala usiąść na dobre, to myśl, że pewnego dnia wyrwę się z tej monotonii zdarzeń i spróbuję coś odnaleźć. Może tamto miejsce, od którego dawno temu chciałem rozpocząć proste życie...

KAPELUSZE

Pewnej nocy, po opuszczeniu restauracji brata, w której, prawdę mówiąc, z miesiąca na miesiąc coraz mniej miał pracy, Maurycy Murawski zajechał na stację benzynową w drodze do domu. Zatankował i wszedł do środka, by zapłacić. Mimo późnej pory przy dystrybutorach stało kilka samochodów, a w środku była mała kolejka do kasy. Pierwszy weekend wakacji – wiadomo. Siedmio – lub ośmioletni chłopczyk przewracał słodycze na jednym ze stoisk. Jego matka z kolei robiła to samo na stelażach z prasą. Uspokajała dzieciaka co jakiś czas, mówiąc, że nad morzem dostanie wszystko, co chce, ale w drodze, zwłaszcza nocą, nie będzie się objadał batonami, bo na pewno mu zaszkodzą. Jej nie miał kto uspokoić. Maurycy zdążył pomyśleć, po jakiego diabła ludzie tłuką się z nadpobudliwym dzieckiem na wczasy po nocy, gdy do środka wszedł mężczyzna z komórką przy uchu, do której krzyczał tak, jakby był sam w głębokim lesie. Po każdym niemal słowie następował niecenzuralny przerywnik. Właściwie to oprócz tych przekleństw wyrzaskiwał do telefonu tylko jedno: „To moje życie! To moje życie!”. Trzy słowa – przerywnik. Przerywnik – trzy słowa. I tak w kółko. W pewnym momencie jeden z mężczyzn odwrócił się i posłał mu wymowne spojrzenie. Kiedy to nie zadziało:

– Panie, zamknij się pan! Tu jest dziecko.

Tamten spojrział na mężczyznę wzrokiem bez wyrazu, rzucił jeszcze kilka przekleństw, schował telefon do kieszeni i wyszedł z budynku. Nie minęła minuta, gdy wrócił. Z kijem bejsbolowym, który mocno ścisnął w prawej dłoni. Rozpychając innych, położył przed kasjerem sto złotych, rzucił głośno, że to za siódemkę, cofnął się, uderzył kijem w głowę mężczynę, który zwrócił mu uwagę, i wyszedł. Mężczyzna upadł i nie wyglądało na to, żeby miał się podnieść. Dopiero gdy z jego ust leniwie wypłynęła struga krwi, ludzie zdobyli się na jakąś reakcję: strach, niedowierzanie, krzyk.

Wracając do domu, Maurycy spoglądał na prawie puste ulice. Patrzył po oknach, za którymi jeszcze spali ludzie, otuleni kołdrą chłodnego świtu. W pewnym momencie zjechał w zatoczkę autobusową, położył głowę na kierownicy, a z jego ust wyrwał się niekontrolowany, histeryczny śmiech. Nie musiał się wstydzić, bo śmiał się z siebie. Ze swoich powieści z misternie skonstruowaną fabułą kryminalną, gdzie detektyw taki czy inny, brnąc w ślepe uliczki, zawsze dociera do prawdy. Punktem wyjścia jest motyw, a więc przyczyna wszelkiej zbrodni. A tu co?! – otarł byle jak rękawem usta, bo się obślinił – wchodzi facet, uderza, zabija. Jeśli zwrócenie uwagi na czyjeś chamskie zachowanie można nazwać motywem, to pieprzyć to wszystko. Cały ten świat.

Jeszcze raz się rozejrzył. Było za wcześnie na tłum, w który wszedłby bez namysłu, by stać się częścią czegoś, co samo w sobie, pulsując jak mrowisko i gnając w tę lub inną stronę, o czymś świadczy i coś z siebie wyrzuca: ból, wściekłość albo tylko niemoc. Więc tak jak przed chwilą śmiał się sam do siebie, tak teraz zaczął krzyczeć.

Potem wcisnął sprzęgło, wrzucił bieg, kierunkowskaz i wyjechał z zatoczki.

Pomyślał, dlaczego to nie on zwrócił uwagę bandycie. Dlaczego się nie odezwał. Nie powstrzymał tamtego, gdy ujrzał kij do bejsbola przy nodze tamtego. Nie pomyślał, że to tak jednoznaczne jak spluwa wycelowana w czyjeś czoło. Bał się? Nie wierzył? Nie było czasu? A gdyby był czas, czyby zareagował? Maurycy zawstydział się sam siebie. Swojego czterdziestoletniego bez mała życia.

W tej samej chwili postanowił, że już nie napisze żadnej książki. Żadnej bzdury o dziedzicze bajecznej fortuny, którą lekką ręką posyłają na tamten świat najbliżsi.

– Nie napiszę już żadnej choleralnej książki – przypieczętował swoje postanowienie słowami.

Poza tą jedną, pierwszą, niedokończoną: o dwóch ptakach szukających się w przestworzach.

Jeszcze nie wiedział, czy się odnajdą.

Tydzień później usiadł w jakimś parku na pierwszej z brzegu ławce i, omiatając obojętnym wzrokiem przechodniów, zastanawiał się, ilu z nich w sposób świadomy kontroluje swoje życie, a ilu daje się nieść ciągowi przypadkowych zdarzeń. Co się musi stać, żeby odwrócić naznaczony przypadkowością los i przejąć nad nim kontrolę?

Z gazet dowiedział się, że sprawcy brutalnego zabójstwa na stacji benzynowej tamtej czerwcowej nocy nie udało się do tej pory ująć. Monitoring nie działał. Świadkowie zdarzenia, opisując sprawcę, udzielili tyleż jednomyślnych, co mało konkretnie brzmiących zeznań: Mężczyzna między trzydziestką a czterdziestką, średniej budowy, średniego wzrostu, bez znaków szczególnych, ot, zwykły przechodzień, którego można minąć sto razy i go nie zauważyć.

Dwa tygodnie później Maurycy siedział w knajpie w samym środku Bieszczad i czekał na obiad, który miał być zaraz, ale owo pojęcie miało tu chyba inne znaczenie. Z kuchni, oddzielonej przestronnym holem od sali jadalnej, dochodziły jakieś odgłosy: trzaskanie garami, brzęk tłuczonego szkła, jakieś „jasna cholera”, ktoś tam więc był i coś robił. Maurycy zastanawiał się, dlaczego to trwa tak długo. Na zewnątrz – dostrzegł ją przez okna na całej długości zewnętrznych ścian – pałętała się jakaś mimoza w powiewnej jak letni poranek sukience i zrywała kwiaty, których wokół rośnięto pełno. Na werandzie jakaś para sączyła piwo. To wchodziła, to wychodziła z przylegającego do niej pokoju, domyślił się więc, że są tu jakieś pokoje. Po jakimś czasie dołączyła do nich druga para, z innego pokoju, i wszyscy czworo zaczęli mu umilać oczekiwanie na prosty obiad salwami śmiechu.

Miał dość.

Właściwie to nawet nie wiedział, jak tu trafił. Całe popołudnie szukał miejsca, gdzie kilkanaście lat temu liczył ptaki. Zjechał w jakąś boczną drogę (zresztą, na Boga, znalazł się w miejscu, gdzie są wyłącznie boczne drogi) i w pewnym momencie zobaczył wielką drewnianą otwartą bramę w kształcie arkady, z wyblakłym, nabazgranym na kartonie napisem: „Magnolia”. Knajpa? Noclegownia? Wszystko jedno, pomyślał, czując ssanie w żołądku, coś trzeba zjeść. Wjechał więc na podwórze, wszedł, usiadł i rozejrzał się. Jaki napis, takie miejsce – to jedno przyszło mu do głowy – i do tej pory, czekając godzinę na niewyszukany obiad, zdania nie zmienił. Tłumów nie było. Tylko pod jednym z okien siedział mężczyzna, mniej więcej w jego wieku, z głową opartą o ścianę. Drzemał.

Wreszcie w kuchni coś zamajaczyło, błysnęła jakaś nadzieja. Rzeczywiście, po chwili wychyliła się stamtąd czterdziestokilkuletnia kobieta o kasztanowych włosach, jak się miał wkrótce przekonać, właścicielka całego tego bałaganu, rozejrzała się i jakby zdziwiona, że on czeka, westchnęła i powiedziała bez przekonania:

– Zupę, jak pan chce, to mogę już ewentualnie podać.

– O niczym innym nie marzę – mruknął pod nosem, a skinieniem głowy dał znać, że owszem, bardzo chętnie.

– No to już podaję.

Zanim na nowo zniknęła na zapleczu kuchni, zdążył zapytać:

– A drugiego dania... kiedy ewentualnie mogę się spodziewać?

– A nie wiem – rzuciła na to beztrąsko. – Śpieszy się panu gdzieś?

Nigdzie mu się nie śpieszyło. Na poszukiwanie miejsc, w których wiele lat temu liczył ptaki i gdzie, jedyny chyba raz w życiu, jakoś tak czysto drgnęło mu serce (szkoda, że myśli poszły potem w innym kierunku), miał zamiar wyruszyć nazajutrz. Z jakiegoś pensjonatu, hoteliku, z jakiejś przyzwoitej, ale nie za drogiej kwatery, którą miał zamiar wynająć na dwa, trzy tygodnie, dokończyć swój zapomniany temat i dopiero wtedy wrócić do rzeczywistości, której na razie (nie wiedział na jak długo) miał dość. Trzeba było więc jeszcze znaleźć jakiś nocleg.

Spokojnie, pomyślał, nigdzie mi się nie śpieszy, dzień długi, do nocy coś znajdę.

– Nie to, żeby mi się gdzieś śpieszyło – odpowiedział na pytanie właścicielki. – Tylko że trochę jestem głodny.

Właścicielka, jak się wkrótce dowiedział, Czesia Gawlińska, posłała mu powłóczyście spojrzenie.

– To trzeba było od razu tak mówić.

Westchnęła głęboko, wzruszyła ramionami i znikła w kuchni. Po chwili podała mu gęstą zupę, która była bardzo dobra. Przez przypadek, pomyślał i już miał się podnosić, by na tym poprzestać, oszczędzając sobie dalszych westchnień i wzruszeń ramionami, kiedy dostrzegł za oknem leciwą hondę, zatrzymującą się przed samym wejściem. Wyszła z niej młoda kobieta, poprawiła krótką spódniczkę i prawie wbiegła do środka. Zerknęła na prawo, na lewo, uśmiechnęła się i weszła do kuchni.

Coś w okolicy jego serca załomotało na jej widok. Krótka spódniczka, krótkie włosy, oczy nieokreślonego koloru, ani piękna, ani brzydka, bardzo drobna... No przecież żaden ideał. A na pewno nie jego ideał.

– Małgośka?! – Usłyszał z zaplecza. – No czyś ty na głowę upadła?! O której przyjeżdżasz?

– Z autem mi się coś działo. Myślałam, że już nie dojadę.

– Ale dojechałaś...

– Pytasz czy stwierdzasz?

– Bierz się do roboty, nie filozofuj. Pan na obiad czeka. Od godziny.

– Od godziny?! – Małgośka złapała się za głowę, przesyłając Maurycemu przepaszający uśmiech. Dodała szybko: – Zaraz, zaraz... Moment i będzie pan jadł.

Ciepło mu się zrobiło w okolicy serca.

– Zupę już jadł. – Usłyszał głos tamtej. – Wczorajszą.

– Wczorajszą?! – Małgośka zbladła.

– Nie wiem, czy mu smakowała...

– Smakowała – uspokoił ją.

– Dajcie mi święty spokój – zawodziła z kuchni Gawlińska. – Ja do niczego nie mam głowy przed tym wyjazdem. Nie mogę się nad niczym skupić i wszystko mi leci z rąk. Nie wiem, kto mnie namówił na ten wyjazd.

– Sama się pani, pani Gawlińska, namówiła – usłyszał piskliwy głosik chudej istotki, dziewczynki na oko jedenastoletniej, ukrytej prawie w całości za tobołem pościeli, owiniętej przez środek szarym papierem. Weszła nagle z przedsionka, nawet nie słyszał, kiedy i czym podjechała. – Pościel przywiozłam. Mama kazała się spytać, czy dobrze wyprana. Cześć, Marek! – rzuciła w stronę drzemiącego mężczyzny, ale tamten nie zareagował.

Czesia Gawlińska wreszcie wychynęła z zaplecza, usiadła przy małym stoliczku

na granicy holu oraz jadalni i posłała dziewczynce znudzone spojrzenie.

– Przywiozłaś, to połóż...

– Gdzie?

– Gdzie ci się podoba. To działka Doris. Wróci, niech robi z nią, co chce, mnie to nie obchodzi.

Małgośka, stawiając przed Maurycem koszyczek ze sztuczkami (jak ona się przy tym zwinnie rusza – zauważył), znieruchomiała na moment.

– To Doris nie ma?!

– Ja jestem – zameldowała właścicielka.

– A do czego ty się teraz nadajesz? Gdzie Doris?

– Nie wiesz, gdzie Doris?! Narwała kwiatków i pojechała, idiotka, na cmentarz. Bo dawno nie była!

– Przedwczoraj była.

– No mówię.

Małgośka przymknęła oczy i odetchnęła mocno.

– Ta grupa ze śniadania ma tu wrócić na obiad... – Zerknęła na zegarek. – Druga. Koło trzeciej się zacznie...

– Druga czy trzecia... – Czesia Gawlińska machnęła ręką i podniosła się ociężale z krzesła, by wrócić do kuchni. – A co za różnica.

– Nie o to chodzi... I bez Doris, i bez ciebie dam radę. – Oddech widocznie pomógł, bo Małgośka wyglądała już na całkiem uspokojoną. – Nie lubię po prostu tego początkowego momentu. – Znikła w kuchni, a po chwili wróciła z zestawem surówek. Wyglądały apetycznie. – To mi przypomina stare czasy. Za moment wszystko mija, wiem, gdzie jestem, wszystko zaczyna grać.

Nie wierzył, ale po pięciu minutach postawiła przed nim drugie danie. Nie wyglądało na jakieś odgrzewane. Czesia musiała je jednak przygotować.

Dziewczynka położyła pościel na ławie pod ścianą, zerkając na Maurycego z zainteresowaniem.

– Zostaje pan na dłużej? – Znak pytający na końcu nie zabrzmiał jak pytanie. Raczej stwierdzenie.

– Na jakiś czas.

– Skoro tak, to ja mam na imię Tuśka. – Wyciągnęła rękę, którą, chcąc nie chcąc, uściskała. – Przypadkowym gościom się nie przedstawiam.

Jakby go to cokolwiek obchodziło.

– A ja Maurycy Murawski – powiedział, widząc, że wyraźnie na to czeka, i zabrał się do jedzenia.

– Ten od *Twarzy mordercy*?! – wykrzyknęła.

Przytaknęła niewyraźnie, nie chcąc się odzywać, by nie zdradzić głosem, jak bardzo to polechtało jego dumę.

– I od *Drugiej twarzy mordercy*? – upewniła się.

– Yhmm...

Tuśka walnęła się otwartą ręką w czoło.

– Ale jazda! Maurycy Murawski w naszej Magnolii! Pani Gawlińska! Małgośka!

Obie wyrzwały z kuchni.

– Słyszałyście?! – wydierała się mała. – Maurycy Murawski! – Nie wiedziały, o co chodzi. Tuśka dorzuciła z nadzieją: – Ten od *Twarzy mordercy*. – Tym bardziej nie było odzewu. Skwitowała więc: – Bo nie czytacie książek.

Odnotował, że wspomniała tylko jego pierwsze dwie powieści. Pewnie tylko te dwie jakimś cudem wpadły jej w ręce, wytłumaczył sobie natychmiast. Taki dzieciak przecież nie może jeszcze wiedzieć, co złe, a co dobre.

Usiadła obok Maurycego i popatrzyła na niego z uwielbieniem:

– Ja ciągle czytam.

– Ciekawe kiedy – mruknęła Czesia, chowając się w kuchni – jak latasz w tę i z powrotem...

Maurycy chciał wreszcie zjeść obiad, a potem zapłacić i wyjść. No, może jeszcze raz spojrzeć na Małgoškę. Albo dwa. Tuśka, choć wielbicielka, jakiej się na tym odludziu na pewno nie spodziewał, wyraźnie działała mu na nerwy. Postanowił dokończyć obiad za wszelką cenę i nie reagować na jej irytującą bliskość.

– Gawlińska wymyśliła sobie wczasy na Capri – zaczęła, kładąc brodę na rozpostartych na stole rękach i patrząc na niego z rosnącym uwielbieniem. – I teraz cała w nerwach. Od tygodnia głupieje i do niczego nie ma głowy. Jakby kiedykolwiek miała. Wielkie mi co! Capri! Pojedzie, przyjedzie... Więcej zamieszania jak to wszystko warte. Przyjechał pan pisać nową książkę?

– Starą – mruknął pod nosem.

– Ale jazda!

– Właściwie to jeszcze nie wiem...

Chciał powiedzieć, że właściwie to jeszcze nie wie, po co tu przyjechał. Nie chciał się nawet zastanawiać. Zdobył się na spontaniczny krok i nie zamierzał się z tego tłumaczyć. Był w jakimś miejscu, a za chwilę będzie w innym. Kogo to obchodzi?

Mała, przywołana ruchem ręki przez właścicielkę, znikła na zapleczu, w spokoju dokończył więc obiad, który bardzo mu smakował, i dopiero teraz rozejrzał się po wnętrzu. Stwierdził, że w sumie jest tu dość przytulnie, tylko jakoś to wszystko w całości niepozobierane. Dopiero teraz też zauważył na wyłożonych drewnem ścianach dziesiątki, a może i nawet setki obrazków. Przyjrzał się dokładniej tym, które wisiały za jego plecami. Przerysowane linie, ostre kolory, chmury w kształcie dziwnych stworów zwisające nad połoniną... Przedstawiały chyba tutejsze okolice, ale w stylu... fantasy? Żadne inne określenie nie przyszło mu do głowy. Może poza wyrafinowanym kiczem. Na ścianie naprzeciwko, w samym centrum, o wiele większe od innych wisiało płótno przedstawiające jakąś małą stacyjkę z peronem, a na nim pustą ławkę – całość zasnuta gęstą mgłą. Budynek dworcowy, peron, ławka – nic poza tym. Jakby to wszystko wisiało w próżni.

– To Doris! – usłyszał głos małej obok siebie. – Nasza artystka. Ten tam – wskazała wzrokiem na drzemiącego pod ścianą – dla niej tu siedzi. Już chyba ósmy miesiąc. Wcześniej siedział w więzieniu, tu niedaleko. Niesamowita historia. Jak pan chce, to opowiem...

– Może innym razem – wykręcił się dyplomatycznie.

– No dobra. A pan, panie Maurycy...

– Maurycy – wyrwało mu się jakoś tak odruchowo i chyba nieprzemyślanie, ale ten „pan” zabrzmiał mu tutaj jakoś nierealnie. Wręcz nedorzecznie.

– O, to nawet lepiej! – Tuśka aż zapiszczała z radości. – Doris i Małgoška też mi kazały sobie mówić po imieniu. No a zaraz potem Marlina. Gawlińska powiedziała, że Marlina zawsze znajdzie sobie okazję, żeby się odmłodzić.

Z kuchni dochodziło jakieś niewyraźne zawodzenie. Tuśka przewróciła oczami.

– Capri sobie wymyśliła!

– To piękne miejsce – wtrącił.

– A teraz głupieje, że jak i po co. Czasem dziwna ta Gawlińska. Ale ją lubię. Póki jej nie

strzeliło z Capri, to nieźle wszystko tu ogarniała. No i mamusi daje pracę. Z praniem. Bo kiedyś to wszystko woziła do zakładu. Jak nie mam co robić, to nawet mamusi z tym praniem pomagam... Praca lekka, a jakiś grosz wpadnie. No i fasolkę w tym roku nasadziłyśmy...

Gdyby nie to, że za chwilę miał zapłacić i wyjść, szlag by go trafił z tą Tuską.

– Lecę, bo znowu trzeba zrywać. Dobrze, że już końcówka, bo tak to nie wiem. Urwanie głowy, tak się narodziło. No, ale tyle pieniędzy... mamusia mówi co wieczór... to jeszcze w życiu nie widziała. Będziemy mieć na wszystko. I też się akurat dobrze złożyło, że Czerwiński zabiera ze swoją do skupu, bo tak, to kto by tyle tego zwiózł. Samochodu nie mamy, bo nam niepotrzebny...

O Chryste Panie! Zapłacić i wyjść. Gdzie ta Małgośka? Małgosia, poprawił się szybko. Chyba uspokaja Gawlińską na zapleczu. Może wreszcie wyjdzie.

Wyszła i z uśmiechem podała mu rachunek.

– Tuśka mówiła – zaczęła, zaglądając Maurycemu w oczy – że przyjechał pan w Bieszczady na dłużej...

Zgłupiał.

– Na dłużej?

– No... ja tego nie wiem.

– To zależy – opanował się. Pokazując wzrokiem obrazki na ścianie, dodał: – Widzę, że niektórzy czują się tu jak w bajce.

– Bajka jest tam, gdzie nam dobrze – odparła Małgośka, odgarniając delikatnym gestem kosmyk włosów z policzka. Uśmiechnęła się.

Zakochał się w tym uśmiechu.

Zapłacił i chciał wyjść. Ale jeszcze raz chciał na nią spojrzeć. Przekonać się, że nie było w czym. Zwykły uśmiech. Zwykła dziewczyna. Odwracając się, potrafił stelaż z jakimiś wisiorami, stojący przy wyjściu. Wszystko poleciało na podłogę. Gawlińska wyjrzała z kuchni i, posyłając mu karcące spojrzenie, powiedziała z niespodziewanym spokojem:

– Wieczne utrapienie z tą Józefiną i tymi jej pierdołami. Co się kobiecie ubzdurało na starość, to nie wiem. Jak kto nie wpadnie na to dziadostwo, to nic nie kupi.

Maurycy, zbierając chaotycznie z podłogi „to dziadostwo”, spojrzął na ręcznie nabazgraną cenę na jednej z bransoletek, wyjął pieniądze, zapłacił.

– A zostaw pan to. – Kobieta machnęła ręką. – Przyjdzie Doris, niech zbiera, to jej pomysł. Jedna artystka wspiera drugą artystkę. Obydwie dobre. Tuśka, będziesz wracać do domu, zajedź do Józefiny i daj jej pieniądze. – Wyjęła z drewnianej skrzyneczki, stojącej pod lustrem, jakieś pieniądze i razem z tymi od Maurycego podała dziewczynce. – Nie chcę być nikomu nic winna.

– Mówisz tak – wtrąciła Małgośka – jakbyś się szykowała do trumny, a nie na Capri.

– A bo to wiadomo, gdzie na kogo trumna czeka – odparła Czeńska filozoficznie, krzywiąc się niemalże w tej samej chwili na własne słowa.

– Ale ja dziś piechotą – zaprotestowała Tuśka. – Dętka mi się w rowerze przebiła.

Do Józefiny mi nie po drodze. – Maurycemu zaś wyjaśniła: – Józefina to ciotka Luizy. Jakbyś został na dłużej, mogłabym ci opowiedzieć o Luizie i...

– Zamilcz! – Czeńska zamachała ostrzegawczo ręką przed nosem małej. – Piechotą żeś taki tobół przez całą wieś niosła?!

– Odpoczywałam co kawałek.

Tamta pokręciła głową, przyglądając się badawczo Tuśce.

– Podrzucę cię – zaproponował Maurycy, nie zdając sobie sprawy, że właśnie przypieczętowuje swój los. – Gdzie ta Józefina mieszka?

– Tam – usłyszał w odpowiedzi.

„Tam” to znaczy z dala od wsi, na otwartym terenie, zarośniętym chaszczami, zza których ledwo widać było starą chatę. Wiekowe drzewa, rosnące w pewnej odległości, otaczały gospodarstwo kręgiem, ale nie przytłaczały.

Gdy zatrzymał auto przed furtką, za którą na prawo i lewo rosło pełno wysokich kwiatów, pomieszanych jedne z drugimi, jakby je kto siał, rzucając po prostu garść nasion w ziemię, wyłoniła się z nich postać kobiety. Podeszła do furtki, na której wisiała kartka z napisem: „Dzwonić!”, i z zaciekawieniem spojrzała w ich stronę. Musiała być po siedemdziesiątce, ale jej cera, mimo iż naznaczona prawidłową w tym wieku ilością zmarszczek, sprawiała wrażenie niezwykle miękkiej, a szafirowe oczy przykuwały natychmiast uwagę, zadziwiając wyrazistością i pięknem. Miała na sobie suknię z aksamitu w kolorze oczu, pełno jakichś ozdóbek, a na głowie kapelusz z niebieskiej koronki.

Maurycy zakochał się w tym kapeluszu.

Zostawił Tuškę pod furtką, zakręcił i wrócił do Magnolii.

&&&

Życie to ciąg mniej lub bardziej przypadkowych zdarzeń. Z akcentem na bardziej – tylko tyle miał do powiedzenia Maurycy Murawski kilka miesięcy później, pewnej wrześniowej nocy na posterunku w jednej z bieszczadzkich urokliwych wiosek. Było tu jak w filmach z lat pięćdziesiątych (meble mogły pamiętać tamte czasy). Mroczny przedsionek, za nim duże surowe pomieszczenie, pełno pudeł na biurkach i pod ścianą, a także folii, rozpostartej tu i ówdzie, to i owo zakrywającej, z boku jakaś kanciapa, z której od godziny dochodziło stukanie na maszynie. Maurycemu dotąd zdawało się, że maszyny do pisania są już tylko w muzeach. Areszt, a więc miejsce tymczasowych zatrzymań na noc lub dwie, za przyczyną na wpół rozwalonej ściany pozostawał otwarty na drugie, nieco mniejsze pomieszczenie. Fragmenty muru nosiły ślady wielu warstw farby. Na upartego można byłoby przestudiować efekt radosnej twórczości okolicznych malarzy pokojowych aż do wspomnianych lat pięćdziesiątych. Gruz poniewierał się wszędzie. Pył położył się pokazną warstwą na grubej folii, którą zawinięto dwa znajdujące się tu na stanie komputery. Resztą nie zwracano sobie głowy.

Za rozwaloną ścianką, w miejscu, które tylko umownie można było w tych warunkach nazwać aresztem, na jednym z dwóch wyrek leżał mecenas Lorka. Wsunął pod głowę rękę, robiąc sobie z nich poduszkę, natomiast jedną nogą, wspartą na zgiętym kolanie o drugą, wymachiwał z nonszalancją w powietrzu.

– Pisarz... – zaczął komendant Miśkiewicz z lekkim niesmakiem, zahaczającym o pogardę – nawet jeśli nikomu nieznany, powinien chyba mieć trochę jakiegoś rozumu... Już nie mówię, że rozsądku...

Na dźwięk ostatniego słowa Maurycy parsknął śmiechem. Rozsądek! A cóż to takiego?! Gdyby wiedział, wielu rzeczy by w swoim życiu nie zrobił. Na pewno nie przyjechałby w to miejsce i nie zamieszkał w Magnolii.

Miśkiewicz oparł mocne dłonie na blacie stołu i, pochylając się nad Maurycym, powiedział:

– Też bym się pośmiał. Gdyby było z czego. Niech pan sobie nie żałuje. Tylko jak pana przejmą powiatowe orły albo jeszcze lepiej cibiesie, straci pan w jednym momencie ochotę do śmiechu. Tamci nie będą się z panem patyczkować. Od razu prokurator, akt oskarżenia i paka.

– Dlaczego cibiesie? – spytał jakby od niechcenia Maurycy.

– A dlatego, że dopiero co wyjęli stamtąd hakera...

– Zaraz hakera! – Maurycy się skrzywił.

– A kto wchodzi na rządowe strony FBI? Internautka z naszej klasy?!
– Naprawdę? – Tym razem zdziwił się Maurycy. – Nie wiedziałem.
– A bo cibiesie się nie tłumaczą. Wchodzą i zgarniają.
– Ale żeby zaraz sprzed ołtarza... – Nie przestawał się dziwić.
– Sprzed kościoła – sprostował komendant, dodając z niesmakiem: – Pisarze!
– Chyba pana też, komendancie, z nudów ponosi wyobraźnia – wtrącił mecenas Lorka, nie przestając wymachiwać stopą. – Podjechało dwóch facetów, grzecznie zaprosili jednego z braci do samochodu...

Miśkiewicz posłał mu beznamiętne spojrzenie.

– Ja swoje wiem. Bracia też wiedzą. Zostawmy w spokoju sprawy, które nas nie dotyczą, mecenasie. – Na nowo zwrócił się do Maurycego, mówiąc równie beznamiętnym głosem:
– Przyjrzyjmy się temu, na co możemy mieć jakiś wpływ...

– My?

– Pan! Pożar, strzelanina, awantura na całą okolicę... Takiej akcji, trzeba uczciwie przyznać, nie było w Bieszczadach od wojny... trzy osoby w szpitalu...

– Tylko jednej z nich pomogłem się tam dostać – wtrącił jakby od niechcienia Maurycy.
– Gdyby nie to, przynajmniej jeszcze jedna mogłaby całej tej, jak pan nazwał, awantury nie przeżyć.

Rozległo się słabe pukanie. Po chwili do pokoju wszedł młody policjant. Trochę wcześniej ustało stukanie na maszynie.

– Czego?! – warknął Miśkiewicz.

– Ggggaaaajczak ppprzyyywiózł Jaaa... Jaaaszsz...

– Jaszczuka?! Gdzie znalazł tego popaprańca?

– W Rzepedzi... – wyrzucił policjant. Dalej nie poszło tak gładko. – Uuuuu
jeeeedneeeego z bbbbraci cio... cioto...

– To ta kanalia ma i w Rzepedzi ciotecznych braci? – zdziwił się komendant.

– Zaraz kanalia, panie komendancie – wszedł mu w słowo wprowadzony do środka Zenek Jaszczuk. W błyszczącym, zmiętym garniturze, rozchełstanej koszuli i jaskrawym krawacie, którego koniec zwisał przez ramię na plecach. – A cóż ja takiego zrobiłem?

Miśkiewicz rzucił Jaszczukowi tyleż przelotne, ile obojętne spojrzenie, po czym gestem pokazał pomieszczenie za rozwaloną ścianą. Jaszczuk wytrzeszczył oczy.

– No ale za co? Za co, panie...

– Za nieprzeprowadzenie staruszki na pasach, Jaszczuk! – Komendant walnął w stół, aż wszyscy obecni, oprócz mecenasa, skulili się w sobie, a Jaszczuk pokornie dał się wprowadzić za rozwaloną ściankę.

– Ale że pan tutaj, panie mecenasie... – zdziwił się tylko i z osłupiałą miną na pospolitej gębie usiadł na skraju wyrka. Dopiero wtedy się rozejrzał. – A co to?

– A ściana się zawaliła! – usłyszał w odpowiedzi. – Nie widać?

– No widać, ale żeby tak się zawaliła...

– Miała prawo! – przerwał mu komendant. – Od trzydziestu lat prosiła się o remont.

– Pamiętam! – potwierdził Jaszczuk. – Jeszcze pana ojciec, jak mnie tu raz przez pomyłkę na czterdzieści osiem za jakąś pierdołę przymknął, pomstował.

Miśkiewicz popatrzył beznamiętnie na Zenka, po czym przeniósł wzrok na Maurycego. Uśmiechnął się łagodnie.

– Ja... – zaczął lekkim głosem, spoglądając na zegarek – od jutra jestem na urlopie. Czyli dokładnie mówiąc, za trzy godziny i piętnaście minut, bo tyle brakuje do północy...

– Też pan sobie wybrał urlop, panie komendancie, na koniec września – wtrącił Jaszczuk,

dodając jakby na usprawiedliwienie, że zabrał głos: – No, od poniedziałku ma padać.

– Od poniedziałku – komendant zmrużył oczy, spoglądając na niego – wchodzi tu ekipa z remontem. Od kilku dekad wyczekiwany. Tak kocham remonty, że nawet gdyby od poniedziałku miał być śnieg, na przemian z deszczem i żabami spadającymi z nieba... Jeszcze raz się odezwiesz, Jaszczuk, to pójdę tam i cię podzielę. – Znowu zerknął na zegarek. – Za trzy godziny piętnaście minut moje obowiązki przejmuje Gajczak i nie chciałbym być wtedy w waszej skórze, bo Gajczak się nie certoli. Rozpoczyna procedurę i nie zadaje zbędnych pytań.

Jak na zawołanie do środka wszedł Gajczak – wysoki, w okularach, mundur leżał na nim jak na modelu. Stał wyprostowany i wyrzucił z siebie jak automat:

– Osiemnaście butelek nielegalnego alkoholu, panie komendancie, zabezpieczyłem podczas zatrzymania obywatela Zenona Jaszczuka do dalszego toku postępowania i z chwilą obecną uruchamiam procedurę.

– O Jezusie! – zapłakał Zenek. – Taka dobra śliwowica to jeszcze się braciom ciotecznym jak żyję nie udała.

– Jutro, Gajczak, jutro... – Miśkiewicz zamachał chaotycznie rękoma. – Usiądź na du... na siedzeniu i miej oko na wszystko. I kontaktuj się z chłopakami, może tam jeszcze z krzaków kogo z całej tej zadymy wyciągną.

– Tak jest, panie komendancie! – Gajczak strzelił nogą o nogę, odwrócił się i wyszedł.

Komendant rozłożył ręce w triumfującym geście.

– Sam pan widzi, panie Murawski. Dlatego może się wreszcie czegoś dowiem.

– Czemu akurat ode mnie? – Maurycy odwzajemnił uśmiech. – Może pan mecenas...

– Mecenas – przerwał mu natychmiast komendant – powiedział, że bez adwokata nic nie powie. Z Jaszczukiem nawet nie chce mi się gadać. Nie rób takiej miny, Zenek, bo pójdę tam zaraz i tak cię podzielę... – Ręka komendanta zawisła w powietrzu i wisiała tak chwilę, póki po paru głębokich wdechach Miśkiewicz się nie uspokoił. – Niech mi pan powie, panie Murawski, w jaki sposób w cichym, sennym i najspokojniejszym, kurwa, zakątku tego popapranego świata doszło do takiej zadymy? Jak to się stało, że o mały włos nie zabił pan człowieka, którego pierwszy raz widział na oczy...

– Słyszałem już wcześniej coś niecoś – wtrącił Maurycy.

– A, no chyba, że tak – odparł kpiąco komendant. Popatrzył na wystającą zza murka głębę Jaszczuka, na mecenasa, złapał dwa głębokie oddechy i uśmiechnął się do Maurycego, mówiąc łagodnym tonem: – Niech mi pan cokolwiek wyjaśni, panie Murawski, nikomu nieznanemu autorze powieści kryminalnych, nim kolejną z nich zacznie pan pisać z więzienia.

Zapadła cisza. Słysać było jedynie stukot maszyny do pisania z kanciapy, ale i to po chwili ustało.

Maurycy Murawski rozejrzał się po wnętrzu szeroko otwartymi oczyma, zerknął komendantowi w oczy, po czym wysunął przed siebie ręce i, obracając je na białce stołu raz dłońmi do góry, raz do dołu, zaczął je z uwagą oglądać.

– Ja... – zaczął nieśmiało, a w oczach komendanta błysnęła iskierka nadziei. – Ja wszedłem tam tylko na obiad...

&&&

– Trafiła się ta Magnolia Gawlińskiej jak ślepej kurze ziarno – poinformowała bezceremonialnie Maurycego Tuśka w kilka godzin po tym, jak zawrócił spod domu Józefiny, rażnym krokiem wszedł do Magnolii i pokornie spytał stojącą przed lustrem Czesię, czy są jakieś wolne pokoje, na co ta odparła: „Od cholery”. Stała przed tym lustrem i oglądała się to z jednej, to z drugiej strony, zupełnie niespieszona jego obecnością.

– Ja wiem... – zaczęła mamrotać pod nosem. – Może by sobie inny kolor położyć na włosy. Już mi się znudziło na siebie patrzeć.

– Włosi lubią blondynki – zauważyła Małgośka, taszcząc tacę pełną talerzy z drugim daniem na werandę. – Ale na dzień przed wyjazdem nie radziłabym eksperymentować z kolorami.

Siedziało tam kilka osób – dostrzegł przez okna znajdujące się na całej długości ścian. Małgośka, wracając z pustą tacą, rzuciła Maurycemu przelotne, lekko zdziwione, ale i dość przyjazne spojrzenie.

– Jeszcze tylko tu kolejnej blondynki brakuje – zamruczała Czesia, wsuwając rękę w kasztanowe włosy. – Jakby z jedną było mało kłopotów. A gusta Włochów mnie nie obchodzą. Ile ja mam lat?

Małgośka, kursując między werandą a kuchnią, coś tam jej odgadywała. W końcu, łapiąc głęboki oddech, stanęła przed Maurycem, spojrzała mu w oczy i powiedziała z uśmiechem:

– A niech już jedzie, bo zwariować można. – Po krótkiej pauzie dodała miękkiem głosem: – A jednak pan do nas wrócił. Na długo?

– Dwa, trzy tygodnie...

– No to chyba nie pod werandą. Doris wyszykowała na górze dwa dodatkowe pokoje dla gości na dłużej. Wróci, to się panem zajmie...

– Maurycy.

– Zajmie się tobą, Maurycy. A ty – zwróciła się do Czesi – odejdz wreszcie od tego lustra, bo mi zawadzasz, i jedź się pakować.

– Czekam, aż mi Marlena przyniesie torbę.

– Nie masz własnej?

– Mam, ale jakąś taką przedpotopową. Marlena, jak zobaczyła, powiedziała, żebym nie robiła wiochy. – Wzruszyła niedbale ramionami, dodając: – Nie było potrzeby wcześniej myśleć o takich pierdołach. Nigdy nie wyjeżdżałam.

Marlena, Doris, Józefina... I tylko jeden drzemiący pod oknem mężczyzna. Maurycy zaczął się zastanawiać, czy to źle, czy dobrze, ale było chyba za wcześnie, by to ocenić. Ale jeszcze nie za późno, żeby odejść.

– Marlena zaraz tu przyjedzie pić kawę, to sobie gdzie indziej usiądź – rzuciła jakby od niechcenia Czesia.

Usiadł więc i czekał cierpliwie na Doris. Raz czy dwa zerknął na mężczyznę skulonego na ławie. Tamten w pewnym momencie otworzył oczy, obrzucił Murawskiego obojętnym spojrzeniem, ziewnął, wstał i poszedł do narożnej kanapy w kącie, na której bezceremonialnie się położył. Nie na długo. Czesia Gawlińska, udzielająca Małgoście jakichś instrukcji w głębi kuchni, wyjrzała na chwilę i ryknęła w jego stronę:

– Złaż z kanapy! To miejsce Filipa. Doris wróci, to cię obleci, jak już cię nieraz obleciało. Marek wstał potulnie i zmienił miejsce.

Doris wróciła niedługo. Razem z czymś, co chyba było psem, bo zawarczało na Maurycego, obwąchało Marka i wróciło do nogi Doris. Zamerdało ogonem, oczekując chyba jakiejś pochwały za czujność, a potem uwalilo się obok stolika, przy którym jakaś Marlena miała lada moment pić kawę. To coś było tak niedorzecznie brzydkie, że Maurycy ucieszył się, że zjadł już obiad. W obecności tej pokraki chyba nie dałby rady.

– Wróciła nareszcie! – zawołała Czesia na widok Doris. – Pana masz – dorzuciła, łypiąc wzrokiem na Maurycego – do pokoju. A jak już się z nim uwiniesz, złaż na dół pomagać Małgoście, bo ja zaraz jadę do domu. Wszystko macie naszykowane w lodówce i poopisywane. Karkówka w marynacie, pierogi zamrożone... A zresztą, radźcie sobie, co ja będę sobie zawracać

głowę. Raz w życiu mam wakacje, nic mnie już od tygodnia nie powinno obchodzić. Przez dwa tygodnie może świat się tu nie zawali i wszyscy goście się nie odbiją, wstydu mi nie naróbcie, bo stracić reputację łatwo, a trudniej odzyskać. Powiedziałaś wszystko Filipowi na cmentarzu?

– Co miałam powiedzieć, to powiedziałam – odparła lekko Doris, uśmiechając się do Maurycego i krzywiąc na widok Marka.

– No to może przestaniesz tu do niego gadać. Goście się dziwnie patrzają! – Wzniosła oczy w górę, kręcąc głową. – Chodzi i gada do niego, nienormalna. Jeszcze dawniej to gdzieś na zewnątrz, pośród tych badyli, których wszędzie nasadziła...

– Aksamitki i dalie! – zaprotestowała Doris. – Z pustymi rękami mam na grób chodzić?

– ...a teraz to gdzie popadnie. Gościom podaje, mamrocze coś pod nosem do Filipa, ludzie się patrzą, rozglądają... Dobrze, że jadę na Capri i odpocznę od tego wszystkiego, bo tak to nie wiem... Przyjdzie wreszcie ta Marlena?

Marlena, kobieta około czterdziestoletnia, z gustem ubrana, trochę jakby przezroczysta na twarzy, w jedwabnej chustce, spod której nie było widać jednego pasemka włosów, przysłała, gdy Doris prowadziła Maurycego na górę. Przyniosła z sobą wielką torbę podróżną, na widok której Czesia zmarszczyła czoło, pytając, co ona niby ma sobie w taki wór napakować – całą szafę?

– Ja z dwoma takimi torbami na tydzień wyjeżdżam – powiedziała Marlena.

– Ty do kościoła idziesz z torbą, w której zmieściłyby się cotygodniowe zakupy. Co żeś mi tam napchała?

– Parę seksownych ciuszków.

– Jakich?!

– Na mnie za duże.

Czesia wzniosła oczy w sufit.

– Ja i seksowne ciuszki! Stuknij się! Tuśce za każde pranie płącicie od ręki. Wiecie, że tam studnia bez dna.

– Nie, nie wiemy! – odparła Małgośka. – Jedź już do tego domu i zacznij się pakować. Góra o piątej wyjeżdżamy, to radzę wcześniej się położyć. Samolot nie będzie czekał.

– Chcesz coś na sen? – zagadnęła Marlena, sięgając do sporej torby. Zaczęła w niej grzebać i wywracać zawartość. W końcu wszystko z niej wyjęła.

– Obejdzie się – Czesia na to. – Ja mam czyste sumienie, od ręki zasypiam.

Marlena łypnęła na nią wzrokiem, chowając cały stolik drobiazów do torebki.

– Jedź już, bo ja tu z tobą nie wytrzymam.

Maurycy poszedł za Doris na górę. Młoda kobieta wskazała ręką na drzwi do pokoi, mówiąc, żeby sobie któryś wybrał.

– Któryś z tamtych dwóch! – powstrzymała go, gdy otworzył pierwsze lepsze drzwi. – To pokój Filipa. A ten obok mój.

Co to, u diabła, za Filip, pomyślał, wchodząc do następnego. Rzucił tylko okiem do środka i skinął głową na znak, że mu pasuje. Było tu czysto i świeżo. Łóżko, szafa, dwie szafki, stolik. Położył laptopa na stoliku, torbę rzucił koło szafy. Widok z okna nie powalał, ale widokami Maurycy miał zamiar napawać się gdzie indziej. Tu było dość nieciekawie, prawdę mówiąc. Zaczął nawet żałować, że nie poszukał jakiegoś przytulniejszego miejsca, ale po kolacji, którą pochłonął z równym apetytem jak obiad, zmienił zdanie. Od dawna tak dobrze nie jadł. Nawet chleb był tu wyjątkowy.

Najedzony wyszedł przed Magnolię, usiadł na ławce przy wejściu, wyciągnął się na niej wygodnie i poczuł, jak ogarnia go uczucie błogiego rozleniwienia. Było mu dobrze. Dopóki nie zjawiała się Tuśka. Klasnęła w dłonie i aż zapiszczała na jego widok.

– Tak sobie pomyślałam, że może jednak tu wróciłeś. Mówię sobie, pojedę, sprawdzę, no i jestem. Gawlińska już odjechała? – Rozejrzała się po podwórku i sama sobie udzieliła odpowiedzi: – Odjechała. To i dobrze. Pojedzie, zobaczy trochę świata, też jej się coś od życia należy, a nie tylko ta Magnolia i Magnolia...

– Od dawna jest tu właścicielką? – wtrącił z grzeczności.

– A gdzie tam! Rok będzie w sierpniu. Pod koniec sierpnia, ściśle mówiąc. Trafiła jej się ta Magnolia jak ślepej kurze ziarno, co tam dużo mówić. Filip jej to sprezentował.

– Mąż? Narzeczony? – zagadnął nie bez pewnej ciekawości.

– Obcy człowiek!

– To chyba długo się znali, że tak...

– A gdzie tam! Rok jakoś tak też prawie ledwie mijał. – I dostrzegając zdziwienie w oczach Maurycego, dodała: – Nie czas wiąże ludzi, tylko przeżycia.

– Skąd to wiesz?

– Gdzieś czytałam.

– To chyba sporo było tych przeżyć...

– Ano trochę było... Za friko jej to sprzedał.

– To w końcu sprezentował czy sprzedał?

– No niby sprzedał. Na papierze, żeby Gawlińska nie miała koło tego żadnych kołomyi.

Wszystko pozalatwiał, pozapłacał i do widzenia.

Domyślił się, że na cmentarz. Mała zaraz potwierdziła:

– Po zawale tu przyjechał... Potem miał drugi zawał... – Zamyśliła się na chwilę, patrząc w dal, gdzie snuła się polna dróżka w stronę otwartych łąk. – No i ten trzeci. – Ocknęła się w jednej chwili, wracając do poprzedniego tonu: – Ale przez ten rok, jak tu był właścicielem, to była jazda, mówię ci, Maurycy! Co on z nimi przeszedł! A one z nim!

Domyślił się, że mówiąc „one”, ma na myśli wszystkie kobiety, które kręciły się wokół Magnolii. Zastanawiał się, ile trzeba przeżyć, żeby za friko oddać obcej osobie taką Magnolię. Niby nic szczególnego, ale mimo wszystko – nieruchomość (jakkolwiek by była), miejsce... Dla wielu to mógłby być dorobek życia. Nie chciał pytać o szczegóły, bo czuł narastającą senność, zmęczenie. To był – przyszło mu do głowy – jeden z najdłuższych dni w jego życiu. Tuśka coś tam sama z siebie jeszcze dorzuciła. Że Spalski najpierw to wszystko olewał. Stracił pracę, żonę, dopadł go pierwszy zawał, na niczym już mu nie zależało. Wsiadł w samochód i ruszył w drogę. Dotarł do stacji... O tam! – Pokazała ręką na prawo, gdzie wiała się wśród łąk droga. Usiadł na ławce koło poprzedniego właściciela i bez namysłu kupił Magnolię, jak tamten tylko się odezwał, że chce sprzedać pensjonat. Od niechcienia. Tak sobie. Jak zapalki w kiosku albo pastę do butów, bo już nad samymi butami człowiek się dłużej zastanawia. Bez mrugnięcia okiem. Jakby na swoje zatracenie – Tuśkę porwał dramatyzm własnej narracji. To i nic dziwnego, że potem mu wisiało. Co? A wszystko.

Nie podobało mu się tu, a one wszystkie działały mu na nerwy. Ale do niczego się nie wtrącał, na wszystko im pozwalał. Jednym słowem, olewał. Wstał, pokręcił się tu i tam, położył się na narożnej kanapie i leżał. W końcu zaczął pić. To dopiero była jazda! Bo żeby tylko pił! Ale on lał w siebie to świństwo. Fłaszka do kieszeni i na górę. Albo w teren. Gawlińska to go nie raz do Magnolii nie wpuściła, jak wracał zimą utyłany. Albo wczesną wiosną. Gdzie spał? W kabarynach. O tam, koło bramy. To taka pozostałość po dawnym więzieniu... Co, nie wiedział, że tu dawniej było więzienie?! Bez żartów! Niech sobie pójdzie i zobaczy. Cele, prycze, wszystko jak kiedyś! Filipowi źle tam nie było. Gawlińska mu przecież dziesięć koców na plecy narzucała, żeby, nie daj Bóg, nie zmarł. No ale w którymś momencie i ona nie wytrzymała. Wzięły się wszystkie trzy... ona, Doris i Marlena... Nie, Małgoški wtedy tu jeszcze

nie było... i postawiły go na nogi. Tak jak zaczął pić, tak przestał...

– Widać nie było jeszcze za późno – wtrącił, ale mała to zlekceważyła. – Albo jeszcze na czymś mu zależało.

– No a potem... – Tuśka znowu powiodła wzrokiem hen, w łąki. – To nie to, żeby jakaś sielanka się zaczęła... Normalnie. Tylko że jakoś tak się porobiło, że w ogień byśmy poszły za Filipem, gdyby było trzeba. A on za nami... Biedny ten Filip... Tak nam go tu teraz wszystkim brakuje...

Maurycy nie był pewien, czy ostatnie słowa Tuśki usłyszał od niej samej, czy już mu się przyśniły. Ocknął się w pewnym momencie z głową opartą o ścianę porośniętą bluszczem. Tuśki i jej roweru nie było. Małgośka wychodziła z Magnolii.

Śniło mi się, zdecydował, bo jak można w ogień iść za kimś, kogo się ledwie zna. Życie to nie film, żadna fikcja literacka i w ciągu roku nie może aż tak wiele się zdarzyć, żeby się tak mocno do kogoś przywiązać.

Małgośka, widząc, że się obudził, pomachała mu ręką, zawołała: „Do jutra”, wsiadła do starej hondy i odjechała.

– Do jutra – odpowiedział.

Jutro było znośniejsze, niż mógłby się spodziewać. Rzeński poranek wpadł przez otwarte na oścież okna i bez większego bólu pozwolił odnaleźć się w rzeczywistości bez sygnałów karetek pogotowia i klaksonów samochodów, ciągnących ulicami jeden za drugim od świtu do nocy. Uwielbiał to. Nigdy nie zamykał okien przed gwarem miasta, dlatego się zdziwił, że ta cisza tu wokoło w ogóle pozwoliła mu zasnąć. I spać snem spokojnym, bez nerwowych ocknięć.

Z dołu sączyła się jakaś łagodna muzyka. Gdy zszedł, Doris otwierała okna, podśpiewując i bujając się w jej rytm. Miała na sobie równie zwiewną sukienkę, co poprzedniego dnia, tylko w innym kolorze i może trochę krótszą.

W Magnolii było pusto. Tylko pokraczny pies leżał tuż przy wyjściu na werandę. Zawarczał na widok Maurycyego, po czym podniósł się niezdarnie i wskoczył na narożną kanapę w kącie sali.

– Dzień dobry! – zawołał Maurycy, jak mu się wydawało, trochę nazbyt śpiewnie.

– Absurd! – usłyszał w odpowiedzi.

– Nie jest dobry? – zdziwił się lekko.

– A nie! – Doris wybuchnęła perlistym śmiechem. – Ja do Absurda! Złaz z kanapy i nie przeginaj, bo się pogniewamy.

Domyślił się wreszcie, że Absurd to imię psa. Lepszego sam by dla tego potwora nie wymyślił. Doris zgoniła psa z kanapy, nie przejmując się za bardzo jego warczeniem, po czym, cała rozpromieniona, odwróciła się w jego stronę i klasnęła w dłonie.

– No widzisz, Maurycy, przez ten wczorajszy zwariowany dzień nawet nie zdążyliśmy się sobie przedstawić. Wyjazd Czesi przewrócił wszystko do góry nogami. – Odwróciła się do dziwnie kłapiącego pyskiem Absurda (być może tak wyrażał swoje niezadowolenie) i – Maurycy nie wierzył, że chce to zrobić, a jednak zrobiła – przedstawiła go psu: – To Maurycy, dziecinko, nasz gość na dłużej. Nie, nie na jedną noc czy na dwie, więc zapamiętaj to sobie i zachowuj się, jak na mądrego psa przystało.

Po tych słowach Murawski zwątpił nie tylko w mądrość psa, ale także w zdrowy rozum jego właścicielki. Jednak, jak wszystko inne, co tu się do tej pory działo, tylko go one rozbawiły. W takiej aurze, myślał sobie, idąc za Doris do kuchni, gdy zaproponowała, żeby tam bez zbędnych ceregieli zjedli razem śniadanie, za nic w świecie nie udałoby mu się napisać

mrocznego kryminału, jednego z tych, jakimi rozpoczął swoją literacką... no, można by od biedy powiedzieć, karierę, ale fantastycznie baśniową historię o dwóch ptakach, które nie mogą się odnaleźć, jak najbardziej.

Nim skończyli jeść, przyszła Marlena. Po kilku powitalnych bzdetach sama zrobiła sobie kawę z ekspresu i usiadła z kubkiem przy swoim stoliku. Maurycy zdziwił się, gdy ją zobaczył, jak poprzedniego dnia, w jedwabnej chustce zawiniętej na głowie tak, że nie było widać jednego pasemka włosów, bo sądził, że to jeden z elementów jej niewyszukanej, skądinąd, wczorajszej kreacji. Nie znał się za bardzo na kobietach, ale nie trzeba się znać, żeby pewne rzeczy wiedzieć.

– O, jak cicho – zamruczała Marlena, delektując się małymi łyčkami aromatycznego napoju. Wsunęła na nos okulary, rozłożyła przed sobą gazetę i, nie odrywając od niej wzroku, zagadnęła: – Co żeś tam znowu na siebie włożyła?

Doris, przetykając kawałek bułki z dżemem, ogarnęła się wzrokiem.

– Chodzi ci o sukienkę?

– A o co!

– No to przecież Józefina znowu mi uszyła.

– Wiem, że Józefina, ale wstań, pokaż się, jeszcze tej nie widziałam.

– Przedwczoraj mi ją przyniosła – wykrztusiła Doris z pełnymi ustami. Wstała ze stołka, zakreśliła się wokół własnej osi i usiadła. – Czeńska już w powietrzu.

– Co?!

– Mówię, że już leci.

– Aaa... No niech leci. Wbiła się pewnie w fotel, zamknęła oczy i zaczęła się modlić do Matki Jedynej.

Zachichotały. Marlena wyjęła z torebki papierosy, zapytała wzrokiem Maurycego, czy mu to nie przeszkadza, a gdy pokręcił głową, że nie, zapaliła. Zjadł już kilka kromek chleba i zastanawiał się, czy wypada więcej, bo wciąż był głodny. Kiedy jednak Doris podsunęła mu patelnię z jajkami na bekonie, pozbył się skrupułów.

– Pięćdziesiąt dwa złote – odezwała się, smarując masłem kolejne kromki chleba dla Maurycego.

– Do mnie mówisz czy do...

– Maurycy – przypomniał.

– Za sukienkę Józefinie zapłaciłam. Nie pal.

– Dlaczego akurat pięćdziesiąt dwa?

– Józefina tyle powiedziała. Mówiła, że jak się zdecydujesz, to ci do ślubu coś wyjątkowego uszyje.

– Jeszcze na głowę nie upadłam! – Marlena się skrzywiła.

– No to starą musisz sobie zwęzić.

– To sobie zwęzę. Wielki problem.

Maurycy miał ochotę zapytać, o jakim ślubie mowa, ale pomyślał, że to chyba nie jego sprawa. Był wypoczęty, najedzony, mógł ruszyć w teren. Przyszło mu jednak do głowy, że najpierw rozejrzy się po najbliższej okolicy. Wypił kawę, mocną i dobrą, za którą w Warszawie trzeba byłoby wybulić około dziesięciu złotych, a która tu wliczona była w koszt tak zwanej doby, i wyszedł z Magnolii.

Dzień był piękny. Dwadzieścia parę stopni, słońce, lekki wiatr, a na prawo i lewo, gdzie tylko spojrzeć, zniewalający spokój. Nie potrzebował spokoju, ale w tym krajobrazie nie było to zbyt uciążliwe uczucie. Poszedł w jedną stronę, gdzie droga wiodła, jak już wiedział, do samej stacji. Tej, której pewien fragment uwieczniła na jednym z obrazków Doris i gdzie Filip Spalski dwa lata wcześniej zdecydował się kupić Magnolię. Potem zawrócił i ruszył w stronę przeciwną,

do wsi. Minął parę łemkowskich chat, potem mostek nad czystą i wartką Osławą i dalej już była wieś, nieupstrzona jakimś cudem elementami współczesnej architektury, oraz cerkiewka na niewielkim wzgórzu i obok niej mały cmentarz...

Ach, to pewnie tu Doris przynosi kwiaty dla Filipa, bo gdzież by indziej.

Rozejrzał się stąd na całą okolicę, popatrzył na mniejsze lub większe wzgórza, z przytulonymi do nich gospodarstwami, na dróżki wijące się tu i tam, wzrokiem losowo wybrał jedną z nich i postanowił, że pójdzie nią do końca, tam, gdzie go poprowadzi. Odsunął na bok krótką myśl, aby zejść na cmentarz. Może innym razem, obiecał sobie, zbiegając łagodnym stokiem wzgórza. Nie lubił cmentarzy.

Gdy wrócił do Magnolii, w sali jadalnej siedziało parę osób. Doris uwijała się, jak mogła. Rzuciła mu przelotne spojrzenie, spytała, czy bardzo głodny.

– Poczekam.

– To jakbyś mógł... W garnczku z czerwoną przykrywką są pierogi... Wyłóż na cztery talerze, polej skwarkami i zanieś na werandę...

– Po ile?

– Co, po ile?

– Po ile pierogów?

– Po ile ci się zmieści. Cały talerz.

Czasem zamawiał w restauracjach pierogi. Jednym rzutem oka dało się je policzyć. Kiedyś policzył – siedem pierogów, czternaście złotych. Dwa złote...

– Małgośka miała być dwie godziny temu! – przerwała jego rachunki Doris. – Może poleciała razem z Czeską na Capri, bo nie wiem, skąd to spóźnienie. Jak na złość nalazło się gości, wszyscy w okolicy nagle zgłodnieli. Przyjdzie, pewnie nikogo nie będzie.

Rzeczywiście, gdy po godzinie zjawiała się Małgośka, sala była prawie pusta. Małgośka miała brudne ręce i jakąś plamę na niebieskim podkoszulku.

– Co?! – zaatakowała od razu w odpowiedzi na wymowne spojrzenie Doris. – Prosto z drogi wracam.

– To którą wracałaś? Przez Szczecin?

– Nie! Przez Komańczę! Kilometr za zdechła mi honda. Ostatecznie. Bo wcześniej tuż za Krakowem. Dwie godziny grzebałam na chybił trafił pod maską, coś tam w końcu ruszyło...

– W tę czy w tamtą stronę?

– Na szczęście z powrotem. Czeska dojechała na czas, jeśli o to ci chodzi. Dobrze, że Jaszczuk akurat jechał z hurtowni, zabrał mnie spod Komańczy, podzwonił do jakichś braci ciotecznych, żeby sprzątnęli hondę do warsztatu... – Rozejrzała się. – Ale widzę, że nie masz urwania głowy.

Doris zbyła to milczeniem.

Kiedy jadł obiad, stały obydwie przed otwartą lodówką, robiąc remanent w zapasach Czeški.

– E, nie ma strachu – podsumowała Doris. – Dwie szuflady pierogów, dwie marynat... Jakby Lorka się zapowiedział, to mu się pasztet rozmrozi. Zadzwońię do Olgi, żeby więcej jajek przyniosła.

– Przecież już wyjechała.

– No to Swietłana przyniesie.

Jeszcze jakaś Olga. I Swietłana, odnotował w myślach, kończąc obiad. Małgośka wsunęła rękę we włosy, czochrając je lekko. Znieruchomiał na moment, bo wydawała mu się z tymi nastroszonymi włosami jakaś... znajoma?

– No nie ma strachu – podsumowała z zadowoleniem. – Może nawet nie będziemy

musiały nic poza kartoflami i jakąś zupą gotować. – Żeby nie popsuć Czesce reputacji. Zachichotały.

– Maurycy – odezwała się Doris, spoglądając w okno. – Możesz włączyć ekspres? Marlena idzie.

Mógł i włączyć. Marlena (znowu w chustce na głowie) zajęła swoje miejsce, zapaliła papierosa, którego jej przypalił, i westchnęła z zadowoleniem.

– Nie pal – rzuciła Doris.

– Wyjęłam sukienkę z szafy – powiedziała po chwili. – Obejrzałam... Może uda mi się trochę do niej przytyć, nie trzeba będzie nawet zwęzać...

– Jak już wyjęłaś, to trzeba było przymierzyć.

– Po co? Na oko widać, że za duża.

Wtedy coś załomotało w przedsiönku, zaszurało i w chwilę potem wygramoliła się z niego Czesia Gawlińska, wlokąc za sobą torbę podróżną.

Doris, znosząca na tacy puste talerze od stolików, upuściła ją na podłogę. Małgośka szeroko otworzyła oczy, a Marlena spojrzała tylko zza okularów, które przed chwilą wsunęła na nos.

– Nie po to mądrzy ludzie wymyślili telefony komórkowe – zaczęła Czesia z wielką pretensją – żeby się nie można było w każdej chwili dodzwonić, jak człowiek w potrzebie. Od pekaesu ciągnę to dziadostwo za sobą... Trzeba mi było jeszcze więcej tych ciuchów i innych pierdół napakować... Akurat nikt znajomy się nie trafił po drodze.

– Nie zdążyłaś na samolot? – spytała Marlena całkiem spokojnym, zważywszy na sytuację, głosem.

– Zdążyłam! – bojowo wyrzuciła z siebie Czesia.

– Aha... – skomentowała Marlena, pociągnęła papierosa, pytając dalej: – Zepsuł się?

– Nie.

– Dojechałaś na czas, samolot wystartował... – Marlena próbowała sobie jakby uporządkować pewne fakty. Spojrzała na Czeskę i nagle wrzasnęła: – To co tu, do ciężkiej cholery, robisz?!

Czesia wyjęła jej z ust papierosa i zgasiła go w popielniczce.

– A jeszcze mnie tylko na Capri nie widzieli – odparła, rozejrzała się i odetchnęła z wielką ulgą.

Doris z Małgośką stały nad potłuczonymi talerzami, spoglądając to na nie, to na Czesię. Ta rozsiadła się przy pierwszym z brzegu stoliku, pochyliła się nad torbą podróżną i zaczęła w niej grzebać.

Wszedł Marek. Z trzydniowym zarostem, jakiś taki rozmemłany, posłał pełne uwielbienia spojrzenie Doris.

– Doris... – szepnął, jakby na tyle tylko starczyło mu siły.

– Wleziesz w szkło! – warknęła.

Ominął skorupy, usiadł pod oknem i westchnął z rezygnacją.

– No... to Capri masz już z głowy – powiedziała Marlena, przyglądając się Czesi, która szukała czegoś w torbie podróżnej. – To gdzie teraz pojedziesz?

– A nie wiem. – Ta wzruszyła ramionami. – Może do Casablanki...

– Też ładnie – pochwaliła Marlena.

Czesia wreszcie wymacała coś w przepastnej torbie, mruknęła z zadowoleniem, po czym wyjęła z niej wielką butlę alkoholu.

– Przywiozłam wam coś... – oznajmiła, stawiając butlę na stoliku. – Z lotniska!

Popatrzyły na nią, na siebie, po czym Doris otworzyła barek w kuchni, odwróciła się,

szybko policzyła wszystkich wzrokiem, wyjęła pięć kieliszków i ustawiła je na stoliku, przy którym zaraz usiadły, zapraszając skinieniem również Maurycego. Czesia bez słowa dostawiła jeszcze jeden i kiwnęła na Marka. Ten zawahał się, po czym przyczłapał, ciągnąc za sobą krzesło.

Doris zacisnęła usta.

– Ja nie będę z nim pić.

– A to nie pij. Ja będę – odparła Czesia, nalewając wszystkim.

– Za szczęśliwy powrót – Marlena wzniosła toast, a gdy wypili, powiedziała: – No niezła.

U nas w sklepie takiej nie ma.

I tak to się właśnie zaczęło. Takim w sumie nic. Jakieś pogaduszki, paplanina, ble-ble, picie kawy, sprzątanie, szykowanie tego i tamtego, przyjdzie gości, wyjdzie gości i tak dalej. Bezustanna krzątająca, jakiej był Maurycy świadkiem, kiedy nie wędrował po górach, wzgórzach i lasach w poszukiwaniu owego skrawka Bieszczad, który go dawno temu dziwną aurą zauroczył, w niczym nie przypominała atmosfery panującej w podobnych miejscach, gdzie zaplecze i sala restauracyjna to zawsze dwa odrębne światy. Łącznikiem były kelnerki w krótkich spódniczkach i na wysokich obcasach z uśmiechem przyklejonym do twarzy na czas obsługi. Tam kucharz nie miał prawa wyjść do gości, a goście mieli zakaz wstępu na zaplecze.

Tu wszystko działo się na oczach, obok, na wyciągnięcie ręki. Nikt się nie śpieszył, choć całość od „powrotu” Czesi Gawlińskiej z Capri działała pod jej okiem jak w zegarku. Nawalu gości nigdy nie było, ale sala rzadko świeciła pustkami. Wpadali przypadkowi turyści, samotni wędrowcy, na tani, ale prawdziwy obiad, lecz zajeżdżali też pod Magnolię goście, których z karty dań z ręcznie wymalowanym przez Doris wizerunkiem Magnolii (na każdej z innej perspektywy) interesowały tylko dania, nie ceny. Ci wiedzieli, że tu można zjeść tak jak nigdzie w okolicy.

Czeška wyjmowała z marynat udźce jagnięce, pieczenie, potrawy z sarniny duszone w warzywach, które świeże, dopiero co wyrwane z pola, zwoziła Olga.

Na przystawkę lubiła podać, tak od niechcienia, a dla jeszcze nieprzekonanych na zachętę, polędwiczki ze świnek hodowanych na parowanych ziemniakach z ospą i pokrzywach (jeździła po nie aż na Słowację do pewnego dziwnego gospodarza i płaciła jak za kawior) w grzybowym sosie. Grzyby Czeška skupowała od Tuški i miała ich pod dostatkiem przez cały rok, pomrożonych bądź suszonych, a od Józefiny w marynatach.

Na okrasę pasztet z dziczyzny na liściu chrzanowym, a do niego miseczka żurawiny. W dziczyznę zaopatrywał Czesię mecenas Lorka, zapalony myśliwy i zdeklarowany amator prawdziwego jedzenia, rozsławiający kuchnię Czeški w lepszym towarzystwie po całej stolicy. Czeška z łezką w oku wspominała te z zajęcy, uważając, że zajęcze najlepsze. Mecenas Lorka za każdym razem rozkładał ręce, mówiąc, że zajęcy nie ma. A tam nie ma! – Właścicielka Magnolii machała ręką, Wilczewscy zawsze tam wyciągnęli coś spod krzaka. Ale odkąd jeden zgłupiał na punkcie Marleny, a drugi komputerów, i ostatecznie przestali kłusować, o zajęczych pasztetach można zapomnieć.

I jeszcze cały zestaw surówek, siekanych na bieżąco i doprawianych przed podaniem, latem, kiedy na to pora. Bo zimą podobno też, ale jakby dla zdrowia, bo dla smaku marynaty: pikle, koreczki ogórkowe z papryką i cebulką, pomidorki w occie winnym, marynowane śliwki... Długo by wyliczać, w każdym razie roboty z nimi nie było żadnej, wszystko robiła Józefina. Tym stara dziwaczka zajmowała czas, a warzywa brała z hektarowego, zarośniętego ogrodu za domem, w którym jakimś cudem rosły nie tylko zaniedbane drzewa owocowe, ale także ogórki i pomidory, choć nikt nie potrafił sobie wyobrazić Józefiny w tych ozdobionych wstążkami i koronkami sukniach i kapeluszach, uprawiającej jedno bądź drugie. Odkąd przestała

hodować kaczki (czego Czesia Gawlińska nie mogła odżalować, bo kaczki nadziewane jabłkiem były w Magnolii przysmakiem jeszcze za dawnych właścicieli i od tego dania zaczęła się jej sława), musiała czymś zająć ręce i dobrze, że akurat przetworami. Żeby jeszcze nie robiła tych wisiorów i bransoletek, Czesia byłaby szczęśliwa.

I sery od Kalatowej, tej, co mieszkała przy wyjeździe na szosę. Kalatowa nie przekroczyła trzydziestki, miała pięcioro dzieci i w sezonie od rana do nocy wyrabiała sery. Ona była schludna, dzieci czyściutkie, a sery jadło się oczami. W starej solidnej szopie stały rzędem chłodnie, które otwierała jak warszawska elegantka szafy z butami, prezentując: czosnkowe w majeranku, w ostrej papryczce chili, ale w słodkiej też, proszę bardzo, jak kto woli, w rozmarynie i w jałowcu – wszystkie w małych krążkach, apetyczne i pachnące, palce lizać, chociaż drogie jak cholera; ale Czeška okiem nie mrugnęła, wiedząc bardzo dobrze, że jakoś kosztuje, brała na zapas, a pod koniec sezonu do zamrożenia na zimę. Dwa, trzy miesiące spokojnie można było przetrzymać, a jaka to radość postawić przed obiadem, jakby od niechcienia, maleńki krążek na talerzyku ze złotym paskiem, kiedy od czasu do czasu i zimą jakieś lepsze towarzystwo się trafiło. Z rekomendacji mecenasa Lorki najczęściej.

I ktokolwiek by do Magnolii zimą czy latem wszedł i po co by wszedł, Małgoška w czarnym fartuszkowi zawiązanym wokół wiotkiej talii stawiała przekąskę na czas oczekiwania na właściwy posiłek: smalec z majerankiem i jabłkiem winnym, wytapianym ze słoninki pochodzącej z tego samego źródła co polędwiczki, z ogórkiem małosolnym, pachnącym świeżym koprem i chrzanem od Józefiny – to dla pospólstwa, a sery w ziołach (po trójkąciu z każdego smaku) dla tych, dla których ceny po prawej stronie menu były pojęciem abstrakcyjnym. Bywało, że ci drudzy upominali się o smalczyk z chlebem. Zwykli turyści, dziwolągi łązące samotnie po górach, o sery nie upomnieli się nigdy.

A chleb! Chleb był tu wyjątkowy. Zwykły, o pachnącej piecem skórce, albo z ziarnami słonecznika i dyni, które nie zalatywały stęchlizną. Doris przywoziła go w każdy czwartek ze stacji. Żona zawiadowcy piekła. Połowę Czesia zawsze mroziła. Po rozmrożeniu smakował jak świeży. Mecenas Lorka, a także już i jego rozpaskudzeni znajomi innego nie tknęli.

W tydzień od pochopnej decyzji o pozostaniu na jakiś czas w Magnolii Maurycy, patrząc, słuchając i obserwując, wszystkie te rzeczy już wiedział.

To, że Czeška Gawlińska, gospodyni pełną gębą w przybytku zwanym Magnolia, nie jest tą osobą, jaką poznał pewnego dnia, zajeżdżając na obiad: rozkojarzoną i z lekka opryskliwą kobietą po czterdziestce, która nie bardzo sobie w wymienionym przybytku radziła i nie za bardzo nad wszystkim panowała. Z widmem Capri, niczym mieczem Damoklesa nad głową w dodatku. Patrzył i nie wierzył, że w ciągu jednej doby człowiek może tak się zmienić, jak Czeška Gawlińska się zmieniła. Następnego dnia po owym „powrocie” zobaczył uśmiechniętą i konkretną właścicielkę czegoś, co z braku odpowiedniej nazwy można by od biedy nazwać pensjonatem na końcu świata – stąd droga wiodła już tylko hen, w łąki. Wiedział, że można nią dojść bądź dojechać do nieczynnej stacyjki, a tam kończą się wszelkie trasy.

Z ledwie widocznym uśmiechem zadowolenia, bez pośpiechu, bez nerwów Czeška rządziła w Magnolii, nie wychodząc prawie z kuchni. To było jej prawdziwe królestwo i właściwy sens życia. Wszystko wokół zorganizowała tak, że mogła sobie na to pozwolić.

Doris, która zjawiła się tu jeszcze za Filipa Spalskiego i mieszkała w jednym z czterech nadających się do tego pokoi na gorze, zajmowała się gośćmi na noclegi, dbała o pokoje i ogólnie o porządek dookoła: w środku i na zewnątrz. Jeśli było trzeba, pomagała Małgošce w obsłudze na sali. Co drugi dzień jeździła z pękiem wyhodowanych przez siebie kwiatów na cmentarz, a raz w tygodniu po chleb na stację. Czuła się tu jak u siebie w domu, chociaż Maurycy i zaraz na początku, i wiele razy później słyszał, jak na głos marzyła o własnym prawdziwym domu.

Doris lubiła, kiedy wszyscy wokół (poza Markiem) byli zadowoleni. W pierwszej zaś kolejności jej kundel Absurd, który w konkursie na najbrzydszego psa na świecie nie znalazłby sobie równych.

Małgośka była... Nie mówiło się tu: „pracuje”. Raczej „jest”. Małgośka więc była tu od zimy, odkąd biuro podróży w Sanoku, gdzie pracowała, splajtowało. Podobno wpadła tu tylko do pomocy przy obsłudze wielkiego sylwestrowego przyjęcia dla mecenasa Lorki i jego gości, po błagalnych prośbach Czeški, gdy ta się dowiedziała, że Małgośka wiele lat pracowała jako kelnerka. Na pomoc Doris, która od śmierci Filipa nie robiła nic, tylko malowała, raczej nie mogła liczyć. Małgośka miała jakiś uraz na tym tle, ale Maurycy, patrząc, jak z uśmiechem zaglądała gościom w oczy i lekko poruszała się między stolikami, tego nie widział. Od dwóch lat mieszkała ze starym mężczyzną (być może dziadkiem) i siedmioletnią córką parę kilometrów od Magnolii, na urokliwej Polanie, i niczego poza tym nikt, to znaczy Tuśka, o niej nie wiedział. Była mniej więcej w wieku Doris – trzydzieści dwa, trzy lata – i obie doskonale się zgrywały. Jeśli nie dopisali goście, pomagała Doris w porządkach. Bez słów, ponaglenia, zwyczajnie, jedna wykonywała pracę drugiej, gdy zachodziła taka potrzeba.

No i Marlena. O niej Maurycy wiedział tylko to, że dwa i pół roku wcześniej kupiła łemkowską chatę nieopodal, w reakcji na negatywne (zapewne na psychikę) oddziaływanie wielkomiejskiego życia, i od roku była zaręczona z jednym z braci Wilczewskich, mieszkających na zarośniętej buczynie Górcze. W końcu też domyślił się, że jedwabną chustkę na głowie nosi nie dla ozdoby.

– A z cyckami coś ma – potwierdziła jego domysły Tuśka, gdy coś na ten temat powiedział. – Po czterech chemiach. Dostatecznie je zniosła, to jest nadzieja, że jej nie utną. Szkoda by była, bo Marlena ma ładne cycki. Olaf Wilczewski to nie może od nich oderwać oczu i podkręca ją, żeby coraz większe dekolty nosiła. „Masz, to pokazuj – mówi jej – dopóki ci nie ucieli, sylikony już takie nie będą”. Marlena się złości, ale Olaf zawsze ją czymś rozbroi, ugłaska i masz, na drugi dzień śmiały dekolt.

– Jak to, co mówisz – skwitował.

Tuśka popatrzyła nań, mrużąc oczy. Chyba nie od razu załapała, o co mu chodzi.

– Mam trzynaście lat! – wykrzyknęła w końcu.

– Żartujesz!

– Bo jeszcze nie mam okresu – zareagowała natychmiast na jego zdumienie. – Mamusia mówi, że jak dostanę, to od razu urosnę.

– Bo za ciężko pracujesz! – dorzuciła swoje Czesia z kuchni. – Jeszcze raz niech zobaczę, że coś dźwigasz!

– E tam... – zbagatelizowała Tuśka. – Wielka mi praca, zakręcić się koło tego czy tamtego. Ale już bym chciała nie wyglądać jak dziecko. Luiza w moim wieku migdałiła się z Rudolfem...

– Chcesz oberwać? – rzuciła Czeška, wychylając się z kuchni.

Mała natychmiast zmieniła temat.

– Marlena już trzy razy przesuwiała datę ślubu. Czeka, aż jej włosy odrosną – oznajmiła głośno, a pochylając się nad Maurycym, szepnęła: – Przez pół roku opowiadałam im o Luizie i Rudolfie. Najpiękniejsza historia o miłości, mówię ci... O! Mógłbyś o niej napisać.

– Gdybym pisał książki o miłości – wyszeptał również.

– A co ci zależy!

– Jak by ci tu powiedzieć...

– Wściekły się, jak skończyłam i okazało się, że to nie Luiza, tylko Rudolf zginął na stacji.

– Na tej stacji, o tam?
– A co?! Zabierz mnie kiedyś, jak będziesz jechał szukać natchnienia, to ci opowiem.
– Skąd ci przyszło do głowy, że szukam natchnienia? – zawstydził się nie wiadomo dlaczego.

– No czegoś przecież szukasz.
– O czym wy tak szepczecie? – spytała Cześka podejrzliwie, wychylając się znowu z kuchni.

– O natchnieniu – wypaliła Tuśka.
– A co to takiego?
– Niech pani nie udaje Greka, pani Gawlińska. To coś, co dopadło Doris zimą, jak wymalowała te wszystkie obrazki – wyjaśniła Tuśka, zataczając ręką naokoło po ścianach.
– I niech jej więcej nie dopada. Natchnienia mi tu tylko brakuje – wymamrotała Czesia, wracając do swych zajęć. – Zimą czy latem. Bo mało mam na głowie.

Tak wtedy, jak i wiele razy później, Maurycy odniósł wrażenie, że Czesia Gawlińska byłaby nieszczęśliwa, gdyby na tej głowie nic nie miała.

Tuśka upomniała się o swoje:

– Zabierzesz mnie kiedyś z sobą?

– Teraz? – zaproponował.

– Teraz to muszę lecieć do domu. Odciążyć mamusię od tego prania i gotowania.

A potem poczytam przed domem, poleniuchuję... Chcesz, to ci pożyczę parę książek. Mam teraz dużo. Od Małgośki.

– Nie chce mi się czytać – odparł znudzonym głosem. Miał ochotę dodać: Tak jak i pisać, ale mała zaraz pewnie zaczęłaby drażnić, że jak, dlaczego i tak dalej.

Odwiózł ją do domu, a ściślej mówiąc, w okolice domu. W dróżkę, która prowadziła od głównej drogi, Tuśka nie radziła mu wjeżdżać.

– Szkoda zawieszenia! – zaprotestowała, gdy mimo to skręcił. – Dół na dole i w ogóle szkoda gadać. Dolecę.

Wcześniej jednak w wielkim skrócie wyjaśniła mu, o co tam z tą Luizą i Rudolfem chodziło. On przyjeżdżał tu na wakacje do babki, o tam, ta chałupa na skarpie, do sprzedania od roku... Doris nie przejdzie, jak nie popatrzy i z pięć razy nie westchnie, bo chyba chętnie by kupiła... A Luiza mieszkała, o, tam, w dole, koło tej murowanej chałupy, tylko że wtedy nie była murowana. To nie tam, gdzie Józefina? Nie, Józefina, kobieta światowa, wielka artystka, wyszumiała się, wyromansowała, objeżdżyła Paryże, Barcelony, już nie mówiąc o Rzymie, i dopiero wtedy w tych sukienkach i kapeluszach wróciła na ojcowiznę, jak oni oboje byli już nastolatkami. Całe lato ona i on nie rozstawali się i tak byli w sobie zapatrzeni, jak doktor Żywago i Lara – od początku do samego końca. Tylko że Luiza miała dziwne upodobanie. Parę razy w dzieciństwie o śmierć się otarła i zamiast nabrać pokory, to nie, zaczęła bezczelnie z nią igrzać. Dużo mówić, w każdym razie najbardziej rajcowało ją przebieganie w ostatniej chwili przed pociągiem na stacji, a to gdy czekała na Rudolfa, aż do niej i tylko do niej na całe wakacje przyjedzie, a to wtedy, gdy go we łzach na koniec wakacji na pociąg odprowadzała. O to właśnie się pokłócili, bo Rudolf miał w końcu tego dość, a chyba i Józefina coś mu tam podszeptała, żeby raz na zawsze kategorycznie niebezpiecznych wyglupów jej zakazał, bo siostrzenica nikogo więcej nie słuchała. Tylko że Luiza nie znosiła zakazów, a tym bardziej gróźb, bo Rudolf zagroził, że jeśli jeszcze raz to zrobi, to on nigdy do niej nie przyjedzie. „No więc nie przyjeżdżaj” – odparła, odwróciła się na pięcie i odeszła.

– I co? – zainteresował się nagle Maurycy.

– Dopiero po sześciu latach do niej przyjechał.

– Żartujesz?
– Mówię ci! A ona przez sześć lat stała każdego dnia lata na stacji, łąziła po peronie w tę i z powrotem i na niego czekała.
– Wrócił w końcu...
– Wrócił. Z narzeczoną, która nawet nie wysiadła z pociągu, bo Luiza, jak zobaczyła swojego Rudolfa, to rzuciła mu się na szyję i już żadna siła nie mogła jej od niego oderwać. No mówię ci, nie wjeżdżaj w te doły, bo szkoda zawieszenia. Ja stąd mam moment do domu, o tam, dolecę.
– Zostali z sobą?
– Kto?
– No Rudolf i Luiza.
Tuśka odpięła pasy.
– Do ślubu. A tam, takie gadanie! Na stacji bym ci to wszystko opowiedziała, jak było.
– Mów! – warknął.
– Dobra! – Machnęła z rezygnacją ręką. – Prosto spod kościoła zawiózł ją na stację, zaprowadził na peron... A z daleka już było słychać nadjeżdżający pociąg... I mówi do niej, żeby sobie ostatni raz przebiegła przed pociągiem, to taki jego ślubny prezent, za to, że jej wtedy tak ostro i w taki sposób zabronił. Niewiele myśląc, Luiza zebrała w rękach sukienkę... Tę, którą teraz Józefina chce opchnąć Marlenie... i skoczyła. Odwróciła się, czekając, aż pociąg zbliży się na tyle, by mogła przed nim w ostatniej chwili przebiec, tylko że noga jej się zaczepiła... O, mamusia wygląda, chyba już się nie może mnie doczekać...
– Mówisz czy nie?! – warknął, wychylając się z auta, bo mała już wyszła.
Oparła się o maskę, przewróciła oczami i wyrecytowała:
– Rudolf skoczył i odepchnął ją w ostatniej chwili sprzed tego pociągu, no ale wiesz, sam raczej nie miał szans...
– Zginął?
– A co?!
Maurycy popatrzył na Tuśkę, która z zaciśniętymi ustami spoglądała to na niego, to w niebo. W końcu powiedziała:
– Na stacji bym ci to inaczej opowiedziała.
Zbagatelizował jej pretensję.
– A co z tą Luizą?
Wzruszyła ramionami.
– A bo ja wiem. Chyba gdzieś wyjechała, bo od tamtej pory nikt jej nie widział...
– Walnęła się otwartą dłonią w czoło. – A! Sorry... Podobno raz ją ktoś widział na stacji. Siedziała na ławce.
– Na tej, co wisi na ścianie w Magnolii?
– No chyba na tej. Innej tam, odkąd nie jeżdżą pociągi, nie ma. Nara! – Machnęła mu ręką na pożegnanie i pobiegła w dół, do domu.
Tuśka zjawiała się w Magnolii o różnych porach. Raz z pościelą, raz bez, raz na chwilę, innym razem na dłużej, ale prawie zawsze późnym popołudniem, gdy Czesia, Marlena, Doris i Małgośka siadały przed domem z czymś do picia, paplały o niczym godzinę lub dwie i nie było spraw, które mogłyby je przed tym powstrzymać. Goście na krótkie noclegi siedzieli już sobie na werandzie przy piwie lub palili grilla z drugiej strony, na łące przy altance, pijąc wódkę, i nie trzeba było się nimi zajmować. Jak się ktoś trafił i upomniał o posiłek, coś tam jeszcze wygrzebały z garów i podały bez ceregieli.
Maurycy każdego dnia też o tej porze wracał z pieszych wędrówek po najbliższych

okolicach bądź z objazdów po dalszych i po kolacji, która składała się z tego, co sam sobie wygrzebał z garów, siadał w starym fotelu, opartym o ścianę zarośniętą bluszczem, zamykał oczy i tak siedział z nimi, dopóki nie zaczęło się ściemniać. Małgośka zwykle odjeżdżała wcześniej. Odprowadzał ją wzrokiem, dopóki nie wsiadła do auta i nie pomachała mu (może wszystkim) ręką. W zamian ktoś tam się jeszcze trafił ze znajomych czy też bywalców Magnolii. A to Józefina w jednej ze swych oderwanych od rzeczywistości sukni i za każdym razem w innym kapeluszu (w każdym z nich Maurycy się zakochał), a to mecenas Lorca, Zenek Jaszczuk czy też bracia Wilczewscy.

Ale wystarczyło mu, a może nawet wolał, gdy były tylko one. Słuchając ich lub patrząc na nie spod lekko zmrużonych powiek, nie mógł się nadziwić, że tak różne osoby w jednym miejscu czują się jak we własnym domu. Może nawet lepiej, bo domy – Maurycy to wiedział – bywają różne. Nawet jeśli zapędził się samochodem w dalsze okolice lub zaszedł za daleko, zawsze starał się wrócić o określonej porze dnia. Tuż przed wieczorem, kiedy wszystko dookoła, dotąd spokojne i ciche, jeszcze bardziej cichło. Siedział z nimi godzinę, dwie albo jeszcze dłużej i nie myślał o niczym ani na niczym nie usiłował się skupić. Paplały o sukience do ślubu, którą Marlena powinna wreszcie przymierzyć albo zakręcić się za inną, o Oldze, która zabrała kalekiego męża na wczasy nad morze (pierwszy raz w życiu dla niego i dla niej) i że co tam można tyle robić nad tym morzem tyle tygodni, przecież zostawili wszystko na głowie Świętłany, tak najlepiej. A także o tym, że lato zapowiadało się nie najgorzej, a tu masz, znowu prognozują upały trzydziestostopniowe, to już wiadomo, że tu będzie o kilka więcej, jak zwykle. Ciekawe, kto to wytrzyma.

Na przełomie lipca i sierpnia lato przypominało sobie, że może dopieć. Na niebie leniwie płynęły pierzaste i białe jak śnieg obłoki, które dziwnym trafem omijały słońce, jakby w obawie, że roztopi ich miękką fakturę i fantastyczne kształty. Na parę dni pozwoliło im odetchnąć, a potem znowu się rozszalało, ukazując maksimum swych możliwości naiwnym, którym zdawało się, że najgorsze minęło.

Maurycy nie był głupcem, żeby wyruszać w lasy czy otwarte przestrzenie w poszukiwaniu źródła swych pisarskich początków. Zbyt wielki skwar sprawia, że myśli się tylko o ochłodzie, jak przy przejmującym zimnie – tylko o tym, by się rozgrzać.

Zdawało mu się, że odnalazł tereny, gdzie kilkanaście lat temu liczył ptaki, ale do miejsca z chatką przytuloną do zalesionego pagórka, które zainspirowało go niesamowitą aurą i skłoniło do napisania pierwszej z dwóch dobrych powieści kryminalnych, dotąd nie trafił. Może chatę dawno zburzono, a teren, gdzie stała, zarosły chaszczki i trawy, a może zrodziła się tylko w jego wyobraźni... Tyle tu miejsc, tyle zakątków ukrytych przed światem. Nie mógł sobie przypomnieć, gdzie trafił na nią wtedy. I przy trzydziestostopniowym upale nie miał zamiaru zawracać sobie tym głowy.

– Tu tak zawsze – narzekała Czesia, siedząc na stołku przy jednym z kuchennych blatów i wachlując się mokrą ścierką. – Jak mrozy, to arktyczne, jak upały, to tropikalne. Nie uwierzysz, Maurycy... Bywają takie zimy, gdy zostawiamy daleko w tyle nawet Suwałki... Ciekawe, jaka temperatura na Capri...

– Chcesz, sprawdzę w internecie – zaproponowała Doris, zbiegając z góry w kolejnej powiewnej sukience.

– A obchodzi mnie najwięcej! – Czesia na to. – Jest kto w pokojach?

– Z dwójki się zbierają, a tak to pusto. Na wieczór pewnie...

– Zamknij bramę! – przerwała jej. – Nabazgraj coś, że nieczynne, bo ja chyba nie dam

radę stanąć dziś przy kuchni.

– Już raz było nieczynne – wyrzuciła z siebie pochmurnym głosem Doris.

– To co?

– To Filip umarł.

– To chyba drugi raz już nie umrze! – wrzasnęła Czesia. Wstała natychmiast ze stołka, rzuciła ścierkę do zlewu, stanęła przed przerażoną Doris i dodała łagodnym głosem: – Nie wspominaj mi, w takie dni jak dziś o Filipie, bo i tak mi ciężko. – Obrzuciła ją wzrokiem, dodając: – I przestałaś wreszcie nosić te dziwaczne sukienki.

– Nie są dziwaczne.

– A jakie?

– Piękne.

– Ale ty się dziwacznie w nich zachowujesz.

Absurd zwał się z kanapy, stanął między kobietami i zawarczał na Czesię.

– Nawet nie mam siły go kopnąć – zareagowała na to warknięcie. Mówiła dalej do Doris:

– Już wolałam, jak się stroiłaś w te róże, błękity czy biele, każdego dnia w inny kolor, wiązałaś tej przybłądzie takie same kokardki, trzepotałaś rzesami i zachwycałaś się każdego dnia nad pięknem tego świata.

– Świat nie jest już piękny – odparła Doris płaczliwym głosem.

– Narwij kwiatków, idź na cmentarz i powiedz to Filipowi, bo pewnie jeszcze nie wie.

– Już byłam.

– Kiedy.

– O świcie.

– O matko jedyna! – Czesia wzniosła oczy w niebo, przewróciła nimi dwa razy, po czym weszła do kuchni i zaczęła trząść garami.

Wszedł Marek, jak zwykle jakiś taki nieogolony, niedospany. Posłał Doris pełne uwielbienia spojrzenie, mówiąc:

– Doris...

– A daj mi już spokój z tą Doris! – Przynajmniej tym razem jakoś zareagowała, co nie umknęło jego uwagi, bo jakiś niewyraźny, choć pełen nadziei uśmiech przemknął mu po lekko spierzchniętych ustach. Ale to chyba z jej strony było wszystko, na co mogła się wobec niego zdobyć, bo zaraz weszła za Czeską do kuchni. – Co robisz?

– To co zwykle.

– Przed chwilą nie miałaś na nic siły.

– Ale już mam.

– Wystarczy cię wkurzyć.

– Żebyś wiedziała. Marek coś chce.

Odkąd usiadł, dopominał się niewyraźnym głosem o coś do picia.

– Do mnie mówisz? – Doris zatrzęsa blond loczkami.

– Do ciebie, bo Małgośki dziś nie będzie. Zadzwoiła z rana, że nie zostawi dziadka w taki upał samego. Gdzieś się naczytała głupot, że starym ludziom upał szkodzi. Ty więc zajmujesz się dziś obsługą gości.

– Jeśli ktoś się trafi.

– Daj mi spokój. Ty i on, jedno z drugim. – Czesia zamachała rękoma nad głową ze zniecierpliwieniem. – Usiądźcie raz, powiedzcie sobie, co macie do powiedzenia i w tę albo w tę. Dokąd to tak będzie?

Maurycy kątem oka obserwował Marka. Facet nie wyglądał dobrze. Miał spierzchnięte wargi, przekrwione oczy – na oko widać było, że wczorajszy. Maurycy poszedł do lodówki,

wyjął z niej piwo, zgarnął szklankę z blatu (chyba czystą) i postawił przed gościem.

– Dzięki, stary – z wielkim wysiłkiem wydusił z siebie tamten niskim głosem.

– I niech od razu zapłaci! – dobiegło z kuchni. Doris, wycierając z impetem kuchenne blaty, to znikwała, to się pokazywała. – Jak jeszcze coś ma.

– Mam – wychrypiał Marek.

Doris usłyszała.

– Lata mi to. I powiewa. A ty... – zwróciła się chyba do Czesi – jak chcesz, to usiądź i z nim gadaj. Ja nie czuję takiej potrzeby. Nie mówiąc już o chęciach.

– Oj, Doris! – W głosie Czeski wyczuwało się znużenie. – Ale się zawzięłaś. Myślałby kto! W końcu to miłość twego życia.

– Nie przypominaj mi – warknęła tamta.

Maurycy posłał pytające spojrzenie Markowi, który tylko machnął ręką. Wypił duszkiem piwo, oparł się o ścianę i przymknął oczy. Nie wyglądało na to, żeby ktoś mógł Maurycego w tym temacie oświecić. Ktoś z obecnych. Trzeba więc było wypytać Tuškę, udając minimalne zainteresowanie, żeby się za bardzo nie rozgadała.

Po południu przyszła z wiaderkiem jeżyn.

– Weźmie pani jeżyny, pani Gawlińska? – zawołała, najpierw zapuszczając wzrok na salę.

– A mam wyjście? – Gawlińska wyszła z kuchni z portmonetką, wyjęła z niej sto złotych i podała małej.

– To za dużo! – zaprotestowała Tuška.

– Za dużo czy za mało – zaczęła swoje Czesia. – A co za różnica. Będę się nad takimi pierdołami zastanawiać, bo mało mam na głowie. W taki skwar żeś na jeżyny poszła?! Rozumu nie masz?

– Koszulę włożyłam flanelową. I kalosze.

– O matko jedyna!

Do kolacji był kompot. Zamiast herbaty. Czeška powiedziała, że w taki gorąc nie będzie czajników włączać, bo się nie wytrzyma. Uwagę Doris, że gar kompotu gotuje się chyba dłużej, puściła mimo uszu. Ale wcześniej pojawił się Zenek Jaszczuk, obwoźny sprzedawca, osobnik o niewyszukanym sposobie bycia i dość pospolitym wyglądem. Jego rozklekotana furgonetka, którą skoro świt objeżdżał okolice, budziła Maurycego każdego ranka wcześniej, niżby sobie tego życzył. Zenek Jaszczuk obrzucił Doris pełnym uwielbienia wzrokiem, mówiąc, że cokolwiek by się stało, ją jedną zawsze będzie uwielbiał.

– A cóż by się znowu miało stać? – zagadnęła Czeška.

Doris spojrzenie Jaszczuka, jak i jego słowa, z wielkim wdziękiem zignorowała.

– A same niedługo zobaczyta – odparł, nie spuszczać z niej oczu.

Doris otarła z wdziękiem spocone czoło i położyła przed Zenkiem kartę. Wprawdzie zawsze jadł to samo, ale kartę trzeba mu było położyć. Marek, oparty o ścianę, spod przymrużonych powiek obserwował każdy jej ruch.

Maurycy przechwycił Tuškę w przedsionku, gdy się zbierała do wyjścia, proponując, że ją podwiezie.

– Na piechotę żeś przydzwigała przez całą wieś te jeżyny?! – rzuciła Czesia, podając małej puste wiaderko.

– Odpoczywałam...

– Jeszcze raz mi coś przydzwigaj, to zobaczysz, jak oberwiesz – zagroziła Gawlińska, wtykając Maurycemu dwadzieścia złotych. – Kup jej lodów. Tam cała chałupa dzieciarni.

Dojedziecie, nim się rozpuszczą.

Zanim Tuška zdążyła zaprotestować, wypchnął ją na zewnątrz z tym wiaderkiem

i pokazał ręką auto. Ledwie wsiedli, zagadnął:

- Sami wielbicie Doris schodzą się do tej Magnolii.
- No... – przytaknęła Tuśka, nie kwapiąc się, by powiedzieć coś więcej.
- Co to za historia z tym Markiem? – Zmuszony był zapytać. – Wielka miłość Doris?

Jakoś nie bardzo mi to pasuje.

– To nic jeszcze nie wiesz?! – Tuśka nagle się ożywiła. – Normalnie, mówię ci, jazda bez trzymanki. Żona Marka, zimna suka, i mąż Doris, kawał drania, wyciągnęli od niego trzysta tysięcy...

– Od Marka?

– No, a co?! Doris, szara gęś, pogodzona z życiem pod jednym dachem z tym sukinsynem, swoim mężem, beznadziejnie zakochana w Marku, mieszkającym po drugiej stronie ulicy z tą dziwką, swoją żoną, jakoś to wyczaiła...

– Zaraz! – Maurycy postanowił na samym początku zapanować nad tym strumieniem narracji. – Jak to wyciągnęli od Marka trzysta tysięcy?

– Normalnie. Nasłali na niego kurwę...

– Ej!

– Prawdziwe historie opowiada się prawdziwymi słowami. – Tuśka udzieliła Maurycemu jednej z pierwszych lekcji. – No dobra, prostytutkę, lepiej? Mąż Doris natrzaskał im zdjęć w sytuacji, że się tak wyrażę, dwuznacznej, i szantażyk gotowy, bo Marek nieprzytomnie kochał żonę...

– Czy Doris? – Maurycy lekko się pogubił.

Tuśka pokręciła głową.

– Kiedy pomyślę, Maurycy, jaką intrygę poprowadziłeś w jednej i drugiej *Twarzy mordercy!* Powtarzam: Marek nieprzytomnie kochał swoją żonę, tę zdzirę, która niby miała być w długo oczekiwanej ciąży. Jak zobaczył zdjęcia, które mąż Doris podrzucił mu pod furtkę, wpadł w panikę, poleciał do banku, podjął kasę, bo mu ją akurat przyznali na rozwój firmy, i lekką ręką przekazał temu skur... mężowi Doris. Dokładnie nie wiem, była jakaś akcja w autobusie... Ten wsiadł, tamten, z lekka zamaskowany, wysiadł, zabierając od Marka torbę z forszą, w każdym razie, jak już mówiłam na początku, Doris to wszystko wyczaiła... O, taki upał, a ile meneli pod sklepem. Tym to żadna pogoda niestraszna.

Maurycy bez przekonania zjechał z drogi.

– Musisz jeść te lody? – spytał z pewną nadzieją. Trzeba było z nimi zaraz gnać pod dom Tuśki, żeby się nie rozplynęły.

– No, ja nie muszę, ale dzieciaki by zjadły – usłyszał w odpowiedzi.

Sklep był mniej więcej pośrodku wsi. Przy stoliku pod parasolem reklamującym jedną z marek piwa siedziało kilku mężczyzn, popijając złocisty napój wprost z butelek. Leniwym wzrokiem obrzucili Maurycego, wysiadającego z auta. Przy płytkim rowie, który oddzielał sklepowy teren od drogi, siedział na ławeczce mężczyzna o niezwykle wyjątkim wyglądzie: stary, z siwymi włosami sięgającymi do ramion, potężnie zbudowany. Rzucił krótkie acz przenikliwe spojrzenie Maurycemu, a gdy ten wychodził ze sklepu, zagadnął:

– Przepraszam... Czy mógłby pan spojrzeć...

Wyciągnął w jego stronę zmiętą nieco fotografię młodej kobiety, właściwie dziewczyny.

– Może pan ją gdzieś spotkał... Tak by teraz wyglądała.

Maurycy zerknął, pokręcił głową i odszedł. Rzucił Tuśce na kolana reklamówkę z lodami i włączył silnik. Jednak jeszcze zanim ruszył, spojrzął na człowieka pod sklepem. Tamten wyglądał kartkę z portretem dziewczyny, a potem złożył ją równiutko i schował.

– Stary Miśkiewicz. – Tuśka zareagowała natychmiast na zainteresowanie w oczach

Maurycygo. – Były komendant, ojciec obecnego. Dwanaście lat siedzi pod tym sklepem albo łązi po okolicy i pyta o jakieś zaginione dziecko. No, teraz to już chyba nie dziecko. Pokazywał ci zdjęcie?

– Pokazywał.

– Siedzi pod sklepem zima lato i każdego, kto podjeżdża, wypytuje, czy nie widział takiej dziewczynki. – W tym miejscu zrobiła wymowny gest na czole. – Jak w *Obietnicy* Dürrenmatta...

Maurycy zerknął na Tuškę.

– Co ty za książki czytasz?

– A co, Dürrenmatt to zły?

– Nie mówię, że zły, ale ile ty masz lat!

– Trzynaście! – Odwinęła loda z papierka, resztę porządnie zakręciła w reklamówkę i, zerkając na oglądającego się na sklep Maurycygo, zaczęła lizać. – No i jak mówiłam, Doris wyczaiła całą aferę z szantażem, rąbnęła mężowi trzysta tysięcy, spakowała się pod krótką nieobecność drania, bo wiedziała, że jej tego nie daruje, i wyszła na ulicę, by przed ucieczką od męża oddać Markowi pieniądze...

– Dwanaście lat... – mruknął w zadumie Maurycy. – Szmata czasu...

– Tylko że Marek, gamoń, ponieważ się też w końcu kapnął, że ukochana żonka go wystawiła, i podczas awantury, jaka się wywiązała na ulicy, na oczach Doris stojącej z torbą pełną forsę pobił dwóch policjantów. To dopiero była jazda, dostał dwa i pół roku i trafił do więzienia, o, tam, co się je mija w drodze na stację...

– I ma taką pewność w oczach... Jakby wiedział, że w końcu ją znajdzie...

– No to co Doris miała zrobić? Nic! Poszła z forsą na autobus, wyjechała na pół roku do kochanka swojej matki, Marcela... Notabene, był tu jeszcze za Filipa, nieźle Cześć zawrócił w głowie, mało co za nim nie pojechała... No, a jak się dowiedziała, gdzie jej uwielbiany z kuchennego okna Marek odsiaduje wyrok, to się przefarbowała, przestroiała z szarej gęsi na różowe bóstwo, przyjęła ksywę Doris, bo dawniej to była tylko Anna Woźniak, i tak się zjawiła z kolekcją ciuchów, farbami do malowania i trzystoma tysiącami w Magnolii...

– Pokazywać zdjęcie zaginionej osoby każdemu, kto przejeżdża... To trzeba mieć wiarę...

– O czym ty gadasz? – warknęła Tuška. Kawalek lodu spadł jej na spodnie, zakłęła po cichu.

– O tym gościu pod sklepem.

– Też cię naszło. A ja się produkuję na darmo. O! Mamusia już poprała! Teraz tylko uprasować. No nie wjeżdżaj w te wertepy! Przecież dolecę.

– Czekaj! To o co w sumie chodzi z tym Markiem i Doris?

– Przecież ci powiedziałam.

– Niewiele zrozumiałem.

– Moja wina?! Było słuchać.

Wyskoczyła z auta, ledwie je zatrzymał, i pobiegła dróżką w dół, wymachując reklamówką z lodami.

Przez kilka kolejnych dni nie pokazywała się w pensjonacie.

Przez kilka kolejnych dni termometry wskazywały trzydzieści sześć stopni w cieniu i mało kto się w Magnolii pokazywał.

Małgośka pilnowała siedemdziesięciokilkuletniego dziadka, żeby czasem nie przyszło mu do głowy wychodzić z chaty i nie dostał jakiegoś udaru, o co w jego wieku nietrudno.

Maurycemu brakowało jej normalności, a zwłaszcza tego, jak przechylała głowę, zaglądając mu

w oczy i pytając, czy mu smakował obiad. Albo gdzie był tak długo wczorajszego dnia i czy odnalazł już to miejsce, którego szuka.

Doris skoro świt jeździła na cmentarz ze świeżo zerwanymi kwiatkami. Absurd, który, ledwie otworzyła drzwi od auta, wskakiwał na miejsce pasażera, ział, ślinił się i wydawał z siebie jakieś dziwne odgłosy. Potem snuła się po Magnolii w tych swoich powiewnych sukienkach, kołysząc biodrami w rytm melodii lecących z radia, które grało tu od świtu do ciemnej nocy.

Marek, oparty o ścianę, obserwował każdy jej ruch, a gdy znikająca mu z pola widzenia, przyrywał oczy i drzemał. Czasem coś zjadł, coś wypił. Doris ignorowała go z godną podziwu konsekwencją. Maurycy czasami próbował sobie ją wyobrazić, zakochaną bez pamięci w faceciku z naprzeciwiaka, którym był pojawiający tu się popołudniami, nieogolony i przeważnie wczorajszy Marek, okazało się to jednak daremnym wysiłkiem.

Czesia Gawlińska po kilku dniach bezruchu w interesie miała dość. Jej niespożyty organizm bardzo szybko przywykł do tropikalnego skwaru i po chwili słabości, w której to właścicielka chciała zamykać Magnolię i nikogo nie wpuszczać, zaczął domagać się działania. Jakiegokolwiek. Ruszała się więc, drepcząc po kuchni i zrzędząc. Jej torba podróżna, z którą „wróciła” z Capri, ciągle poniewierała się pod nogami i ciągle ktoś się o nią potykał. Doris przedstawiała ją to tu, to tam, przypominając każdego dnia Czesi, żeby ją wreszcie zabrała. W końcu pewnego dnia chwyciła ją z impetem i wtargnęła na górę. Doris była porządnicą.

– Wielka mi porządnicia – skomentowała fakt sprzątnięcia spod nóg wielkiej torby Czesia. – Wszystko wiecznie jej przeszkadza. Nie przejdzie, żeby nie poprawić krzesła przy stoliku albo nie przetrzeć parapetów, które wycierała godzinę wcześniej. Pięć razy będzie oglądała każdy talerz... – pod światło! – ...czy dobrze umyty, jakby od tego miały zależeć losy świata. Goście jeszcze nie zdążą opuścić pokoju, a ta już sprząta...

Doris, kołysząc biodrami w rytm jakiejś melodii, układała na stolikach kwiatki w glinianych wazonikach.

– Starczy i dla ciebie, Filipie. Lada moment zakwitną dalie. A potem astry – mamrotała pod nosem.

– A jak nie sprząta – kontynuowała Czesia – to gada do Filipa. W kółko to samo. Że Tuśka nic nie rośnie, a Marlena znowu przełożyła datę ślubu. Albo że Magnolia na gwałt potrzebuje jakiegoś remontu... Jak to ona mówi... Ujednolicenia, o! Jakoś by się to przydało wszystko ujednolicić, Filipie, pomalować na jeden kolor albo obłożyć drewnem. I wywalić te paskudne drzwi do pokoi, a kupić takie, które zachęcałyby do wejścia... Filipa to najwięcej obchodzi. Albo mnie. Już nie wspomnę o chacie na skarpie, o której bezustannie mu truje. Jak ona by sobie tam zamieszkała! Marzenie ściętej głowy. Ciekawe, skąd weźmie tyle pieniędzy. Ile to oni tam ostatnio za to wołają, Doris?!

– Sto czterdzieści tysięcy – odparła tamta potulnie z głębi sali.

– Sto czterdzieści tysięcy! – powtórzyła Czesia. – Trzeba się stuknąć. I jeszcze torbę mi na górę wywlokła, bo tak jej strasznie przeszkadzała. Miałam dziś zabrać do domu, teraz to na pewno zapomnę. Matko jedyna, na gwałt muszę coś ugotować, bo zwariuję. – Krzyknęła w głąb sali: – Marek, zjesz obiad?

Marek, wsparty głową o parapet okna, przytaknął, nie otwierając oczu. Czesia, wstając z westchnieniem ze stołka, ciągnęła swoje:

– Co to jeden obiad... No dwa, bo i dla pisarza.

Pisarz z laptopem na kolanach siedział na schodach przed Magnolią. Wpatrzony w ekran, podziwiał pierwsze zdanie, które, odkąd tu przyjechał, udało mu się napisać: „On i ona, dwa ptaszęta uciekające przed nawałnicą, skryły się w koronie jednego drzewa i tu, spoglądając na siebie...”.

– I dla nas! – przypomniała Doris. Ułożyła już kwiatki we wszystkich flakonikach, łyknęła groźnie na Marka, zakołysała biodrami i zbliżyła się do lustra.

– Dla nas to chyba normalne, że i tak się gotuje. – Cześka machnęła ręką. – Marzy mi się jakaś duża impreza, ale nadziei wielkiej nie ma. Lorka ma zjechać dopiero na otwarcie sezonu łowieckiego. To chyba gdzieś tak koło połowy miesiąca... Która godzina, że Marleny jeszcze nie ma? Pewnie się migdali z Olafem w chałupie, bo co innego. Jakby nie mogli poczekać do ślubu...

– No chyba trochę się zapędziłaś – zareagowała na te ostatnie słowa Doris.

– No chyba tak – przyznała Czesia, machnęła ręką i zaczęła wyciągać gary z szafek.

Marlena, choć trochę później niż zwykle, w końcu zjawiała się na drugą kawę. Z książką w dłoni zajęła swoje miejsce, odruchowo poprawiając chustkę na głowie. Czesia zerknęła na nią kilka razy, wreszcie podeszła, ujęła jej brodę i obróciła głowę Marleny to na tę, to na drugą stronę.

– Coś taka blada? – spytała, nie spuszczać z niej badawczego wzroku.

Tamta wysunęła brodę z jej palców i cofnęła się szybko.

– Jak to przed śmiercią – odparła pogodnie.

– No i ty mnie jeszcze denerwuj. Matko jedyna – Czesia uderzyła w lament – chyba długo tu z wami wszystkimi nie wytrzymam. Niech coś wreszcie się zacznie dziać.

– A co ma się dziać? – Marlena potrząsnęła głową i otworzyła książkę, jakby chciała się nią oddzielić od wzroku Czeski.

Ta dostrzegła tytuł.

– *Wspomnienia z domu umarłych?! Co to jest?*

– Dostojewski.

– Weź się stuknij.

Doris ujęła brzegi powiewnej sukienki, stanęła przed lustrem i zaczęła się w nim oglądać z każdej strony.

– To ten od *Zbrodni i kary*? – spytała Czesia, stojąc nad Marleną z rękoma wspartymi na biodrach.

– Ten sam.

– Straszne ponuractwo. Pamiętam, bo musiałam przeczytać do matury.

– To ty masz maturę?

– Nie, siedem klas szkoły powszechnej. Takie to dziwne?

Marlena wzruszyła ramionami.

– Po prostu nic nie mówiłaś.

– A czym tu się chwalić. Nie mam, jak ty, trzech fakultetów...

– I dziesięć o niczym nie świadczy.

– ...ale głupot i bezpodstawnych bzdur nie opowiadam.

– Bezpodstawnych? – Marlena podniosła oczy znad książki.

– Dziewczyny... – odezwała się Doris, wdzięcząc się do lustra. – Czy ja mam jakiś styl?

Czesia z Marleną w jednej chwili odwróciły głowy w jej stronę.

– O co ci chodzi? – spytała Marlena i zaraz odparła, obcinając sylwetkę Doris. – Masz.

– Naprawdę? A jak byś go określiła?

– Wczesna Józefina.

– Wyglądam dziwacznie? – dopytywała Doris.

Czesia z na wpół obranym kartoflem w ręku wychyliła się z głębi kuchni.

– Przypomniało jej się! Z tydzień temu coś takiego jej mówiłam.

– Wyglądam czy nie? – dopytywała Doris.

– Daj mi spokój, Doris! Wyglądasz, jak wyglądasz – warknęła Marlena. – Doczekam się na tę kawę?

Doczekała się. Ledwie upiła dwa łyki, pod Magnolię podjechał nieludzko brudny landrover, z którego wysiadło dwóch długowłosych przystojniaków, po metr dziewięćdziesiąt każdy i pod każdym innym względem nie do odróżnienia. Kiedy ze środka, niczym rusałka, wybiegła do nich zaraz Marlena, Maurycy domyślił się, że to bracia Wilczewscy. Jej biała twarz nagle nabrała rumieńców, a oczy zajaśniały blaskiem. Obaj ją uścisnęli, a ona, stojąc między nimi z zadartą głową i coś do nich mówiąc, trzymała dłonie na ich biodrach.

Czesia, z na wpół obranym ziemniakiem, podeszła do Maurycego i patrząc na Marlenę z Wilczewskimi, zagadnęła:

– Zgadnij, Maurycy, który to Olaf, a który Borys.

– No jak mam zgadnąć?

– Olaf to narzeczony. Podobno niezmiennie od pierwszej chwili zakochany.

– Aha! – Maurycy spojrzał raz na jednego, raz na drugiego i wypalił bez większego namysłu: – Ten po lewej.

– Skąd wiesz? – zdziwiła się Czesia. – Znam ich od lat, a ciągle nie odróżniam.

Maurycy rozłożył ręce.

– Jeśli zakochany, to ten po lewej.

Czesia rzuciła mu uważne spojrzenie, po czym zawołała:

– Olaf!

Obejrzeli się obaj, ale pytającym spojrzeniem obrzucił Czesię ten z prawej. Na chwilę straciła głowę, ale zaraz ją odzyskała.

– Nie macie tam jakiego zająca?

Wilczewski z prawej strony Marleny pokręcił przecząco głową.

– No to szkoda! – zawołała Czesia, a ciszej, zerkając z politowaniem na Maurycego, mruknęła: – Pisarz!

Maurycy zamknął laptop, oparł głowę o ścianę zarośniętą bluszczem, obejmując najbliższe otoczenie obojętnym wzrokiem. Z taką samą obojętnością przywitał się z braćmi, podając obydwóm rękę.

Po obiedzie, który zjadł w pośpiechu, po raz pierwszy nie delektując się smakiem, nie reagując na ożywienie wywołane obecnością Wilczewskich w Magnolii ani na „matko jedyna” Czesi Gawlińskiej, kiedy po krótkiej rozmowie telefonicznej obwieściła wszystkim, że mecenas Lorka zjedzie tu jednak wcześniej, wyszedł z Magnolii znudzony tym wszystkim.

Następnego dnia, bez względu na temperaturę, postanowił, pojedzie w góry, połązi po wzgórzach, połoninach i po lasach. Może znajdzie coś, co go tu jeszcze kilka dni zatrzyma. Bez większej nadziei, ale warto przynajmniej spróbować.

Tymczasem wsiadł do auta i pojechał pod sklep, przed którym na płaskim kawałku łupkowej skały siedział starszy mężczyzna o włosach białych jak śnieg. Kupił w sklepie butelkę wódki, usiadł koło niego i odezwał się:

– Pokaż pan jeszcze raz to zdjęcie.

&&&

– To tak żeś pan się zakumplował z tym starym durniem. – Komendant Miśkiewicz znacząco pokiwał głową.

– Tak czy inaczej... – Maurycy ze znużeniem machnął ręką. Przetarł oczy i dodał cicho: – Pana ojciec to bardzo ciekawy człowiek.

– A, to ja wiem! – Miśkiewicz wstał, oparł ręce na plecach, przechylił się do tyłu

i wyprostował. – Kilkanaście lat siedzi pod sklepem, miętosi zdjęcie, na którym już nic nie widać, i każdego obcego pyta, czy nie widział gdzie tej dziewczyny. Bardzo ciekawy człowiek.

– Prawie jak w *Obietnicy Dürrenmatta* – wtrącił Maurycy.

– Że co?

– Nic, nic...

Coś w przedsiönku zaszurało, załomotało i po chwili wpadł Dulęba, pocierając czoło, w które, łatwo było zgadnąć, się uderzył, gdy walnął o któryś z zalegających tam gratów.

– Ppppp...przyyyyszły tttte ppp...ppaaanie...

– Jakie panie?!

– Tttteee zzzz z Maaa...

– Z Magnolii?!

– Oooo!

– Czego te wariatki chcą?

– Ppppppp....

Miśkiewicz walnął ręką w stół. Pomogło. Policjant wyrecytował płynnie:

– Pytają, ile wynosi kaucja za tego pana, to one zapłacą.

Komendant najpierw wytrzeszczył oczy, potem parsknął śmiechem, a na koniec wrzasnął:

– Powiedz tym paniom, że to nie jest amerykański film, tylko szara, kurwa, bieszczadzka rzeczywistość. Kaucję za tego pana ustali sędzia, jak będzie miał dobry humor i będą ku temu jakieś przesłanki. Bo może nie być. Próba zabójstwa, a może nawet i zabójstwo, zależy, jak się tam sprawa rozwinie w szpitalu... – Nagle się zastanowił: – Z kaucją przyszły?! Jedna tam chyba, zdaje mi się, po prawie, w więziennictwie pracowała, więc powinna wiedzieć, kiedy, w jakich warunkach i na jakim etapie zostaje wyznaczana kaucja. Z łapówką przyszły! Powiedz, Dulęba, tym paniom, że jak zaraz nie opuszczą posterunku, to każę je wszystkie pozamykać, razem z tym panem, a potem pójdę na śniadanie...

– O tej porze? – zdziwił się płynnie Dulęba.

– ...i głęboko w dupie będę miał to, w jakim świetle przedstawić wydarzenia z ostatniej nocy, kiedy zjawi się tu prokurator. A jeśli do tej pory jeszcze tego nie zrobiłem, to tylko dlatego, że mąż Gawlińskiej, świętej pamięci Wiesiek Gawliński, był moim dobrym kumplem, a to do czegoś zobowiązuje. Nie w sensie kumoterskim czy jakim tam, tylko zwyczajnym, ludzkim. Powiedz im, Dulęba, niech mi się więcej nie pokazują na oczy! Bo je każę wszystkie razem i każdą z osobna pozamykać za próbę przekupstwa! A w sprawie tego tu pisarzyny palcem nie kiwnę...

Mecenas Lorka odwrócił się do ściany. Jaszczuk, obgryzając paznokcie, obserwował z uwagą komendanta. Ten znieruchomiał na chwilę, po czym zarechotał i z uciechy uderzył rękoma o kolana.

– Albo nie, Dulęba – powstrzymał policjanta przed wyjściem i, śmiejąc się, wykrztusił:

– Powiedz tym wariatkom, że wyznaczyłem kaucję. Sto tysięcy!

Mecenas odwrócił się gwałtownie od ściany, Jaszczuk chyba boleśnie ugryzł się w palec, bo jęknął. Dulęba wytrzeszczył oczy.

– Ssssss...

– Sto tysięcy! – wrzasnął Miśkiewicz.

Pomogło. Dulęba w jednej chwili wyszedł. Zaraz wrócił. Stał przed położonym i poruszając ustami jak ryba wyrzucona z wody, popatrzył mu niepewnie w oczy. Komendant walnął ręką w stół.

– No to one mają – wyrzucił jednym tchem Dulęba.

– Przy sobie? – wysapał Miśkiewicz.

Dulęba kiwnął głową. Komendant poczerwieniał, wstał i, nie mogąc wydobyć z siebie głosu, pokazał swojemu podwładnemu drzwi. Ten stał niepewny, nie bardzo wiedząc, co ma robić, dopóki Miśkiewicz bezgłośnie nie wypowiedział wyrazu, który młody policjant prawidłowo odczytał, bo w jednej chwili zniknął.

Miśkiewicz zakręcił się po pokoju, kopnął butem kawałek gruzu zawalonej ściany, po czym oparł ręce o solidny stół, spojrzął Maurycemu w oczy i zapytał łagodnym głosem:

– Wszedł pan tam tylko na obiad?

Maurycy skinął głową.

– To co tam się działo, panie Murawski, że trzy miesiące później te wariatki przychodzą w środku nocy z forsą, która tu niejednej rodzinie starczyłaby na przeżycie przez długie lata, żeby uratować panu tyłek.

Maurycy wzruszył ramionami.

– W sumie... w sumie to nic.

&&&

Maurycy nie pamiętał, jak tamtego dnia wrócił spod sklepu, ale nie, nie dlatego, że wypił za dużo i stracił poczucie rzeczywistości. Skończyło się na jednej flaszcze, a i tę pili długie godziny, trochę jakby od niechcienia. Maurycy bardzo rzadko sięgał po alkohol, ale w sytuacjach uzasadnionych nie odmawiał. A to była taka sytuacja. Po wszystkim dawny komendant, którego nigdy w życiu nie odważyłby się nazwać starym durniem, poprosił o kluczyki do auta i życzył miłego spaceru. W istocie, spacer późnym letnim wieczorem do Magnolii przez większą część usypiającej wsi i mostek nad urokliwą Osławą można by uznać za czystą przyjemność, gdyby Maurycy cokolwiek z niego pamiętał. Jego umysł, wypełniony opowieścią dawnego komendanta, zamknął się na wszelkie uroki – i droga minęła nie wiedzieć kiedy.

Ocknął się dopiero w Magnolii, gdy usiłując wejść najciszej, jak się dało, na górę, potknął się o któryś z dolnych stopni i wyrznął głową w poręcz. Natychmiast w górze pojawiła się Doris w koszulce nocnej ledwie zakrywającej majtki, a z kuchni wyjrzała Czesia Gawlińska. Tej już o tej porze tu się nie spodziewał.

– Maurycy?! – zawołała któraś z nich.

Doris, z właściwym sobie wdziękiem, zbiegła ze schodów, położyła dłonie na twarzy i jęknęła.

– Patrz, Czesia, zupełnie jakbym widziała Filipa. Normalnie déjà vu.

– Deża co? – Czesia, z wielkim nożem w ręku, przyglądała się podejrzliwie Maurycemu.

– No takie wrażenie... A weź przestań udawać Greka, mnie nie nabierzesz. Co ty tu w ogóle jeszcze robisz?

– Mam się tłumaczyć, co robię w miejscu, które od pierwszej do ostatniej deski, czy tam cegły, w całości należy do mnie?

– O dwunastej w nocy?!

– Pasztet kręcę. Sarnina rozmarzła, podgardle rozmarzło... Na co miałam czekać? Lorka przyjedzie i pierwsze, o co zapyta, to, czy nie ma pani prawdziwego pasztetu. Nabiłeś sobie guza, Maurycy?

Pokręcił głową przecząco, chociaż sobie nabił. Czesia odłożyła nóż, zdjęła z siebie fartuch i uznając, że resztę zdąży zrobić jutro i że o tej porze to już chyba nie ma sensu jechać do domu, podała Maurycemu ramię i zaczęła go prowadzić na górę.

– No – odezwała się w połowie schodów – ale jakbyś się na przyszłość chciał napić, to nigdzie nie łaż. Oficjalnie dla gości to tylko piwo, ale nieoficjalnie, skoro tu mieszkasz... W barku do wyboru, do koloru, co zechcesz. A kto mi zabroni?

Nie wyobrażał sobie, by Czesi Gawlińskiej ktoś się odważył czegokolwiek zabronić. Wszedł do pokoju i rzucił się na łóżko, ale nie zasnął. Do samego świtu rozmyślał o tym, co usłyszał od starego Miśkiewicza, dawnego komendanta, człowieka, który przez dwadzieścia parę lat stał tu na straży prawa i mało co zrobiło na nim tak silne wrażenie, jak tamta sprawa sprzed trzynastu lat.

– Nawet śmierć tego dzieciaka na torach... Jak mu tam było... Wołali na niego Rudolf... Nawet to mnie tak nie obeszło, jak śmierć Lenki Sikorówny i jej dwuletniego dziecka...

Małą Sikorównę były komendant znał od dziecka. Mieszkała po sąsiedzku z ojcem, matką i starszym bratem. Ojciec pił, matka piła, braciszek kradł. Co się dało i gdzie się dało. I z tego chyba tylko żyli, a raczej pili. Jak sobie już dobrze dali w szyję, to zaczynały się awantury. Wtedy Lenka uciekała do Miśkiewiczów. Interwencje? No były. I co z tego. Efektów nie było żadnych. Miśkiewicz, jako milicjant, potem policjant, a w końcu także komendant, niewiele mógł zdziałać. Jako człowiek przygarniał dziewczynkę przy najmniejszej awanturze, a jego żona karmiła ją, myła, odwszawiała i zbierała po ludziach ubrania, z których wyrosły ich dzieci. Lenka nigdy na nic się nie żaliła, wszelką pomoc przyjmowała w milczeniu. Wiedziała, kiedy wyjść z domu, by nie oberwać, i kiedy do niego wrócić. Wiedziała, gdzie schować szkolne podręczniki, by ojciec w pijackim amoku nie podpalił nimi pod kuchnią, a także wszystko inne, co było dla niej równie cenne, jak dla matki i ojca butelka taniego bełta czy bimbru: czapkę na zimę, ciepłe buty albo zeszyty, w których pisała drobnym maczkiem, żeby na dłużej jej wystarczyły. Najcenniejsze rzeczy: plastikowy zegarek z dużą tarczą, który jakiś wujek kupił jej na odpuście, baśnie Andersena i albumik z kilkunastoma zdjęciami, Lenka trzymała u Miśkiewiczów.

Może trudno w to uwierzyć, ale była pogodnym dzieckiem. Uśmiechała się do każdego, choć nie śmiała się nigdy. Każdego z daleka pozdrowiła, zapytała o coś z bliska. Nie nachalnie, tylko po cichu, łagodnie i zwyczajnie. Trzeba było jednak na nią spojrzeć, gdy tego nie widziała, i zobaczyć, co się dzieje na jej twarzy. Przetrwac – to jedno komendantowi przychodziło do głowy. Za wszelką cenę, co w przypadku Lenki Sikorówny oznaczało tyle, co po cichu, łagodnie i niezbyt nachalnie... Przetwarła. Do piętnastego roku życia. Potem jakoś tak odważniej spojrzała na świat. Szła przez wieś z uniesioną wysoko głową, pozdrawiając każdego z daleka, zagadując o coś z nieustającym uśmiechem. I każdego, kto się trafił, pytała, czy nie wie, gdzie można znaleźć dobrego męża.

– W wieku piętnastu lat zaczęła sobie szukać męża? – Maurycy po raz pierwszy przerwał staremu, bo trudno było w takim momencie nie przerwać.

– Taaa... – Tamten w zamyśleniu popatrzył w dal, pokiwał głową. – Mądre dziecko. Konsekwentne. Z taką determinacją chciało sobie ułożyć życie. Zawczasu. Po swojemu. Żeby nikt za nią nie zdecydował, nie narzucił złego losu. No i dopięła swego.

– Dopięła?

– Ano tak...

Stary wstał na chwilę, rozprostował kości, przeciągnął się, a potem usiadł z powrotem i kontynuował spokojnym głosem.

Chłopak z Komańczy, Romek Witczak, zaczął ją kiedyś, gdy szła ze szkoły, i powiedział, żeby się za nikim nie rozglądała, bo jak tylko skończy osiemnaście lat, on się z nią ożeni. Nie znali się dotąd. On o niej tylko słyszał. Ona o nim nie wiedziała nic. Wypytała go na drodze, tam, gdzie stali, co zamierza w życiu robić, a on jej odpowiedział, że pracy w okolicy nie brakuje, jeśli tylko komuś chce się pracować. To jej wystarczyło. Wróciła do domu, rzuciła plecak w sieni i przyszła do Miśkiewicza powiedzieć mu, że już znalazła męża. Miśkiewicz znał

Witczaków – normalna rodzina: sześcioro dzieci, Romek najmłodszy, ale wszyscy pracowici i nikt tam częściej jak raz w tygodniu nie zaglądał do kieliszka. Trzy lata później wzięli ślub. Romek odłożył już trochę grosza, trochę dali mu rodzice z tego, co miało iść na wesele, i to im wystarczyło na kupno rozwalającej się chałupy na skraju wsi, gdzie dopiero co zmarła stuletnia prawie Aderska i nikt tam po niej nie chciał mieszkać. Jedna izba z sienią, przyklejone do rozwalającej się obory, od pół wieku nikt tam nic nie robił, trzeba się było stuknąć. Ale Lenka weszła do sieni, zajrzała do izby i klasnęła w dłonie. „Będziemy mieć swój pałac!” – zawołała do Romka, a on się z miejsca w niej zakochał, bo właśnie o taką żonę mu chodziło. A jej o takiego męża.

Zamieszkali tymczasem u Witczaków, bo jak prawnukowie Aderskiej dowiedzieli się, że jest ktoś chętny na chałupę, to nie wiedzieli, ile za nią wołać, żeby się potem było czym dzielić. Kiedy kwota osiągnęła jakiś niedorzeczny pułap, Romek się wkurzył i powiedział, że on jeszcze nie zgłupiał, a Lenka mu przytaknęła. Pałac pałacem, ale trzeba się w końcu stuknąć. Witczakowa pokochała Lenkę jak córkę, a Lenka Witczakową jak matkę, nożna na gardle nie było. Do ciasnoty można się przyzwyczaić, zwłaszcza jeśli się już było przyzwyczajonym. Miłość, z jaką Lenka Sikorówna zetknęła się w domu męża, rekompensowała wszystko. Po roku urodziła córkę, Natusię. Dwa lata później przyszła wiadomość o śmierci ciotki z Chicago, matki chrzestnej Romka, co rodzina Witczaków przyjęła z umiarkowanym smutkiem, bo ciotka od lat nie wstawiała z łóżka, a od dwóch przynajmniej cierpiała tak bardzo, że śmierć to było najlepsze, co ją mogło spotkać. Na nieszczęście zostawiła chrześniakowi niezłą sumkę... Na nieszczęście?! No niestety, bo nieszczęście wielkie za tą sprawą w końcu się zdarzyło. Tak to się właśnie niektóre rzeczy mają.

Nieszczęśliwy zbieg okoliczności. Wystarczyło, żeby ciotka Romka była skąpa, a nic by się nie zdarzyło. Romek, jak przeliczył, ile ma pieniędzy, machnął ręką na chałupę Aderskiej. Zawiózł młodą żonę na Wzgórze Wilków i pokazał chatkę jak ze snu, starą, ale w dobrym stanie, dopiero co wyremontowaną przez jakiegoś lekarza z Rzeszowa, który zamierzał spędzać tam wakacje z rodziną. Jeszcze nie zamieszkał, a już na duch sprzedawał, ludzie z miasta niecierpliwi, nauczone wszystko mieć pod ręką, a ze Wzgórza Wilków wszędzie daleko.

Lenka obejrzała chatę, klasnęła w dłonie i powiedziała, że wszystkiego się w życiu spodziewała, ale nie takiego pałacu. Zamieszkali z początkiem lata. Miśkiewicz kilka razy ich odwiedził. Nie widział w swoim życiu szczęśliwszej rodziny. Romek na cały tydzień jeździł do pracy w lesie, a Lenka prała, sprzątała, gotowała i zajmowała się dzieckiem – o niczym więcej, odkąd zaczęła marzyć, nie marzyła. Miała ładny domek, piękne widoki jak okiem sięgnąć i rodzinę. Na legendy, krążące od niepamiętnych czasach o wilkach, które upodobały sobie wzgórze, machała ręką. „Co tam wilki, panie Miśkiewicz! – mówiła. – Ludzie nieraz od wilków gorsze. Te bez powodu nie zaatakują”. Chcąc nie chcąc, przytaknął, kątem oka dostrzegając, że jednak nie spuszczała oka z córki. Malutka nie miała jeszcze dwóch latek, ale bardzo ładnie już mówiła, zwłaszcza swoje imię, które matka sto razy dziennie powtarzała, nie mogąc się dzieckiem nacieszyć, a ta za każdym razem je powtarzała. Natusia, Natusia...

Pewnego lipcowego popołudnia do komendy wpadł Stasiek Kornat, stary kłusownik, który z wnykami zapuszczał się w najbardziej odległe miejsca. Błady na twarzy, wydusił, że na Wzgórzu Wilków coś się stało. Miśkiewicz zgarnął dwóch policjantów do radiowozu, pojechali. Ponieważ z Kornata nic, poza tym, że coś się stało, nie dało się wycisnąć, do końca nie wiedzieli, czego się spodziewać. Jednak tego, co zobaczyli na miejscu, nie spodziewał się nikt.

– Pamiętam, że uderzyła nas cisza – mówił Miśkiewicz spokojnym, lekko zachrypniętym głosem. – Ogromna, niezmierna cisza... Dzień był pogodny, ale niezbyt upalny. Dwie godziny wcześniej przetoczyła się przez okolicę burza. Dawno oczekiwany deszcz wsiąkł w wysuszoną

ziemię i prawie nie było po nim śladu, ale wąska drożyna, prowadząca w dół do gospodarstwa, tonęła w błocie. Dojechaliśmy, dokąd można było dojechać, a dalej na nogach. Zobaczyłem Lenkę, siedzącą pod studnią, jakieś dwadzieścia metrów od chaty. Dom stał cały, wokół taka cisza... Odetchnąłem z ulgą, pomstując na Staśka Kornata, że wyciągnął z komendy wszystkich ludzi, i zawołałem na Lenkę, ale... nie odpowiedziała. Przyśpieszyłem kroku, reszta za mną, minęliśmy studnię i tuż za nią stanęliśmy wszyscy w jednej linii, nie mogąc zrobić kroku. Lenka siedziała, oparta o nią plecami. Obok, na trawie, leżał garnek i kilka szerniałych kartofli. Jeszcze raz zawołałem jej imię, chociaż wiedziałem, że nie usłyszę odpowiedzi. Miała otwarte oczy, ale już na nic nie patrzyła...

– Jak to, nie patrzyła?

– Zwyczajnie. Przód sukienki był cały we krwi, rozmytej deszczem... Jak i ziemia wokół. Kilka szerniałych kartofli, garnek i wiadro na łańcuchu, którym wyciągano wodę ze studni. To wszystko.

– A dziecko?

– Dziecka nie było. – Stary Miśkiewicz zapatrzył się w lampę, która się zapaliła przed chatą po drugiej stronie domu. Zdawało się, że odbiegł myślami gdzieś daleko. Lecz zaraz wrócił. – Przeszukaliśmy wszystko wokół, nic więcej nie można było zrobić. Dwie godziny później zjawili się kryminalni z całą ekipą. Nas włączono do grupy poszukiwawczej, odsunięto od centrum tragedii... Jeden z moich chłopaków przed samym wieczorem znalazł na zboczu wzgórza niebieską kokardkę utyłaną w błocie. Jedną z tych, które Lenka wiązała na cienkich kucykach Natusi – poznałem...

Maurycy odniósł wrażenie, że stary dotarł do pewnej granicy bolesnych wspomnień i „poznałem” było ostatnim słowem, jakie mógł z siebie wydobyć, dlatego zapytał szybko:

– Jak zginęła Lena?

– Od strzału w brzuch – odparł Miśkiewicz beznamiętnym głosem. Po paru sekundach dodał: – Ale to nie był śmiertelny strzał. Po prostu się wykrwawiła.

– A dziecko? – Maurycy zaryzykował jeszcze jedno pytanie, nie licząc już, prawdę mówiąc, na odpowiedź. Ale Miśkiewicz odpowiedział:

– Wszyscy głupcy w okolicy, ze śledczym na czele, orzekli, że wilki wywlokły dziewczynkę w las... – Zaśmiał się szyderczo i gorzko. – Wilki w środku lipca, w środku dnia! Jeszcze żeby to było o świcie...

– Ustalono czas zdarzenia?

– Plus minus.

– To może rzeczywiście wszystko zdarzyło się o świcie.

Miśkiewicz spojrział przytomnie w oczy Maurycemu.

– Po jaką cholere, niech pan mi powie, matka wychodziłaby z dwuletnim dzieckiem o świcie z domu? – równie przytomnie zabrzmiał jego głos. – Ściemnia się. Daj pan kluczyki i rozejdźmy się jak ludzie.

Rozeszli się.

Rankiem kluczyki do auta Maurycyego leżały na dole pod lustrem. Ani Doris, ani Czesia nie potrafiły odpowiedzieć, kto je przyniósł. W ogóle, to najpierw się zdziwiły pytaniem, bo myślały, że Maurycy sam przyjechał. Doris nawet przygotowała krótką gadkę umoralniającą i prawie się obraziła na pisarza, że nie może jej wygłosić. Na darmo się głowiła.

– A nad czym tu się głowić? – wpadła jej w słowo Czesia. – Opieprzasz go w dwóch zdaniach i tyle. Byłaś już na cmentarzu?

– Zaraz idę.
– Po co w sumie codziennie tam latasz? W taki gorąc.
– Właśnie dlatego, że gorąc – postawiła się Doris. – Wiesz, jak długo stoją świeże kwiatki w taką spiekotę?
– Wiesz, Doris, ile mnie to obchodzi? – Czesia posłała jej długie spojrzenie. – Znowu inna kiecka?

– Akurat nie. Już ją nosiłam – odpowiedziała Doris z wyższością, nie wiedząc czemu, i poszła zrywać kwiatki dla Filipa.

Czesia, szykując dla Maurycego śniadanie, mamrotała pod nosem:

– Skąd ta Józefina dobiera tyle tych szmat, pojęcia zielonego nie mam. Co się kobiecie na starość ubzdurało z tymi sukienkami i pierdołami, o tymi tam, to nie wiem. Mówi, że na lekarstwa, bo taka chora. I głowy nie będę sobie zawracać. Biorę się do pasztetów.

Czesia powyciągała zmielone mięso z chłodni i poszła z nim na kuchenne zaplecze, bo tam najchłodniej. Była więc nikła szansa na to, że jej nie skiśnie już w czasie wyrabiania, i wielka nadzieja na kilkugodzinny spokój.

Maurycy wyszedł ze śniadaniem na schody przed Magnolię i jedząc, obserwował Doris, zrywającą kwiaty dla Filipa. Siłą rzeczy też słyszał, co do niego mówi.

– Wcześniej czy później – mamrotała – ktoś się tu zapłaci z kasą, spodoba mu się ta chata i jak nic kupi. Tobie to dobrze, Filipie, o nic się już nie musisz martwić, a na pewno nie o to, czy będziesz miał czy nie będziesz gdzie mieszkać. Jestem bezdomna! Tak, jestem bezdomna. Jak długo można wynajmować pokój w Magnolii. Wcześniej czy później Czeska sprzeda swój dom i zamieszka tu na dobre na górze. Mieszkanie i praca w jednym miejscu – idealna sytuacja. Dziwię się, że jeszcze nie wpadła na ten pomysł. Może jej się po prostu nie chce niczego zmieniać, a to i owo by warto. Urwę ci jeszcze aksamitek, robactwo odstrasza.

Maurycy z trudem przełknął ostatni kęs chleba, ale już resztkę jajek na bekonie zostawił.

Tamtego dnia, kto tylko przyszedł do Magnolii, mówił jedno: „Będzie burza”. Poza Markiem, który mruknął tylko: „Doris...”, usiadł pod ścianą, oparł głowę i patrzył na dziewczynę, jak tylko się pojawiła.

Powietrze było gęste, lepkie. Nie trzeba było nic robić, by oblać się potem, dlatego nikt nic nie robił. Czesia wstawiła pasztety do piekarnika (dobrze, że na zapleczu), usiadła i siedziała. Pies leżał w przedsionku brzuchem do góry i od czasu do czasu kłapał pyskiem. Doris, snując się po Magnolii, nie przeszła koło przedsionka, żeby nie przystanąć i nie pozachwycać się Absurdem, jaki to mądry pies, że tak sobie leży. Czesia nie miała nawet siły postukać się po głowie. Wodziła ponurym wzrokiem za swoją pomocnicą i co kilka minut pytała, kiedy będzie ta burza. W końcu doczekała się odpowiedzi.

– Za kilka minut lunie jak nic – oznajmiła Józefina, wychodząc z przedsionka w kremowej sukni z lekkiej koronki i kapeluszu w tym samym kolorze.

Suknia jak suknia, ale kapelusz prezentował się wspaniale. Z szerokim rondem, lekko usztywnionym po brzegach i tiulową wstążką wokół, był jak spojrzenie w przeszłość, w tamten świat, którego już dawno nie ma, a którego stara kobieta być może jeszcze szukała. Albo za nim tęskniła. Maurycy zerwał się z ławy, wysunął z głębi sali jedyny tu wygodny, tapicerowany fotel i podsunął go Józefinie. Ta usiadła w nim niespiesznie, jakby od niechcenia. Objęła spojrzeniem pięknych szafirowych oczu wszystko wokół i położyła na kolanach szafirową torebkę. Kontrast między torebką a resztą ubioru mógł lekko dziwić, ale tylko do momentu, gdy spojrzano się w te jej oczy.

Przez dłuższą chwilę panowało w Magnolii absolutne milczenie. Każdy patrzył na Józefinę, zastanawiając się być może, w jaki sposób stara kobieta w tak ekstremalnej

temperaturze pokonała piechotą taki kawał drogi i nie odbiło się to w żaden sposób na jej wyglądzie.

– Deszcz tak czy inaczej się przyda, pomidory ożyją – odezwała się, wygrzebując z torebki garść wisiorków i bransoletek. – Widzę, że coś tam się sprzedawało... – dodała, zerkając na stojak.

– Coś tam – przytaknęła Czesia, wznosząc oczy w sufit.

– A mnie na lekarstwa każdy grosz się przyda.

– Na jakie lekarstwa? – Czesia obrzuciła Józefinę wzrokiem. – Żeby każdy miał takie zdrowie!

Doris postawiła przed kobietą szklankę i butelkę wody mineralnej, uściśniła jej kościstą, pomarszczoną dłoń.

– Ależ oczywiście, Józefino, dla nas to żaden kłopot.

– Żaden – zgodziła się Czesia. – Żeby tylko każdy się o to nie potykał.

Ledwie skończyła, zagrzmiało, najpierw krótko, a potem dwa razy dłużej, zerwał się wiatr i nie minęło kilka minut, jak lunął rześisty deszcz. Absurd, leniwy zwykle i ociężały, zerwał się i wgramolił pod fotel.

– Widzicie, jaki mądry pies! – skomentowała Doris zwykłą psią reakcją na grzmoty, zdające się dopiero rozkręcać.

Niebo pociemniało tak, że trzeba było pozapalać światła. Rozszalała się orgia błyskawic. Jedna z nich rozpołowiła starą wierzbę, rosnącą nad wąskim strumykiem, który od północy stanowił granicę terenu Magnolii. Załomotały otwarte okna. Czesia, zamykając je w pośpiechu, wydarła się głośno:

– Doris, kurier stoi pod bramą! Nawet nie było słyhać, jak trąbił, debil. Matko jedyna, na tych to nie ma pory. Listonosz, póki jeszcze przyjeżdżał, zawsze do południa, a ci nie. Kiedy im się podoba. Stanie taki jeden debil z drugim debilem i trąbi... Doris!

Tamta już była na zewnątrz. Wróciła z jakimś pakunkiem, któremu Czesia przyjrzała się podejrzliwie, wyrażając nadzieję, że to nie farby. Bo jak to są farby i Doris znowu przymierza się do malowania przez całą zimę, to ona nie wytrzyma. Dalsze narzekania przerwała Marlena. Przemoczona do suchej nitki wpadła do Magnolii z piskiem. Ulewa złapała ją w połowie drogi i nie wiedziała, czy wracać do domu, czy biec tutaj. W końcu przybiegła tutaj. Doris podała jej ręcznik. Wycierając się nim, odruchowo zsunęła chustkę z głowy i wszyscy zobaczyli, co z takim uporem pod nią ukrywała. Ciemne włosy długości najwyżej dwóch centymetrów, tak zwany język. Brązowe oczy w jednej chwili nabrały głębi. Ręka Marleny znieruchomiała z ręcznikiem na skroni. Schyliła się, by podnieść chustkę, ale Czesia była szybsza.

– I po co ci ta chustka – powiedziała, rzucając ją na szafkę pod lustrem. – Wyglądasz w niej jak podstarzała elegantka. Masz dopiero czterdzieści lat.

– Czterdzieści jeden – sprostowała Marlena.

– I zacznij coś jeść – kontynuowała w tym samym tonie Czesia, omiatając wzrokiem postać Marleny. Mokra sukienka przylgnęła do ciała, uwidaczniając szczupłą sylwetkę. – Ze dwa rozmiary zrzuciłaś, jak nic. To już lekka przesada.

– Na moje oko – wtrąciła Józefina – sukienka ślubna Luizy...

– A dajcie mi już spokój z tymi ślubnymi sukienkami! – wykrzyknęła Marlena.

– Od wiosny nic innego nie słyszę. Biała, kremowa, krótka, długa...

– Długa to nie... – wtrąciła Doris, krzywiąc się. – Masz ładne nogi.

– A dlaczego?! – zaprotestowała Józefina. – Na jej figurę idealna długa. Tyłkiem nie musi przed ołtarzem świecić, bo to nie miejsce...

– Już nie udawaj, Józefina, takiej zacofanej – przerwała Czesia starej kobiecie. – Bo

zacofana nigdy nie byłaś. Tamtą niech przymierzy. Długość w sam raz, przed kolano, i materiał jak trzeba, leżał na niej jak ulał...

– Którą tamtą? – zainteresowała się Józefina.

– Co ją już sobie do ślubu uszyła. Tylko że pięć razy datę przełożyła. Święta... jedno, drugie, nie. Kwiecień nie, bo nie to, maj nie, bo tamto... Czerwiec, lipiec zleciał...

– Jasna cholera – przerwała jej ze złością Marlena – brałam chemię, włosy mi wypadły... Może nikt nie zauważył. Łysa miałam iść do ślubu? Maurycy, daj mi papierosa, bo bez niczego przybiegłam...

Maurycy sięgnął po papierosy, które leżały na parapecie, ale Czesia go powstrzymała.

– Nie dawaj jej! Jak ją trzepnę, to od razu jej się odechce. Całe życie nie paliła, zaczęła chorować, masz, złapała się za papierosy! Niech sobie kielicha strzeli, jak ją co szarpie od środka...

– Mogłabyś mówić do mnie w drugiej osobie? – odezwała się Marlena.

– A po co? Tyle do ciebie mówić, co i nie mówić...

– Ktoś tu wspomniał o kielichu?! – usłyszeli z przedśionka mocny, niski głos. Po chwili wyłonił się stamtąd jego właściciel, mężczyzna po pięćdziesiątce, słusznej budowy, siwiejący, z ledwo zarysowanym brzuszkiem.

– Mecenas Lorka! – Czesia rozłożyła ręce, on rozłożył ręce i uścisnęli się serdecznie.

– No dziś to nie spodziewałam się jeszcze mecenasa! Ale coś mnie tknęło, pasztetów nakręciłam... O matko jedyna! To już chyba po pasztetach.

Dała susa na zaplecze kuchni, a po chwili wyszła stamtąd i z ulgą oznajmiła, że tylko ten w małej brytfance trochę jakby za bardzo podpieczony, ale to się zeszkobie, przypaleniznę od biedy da się zjeść.

– Absurdowi tylko nie dawaj! – uprzedziła ją z miejsca Doris.

– A jeszcze nie zgłupiałam, żeby pokrakę pasztetami karmić – prychnęła Czesia, wyjmując z barku kieliszki, bo mecenas postawił na stoliku butelkę.

Doris urwała kawałek papierowego ręcznika i zaczęła te kieliszki skrupulatnie wycierać.

– Ale, ale, mecenasie! – Czesia stanęła przed nim, kładąc ręce na biodrach. – Co to tam w telewizorze któregoś wieczoru mówili... Że pan masz tego bandziora... tego jak mu tam... bronić? Z mafią się pan zadajesz? Rozumu pan nie masz?

– E tam, pani Czeško! – Mecenas się wykrzywił, zabrał kieliszki od Doris i nalał do nich wódkę do pełna. – Ktoś coś chlapanął, drugi powtórzył... No były jakieś zakusy... Proces po tylu latach lada tydzień ma wreszcie ruszyć, ale potrzebne mi to, pani Czeško! No do czego mi to potrzebne?

– A do niczego – przytaknęła skwapliwie, kręcąc się po kuchni. Coś trzeba było na stół, póki pasztety nie ostygną, postawić.

Mecenas zatarł ręce i się rozejrzał.

– No pięknie... Prawie wszyscy w komplecie. Józefina kwitnąca... Piękny kapelusz, Józefino.

– Pamiątka z Barcelony! – zapiszczała Józefina. – Ach, mecenasie, ile ja się w tym kapeluszu w Barcelonie natańczyłam. On był stworzony do tańca!

– Jak to, był! Co to znaczy, był? – Mecenas chwycił dłoń starej kobiety, poderwał ją z fotela. – Doris! A daj no jaką muzykę!

Doris włączyła odtwarzacz, popłynęła spokojna melodia.

– Ach, Cilla Black! – zapiszczała Józefina, składając ręce.

Mecenas zakręcił Józefinę dwa razy wokół siebie, lecz coś mu nie pasowało.

– A dajże Doris spokój z jakąś Cylią. Gości zasiedziały za biurkiem przyda się rozruszać.

No, szukaj tam czego, co się nada.

Doris pogrzebała w płytach i wyciągnęła Bregovicia. Na pierwsze „bum, bum, bum” mecenas się wyprostował, przycisnął Józefinę do siebie. Na drugie „bum, bum, bum” zawinął ją dookoła, potem odepchnął, znowu przyciągnął i przełożył na ramieniu. Józefina z głową przechyloną w dół piszcziała z radości, przytrzymując kapelusz jedną ręką. Marlena roześmiała się, zaczęła klaskać, a potem poderwała na nogi Marka, jak mecenas wcześniej Józefinę, i zaczęli skakać po sali jak wariaci. Tylko Doris wyduła pogardliwie wargi, zawołała, żeby się opamiętali, bo jeszcze rok nie minął od śmierci Filipa, ale nikt jej nie słuchał. Usiadła więc przy stoliku i napiła się wódki.

– Bawmy się, bo życie jest krótkie! – zawołał mecenas gromkim głosem, puszcżając Józefinę, i chwycił wychodzącą z kuchni Czeškę. Ledwo zdążyła postawić półmiski z przekąskami na stole.

Maurycy pomyślał, że to ta burza. Ten żywioł, który wciąż szalał na zewnątrz, przeganiając niezdolnie duszne powietrze, gdzie pieprz rośnie, dając ulgę zmęczonej ziemi, drzewom i roślinom, tu rozładował trwające od wielu dni napięcie i nerwowość pośród żywych istot, najmniej odpornych na ekstremalne warunki natury.

Taniec to była dla autora powieści kryminalnych niepotrzebna strata energii i czasu. Patrzył więc i dziwił się, jak wielką przyjemność może sprawiać innym. I jak ich odmienił.

Wystarczyło popatrzeć na Marlenę, która jeszcze chwilę wcześniej sprawiała wrażenie pogodzonej z losem. Jej podkrążone oczy w wychudłej twarzy mówiły: „No dobrze, niby tu jestem, ale co z tego. Za dzień, dwa, miesiąc albo rok śmierć przyjdzie zniemacka, poda zdradziecką rękę, więc po co to wszystko”. Teraz cała lśniła w szalonych rytmach. Błyszczały jej podkrążone oczy, przezroczysta twarz, króciutkie włosy i mokra sukienka, przylegająca do wąskiej talii i kanciastych bioder. Teraz całą sobą mówiła: „Spróbuj po mnie przyjść, a zobaczysz!”.

Wystarczyło popatrzeć na Marka, który zawsze rozmemłany, nieogolony i wczorajszy, godzinami przesiadywał pod oknem i spod przymrużonych powiek obserwował każdy gest, każdy wyraz twarzy Doris, który go odpychał, pogrążał i oddalał. Teraz w tym szalonym tańcu sprawiał wrażenie człowieka, który zdobędzie wszystko, cokolwiek sobie zamierzył. Patrzył szeroko otwartymi oczami na Doris, a jego oczy mówiły: „Będiesz moja, bo inaczej być nie może. Bo nie po to tu siedzę tyle miesięcy, zapominając, że kiedyś byłem normalnym facetem, borykającym się z normalnym życiem, patrzę na ciebie, cierpliwie znosząc pogardę, jaką wyrażasz całym ciałem, by twa zajaśniała pogarda miała mnie zniechęcić”.

Józefina zaś, w swej oderwanej od rzeczywistości sukience i kapeluszu, przywołującym wspomnienia, tańczyła na jednej z zaczarowanych uliczek Barcelony. Młody Hiszpan, nie odrywając wzroku od jej szafirowych oczu, prowadził ją od jednych wspomnień do drugich.

Doris, w niecały rok od śmierci Filipa, z każdym wypitym kieliszkiem wódki patrzyła na to wszystko z coraz mniejszą dezaprobatą i coraz mocniej chodziły jej nogi. W końcu zawisła na szyi Maurycego, gdy szedł do siebie na górę, i powiedziała:

– Maurycy... Jakie piękne masz imię. Prawie tak piękne jak Filip.

To ta burza, pomyślał Maurycy, pozwalając jej z sobą tańczyć. Godzinę wcześniej, zmęczony i znudzony skwarem, brakiem jakiegokolwiek ruchu powietrza, a także chyba przede wszystkim pozbawiony widoku Małgoški, pomyślał, żeby nazajutrz spakować się i wyjechać. Ale ta burza i ta aura z lekka groteskowej, jakkolwiek by na to patrzeć, zabawy, i ręce wstawionej Doris, zaciśnięte na jego szyi, jednym słowem całe to szaleństwo, jakoś tak go osadziły w owej rzeczywistości, w świecie, który z miejsca bardziej go zdziwił, niż zauroczył. W zdziwieniu przyglądał mu się przez kilka tygodni, ani tu, ani tam do samego końca obecny.

Nazajutrz więc ze spokojem zadziwiającym jego samego przyglądał się zwykłej krzątaniu w Magnolii, z wielką ulgą przyjmując ożywczy powiew powietrza z zewnątrz. Małgośka od rana sprzątała salę, znosząc kieliszki, butelki po wódce i talerzyki do kuchni.

– Wystarczy, że Lorka pokaże się po dłuższej nieobecności i od razu balanga – powiedziała, uśmiechając się do Maurycego, który siedział w górze schodów i sznurował buty do pieszej wędrowni. Lekko mu się zrobiło na duszy.

– Zaraz balanga. – Czesia skrzywiła się na te słowa i zaraz dodała z uśmiechem: – Lorka powiedział, że tak się tu będziemy odtąd bawić...

– Bo? – zainteresowała się Małgośka. Potknęła się o pakunek od kuriera, który leżał pod lustrem, i cicho zaklęła.

– Bo życie jest krótkie.

– To chyba Lorce coś w oczy zajrzało, że takie sentencje zaczął wygłaszać.

Maurycy, zbiegając z góry, potknął się o pakunek od kuriera i zaklął cicho.

– Doris! – wrzasnęła Czesia.

Tamta siedziała przy stoliku Marleny i piła kawę. Położyła dłonie na uszach i poprosiła cicho, żeby dać jej spokój.

– Co jej jest? – Małgośka wskazała ją wzrokiem.

– Upiła się.

– Zaraz upiła – zaprotestowała Doris. – A zresztą, czy mnie to już nie wolno?

– Wolno – odparła Czesia. – Tylko zabierz to cholerstwo od kuriera spod nóg, bo jak przyjdą goście, to jeszcze się kto zabije. Co to w ogóle jest?

– Fa...farby – wydusiła Doris.

– No masz! – Czesia uderzyła dłońmi o uda. – Nie mówiłam? Doris, ja cię ostrzegam...

Jak mi zaczniesz znowu całą zimę malować, to nie wytrzymam. I nim zaczniesz, to się rozejrzyj. Przecież nie ma już gdzie tego dziadostwa wieszać. Jeszcze tamta druga tego badziewia naniesie i porozwiesza, żeby miał się kto o co potykać, to już szalu dostanę i wszystko powywalam. Jedna z drugą, obydwie artystki!

– Werandę... – odezwała się słabym głosem Doris.

– Co werandę?! Werandę będziesz obwieszać tym dziadostwem? Porąbało cię?

– Malować...

– No jeszcze lepiej!

– Werandę będę malować białą farbą olejną, bo brudna! – wrzasnęła Doris, wstała, chwyciła pakunek, otworzyła drzwi na werandę i tam go rzuciła. Potem usiadła z powrotem przy stoliku Marleny i dopiła kawę.

– No... to było powiedzieć... od razu... – Czesia spuściła z tonu. – Zrobić ci jeszcze jedną kawę?

– Zrobić! – warknęła Doris.

– Zrobię ci. Siedź sobie i pij. Albo idź się położyć. I leż sobie. Damy radę we dwie.

Małgośka zrobi Maurycemu śniadanie...

Maurycy sam już sobie robił śniadanie. A potem, jedząc, patrzył i słuchał ich, kiwając głową, gdy o coś pytały, lub coś odpowiadał. Jak spałeś, Maurycy? Dobrze? Wreszcie jakaś normalna noc. Wreszcie. Nawet nie było słyhać Jaszczuka, jak jechał skoro świt tą zapyziałą furgonetką. Może dziś nie jechał. Może... Ale nie, gdzieżby tam Jaszczuk miał sobie takiej przyjemności odmówić, zwłaszcza gdy się dowiedział, że mecenas na wakacje zjechał. A to musiał się dowiedzieć? Nie ma takiego cudu, żeby Zenek Jaszczuk takich rzeczy się nie dowiedział.

&&&

Mecenas rzucił się na pryczy, szukając jakiejś wygodnej pozycji. To podłożył ręce pod głowę, to wyjął, w końcu zerwał się, usiadł i zawołał ze złością:

– Dalibyście chociaż jakąś poduszkę!

Komendant zerknął w jego stronę z małym zainteresowaniem.

– Poduszkę? A może jeszcze pierzynkę puchową?

– Komendancie Miśkiewicz – mecenas spuścił z tonu – cokolwiek, bo łba nie czuję.

Strasznie niewygodnie.

– A bo nie ma być wygodnie. To nie Wiktoria czy co wy tam w tej Warszawie macie...

– Teraz mają Szeratony, komendancie – wtrącił Jaszczuk. – Wiem, bo Anusia mówiła...

Że była kiedyś...

– Chyba stała – prychnął mecenas, układając się na nowo. – Niezłego bajzlu ta twoja

Anusia narobiła.

– Ona narobiła?!

– Ale od niej się zaczęło.

Jaszczuk wytrzeszczył oczy i uderzając się w piersi, wyszedł zza murka.

– No, panie komendancie, przecież Anusia tam całkiem niewinna w tym wszystkim!

Niech pan coś mecenasowi powie, żeby mojej narzeczonej nie szkalował. Trochę zaczęła fikać na początku...

– Trochę!

– ...bo jej Halinka niepotrzebnie dogadywała, ale potem, jak się za mecenasem mafia zjechała i jeszcze ten wariat za Doris, co z wariatkowa uciekł...

– Cisza tam! – wrzasnął komendant. – Jaszczuk, wracaj do celi! Gdzieś wylazł? Przyjdzie na ciebie kolej, będziesz gadał. Teraz z pisarzem rozmawiam! A jak panu, mecenasie, niewygodnie, to droga wolna. Nikt tu pana nie trzyma. Sam żeś pan tu przylazł, sam pan może wyjść.

– Nigdzie nie pójde – mruknął Lorka, odwracając się do ściany.

Wszedł Gajczak. Wyprostowany, dopięty na ostatni guzik.

– Całą okolicę, panie komendancie, objechaliśmy z chłopakami – zameldował. – Na razie spokój, nic się nie dzieje. Zostawiłem dwóch pod Magnolią...

– Bardzo dobrze – pochwalił Miśkiewicz. – Straż już odjechała?

– Odjechała.

– A one?

– To znaczy, panie... A! Pojechały do szpitala. Do tej Woźniak.

– Jakiej Woźniak?!

– No... Doris...

– No to mów, że Doris. Co się tak rozglądasz, Gajczak?

– Bo to nie powinno tak być, panie komendancie. Procedura...

– Gdzieś ty się wychował, człowieku? – przerwał mu komendant.

– No tu, panie komendancie.

– A gadasz, jakbyś się wychował gdzie indziej. Na tych studiach chyba ci tak mózg przelasowali...

– Dopiero zacząłem, panie komendancie. Pierwszy rok.

– No to strach pomyśleć, co będzie na czwartym.

– A na co mu te studia, panie komendancie – wtrącił Jaszczuk, wychylając głowę zza rozwalonej ściany. – Jeden mój brat cioteczny, po studiach, to taki głupi, że nie pogadasz. A nie daj Bóg, żeby się napił. Dwa kieliszki wypije i...

– A odkąd to u was kieliszkami się pije, Jaszczuk? – Mecenas Lorka parsknął śmiechem.
– Pół szklanki wypije – poprawił się natychmiast Jaszczuk – i drzwi nie może namacać.
Raz to do szafy wszedł, jakżeśmy u ciotki Danki narodziny wnuka opijali. Znaczy się, ciotki Danki wnuka. A znowu ten... Kazik z Rzepedzi... Ten, co raz panu komendantowi drzewo po niższej cenie załatwiał...
– Ilu ty masz tych braci ciotecznych, Jaszczuk?! – huknął Miśkiewicz.
– No... musiałbym dobrze policzyć.
– To licz i zamknij się. Na ten czas przynajmniej. A ty, Gajczak, idź, Dulębie przez ramię zajrzyj, co on tam tyle czasu pisze.
– Raport. Z zarekwirowania osiemnastu butelek nielegalnego alkoholu...
– O Jezusie... – jęknął Jaszczuk, zginając palce przy liczeniu braci ciotecznych.
– Przynajmniej jeden, który lubi pisać – mruknął Miśkiewicz, pokazując Gajczakowi wyjście. – No, pomijając przypadkiem tu obecnego autora.
– Przypadkiem? – wymknęło się Maurycemu.
– No, tak przynajmniej usiłowała mnie przekonać Gawlińska, jak pana do radiowozu zapakowałem. Że pan w całej tej awanturze całkiem przypadkiem się znalazł.
Maurycy wzruszył ramionami.
– Co za różnica. Tak czy inaczej się znalazłem...

&&&

Odkąd się tu pojawił, nie zadawał sobie pytań, nie roztrząsał dylematów takich czy innych i właściwie nawet się nie zastanawiał, co tu robi. Irytacja, jaka być może na samym początku towarzyszyła mu w pewnych sytuacjach, bardzo szybko ustąpiła miejsca przyzwyczajeniu. Musiał pewne sytuacje czy też osoby zaakceptować takimi, jakie są, bo inaczej cóż by tam tyle czasu robił.

To było łatwe. Łatwiejsze niż na samym początku mogło się wydawać. Przywiązanie do miejsc, a także osób, było dla niego pojęciem abstrakcyjnym. Skoro do niczego i do nikogo nie był przywiązany, za nikim i za niczym nie tęsknił. Mógł być tutaj albo też gdziekolwiek indziej, to nie miało najmniejszego znaczenia. Wygodny pokój i dobre jedzenie przesądziły sprawę. No, może jeszcze widok Małgoški, którego nigdy nie miał dość. Uczucia, jakim ją darzył, nie bał się nazwać zakochaniem. To nie niosło za sobą żadnych konsekwencji, a... było mile.

Małgoška była z innej bajki. Nie dostrzegął w niej nic dziwnego, irytującego. Otwarta twarz, piękny uśmiech – czysta szczerość. Nie pasowała do tego miejsca, do tych kobiet, a jednak – na oko było widać – doskonale się tu czuła. Nie trzeba więc być dziwakiem, by się odnaleźć w dziwnym miejscu. Trochę dobrej woli, przymrużenia oka – to wszystko.

Co do reszty, to po prostu się przyzwyczaił. Do zrządzenia Czeški, paplaniny Tuški, do rozmów Doris z Filipem i udawanej nonszalancji Marleny. Wszystko to było tłem konkretnej rzeczywistości. On w nią nie ingerował.

W pewnym momencie zaakceptował także i to, że nie odnajdzie miejsca, dla którego tu przyjechał. Gdyby nie tkwiący w pamięci obrazek i dokładny opis tego miejsca w pierwszej książce, dawno uznalby, że w ogóle go nie było. Przestał go w końcu szukać i coraz rzadziej wyruszał na wędrowniki po okolicy. Coraz częściej za to spacerował po wsi. Prawie zawsze te spacerki kończyły się pod sklepowym ogrodzeniem, gdzie niezmiennie przesiadywał stary Miśkiewicz i każdemu, kto przechodził bądź podjechał, pokazywał zdjęcie Lenki Sikorówny, pytając, czy gdzieś nie widział takiej dziewczynki.

– Skąd pan wie, panie Miśkiewicz – zagadnął w końcu pewnego razu Maurycy – że córka

Sikorówny wyglądałaby identycznie jak matka.

– A stąd – odparł komendant, wyciągając z wewnętrznej kieszeni znoszonej, lecz, o dziwo, zawsze czystej marynarki pęk fotografii. Wygrzebał dwa zdjęcia i podał Maurycemu, dodając: – Niech pan znajdzie różnicę.

Fotografie przedstawiały dwie mniej więcej dwuletnie dziewczynki. Poza rodzajem papieru, jego wiekiem i detalami takimi jak uczesanie i ubiór, Maurycy nie znalazł żadnej. Po chwili Miśkiewicz odebrał obydwie zdjęcia, mówiąc:

– To sam zrobiłem, jak Lenka miała dwa latka i przyszła do nas w Wigilię, a to sama Lenka czy też jej mąż zrobili swojej córeczce tuż przed zdarzeniem.

– Skąd pan wie?

– Klisza była jeszcze w aparacie... Sam wywołałem. W tamtych czasach pstrykało się zdjęcia i zanosiło potem kliszę do wywołania. Nie to co teraz, na kartach pamięci, w komputerach... Na wieczne niewywołanie. No i o czym to mówiliśmy...? A! – Spojrzał na zafoliowaną fotografię i przypomniał sobie. – No to mała jest teraz w tym samym wieku, co Lenka na tym zdjęciu.

– Jest? – podchwycił Maurycy.

– Na pewno wygląda tak samo – odpowiedział komendant i po chwili z wielką niechęcią przyznał: – Lub bardzo podobnie. Ale ja bym rozpoznał.

– W takim razie, zakładając, że żyje...

– Żyje – przerwał Miśkiewicz.

– Gdzie jest? – dokończył Maurycy. – Na tym świecie nie można istnieć anonimowo.

Stary komendant machnął ręką. On wie swoje. W rok po zamknięciu śledztwa, które nie rzuciło żadnego światła na tragedię i nic nie wyjaśniło, odszedł na emeryturę i od tamtej pory nie było dnia, żeby o tamtej sprawie nie myślał i krok po kroku nie rozważał najrozmaitszych opcji.

Ulewa, której wtedy z takim utęsknieniem oczekiwano, stała się sprzymierzeńcem zbrodni. W chwilach wyjątkowej złości, jaką Miśkiewicz jeszcze od czasu do czasu (choć już coraz rzadziej) odczuwa, określa ją wręcz współnikiem sprawcy. Zatarła wszelkie ślady. Psy nie podjęły żadnego tropu. Wszystko, tak jak życie Leny, zatrzymało się u podnóża Wzgórza Wilków i w którą stronę by spojrzeć, jest tylko jedno: niepojęta cisza.

Jeśli zaś chodzi o mordercę, potwora, który w jednej chwili odebrał życie Lenie, komendant tropił go rok, a potem, jak wszyscy inni, przestał sobie zawracać nim głowę, kim był, jaki był i dlaczego to zrobił. Całą swoją uwagę i wszelkie wysiłki skupił na dziecku. Jeśli nie zginęło na miejscu, jest wielka nadzieja, że wciąż żyje. Jeśli żyje, to wcześniej czy później wskaże potwora. Cała tajemnica zbrodni tkwi w jego zniknięciu i Miśkiewiczowi nikt nie przetłumaczy, że jest inaczej. Gdzieś jest, gdzieś dorasta, gdzieś czeka, by wskazać swym istnieniem mordercę.

– A może wyjaśnienie jest najprostsze – wtrącił Maurycy. – Może wilki, zwabione krwią...

– Musiałyby je wychować! – przerwał gwałtownie były komendant, parszcząc gorzkim śmiechem. – Jak mały Tarzana! Pan wierzy w takie cuda? Bo śladu, że zrobiły coś złego temu dziecku, nie ma. Przez rok nie robiłem nic innego, tylko centymetr po centymetrze przeszukiwałem wzgórze. I wszystkie sąsiednie. I wszystkie wąwozy. Wszystko wokół, centymetr po centymetrze, panie... Jak panu tam...?

– Maurycy.

– Dziecko zniknęło stamtąd wraz z mordercą.

Stary Miśkiewicz wstał i popatrzył na drogę – w jedną stronę, w drugą. Maurycy dopiero teraz dostrzegł, jak potężnie jest zbudowany dawny komendant i jaka przy tym bije od niego

wewnętrzna siła.

– Wszyscy tu, rzecz jasna, mają mnie za wariata – usłyszał po chwili – ale ja wiem jedno. Dziwne przypadki rządzą ludzkim losem i w najmniej oczekiwanym momencie potrafią go odwrócić... Tego się trzymam, panie...

– Zwyczajnie: Maurycy.

– Tego się trzymam, Maurycy. I czekam. Już nie szukam, bo szukałem wszędzie, tylko czekam na przewrotność losu.

Maurycy miał ochotę zapytać, coż to właściwie znaczy, ale nim zapytał, stary sam dopowiedział:

– Wystarczyłoby, żeby ciotka Romka Witczaka zmarła rok później. Tyle lat chorowała... Wystarczyłoby, żeby wnuki starej Aderskiej nie były takie pazerne. Wystarczyłoby... żeby Lenka znalazła sobie złego męża, przy którym żyłaby do dzisiaj. Jedno małe zdarzenie może odwrócić ludzki los. Może to być śmierć ciotki z Ameryki, ale równie dobrze nic z pozoru nieznacząca pierdoła, która w jakimś momencie powiąże się z inną...

Miśkiewicz zamilkł, bo pod sklep podeszło dwoje turystów z plecakami. Wyciągnął dopiero co schowane zdjęcie piętnastoletniej Lenki Sikorówny i podsuwając im je na wysokość oczu, zapytał głosem pełnym nadziei:

– Może państwo widzieli gdzieś... taką dziewczynkę...

To był dobry moment, żeby wstać i odejść spod sklepu, i Maurycy tak właśnie zrobił. Wracając do Magnolii, zerknął na chatę na skarpie, gdzie dawniej jakiś Rudolf przyjeżdżał na wakacje do babki i wujka. Z jakąś Luizą, która lubiła igrać ze śmiercią, spędzał każdą chwilę i darzył tę dziewczynę, według Tuśki, miłością niewyobrażalną. A ona jego. Owa miłość zaprowadziła ich na stację, gdzie wszystko, co miało trwać, w ułamku sekundy się skończyło. Miejsca mają swoje historie, gdziekolwiek by się obejrzeć i na czym zatrzymać wzrok. Teraz o tym konkretnym miejscu, podupadłej chacie na malowniczej skądinąd skarpie, marzy Doris. Gdyby miała sto czterdzieści tysięcy, bez namysłu kupiłaby chałupę w jednej chwili i od następnej zaczęła tworzyć w niej swoją historię.

– Sto czterdzieści tysięcy, Filipie... – mamrotała Doris pod nosem, podlewając kwiaty wokół Magnolii, które co drugi dzień kładła na grobie Filipa.

Dlaczego nie co trzeci albo co czwarty, Maurycy nie miał pojęcia. Tak sobie Doris po prostu wymyśliła.

– Gdybym miała sto czterdzieści tysięcy, Maurycy... – wzdychała, gdy każdego ranka zasiadali do śniadania.

Cześka Gawlińska, która od świtu urzędowała w kuchni albo na jej zapleczu, parskała pogardliwym śmiechem, od czasu do czasu zdobywając się na jakiś dłuższy komentarz.

– Gdybym ja miała trzydzieści lat, Doris...

– Ty miałaś trzydzieści lat! – zareagowała pewnego ranka dość ostro Doris. – A ja nigdy nie miałam stu czterdziestu tysięcy.

– Miałaś trzysta – Cześka na to. – Rok temu. Przypomnieć ci?

– Nie były moje – odparła płaczkliwym głosem tamta.

Wszedł Marek. Powiedział: „Doris...”, i nie doczekawszy się żadnej reakcji z jej strony, zajął swoje miejsce pod oknem.

– Tylko tego tam – ciągnęła płaczkliwym głosem Doris. – I co z nimi zrobił?

– Nie musiałaś mi oddawać – odparł Marek z głębi sali.

– Mogłam mu nie oddawać – ciągnęła Doris. – Na jedno by wyszło.

Doris musiała być bardzo zdesperowana w swoim pragnieniu zdobycia własnego miejsca na ziemi, skoro w pewnym momencie ot tak rzucony, niedorzeczny pomysł o sprzedaży

obrazków, którymi obwiesiła każdy centymetr sali jadalnej, doczekał się kontynuacji. Któregoś dnia, tuż po powrocie z cmentarza, policzyła wszystkie swoje dzieła – było ich osiemdziesiąt siedem. Potem usiadła przy kuchennym blacie, rozłożyła przed sobą bloczek do zamówień i zaczęła w nim coś pisać.

– Co tam bazgrzesz? – spytała Czeška, zaglądając jej przez ramię.

– Osiemdziesiąt siedem po tysiąc... Nie! Po tysiąc dwieście, to będzie...

– Co po tysiąc dwieście? – Marlana podniosła oczy zza książki i skierowała pytające spojrzenie na Doris.

– To będzie sto... sto cztery tysiące czterysta... Ojej, jak dużo! Nie wiedziałam, że mam taki majątek!

Marlena parsknęła śmiechem i powróciła do czytania.

– O czym ona gada? – zagadnęła Czeška, stawiając przed nią kawę. – Jaki majątek?

– Sto cztery tysiące – powtórzyła Doris miłym głosem. – Tysiąc dwieście za jeden to chyba nie tak znowu dużo.

– Nie, nie za dużo, Doris – przytaknęła Marlana. – Nie wiem nawet, czy nie za mało.

– Żartujesz!

– Równie dobrze możesz wołać tysiąc pięćset. Albo piętnaście tysięcy...

– Naprawdę żartujesz.

– A nawet i dwadzieścia. Sprzedasz parę, kupisz sobie chatę.

Do Czesi wreszcie dotarło, o czym mówiła Doris.

– Stuknij się, Doris – mruknęła tylko, klepiąc się w czoło.

Tamta jednak próbowała bronić swego.

– Może to nie są arcydzieła...

– No nie są – zgodziła się Marlana.

– Ale ludzie mają różne gusta.

– Niestety – przytakiwała Marlana.

– I dla każdego co innego może się okazać arcydziełem. Nigdy nie wiadomo. Może kogoś na tyle zauroczą...

Czesia znowu zajrzała jej przez ramię, wyrwała kartkę z bloczka, zmięła ją i wrzuciła do kosza.

– Sprzątnęłaś już trójkę? To idź i sprzątnij, może się kto trafi, i nie wygaduj głupot.

Tysiąc dwieście złotych za kawałek płótna i trochę farby! Sto cztery tysiące...

– Czterysta – dorzuciła Doris.

– Jak żyję, nie widziałam na oczy milionera. Wiesz dlaczego?

Dziewczyna uniosła wzrok na Czeškę, oczekując odpowiedzi.

– Bo milionerzy tu nie docierają.

– Nigdy nie wiadomo. Może akurat. Zawsze jest jakaś szansa.

Marlena z hukiem zamknęła książkę i dopiła kawę, obrzucając marzycielkę pobłażliwym spojrzeniem.

– Wiesz, Doris, jaka jest szansa, że milioner, który przez jakiś niedorzeczny przypadek tu trafi, okaże się miłośnikiem sztuki?

– O, bardzo wielu bogaczy kupuje obrazy...

– W domach aukcyjnych! – ucięła Marlana. – Sotheby's albo Christie! A nie w zapyziałej Magnolii...

– No, no! – zirytowała się Czesia. – Licz się ze słowami!

– W jednym z bardziej zapyziałych zakątków Bieszczad – spokojnie dokończyła Marlana, zbierając się do wyjścia. – Ale nie trać nadziei. Może jakiś ekscentryczny milioner, znudzony

pięciogwiazdkowymi hotelami w najdroższych zakątkach ziemi, trafi tu pewnego dnia i bez mrugnięcia okiem kupi twoje obrazki. Pod warunkiem że jeden z nich spadnie mu na głowę.

Po wyjściu Marleny Doris posmutniała. Na tyle, że nie zareagowała na pojawienie się Marka lekceważącym wzruszeniem ramion ani pełnym pogardy mruknięciem. Nie zareagowała w ogóle. Długo siedziała przy kuchennym blacie i gapiła się w okno, mimo że Czeska trzy razy warknęła, żeby się przestała gapić, ruszyła tyłek i wzięła się do roboty. Dopiero za czwartym razem zeskoczyła ze stołka.

– Jestem bezdomna i będę musiała w końcu się z tym pogodzić – powiedziała bez żalu w głosie i poszła sprzątać pokój.

Przez kilka dni Doris nie chodziła na cmentarz. Czesia przyglądała jej się podejrzliwie dzień, dwa, trzy, w końcu nie wytrzymała i spytała, co jej się stało.

– Chodzę – źle, nie chodzę – źle – odburknęła Doris.

– A możesz sobie chodzić albo i nie chodzić, mnie to nie interesuje – Czesia na to.

– Ciekawe!

– Wszystko z umiarem, tego jestem zdania. Dobrze, że trochę zmądrzałaś.

– Po prostu jestem w paskudnym nastroju. To po co mam chodzić na cmentarz? Filipowi i bez tego nie jest łatwo.

Czesia przewróciła oczami.

– Pod kamienną płytą – na pewno. Jednak nie zmądrzałaś. Kup sobie ze dwie sukienki u Józefiny na poprawienie nastroju i daj mi święty spokój.

Pomysł z sukienkami bardzo się Doris spodobał. Jeszcze bardziej Józefinie. Wieczorem przytargała kilka słoików z różnymi przetworami, żeby Czesia mniej więcej określiła, ile czego chce na zimę. Przykrywka każdego słoiczka była okręcona haftowaną szmatką i obwiązana kolorowym sznurkiem, zawiązanym na kokardkę. Czesia rzuciła okiem.

– A ile masz, to przynoś – powiedziała, nie zastanawiając się chwili. – W zimę, ile by było, to pójdzie.

– Po osiem złotych za słoik – uprzedziła ją Józefina.

– W tamtym roku było po sześć – zdziwiła się Czesia.

Józefina puściła to mimo uszu.

– A sukienki, Doris, po sześćdziesiąt.

– Dopiero były po pięćdziesiąt dwa – zdziwiła się Doris.

Józefina beztrudno wzruszyła ramionami.

– Pazerna się zrobiłaś. – Czesia zajrzała jej w twarz. – Nigdy taka nie byłaś.

– Na lekarstwa potrzebuję.

– Na jakie lekarstwa?

– A zrobić to czy tamto z każdym rokiem coraz trudniej – tłumaczyła się ze swej pazerności Józefina. – Coraz trudniej.

– Żeby to ja miała takie zdrowie! – zezłościła się w końcu Gawlińska. – Osiem złotych za słoik! Parę ogórków, ździebło cebulki...

– Wykonanie się liczy – przerwała jej z wyższością Józefina. – A haft to co!

– A ja spojrzę na słoik i bez haftu wiem, co jest w środku! – prychnęła Czesia. – Nie musisz mi tego wyszywać.

Po Józefinie wszystko spływało. Robiła swoje i swoje wiedziała. Dodała jakby nigdy nic:

– I puste słoiki mi poprzywoźcie pod furtkę, bo nie mam w co kłaść, a wszystkiego się narodziło.

– O, i jeszcze słoiki jej odwieź! A ja wiem, gdzie są?

– Z tyłu, w pakamerze – podpowiedziała Małgośka, która zносиła naczynia po ostatnich

gościach.

Czesia była wyraźnie niezadowolona.

– W sklepie kupisz, słoika nie oddajesz.

– To kupuj w sklepie – zakończyła Józefina. Podeszła do stojaka z wisiorkami.

– Sprzedało się coś?

– Nic! – odparła mściwie Czesia, zakładając ręce na brzuchu.

Jeszcze długo po wyjściu tamtej, przygotowując mięso na następny dzień, mamrotała pod nosem, że najgorzej to z artystkami. Jedna lepsza od drugiej. Byle co zrobią, natworzą nie wiadomo czego i nie wiedzą, ile brać. A człowiek musi się gimnastykować całe życie. Słoiczek za osiem złotych! Bo artystka! Bo kawałek ścierki na nakrętkę założy i zawiąże kawałek sznurka. To może ona też okrzyknie się artystką i skoryguje ceny w menu. Zupa kresowa uwarzona pod natchnieniem, proszę bardzo! I piętnaście złotych, a nie siedem.

– Osiem – skorygowała Małgośka.

– Dlaczego nie! Albo dwadzieścia. Mogłam do tej pory siedzieć na Capri i takimi pierdołami się nie przejmować.

– Mogłaś – przyznała Małgośka.

– I w końcu gdzieś pojedę. Żebyście się nie zdziwiły.

– Tak jak ostatnim razem?

– Nie dogaduj – rzuciła Czesia do Małgośki kursującej z tacą między salą jadalną a kuchnią. – Kończcie już, co macie kończyć, i obydwie zejdźcie mi z oczu. I niech która te słoiki podrzuci starej wariatce pod furtkę jutro z rana.

– Ja nie mogę! – rzuciła z głębi sali Małgośka.

– Ja też nie mogę! – rzuciła z góry schodów Doris.

Nazajutrz Maurycy, wychodząc z Magnolii, potknął się o pudła ze słoikami, stojące na schodach. Zapakował je do auta i zawiózł do Józefiny. Wystawił pod furtką, tak jak prosiła, i chciał odjechać, ale zawrócił, chwycił jedno z pudeł i nie zwracając uwagi na metalową tabliczkę z napisem: „Dzwonić!”, popchnął skrzypiącą furtkę i wszedł. A jak już wszedł, to się rozejrzał. Tuż za porośniętym bluszczem płótem zaczynał się ogród jak ze snu, jak z zapomnianej baśni, pełen kwiatów, krzewów owocowych i ozdobnych. Jedne wyrastały spod drugich, pochylały się nad ścieżkami, wyglądały zza konarów starych drzew, odurzając zapachem i barwami. Chata w głębi tonęła w tym wszystkim, tuszując odrobinę tę orgię różnorodności, tworząc niejako granicę między tym, co piękne, a tym, co użyteczne, bo za nią – wystarczyło wyjrzieć – ciągnęły się rzędy bujnych warzyw, wśród nich oplecione na palikach krzaki pięknych pomidorów i dywan ogórków.

Nigdy nie był w tak pięknym ogrodzie.

I nigdy nie widział tak pięknej kobiety, jak ta, która odwróciła się od stołu pod werandą na tyłach domu, gdy minął ścianę bluszczu, do którego przytuliły się oblepione owocem rozrośnięte krzaki malin. Dzieliło go od niej kilkanaście kroków. Pierwszą młodość dawno miała za sobą – z tej odległości dostrzegł pasemka siwizny w długich, czarnych włosach i twarz delikatnie naznaczoną upływem czasu, ale oczy... Oczy, w których zabłysło zdziwienie, a nawet przerażenie, unieruchomiły go pod ścianą bluszczu, sprawiły, że zabrakło mu tchu, nie dały zrobić kroku. Nawet wtedy, gdy do jego uszu dotarło skrzypnięcie furtki i odgłos ciężkich kroków. Niesamowite, wielkie, pełne nieziemskiego blasku oczy. I wiotka sylwetka pod lekką jak letni poranek sukienką z kremowej mgiełki. W podobnych widywał Doris.

Wiedział, kogo ma przed sobą. Czterdziestokilkuletnią Luizę z opowieści Tuśki. Tę, która całe życie nierozważnie igrała ze śmiercią, w ostatniej chwili przebiegając przez tory przed nadjeżdżającym pociągiem. Tę, która w dniu własnego ślubu z ukochanym Rudolfem wróciła

z tej stacji sama, bo śmierć powiedziała: „Dość tej zabawy, wszystko ma swoje granice i trzeba wiedzieć, kiedy przestać...”.

Wiedział, że to Luiza, której od tamtej chwili nikt na oczy nie widział („Raz ją podobno widzieli...” – przypomniał sobie słowa Tuśki) i każdy zapomniał o jej istnieniu, bo tyle lat minęło. Ale gdy na chwilę przymknął powieki i na nowo je otworzył, ujrzał przed sobą kobietę, w której nie było czasu, a więc i przemijania. Przepiękną kobietę bez wieku. W pierwszej chwili w jej oczach dostrzegł zdziwienie połączone ze strachem, potem pojawiła się rezygnacja. Dlaczego rezygnacja? Pochyliła się nad stołem, na którym stały całe rzędy słoiczków z różnymi przetworami, i zaczęła wiązać na nich kokardki z kolorowych sznurków, już obojętna na obecność intruza. A ten pierwszy blask, który go z miejsca unieruchomił, to nic innego jak nadzieja, że ukochany Rudolf jakimś cudem pojawił się skądś w jej ogrodzie.

– Maurycy... – usłyszał za sobą głos Józefiny i poczuł jej rękę na ramieniu.

Przechylił głowę i spojrzał w oczy starej kobiety.

– Przrzeknij mi, że wszystko, co tu zobaczyłeś, pozostanie tajemnicą.

– Przrzekam. – Bez namysłu skinął głową i opuścił ogród Luizy.

Gdy się obejrzał przy furcie, Józefina siadała w wiklinowym fotelu przy wydeptanej ścieżce. Zdjęła z głowy kapelusz, odruchowo poprawiła włosy, a potem przytrzymała za rękę przechodzącą z jednego miejsca w drugie Luizę.

Musiała jej chyba wytłumaczyć, kim był człowiek, który niespodziewanie wtargnął w jej zapomniany świat. Być może także zapewnić, że nie ma się czego obawiać, bo on nic nie powie. Tak jak go o to poprosiła.

&&&

– Coś się pan tak zadumał?! – huknął nad uchem Maurycego komendant Miśkiewicz junior.

Nie po raz pierwszy odkąd się tu znalazł, Maurycemu przyszło do głowy, że ojciec z synem niewiele mają wspólnego. I najmniej chodziło tu o cechy zewnętrzne.

– Poszłoby się do ciepłego łóżeczka, co? – kontynuował tamten. – Położyłoby się, jakby nigdy nic, i miało wszystko w nosie.

– Nawet nie – wymknęło się Maurycemu z ust.

– Ja bym poszedł – wpadł w słowo komendantowi Zenek Jaszczuk. Zaraz jednak uchylił się jak przed ciosem pod wzrokiem policjanta i dodał szybko: – Ale przecież zdążę. Póki pan tu, komendancie, swoich spraw nie pozafatwia.

Komendant podszedł do zniszczonej ściany, oparł mocne dłonie na rozwalonym murze i wypluł Jaszczukowi w twarz:

– To nie są moje sprawy, tylko wasze, Jaszczuk! Jeszcze ci to do tego pustego łba nie dotarło?! Ja to już prawie jestem na urlopie! Z którego szybko nie wrócę. – Rozejrzał się z niesmakiem po wnętrzu. – Tak nienawidzę remontów. Jak żona zaraz po ślubie zabrała się do malowania ścian u nas w domu i przestawiania gratów, to miałem ochotę unieważnić małżeństwo.

– A bo też panu, panie komendancie, zachciało się żeniaczki na stare lata.

– Na jakie stare lata, Jaszczuk? Czterdziestka dopiero co mi minęła. A ty ile żeś młodszy? Dwa, trzy lata?

– Cztery! – odparł z triumfem tamten.

– A ile żeś tę swoją piźniętą Anusię znał, nim ci w pustym łbie zaświtało, żeby się z nią żenić? Dwa, trzy miesiące?

– No... tak jakoś.

– No to w sprawach żeniaczki się nie wypowiadaj. Bo wszyscy wiemy, o co głównie tej twojej Anusi chodziło.

– A bo Halinka niepotrzebnie zaczęła jej dogadywać. Od tego się zaczęło. A jak się już coś zacznie, to wiadomo.

Mecenas Lorka rzucił się na wyrku.

– A sam go zaraz zdzielię, komendancie, jak się z tą Anusią wreszcie nie zamknie!
– wrzasnął. – Skąd on tę Anusię wytrzasnął, za Boga jedyne go nie wiem!

– No przecież nad Soliną żem ją z początku lata wypatrył – wyjaśnił Jaszczuk, zdziwiony, że ktoś jeszcze tak oczywistego faktu nie zna. – Tancerka. W lokalu tańczy...

– Chyba na rurze! – przerwał mu mecenas, chwytając się za głowę. – Jak sobie pomyślę, ile razy mogłem go zastrzelić, to mnie krew zalewa! W ostatniej chwili ręka mi zdrząła...

– Boś pan zawsze był na kacu – przerwał mu Jaszczuk, obgryzając paznokcie u małego palca.

– I zawsze jak byłem na kacu, to ty, kreaturo, musiałeś skoro świt tą rozklekotaną furgonetką pod samym oknem przejeżdżać?!

Jaszczuk wzruszył ramionami.

– A co mnie to miało obchodzić.

– A to, że cię zawsze upominałem... przed sylwestrem albo większym polowaniem: Nie przejeżdżaj mi tylko jutro z rana, Jaszczuk, tą swoją rozklekotaną budą pod oknem, bo cię zastrzelę. Nie zastrzeliłem cię, ale teraz cię uduszę, bo już nie mogę na twoją gębę patrzeć ani cię słuchać.

Mecenas Lorka rzucił się na Zenka i zaczął go dusić. Maurycy spojrzął na komendanta, komendant na Maurycego.

– To coś się pan tak, panie Murawski, zadumał?

Są takie sprawy, przemknęło przez myśl Maurycemu, nad którymi trzeba się pochylić i dłużej o nich podumać. Są takie sprawy, które zmuszają człowieka do zrewidowania własnego życia, chociaż Maurycy nie przyjechał tu, by cokolwiek rewidować, poddawać ocenie takiej czy innej. Przyjechał odnaleźć miejsce, które zadziało jak zwrotnica, przestawiając jego życie na sąsiedni tor, i sprawiło, że napisał pierwszą z wielu powieści. A te z kolei w poszukiwaniu środków do życia zaprowadziły go do restauracji brata, a stamtąd na stację benzynową, gdzie którejś nocy w jednej chwili skończyło się czyjeś życie i w dalszej konsekwencji przywiodły tu, gdzie jest teraz.

Tylko że to nic nie oznacza, zaśmiał się w duchu, stary panie komendancie Miśkiewicz. Do końca swoich dni nie rozwiąże pan tajemnicy zniknięcia jakiegoś dziecka, skupiając się na przypadkowości zdarzeń z jednej strony, a z drugiej doszukując się w ich konsekwencji pewnej logiki. Gdyby coś się nie zdarzyło, zdarzyłoby się coś innego. Tak się toczy każde życie. Tak i ja się tu znalazłem. Nie wiem jak i nie wiem po co, bo o miejscu, które mnie tu sprowadziło, w pewnym momencie zacząłem coraz mniej myśleć. Stałem za czyimś oknem i patrzyłem na czyjeś życie, jakbym oglądał film, który w pewnym momencie mi się spodobał. Nic więcej.

Jaszczuk zrobił się czerwony na twarzy i zaczął rzezić. Dopiero wtedy komendant walnął ręką w stół i wrzasnął:

– Spokój tam, jasna cholera!

Mecenas Lorka zluźnił nieco palce na szyi Jaszczuka i spojrzął z wyrzutem na komendanta.

– To czynna napaść, komendancie – wycharczał Jaszczuk, zataczając się pod ścianę.

– Nic pan nie zrobi?

– Zrobię. Pójdę tam zaraz i tak cię zdziwię, że żaden z ciotecznych braci cię nie rozpozna.

– O, pan to zaraz, panie...

– Cisza!

Z przedsionka dał się słyszeć jakiś stukot, jakieś zamieszanie. W sekundę później wtoczył się do środka Adam Gorzelak na wózku, a tuż za nim Olga. Zza jej ramienia wychylił się Dulęba.

– Pppppanie komennndancie, ja ttttto już nie wiem!

– Ja, Dulęba, też – powiedział komendant beznamiętnym głosem, wbijając wzrok w Gorzelaka, który podjechał wózkiem na środek pokoju, rozejrzał się po wnętrzu i zatrzymał przy krześle, na którym siedział Maurycy.

– Byłem tam i widziałem wszystko. I mogę zeznać...

– A kogo tam nie było, panie Gorzelak? – przerwał Miśkiewicz.

Mnie tam nie było, odezwał się jakiś cichy głos w głowie Maurycyego. Tak cichy, że nikt poza nim go nie słyszał. Siedziałem przy stole, patrzyłem na wszystko, ale w niczym nie uczestniczyłem. Jakbym oglądał jakiś film w obecności jego twórców albo w towarzystwie autora czytał książkę, którą napisał.

Coś działo się obok, całkiem ode mnie niezależnie. Nie musiałem nic udawać.

Nie musiałem ukrywać obojętności wobec tych ludzi i zdarzeń, jak Józefina ukrywa swą bezradność pod kolejnym kapeluszem.

Nikt nie oczekiwał, bym jakimkolwiek gestem, słowem albo mimiką uzasadnił swą fizyczną obecność w tamtym miejscu.

Może dlatego wszyscy się zdziwili, gdy w końcu na coś zareagowałem, powstrzymując jakiegoś wariata przed zabiciem Doris.

Ale... Zapewniam was... to był tylko odruch.

ZAKOCHANE W MAGNOLII

W połowie sierpnia wróciła z wakacji Olga z mężem. Adam Gorzelak, mężczyzna po pięćdziesiątce, na wózku, nie spuszczał wzroku z żony, która mogłaby być jego córką. A ona z niego. Ciągłe byli w zasięgu swego wzroku, patrzyli na siebie z uśmiechem, odpowiadali na pytania i tłumaczyli się z tak długiej nieobecności.

– To tylko miesiąc – mówiła Olga, kładąc dłonie na ramionach Adama.

– Zleciało nie wiadomo kiedy – tłumaczył się Adam, przytulając głowę do dłoni żony.

– Po piętnastu latach małżeństwa to chyba nie miodowy? – zagadnęła Marlena, odrywając się od lektury.

– Dlaczego nie? – usłyszała w odpowiedzi.

– Litości! – Przewróciła oczami. – Jeszcze rok temu zastanawialiśmy się wszystkie, jak masz go sprzątnąć. Otruć, utopić czy podciąć mu żyły.

Olga roześmiała się głośno, usiadła mężowi na kolana, a on ją przytulił.

– Adam już nie chce umierać – odparła wesoło. – Bo zawsze, jak o tym mówisz, zapominasz dodać, że to on mnie o to prosił. Na wypadek gdyby ktoś obcy te niedorzeczności usłyszał. – Wyrzwała do przedsionka, skąd widać było Maurycego, który siedział na schodach przed wejściem.

– I teraz już tak będziecie się lepić do siebie? Odbiło wam?

– A niech się lepią – wtrąciła Czesia. – Szkoda ci?

Marlena prychnęła lekceważąco, dodając po chwili, że jej w tym temacie niczego nie brakuje. Czego nie można powiedzieć o Czesi. Na co ta warknęła, że jej też niczego nie brakuje, bo jakby brakowało, to dawno by sobie kogoś znalazła. Potrzebne jej to! Na stare lata! Trzeba się czasem stuknąć i wiedzieć, co pasuje, a co nie. Czasu nie oszukasz. Zmarszczek od migdalenia się z tym czy z tamtym nie ubędzie. Chyba że rozumu – to tak. Rozum stracić łatwo. Tylko co potem?

– Jakie potem?! – Marlena rąbnęła książką o stół, aż Marek, drzemający jak zwykle pod oknem, wzdrygnął się, otworzył oczy, popatrzył na nią, potem na Czesię i ziewnął.

– No... potem... – Czesia niezdecydowanie zamachała ręką w powietrzu.

– Co mnie obchodzi jakieś potem! Dziś jestem, jutro mnie nie ma!

– Nie bądź taka szybka.

– Bo co?

– Bo tak szybko z tego świata się nie odchodzi.

– Założysz się?

– O co?

– O wszystko!

– Dobra!

Olga zeskoczyła z kolan Adama i stanęła między nimi dwiema.

– I tego mi właśnie brakowało – powiedziała.

Żadna nie spytała czego, bo dobrze wiedziały. Zerknęły na siebie, popatrzyły na Olę i całą swoją złość natychmiast wyładowały na niej, bo na kimś trzeba było.

– To coś tam tyle czasu siedziała? – zaczęła jedna.

– Nad tym morzem! – dodała druga.

– Zostawić Świetłanie całą gospodarkę na głowie...

– Pole, krowy, kury...

- W pełni lata!
- Trzeba mieć odwagę.
- Albo nie mieć rozumu.

Adam podjechał wózkiem do Olgi, pociągnął ją na kolana i kręcąc kółkami, zaczął jeździć pomiędzy stolikami jak wariat albo jak dziecko, które dostało nową zabawkę. Przewrócili stelaż z wisiorcami, dwa krzesła, a w holu koszyk pomidorów od Józefiny. Olga śmiała się głośno, beztrzesko, krzyząc: „Szybciej, Adam, szybciej!”, dopóki nie wpadli na Doris wychodzącą z przedsionka. Właśnie przyjechała z cmentarza i jak zawsze po powrocie stamtąd nie była w radosnym nastroju, ale na widok Olgi widocznie zapomniała, skąd wraca, bo rzuciła jej się na szyję i mocno uściskała. Olga oparła głowę o pierś Adama, rozejrzała się po sali i powiedziała:

- Ja też za wami tęskniłam, ale musieliśmy się z Adamem o czymś przekonać. Co to za facet z laptopem siedzi na schodach przy wejściu?
- To Maurycy – odparła słodkim głosem Doris.
- Pisarz – dodała Czesia.
- Znany jakiś?
- E tam! – Lekceważąco machnęła ręką. – Coś tam napisał...
- *Twarz mordercy!* – zapiszczała Tuśka, wchodząc z werandy, gdzie wraz z Małgošką rozpracowywały ofiarowanego Tuśce przez Marlenę laptopa. – I *Drugą twarz mordercy*. Bardzo dobre.
- Już nie masz czego czytać! – skarciła małą Czesia. – Czytasz głupoty, a potem wymyślasz nie wiadomo co... Po wakacjach gimnazjum. Dotarło to już do ciebie?
- No pewnie! – zawołała Tuśka. – I akurat dobrze, że Marlina dała mi tego laptopa. Jeszcze jakby nam trochę pieniędzy z fasolki zostało, żeby od razu zainstalować internet, to już by było super. Wszystkie dzieciaki mają, tylko ja jedna... Sama pani wie, pani Gawlińska, przez internet wszystko załatwisz, wszystkiego się dowiesz, z domu można nie wychodzić. O, przecież nawet bilet na Capri to też Doris pani w ten sposób kupiła...
- No właśnie! – Olga wpadła jej w słowo. – Ale ze mnie egoistka. Nawet nie zapytałam. Czesia! Podróż twojego życia...
- Dobrze powiedziane – wtrąciła Marlina.
- Opowiadaj, jak było?!
- Czesia zerknęła na Marlenę, zmroziła ją wzrokiem, po czym wzruszyła ramionami.
- Jak to na Capri. Nie wiesz?

– Lubię, jak wszystko ma ręce i nogi – mruzczała z zadowoleniem Czesia Gawlińska, sprzątając z Małgošką salę jadalną po imprezie z okazji rozpoczęcia nowego sezonu myśliwskiego. – Olga na miejscu, nie muszę sama co drugi dzień jeździć po warzywa. Kolacja dla myśliwych udana.

- Kolacja? – wtrąciła Małgoška. – Niektórzy zostali do śniadania.
- E tam, nie narzekaj, bo nie ma na co.

Nie było. Tylko dwa rozwalone na amen krzesła (i tak były stare), bo się dwóch myśliwych nie mogło zgodzić co do liczby ustrzelonych kaczek, kilkanaście zrzuconych ze ściany obrazków Doris (niewielka strata) i jedna pęknięta szyba w drzwiach na werandę.

– Bywało gorzej. O potłuczonych naczyniach nawet nie warto wspominać.

- Przyjdzie Jaszczuk na kolację, powiedz mu o szybie, Doris, niech wymierzy i wymieni...

– Szybę? Ja bym całe drzwi wymieniła – odparła tamta. Stała przy zlewie obłożona stosami brudnych naczyń.

– Któryś z jego braci ciotecznych jest szklarzem.

– I nie tylko drzwi – dodała Doris.

Ale wcześniej zjawił się Marek. Rozejrzał się, pozbierał z podłogi obrazki i zaczął je wieszać. Doris udawała, że tego nie widzi.

Zaraz po nim przyszła Marlena. Rozejrzała się, stwierdziła, że bywało gorzej, i zrobiła sobie kawę.

– Zdawało mi się – zagadnęła, pijąc ją przy swoim stoliku – czy słyszałam z rana strzały na drodze?

– Mogłaś słyszeć – odparła Czesia. – Mecenias nieprzytomny wyszedł koło czwartej. Jaszczuk teraz jeździ już po piątej. Jedzie i trąbi. Lorka mógł nie wytrzymać.

Zanim Marlena wypila kawę, wszedł komendant Miśkiewicz. Rozejrzał się, powiedział: „No tak!”, i podsunął Czesi pod nos kolejne zdjęcie z policyjnego radaru.

– Z tamtego poniedziałku – oświadczył.

– Nie! – zaprzeczyła Czesia, zerknąwszy. – Z wtorku. Jasna bluzka w groszki.

W poniedziałek ją kupiłam w Komańczy. Przecież bym od razu na siebie nie włożyła.

– Ano tak – zgodził się komendant, odczytując datę. – I co ja mam z tym zrobić, pani Gawlińska?

– A ja, komendancie? – odpysknęła Czesia. – Myśli pan, że nie mam co robić, tylko się rozglądać za radarami? Na drogę patrzę!

– Jeszcze jakby pani patrzyła na znaki. Zwłaszcza te z ograniczeniem prędkości...

– Patrzę.

– I raz w życiu spróbowała się do nich dostosować. Przecież ja już dziesięć razy powinienem odebrać pani prawo jazdy.

Na Czesi te słowa komendanta nie zrobiły większego wrażenia. Objęła wzrokiem sprzątniętą jako tako salę jadalną, zdjęła ochronny fartuszek i, rzucając go na oparcie krzesła, powiedziała:

– Gulaszu z sarniny tyle zostało z wczoraj, że nie wiem, co z nim zrobić. Wszystko zapłacone, to przecież nie wstawię do karty dla klientów, taka nie jestem, a zresztą jeszcze czego! Doris, przygrzej no panu komendantowi, bo lubi!

Nim skończyła mówić, Doris postawiła na stoliku gorący gulasz w miseczce, rozłożyła sztucce. Miśkiewicz łypnął wzrokiem to na jedną, to na drugą i poczerwieniał ze złości.

– Gulaszem mnie tu pani chce, pani Gawlińska, przekupić?! – Zamachał Czesi palcem wskazującym przed nosem.

– No niech mnie pan, komendancie, nie obraża! – zachnęła się urażona. – Nawet mi to do głowy nie przyszło.

Miśkiewicz jeszcze raz obrzucił je wzrokiem, usiadł za stołem i zaczął jeść.

– Wszystkie tu jesteście dobre.

– A gulasz? – szarżowała winowajczyni.

– Też dobry! – warknął. – Tylko że nie po to przyszedłem...

Czesia zakręciła się w kuchni, po czym wyszła po chwili z zawiniętym w folię pasztetem. Położyła go przed komendantem, mówiąc:

– Dla Krysi.

– Dla jakiej Krysi?

– No, żony komendanta.

– Wiem, jak ma na imię moja żona, pani Gawlińska!

– To co się pan pyta.
Znowu pogroził palcem, ale Czesia ponownie to zlekceważyła.

– Była tu ze dwa dni temu, mówiła, że jakbym kiedy miała, to kupi. No ale też z zamówienia mecenasa, więc przecież pieniędzy nie wezmę, bo jak!

– A po jakiego diabła moja żona tu była? – spytał podejrzliwie.

– A chyba od babki z Łupkowa jechała... Tej, co z moją babką Klarą były spokrewnione przez...

– Pani Gawlińska! – Komendant uderzył ręką w stolik. Odsunął z impetem pustą miseczkę. – Niech mi pani tu znowu z babką Klarą nie wyskakuje, bo o ile wiem, kobieta od roku nie żyje!

– Cóż z tego? – Czesia wzruszyła ramionami.

– Dołożyć? – spytała z niewinną miną Małgośka, zabierając pustą miseczkę.

– Nie! – huknął Miśkiewicz, aż Marlena, pogrążona w lekturze, wzdrygnęła się gwałtownie. Posłała mu karcące spojrzenie. Komendant wytarł serwetką usta, uspokoił się.

– Powinienem tu Gajczaka przysłać, inaczej by z wami gadał. Tylko że nie po to tu w sumie przyszedłem. – Podał Czesi zdjęcie z radaru, którym natychmiast zaczęła się wachlować, patrząc na komendanta wyczekującym wzrokiem. – Zawiadomienie było... O jakichś strzałach tutaj skoro świt.

– Od kogo?! – zdziwiła się Czesia.

– Od jakiegoś turysty.

– Patrz pan, jakie to teraz turysty się porobiły! – zawołała zbulwersowanym tonem. – No nie do pomyslenia. A niech sobie po kurortach jeżdżą, jak tacy wrażliwi na strzały. Komendant zbagatelizował ton Czeński.

– Myślałem, że może od was... Z noclegu.

– No co pan! Jak mecenas Lorka urządza imprezę, nikogo się na nocleg nie przyjmuje.

– Nie będę pytał dlaczego – zakończył komendant. Rozejrzał się, zatrzymując na chwilę wzrok na pękniętej szybie, na Marku, który wycierał rękawem koszuli zawieszzone na ścianie obrazki, i wstał. – Gulasz bardzo dobry.

Wychodząc, dodał jeszcze, bez wielkiej nadziei, że jakby coś sobie przypomniały o tych strzałach, to znają numer na komisariat.

Temat wrócił po południu, gdy punkt piąta siedemnaście Zenek Jaszczuk zjawił się na obiad. Wystrojony jak do kościoła w garnitur i białą koszulę, niezmiennie od dwóch prawie lat, to znaczy od czasu, gdy zaczął darzyć Doris nabożnym uwielbieniem. To uwielbienie z biegiem czasu znacznie osłabło, Jaszczuk stroił się więc każdego dnia już chyba tylko z przyzwyczajenia.

– Pojechałbyś, Jaszczuk, jak zjesz, do kuchni po szynkę – zagadnęła Czesia, ledwie usiadł.

– A niech pani, pani Gawlińska, szybami tyłka... to znaczy głowy... Bez różnicy! ...nie zawraca.

Czesia obrzuciła wzrokiem pospolitą gębę Jaszczuka, pokręciła głową, gdy Zenek zaczął odsuwać naczynia po poprzednich gościach, i przytaknęła:

– U ciebie to chyba rzeczywiście bez różnicy.

– Po opony muszę jechać do brata ciotecznego! – usprawiedliwił się.

– A to nie ten, co szkli?

– Nie ten!

– Cóż ci się nagle z oponami stało? Po tych wertepach to jest jakaś różnica, na czym jeździsz?

– Jest! – warknął. – Taka, że bez powietrza i z dziurami po nabojach można se jechać!

– Aaaa... to jednak mecenas z rana strzelał!
– A to jakaś nowina, pani Gawlińska? Cóż się pani tak dziwi?
– Nie dziwię się, tylko trochę żałuję, że ci się odmieniło na punkcie Doris i znowu schamiałeś, jedziesz jak wariat skoro świt tym ledwo trzymającym się kupy gratem, budzisz całą okolicę i jeszcze masz pretensje, że mecenas do ciebie strzela.

– Nie mam żadnych pretensji. I nic mi się na punkcie pani Doris nie odmieniło, ale wiem, że nie dla psa kiełbasa. A pora by chyba o jakiejś przyszłości pomyśleć. Z Halinką będę w chałupie siedział, stary kawaler ze starą panną? Głupie filmy po nocach z nią oglądał? Która to szyba? Może z rana pojedę. Dyktą se na noc zatkajta.

Temat przyszłości Zenka wrócił po paru dniach, gdy w Magnolii pojawiła się jego siostra, Halinka. Dochodziła szósta. Zenek dopiero co skończył swój obiad, pił kompot i dłużył zapalką w zębach. Ze dwa razy mu się odbiło. Na widok Halinki parsknął krótkim śmiechem.

– No i nawet wiem, po co żeś przysła! – zawołał triumfującym głosem.
Halinka stanęła przy stoliku Marleny, załamując ręce.
– Pani Doris, Czesia... Może wy mu przemówicie do rozumu, bo ja to już nie mam siły.
– A o co chodzi? – spytała bez specjalnego zainteresowania Gawlińska.
– O moją przyszłość – odparł górnolotnie Jaszczuk. – Czas się ustatkować, nie? Ona myśli – mówił szybko, nie dając siostrze dojść do słowa – że do końca życia będę z nią siedział, głupie filmy z nią oglądał po nocach i czekał nie wiadomo na co. Tkwi w tym kiosku cały dzień, durne gazety czyta i to jej wystarcza. Mnie nie. Grosza dość z tego handlu odłożyłem, nawet żem nie wiedział, że aż tyle. Jak mi siostrzenica przez internet konto sprawdziła, to się za głowę złapałem...

– Jaka siostrzenica? – przerwała Czesia, zerkając na Halinkę.
Jaszczuk parsknął śmiechem.
– No przecież nie po niej! Po ciotecznej siostrze. No to się od razu zacząłem za chałupą rozglądać. Chałupę znalazłem. Czas o rodzinie pomyśleć. Dokąd to będę na te... no... jeździł.
– No tak, najlepiej się z jedną z nich, baranie, ożenić! – wyrzuciła z siebie Halinka.
– Ty mojej Anusi nie obrażaj – zareagował stanowczo Jaszczuk – bo to porządna dziewczyna. Tylko tak jej się życie ułożyło.

– Czesia... Pani Doris... – załkała Halinka. – Powiedzcie mu coś.
– Nie znam tematu – zaczęła dyplomatycznie Czesia – ale rodzina to poważna sprawa, Zenek...

– A czy ja nie wiem?!
– Musisz mieć absolutną pewność, że odpowiednią osobę do domu wprowadzasz...
A gdzie ty znowu chałupę wypatrzył, że ci na nią z tego handlu obwoźnego starczyło?
– A mało żeśmy domków z Kazikiem, bratem ciotecznym, nastawiali! – obruszył się Zenek. – O, te wszystkie, co z szosy w dole widać, to nasza robota! A zresztą – machnął ręką – psie pieniądze, pani Gawlińska, bo to feralne miejsce.

Wyjął telefon komórkowy i zaczął w nim czegoś szukać.
– Mam zdjęcia – mamrotał pod nosem. – Chałupa stara, ale się wyszykuje. Gdzież one są... I odludzie trochę, ale co to teraz za problem, jak wszędzie samochodem się dojedzie... O! jest. Pani patrzy, jakie ładne miejsce.

Czesia zerknęła, mrużąc oczy.
– A gdzież to jest?
– Może pani nie znać... Od Buka, jak się serpentynami zjeżdża, dobrze widać... Wzgórze Wilków...

– Wzgórze Wilków?! – zawołała Tuśka, wchodząca z tobołem pościeli do Magnolii.

– Tam to dopiero była historia! Mogę wam opowiedzieć, jak nie słyszeliście...
– Zamilcz! – rzuciła ostrzegawczym tonem Czesia. – Już ty nam lepiej nic nie opowiadaj, bo jak zaczniesz, to do grudnia nie skończysz.
Tuśka bezceremonialnie wyrwała Zenkowi telefon i zaczęła przeglądać zdjęcia.
– Stary komendant, jak mu nieraz chałupę sprzątam, to o niczym innym nie gada.
A pod sklepem to przecież też tylko o tym... O! – wykrzyknęła. – A z tego ujęcia to jakbym już gdzieś widziała.
– Pokaż! – Zenek próbował odebrać jej telefon, ale nie pozwoliła. Zerknął więc tylko.
– Tu to najładniej widać. Cała ta... no... jak to się mówi...
– Panorama – podpowiedziała Małgośka, zaglądając.
– O! To z drogi, zaraz zza zakrętu, jak się wyjeżdża. Anusi pokażę. Bo jeszcze jej nie pokazywałem.
– Zlituj się, Panie Jezu! – jęknęła Halinka.
Tuśka uderzyła się otwartą dłonią w czoło.
– No to przecież już wiem! Okładka *Twarzy mordercy!* Jakby kto przerysował. Maurycy!
– zawołała w stronę otwartych drzwi.
Pisarz siedział z laptopem na kolanach na schodach przed Magnolią. Podniósł się i wszedł do środka. Tuśka podsunęła mu pod nos ekranik telefonu.
– Widziałeś, Maurycy?!
– Co to? – zapytał.
– Wzgórze Wilków – odparła Tuśka. – O tu, popatrz, to bez chaty w dole... Pamiętam, bo niedawno czytałam... Nie wydaje ci się?
Maurycy uważnie wpatrywał się w zdjęcie.
– Nie wiem – odparł.
– Tylko u ciebie pod lasem stoi facet. Normalnie ciarki mnie przeszły, jak na tę okładkę spojrzalam, jeszcze nim zaczęłam czytać. Od razu człowiek zadaje sobie pytanie, po co ten facet tam stoi. Taki wielki, choć mały na tle wzgórza, dziwna sylwetka...
– Stoi i patrzy – dokończył Maurycy, po czym zwrócił się do Zenka: – Gdzie jest to wzgórze?

&&&

– Niech pan jedzie do domu, panie Gorzelak – powiedział komendant Miśkiewicz zmęczonym, nieco zachrypniętym głosem. – Pani też. Wyśpijcie się... – Zerknął na zegarek.
– Jeszcze zdążycie... Jutro jedźcie do kościoła, potem usiądźcie do obiadu... Ma pan bardzo dobry wózek.
– Mam bardzo dobrą żonę – odparł Adam, spoglądając z dołu na komendanta.
– No właśnie, panie Gorzelak. No właśnie... Macie swój dobry świat.
– To, co zrobił Maurycy... – zaczęła Olga, zaglądając w głąb pomieszczenia. – Boję się nawet pomyśleć, co by się stało, gdyby tego nie zrobił.
– A ja – Miśkiewicz wszedł jej w słowo – boję się pomyśleć, co by było, gdyby uderzył mocniej.
– To był impuls.
– Impuls... – powtórzył za Olgą Miśkiewicz. – Chce mnie pani przekonać, że kij bejsbolowy stoi sobie w Magnolii ot tak, pod ręką? Żeby w razie czego można było sięgnąć i użyć w akcji samoobrony? Byłem tam parę razy i jakoś nie widziałem. Więc jeśli go nie było pod ręką, tylko trzeba było gdzieś po niego iść i skądś go przynieść, to już nie był impuls.
Olga położyła rękę na ramieniu męża. Spojrzeli sobie w oczy. Komendant popatrzył

na jedno, na drugie.

– Gawlińska was przysłała – odgadł. – Wie, że kogo jak kogo, ale was darzę szczególnym szacunkiem. Wie, jak wiele zależy teraz ode mnie, i poniekąd ma rację. Wiele, ale nie wszystko.

– Popatrzył na Maurycego, bujającego się na krześle, z nogami sztywno wysuniętymi przed siebie. – Godna podziwu lojalność wobec człowieka, którego znałyście zaledwie parę miesięcy.

– Narażał życie...

– Ja wiem – przerwał Oldze Miśkiewicz. – I tak to mam zamiar przedstawić w raporcie. Tylko że sam muszę mieć co do tego absolutną pewność. A jeszcze nie mam. Coś mi tu jeszcze nie pasuje.

– A nie da się...

– Nie da się. Ojciec, stary dureń, nauczył mnie jednej rzeczy: rodzinne sprawy powinno się załatwiać w rodzinie. A nasze środowisko to taka trochę większa rodzina... Nikt z zewnątrz tego nie zrozumie...

Olga skwapliwie przytaknęła.

– Co tam, do diabła! – Parsknął śmiechem. – Zebrało mi się na górnolotne pierdoły w środku nocy.

– Dlatego że środek nocy – wtrącił Adam Gorzelak.

– No właśnie. Prozaicznie sprawa wygląda następująco: była awantura, są ofiary...

Na szczęście nie śmiertelne. Zależy, jak się tam sprawa dalej rozwinie... Jest szpital. Szpital zgłasza policji przypadki z użyciem niebezpiecznych narzędzi. Byliśmy na miejscu i na razie sprawa jest w naszej kompetencji... – Rozłożył ręce. – Kółko się zamyka. Ale się odemknie, jeśli ofiara nie przeżyje...

– Ofiara? – zdziwiła się Olga.

– Zacznie się poważniejsze dochodzenie, w którym moja rola sprowadzi się do rzetelnej prezentacji faktów z miejsca zdarzenia. Murawski do tej pory musi mnie przekonać, że tak i tak, a ja to tak i tak przedstawię. Do rana będziecie mieć Murawskiego z powrotem, a co dalej, to już mnie nie obchodzi. Tylko niech mnie tu już nikt więcej w jego sprawie nie nachodzi, bo stracę cierpliwość.

Adam zakręcił kółkami wózka i zapuścił wzrok w głąb pomieszczenia.

– A mecenas za co tu siedzi?

– Za nic – Komendant wzruszył ramionami. – Gangsterów się boi.

– Jakich gangsterów?

– A nie wiem, z jakimi gangsterami on się zadaje. Powiedział, że się nie ruszy, póki nie dostanie ochrony. Niech siedzi. – Zwrócił się do Olgi: – Doris się ocknęła?

– Godzinę temu. Dziewczyny zaraz pojechały, ale nikt ich nie wpuścił. Leży podobno, uśmiecha się i mówi, że świat jest piękny... Pielęgniarka nam powiedziała...

– To jednak coś jej się poprzestawiało pod sufitem.

Olga gwałtownie pokręciła głową.

– A nie! Doris zawsze była właśnie taka. To znaczy, nie zawsze... Do śmierci Filipa.

Komendant otworzył drzwi i grzecznie poprosił Olę z Adamem do wyjścia.

– One tam wszystkie – mruknął pod nosem, zamykając je, gdy oboje wyszli – jakieś takie... I zawsze tam się dzieją cuda.

&&&

Kilka dni po imprezie myśliwskiej, ledwie wszystko zostało jako tako ogarnięte, Doris wyjechała do Krakowa.

– Muszę się wreszcie rozwieść z tym palantem – odpowiedziała na pytające spojrzenia

Czeški i Marleny, gdy zeszła z góry z niewielką torbą podrózną. – No i chciałabym wreszcie zobaczyć się z matką.

– A co cię tak nagle naszło? – spytała Czeška.

– Dwa lata jej nie widziałam.

– Nie z matką. Z tym rozwodem.

– Bo chyba najwyższa pora. Coś mu odbiło, przenieśli go z więzienia do wariatkowa. Nie mam na co czekać.

– Skąd wiesz? – dopytywała Czesia.

– Marcel dzwonił.

Marcel, były kochanek matki Doris (a może i wciąż aktualny – Doris nie miałyby nic przeciwko temu), to jedyny mężczyzna, na którego mogła liczyć. I na nikogo więcej. Ten, dla którego narażała życie, wynosząc z domu męża szantażysty torbę z trzystoma tysiącami, okazał się niewdzięcznym dupkiem. Co z tego, że teraz przesiaduje całymi dniami w Magnolii, nie spuszcza z niej oka i jedyne, co potrafi powiedzieć, to: „Doris!”. Co powiedział, gdy po raz pierwszy wpadł tu na obiad, a ona nieprzytomna z miłości stała przy stoliku z bloczkiem zamówień, myśląc, że zaraz rzucą się sobie na szyję, kiedy mu powie, co dla niego zrobiła? Nawet jej nie poznał.

– Jak miał cię poznać, Doris?! – Marlena przewróciła oczami. – Znał szarą gęś z krakowskich przedmieść...

– Powiedział: „Taka jedna ofiara losu...”.

– Ale jeszcze nie wiedział, że ty to ty.

– No właśnie!

– Co właśnie? Powiedz mi, dla kogo tu siedzi od zimy? Dla pięknych widoków za oknem?

– Nie przekonacie mnie.

Marlena machnęła ręką.

– Nie mam zamiaru cię przekonywać. Rób sobie, co chcesz, jedź, gdzie chcesz, i z kim chcesz bierz rozwód. W ogóle mnie to nie obchodzi.

Doris przygryzła wargi, poprawiła torbę na ramieniu i pochyliła się nad rozwalonym przy wyjściu Absurdem.

– Psa mi pilnujcie – powiedziała.

– A nie możesz go z sobą zabrać? – spytała bez nadziei w głosie Czesia. – Jeszcze mi tylko psa do tego wszystkiego brakuje, bo mało mam na głowie.

– Byle czego mu do jedzenia nie dawaj, bo nie zje. Jak będzie chciał iść na cmentarz, to niech idzie.

Marlena wysunęła oczy zza gazety, spojrzały na siebie z Czesią.

– A ty jak wrócisz, to się wybierz do psychiatry – zaproponowała Czesia. – Pies będzie chodził na cmentarz! Trzymajcie mnie!

Po wyjeździe Doris Absurd co drugi dzień biegł na cmentarz. Pokręcił się trochę po Magnolii, powęszył, posiedział na schodach, kłapiąc pyskiem, po czym zrywał się, pędził do bramy i znikał za nią.

– Szwenda się po okolicy – uznała na początku Czesia. – Przecież nikt mi nie powie, że biega na grób Filipa.

A gdy jej mecenas Lorka powiedział, że widział Absurda przy cerkiewce, parsknęła nerwowym śmiechem. Resztę niewielkiego wzgórze tuż za cerkiewką zajmował mały cmentarz. Czesia popatrzyła na psa, który właśnie wbiegł w bramę, rozejrzał się, dysząc, a potem uwalnił przy schodach, i powiedziała:

– Ale o kwiatkach nie pamięta. A taki miał być mądry.

Karmiła go raz dziennie, pilnowała, żeby miał wodę w misce, i nie zawracała sobie nim głowy. Absurd zresztą żadnej specjalnej uwagi się nie dopominał. Poza wypadami na cmentarz leżał całe dni przy schodach i patrzył na bramę. Od czasu do czasu zaskamlał. Od czasu do czasu odwrócił łeb, zerknął na siedzącego na schodku Marka, po czym kładł łeb na łapach i nieruchomiał. Obaj wpatrywali się w bramę.

– Szczęściara – odezwała się pewnego dnia Marlana, wchodząc do Magnolii. Minęła na schodach Marka i Absurda. Marek się odsunął, pies nie. – Obaj czekają na Doris.

– Żeby tak na mnie kto kiedy czekał – mruknęła Czesia, kursując z tacą między kuchnią a werandą. – Kawę sama sobie zrób, widzisz, że jestem zajęta.

Marlena, wyraźnie niezadowolona, podeszła do ekspresu. Zrobić sobie kawę to nie problem, ale pić ją w samotności – średnia przyjemność.

– Długo będziesz tak biegać w tę i z powrotem? – zwróciła się w pewnym momencie z pretensją do Czesi.

– Gości mam! Nalazło się tego wczoraj i dziś, jak na złość. Od rana nic nie jadłam, nie mam kiedy.

– A Małgośka?

– Pokoje ogarnia. Też zła, bo chciała jechać na zakupy, małą do szkoły wyszykować. Ale nie może, bo artystka wymyśliła co innego. Znalazła sobie porę na rozwody! Nagle ją olśniło – mamrotała dalej Czesia, jednocześnie pilnując kuchni i zamówień klientów. – Ni z tego, ni z owego. Zimą się takie rzeczy załatwia, a nie w pełni sezonu. Zimą będzie malowała! Tylko patrzeć, jak kurier zacznie jej zwozić badziewie. Jedno za drugim. Trzeba się będzie jakoś psychicznie uodpornić, innej rady nie ma. Dobrze, że pisarz gdzieś pojechał i nie pałęta się pod nogami. Też jakiś dziwny. Jak nie jeździ albo nie łązi po okolicy, to siedzi i gapi się w laptop. Niby że coś pisze. Ale jak mu nieraz zajrzała przez ramię, to tam żadnego pisanego widać. Parę linijek i to wszystko. Chociaż, z drugiej strony, to zawsze trochę inaczej, jak tak z rana schodzi na śniadanie, a w nocy idzie na górę i wiadomo, że w Magnolii całą noc ktoś jest oprócz Doris. Taaa... przydałby się w Magnolii jakiś facet na stałe. Chociaż cudów wielkich po takim czy innym nie ma się co spodziewać, ale wystarczy, że się kręci, rzuci okiem na to i tamto...

– Pani Czesiu – przerwał jej monolog mężczyzna w średnim wieku, zaglądając z werandy – teraz jedziemy gdzieś na parę godzin, ale po powrocie posiedzielibyśmy sobie przy grillu. Jakby tak kto koło ósmej rozpałił...

– Grilla rozpałi – dokończyła swoją myśl Gawlińska.

Zdjęła fartuszek z bioder i rzuciła go na oparcie krzesła.

– W nosie mam – powiedziała, zaglądając do garów. – Muszę wreszcie zjeść obiad. Marek! – zawołała. – Obiad!

– Ja też zjem – odezwała się Marlana.

– To nie gotowałaś dziś? – zdziwiła się Czesia.

– Nie chciało mi się.

– Wczoraj chyba też, o ile pamiętam...

– Wczoraj też mi się nie chciało! Masz jakiś problem?

Marek wszedł do środka i wszyscy troje usiedli przy kuchennym stole. Małgośka w samą porę ogarnęła pokoje i zajęła się nielicznymi już gośćmi, więc mogli zjeść w spokoju. Jedząc, Marlana i Czesia, jakby się zmówiły, jedna przez drugą zaczęły wypytywać Marka. Czy w dalszym ciągu mieszka u Baśki za stacją? Czy ma jakieś konkretne plany? Czy mu się nie znudziło? A jak mu się już to wszystko znudzi, to co z sobą zrobi? Gdzie pójdzie?

W milczeniu potakiwał głową lub zaprzeczał, nic konkretnego nie mówiąc. Dopiero na koniec, kiedy Czesia już zaczęła sprzątać ze stołu, coś w nim drgnęło. Zatrząsał się, skulił w sobie i powiedział:

– Zbyt wiele straciłem, by myśleć o powrotach.

– Miałeś wszystko, a teraz nie masz nic – podsumowała Marlana, zapalając papierosa, którego Czesia zaraz wyjęła z jej ust i próbowała zgasić, ale Marek wyciągnął po niego rękę.

– Ja wiem, czy miałem wszystko... – wymknęło mu się z ust wraz z kłębami dymu. – Nie wiem, co to teraz znaczy. Kiedyś wiedziałem, tak przynajmniej mi się zdawało. – Zaciągnął się mocno i mówił dalej: – Ładny domek na przedmieściach Krakowa i piękna żona to dla przeciętnego faceta, jakim jestem, spełnienie marzeń. Czegóż można chcieć więcej? Ja wiem i wy wiecie, co to było warte. Domek należy teraz do banku... Pracowałem po dwanaście godzin dziennie, żeby miała wszystko. Ale ona chciała więcej. I nie ze mną. Ona chciała mieć te trzysta tysięcy, które wzięłem pod hipotekę na rozwój firmy. I dostałaby te pieniądze, gdyby nie Doris. Do dziś nie mogę uwierzyć, że w tak prymitywny sposób dałem się zaszantażować i chciałem lekką ręką oddać mężowi Doris tyle kasy, byle tylko moja żona nie dowiedziała się tego, co razem uknuli.

– Chyba bardziej ona – wtrąciła Marlana. – Tylko się nim posłużyła.

Marek machnął ręką.

– Mam to gdzieś. On, ona, cały tamten świat...

Nie ma już dwudziestu lat, mówił dalej, odpalając jednego papierosa od drugiego, żeby znowu budować życie od początku. Nie po tym, co mu się zdarzyło. Dobrze, że tak szybko się ocknął, choć nie będzie ukrywał, że w pierwszej chwili szok był wielki. Prawdziwy wstrząs. W jednej chwili dowiadujesz się, że kobieta, dla której byłeś gotów na wszystko, to najbardziej podła i zimna istota, jaką można sobie wyobrazić. Co w takiej chwili przychodzi człowiekowi do głowy? Jedna myśl: żeby ją zabić. Zamiast tego pobił dwóch policjantów, którzy przyjechali jej bronić.

– Z rana byłem szczęśliwym człowiekiem, przed wieczorem siedziałem w areszcie.

Nawet nie pomyślałem o dobrym adwokacie, bo do końca do mnie nie docierało, że to wszystko dzieje się naprawdę. Dobry adwokat rozwaliłby sprawę już na wstępie, nawet nie doszłoby do wyroku... Może w zawieszeniu. Na pewno nie odsiadka.

– Wtedy byś tu nie trafił – wtrąciła Czesia.

– Wtedy nie poznałbym prawdziwej Doris.

– Ani my! – wykrzyknęła Czesia. Zmarszczyła czoło, obrzucając spojrzeniem skulonego Marka. – Tyle razy mijam to więzienie i ani razu nie pomyślałam, że sprowadziło tu tyle osób.

Marek posłał Czesi pytające spojrzenie.

– No ty, za tobą Doris, Marlana...

– A Marlana w jaki sposób? – Marek wyraźnie się ożywił.

– Na wczasy sobie przyjeżdżała. – Czesia parsknęła śmiechem. – Mają tam przecież część wypoczynkową.

– No mają – przytaknął. – Parę pokoi dla pracowników więziennictwa... Pracowałaś w tej branży, Marlana?

– Krótko – odparła z lekceważeniem. – Jako psycholog. Dzięki temu poznałam te okolice. I tak mnie naszło w pewnej chwili, jak już miałam wszystkiego dość. Tylko że ja tu mam jakieś swoje miejsce, a ty co masz?

Nie miał nic. Ale rok temu, gdy po krótkiej odsiadce opuszczał to miejsce, miał tyle samo. Pokręcił się po okolicy, nie wiedząc, co z sobą zrobić i w którą stronę ruszyć, wszedł do Magnolii na obiad, nie mając zielonego pojęcia, że kelnerka, która mu go podaje, przyjechała

tutaj dla niego. I z jego forszą. Nigdy w życiu nie był tak zaskoczony, jak wtedy, gdy postawiła na stoliku torbę z trzystoma prawie tysiącami, odwróciła się i odeszła na zaplecze. Ale w tym czasie jeszcze wściekłość i gniew na cały świat okazały się silniejsze od jakichkolwiek uczuć. Wszystko w nim umarło i trzeba było wielu miesięcy, żeby przejrzał na oczy, stłumił w sobie gniew i by coś zaczęło się na nowo rodzić. Bardzo powoli, ale w końcu do niego dotarło, że ta kelnerka z zabitej dechami dziury w Bieszczadach, a dawniej jego sąsiadka z naprzeciwka, to jedyna osoba na świecie, która coś dla niego zrobiła. I w jaki sposób. Nie przestawał o niej myśleć. O tym, co zrobiła. Nie tylko dla niego, ale w ogóle. Ile siły musiała w sobie znaleźć i ile strachu pokonać. Ile odwagi, żeby rzucić wszystko na jedną szalę, nie mając żadnej gwarancji... na nic. On też w pewne styczniowe popołudnie rzucił wszystko na jedną szalę. Sprzedał maszyny, plac z magazynami i siedzibą firmy, wsiadł w samochód i wrócił do miejsca, z którego pół roku temu chciał jak najszybciej uciec. Tylko że to nie miało nic wspólnego z odwagą. Wrócił do Doris, która coś dla niego ocaliła...

– Pieniądze – palnęła Czesia. Lecz już w następnej chwili wiedziała, że palnęła głupstwo. Marek zapalił jeszcze jednego papierosa, wstał od stołu i gwizdnął na Absurda.

– Pójdę z nim na spacer.

– Jak się Doris dowie... – powiedziała ostrzegawczym tonem Czesia, ale urwała w pół zdania.

– Coś zamierzasz w ogóle... – rzuciła za Markiem Marlana. – W związku z Doris?

– Może to zabrzmie zbyt patetycznie – odrzekł, odwracając się od drzwi – ale tak sobie pomyślałem, że może uda mi się też dla niej coś ocalić.

Wyszedł. Czesia, sprzątając ze stołu, swoim zwyczajem zaczęła mamrotać pod nosem:

– Taka niby Doris... Ofiara losu... Artystka ze spalonego teatru...

– Szczęściara – podsumowała Marlana.

To samo powiedziała o Oldze, która wpadła po południu z warzywami i nabiałem, przepraszając, że nie z rana, ale pojechali z Adamem tu i tam, a jak wracali, to jeszcze gdzieś indziej.

– Teraz tylko będziecie jeździć – skwitowała Czesia. – Sama bym gdzieś pojechała, bo już mi się patrzeć nie chce na to wszystko. Na okrągło jedno i to samo.

– Przecież dopiero co wróciłaś... – przypomniała jej tamta. – Z Capri.

Marlana parsknęła śmiechem, ale nic nie powiedziała. Przyglądała się Oldze, od której biła autentyczna radość. Po jej wyjściu powiedziała:

– Chłopak ją zostawił, rodzice jej się wyrzekli... Adam zastąpił jej wszystko, co z dnia na dzień straciła. Kochają się ponad życie. Szczęściara.

– Szczęściara, szczęściara... – zaczęła ją przedrzeźniać Czesia, szykując dla Tuśki bieliznę pościelową do prania. – Ty jedna nieszczęśliwa. Zapominasz, że Adam od dwóch lat jest kaleką? Nie pamiętasz, jak w tamtym roku przyszła do Magnolii i zapytała jak ma go zabić, bo od pół roku ją o to błaga? Albo o dziecku, które zmajstrował jej jego syn i które z żalu za swoim pięknym światem straciła?

– Właśnie o tym mówię! – przerwała ostro Marlana. – Że wszystko razem przeżyli i dotarli do takiego momentu, w którym udało im się pogodzić z tym, co było złe, i cieszyć się po prostu z tego, że są razem. A ty wszystko musisz rozbić na czynniki pierwsze. Ta twoja dosłowność nieraz mnie powala.

– Jaka dosłowność? – spytała Czesia, unosząc podbródek Marlany do góry i przyglądając się jej twarzy ze zmarszczonym czołem. – Coś taka blada?

Marlana potrząsnęła głową i odepchnęła rękę tamtej.

– Normalne, jak to przed śmiercią.

– Powtarzasz się. Już zdążyłam się do tej twojej śmierci przyzwyczaić. Wymyśl coś innego.

Nie zdążyła, bo Zenek Jaszczuk zamaszystym krokiem wszedł do Magnolii, rozejrzał się i powiedział, żeby mu obiadu nie szykować. Zaraz za nim wpadła Tuśka.

– A ty skądże się tu wzięła? – zawołała Czesia, wyglądając przez okno. – Z pisarzem pojechałaś. Gdzie i po co, nie wiem.

– Wzgórze Wilków mu pokazałam, bo nie mógł trafić. Myślałam, że zobaczy i wrócimy. A on usiadł i siedzi. I patrzy.

– A na co tam patrzeć?

– A ja wiem? Siedzi, patrzy i ani go ruszyć. Dobrze, że Zenek pojechał zobaczyć, kto mu tam pod chatą siedzi, bo akurat skądś jechał i zobaczył z drogi auto, to się zabrałam. Książkę mam bardzo ciekawą do czytania, więc mi się trochę nie chciało tam siedzieć. Jeszcze jakbym wiedziała, że Maurycemu tyle zejdzie, tobym z sobą zabrała, a tak to...

– Pościel zabieraj – przerwała Czesia. – Nie wyskakuj mi tu z książkami.

– Chcę jak najszybciej skończyć, oddać do biblioteki i na nowo wypożyczyć *Twarc mordercy* Maurycego – tłumaczyła się Tuśka, zerkając na toból pościeli naszykowanej do prania. – Mnie się zdaje, że okładka żywcem zdjęta ze Wzgórza Wilków, chcę sprawdzić, bo Maurycy milczy jak zaklęty, a poza tym chętnie jeszcze raz przeczytam, podobała mi się.

Czesia już jej nie słuchała. Popatrzyła na toból pościeli, na Zenka, ale Zenek, zorientowawszy się, o co chodzi, pokręcił gwałtownie głową, mówiąc, że z Anusią umówiony, do Galerii mają jechać do Rzeszowa, żeby sobie coś pokupowała, on zresztą też nie ma co na grzbiet włożyć, jak się jaka lepsza okazja trafi.

– To sklepów naokoło mało? – zdziwiła się Czesia. – Do Rzeszowa musisz gnać na zakupy?

– Anusia byle gdzie nie kupuje – odparł z wyższością Jaszczuk, nie zważając na ironiczne prychnięcie Marleny. – Tak nauczona.

Pożegnał się i wyszedł.

Marlena chwyciła toból brudnej bielizny, znalazła w koszyczku pod lustrem kluczyki do samochodu Czesi i kazała małej pakować się do niego. Wróciła po godzinie.

– No... – powitała ją Czesia. – Przejechałaś się, nabrałaś kolorów.

– Bo złość jest kolorowa – odparła Marlena, rzucając kluczyki pod lustro.

– Złość?

– Krew mnie zaleje, jeśli w tym domu nic się nie zmieni.

– Myślałam, że coś tam, mimo wszystko, się zmieniło. – Czesia, szczerze zmartwiona, opadła na stołek przy kuchennym blacie. – Cóż tam znowu?

– A to samo, co zwykle. Wszystko na głowie Tuśki. Matka siedzi i ogląda durne seriale. Bardziej, zdaje mi się, w ich rzeczywistości zorientowana niż w swojej. Długo to wszystko tak nie pociągnie.

&&&

Mecenas Lorka w pewnym momencie musiał mieć dość niewygody, a jeszcze bardziej bezruchu, bo przeciągnął się kilka razy, podreptał w kółko, wyginając splecione palcami dłonie, aż w końcu wyszedł zza murku i zaczął sobie spacerować, omijając zapakowane w folię komputery oraz pudła wypchane segregatorami i teczkami.

Komendant Miśkiewicz wodził za nim wzrokiem, ale nie reagował. Pisarz, wielokrotnie pytany o pochodzenie kija bejsbolowego, za pomocą którego położył kres wyczynom szaleńca i uratował życie Doris, wreszcie zaczął coś niewyraźnie bąkać, że dokładnie nie wie. Z chaosu,

jaki zapanował po najeździe tej zgrai na Magnolię, trudno było wyodrębnić coś sensownego. Nikt tam ani racjonalnie się nie zachowywał, ani nawet nie myślał. Wilczewski wyciągnął spluwę spod marynarki i wymierzył w wariata, jednak chyba miał dość rozumu...

– Spluwę? – zainteresował się Miśkiewicz.

– No przecież ma pozwolenie – wtrącił mecenas, zatrzymując się na chwilę pośrodku pomieszczenia. – To pan nie wie?

– Miał ją pod marynarką w kościele?

Lorka wzruszył ramionami i znowu zaczął chodzić tam i z powrotem.

– Cóż pan się tak dziwi?

Komendant parsknął śmiechem. W jednej chwili spoważniał, w drugiej walnął ręką w stół.

– Na własnym ślubie?!

– Na szczęście miał dość rozumu – kontynuował obojętnym głosem Maurycy – żeby nie oddawać strzału. Mogłoby się to źle skończyć. I akurat niekoniecznie dla napastnika. Trzymał więc broń na wysokości głowy, mierzył w tamtego i powoli wychodził zza stołu...

– To on ciągle siedział za stołem?!

– Z Marleną – uzupełnił mecenas Lorka. – Tamci lali się na werandzie...

– Jacy tamci?!

– No... bracia cioteczni Jaszczuka z mafią...

– Z jaką mafią?!

– Jakby pan nie wiedział. – Mecenas się obruszył. Usiadł na jakimś pudle.

– Byłem najbliżej – kontynuował spokojnie Maurycy. – Z Marka lała się krew, Doris leżała nieprzytomna, a ten wariat pochylał się nad nią z nożem... Nie wiem, skąd wziąłem ten kij... Po prostu uderzyłem.

Potarł ręką czoło i rozejrzał się dookoła. Wyglądał jak ktoś, kto nie do końca zdaje sobie sprawę, gdzie się znajduje. Miśkiewicz pochylił się lekko w jego stronę.

– Niech pan sobie przypomni.

Pisarz pokręcił głową.

– Co za różnica – wtrącił się mecenas. Stanął za Maurycem i wsunął ręce w kieszenie.

Miśkiewicz posłał mu beznamiętne spojrzenie.

– Taka – zaczął równie beznamiętnym głosem – że chcę mieć pewność co do działania w obronie własnej lub w obronie czyjegoś życia.

– Ma pan wątpliwości? – rzucił zaczepnie Lorka.

– W takich przypadkach – ciągnął komendant – sięga się po to, co jest pod ręką. Nóż kuchenny, wazon, popiersie Buddy z mosiądzu...

– Jakiej Buddy? – Jaszczuk wysunął głowę zza rozwalonej ściany.

– A więc gdyby to na przykład Wilczewski strzelił do tego czubka, nie miałby pan żadnych wątpliwości! – zawołał mecenas nad głową Maurycego.

– Nie.

– Bo miał pistolet pod ręką?

– Właśnie.

Mecenas Lorka zamachał rękoma.

– Ach, dajże pan już spokój! Czepił się pan jakiegoś kija...

– To niebezpieczne narzędzie przestępstwa.

– W tym całym zamieszaniu mógł się znaleźć skądkolwiek. Mafia przyjechała mnie zabić, jakiś czubek wpadł załatwić w tym samym momencie swoje porachunki z Doris, a pan od paru godzin znęca się nad Bogu ducha winnym autorem powieści kryminalnych! A skąd, a co,

a jak? Aha, i jeszcze dlaczego.

Komendant Miśkiewicz wstał od stołu, podszedł do mecenasa i patrząc mu z bliska w oczy, zapytał:

– Co pan pieprzy, mecenasie?

– Każdy widział, jak ten wariat z okrzykiem: „Zabiję cię, ty dziwko!”, rzucił się z nożem na Doris, a Marek zasłonił ją własnym ciałem...

– Z tą mafią!

– No... – Lorka przegarnął ręką siwiejące włosy na skroni i chrząknął. – To pan nie wie?

– Nie wiem.

– Miałem bronić takiego jednego bandziora, nie będę wymieniał nazwisk, bo każdy wie, o kogo chodzi... Jednak po pierwszej rozmowie się wycofałem. Można mi wiele zarzucić, lecz mam jedną zasadę, której od początku kariery twardo się trzymam. – Przegarnął dłonią włosy na drugiej skroni. – Prawdziwych kanalii nie bronię. Za żadne pieniądze. Oddałem zaliczkę, wycofałem się, jednak znajomość pewnych faktów, które siłą rzeczy podczas owego spotkania padły, mogła wzbudzić w bandziorach... mimo tajemnicy zawodowej... pewne, że tak się wyrażę, zaniepokojenie...

– Niby pan jesteś człowiek światowy – przerwał Miśkiewicz. – Mecenas. Nawet pana nieraz w telewizji pokazują...

– A tam! – zbagatelizował Lorka. – Dwa czy trzy razy.

– ...i takie głupoty pan wygadujesz.

– No, no, komendancie!

– Bandziory – kontynuował niezrażony komendant – jakby do pana coś mieli, przysłaliby tu jednego człowieka, który już dawno by pana sprzątnął. Po cichu. A nie – w tym momencie podniósł głos – rozwrzeszczaną hałastrę, strzelającą po oknach i podpalającą słomiany dach nad altanką przy grillu! Trzeba mieć, swoją drogą, rozum...

– Waldek... Brat cioteczny – wtrącił z dumą Jaszczuk – ten dach na wiosnę położył.

– ...żeby palić ognisko przy słomianym dachu – dokończył Miśkiewicz. Usiadł za stołem, wyciągnął nogi i spojrzał zmęczonym wzrokiem na Lorkę. – Niech pan więc już nie wyskakuje z tą mafią, bo nie wiem, czy się śmiać z tego czy płakać. Może pan spokojnie wyjść stąd i wrócić do domu.

Mecenas Lorka zerknął niepewnie na komendanta, na Maurycego, obrzucił wzrokiem rozdziawioną gębę Jaszczuka, po czym, lekko zawstydzony, usiadł na pudłach pod ścianą.

– A gdzie teraz będę chodził po nocy! – odezwał się. – Posiedzę. Jeśli pan komendant pozwoli.

Wszedł Dulęba. Rozejrzał się niepewnie, unikając wzroku przełożonego.

– Kogo znowu przyniosło? – spytał natychmiast Miśkiewicz.

– Bbbbbb...bbboję się ppp..pppowiedzieć.

Komendant, świdrując go wzrokiem, zabębnił palcami po blacie stołu.

– Czego chce ten stary dureń? – rzucił pytanie.

Dulęba pokręcił głową, wzruszył ramionami i nim cokolwiek wyjąkał, z mroku przedionka wyłoniła się potężna postać starego komendanta. Z białymi, sięgającymi ramion włosami, z pooraną zmarszczkami twarzą i oczami wyblakłymi od nieustającego wypatrywania, wyglądał jak bohater ze starej legendy.

– Świeciło się – usłyszeli jego niski, z daleka jakby płynący głos – to wszedłem.

&&&

Od Zenka Jaszczuka Tuśka dowiedziała się, że widuje się jej ojca w tej czy innej wsi, jak

wystaje pod sklepem z notorycznymi pijakami. Jaszczuk nie użył sformułowania „notoryczny”, bo wolałby sprzedać duszę diabłu, niż coś takiego powiedzieć. Tuśka sama sobie to dodała.

– Pod którymi sklepami? – zapytała.

– A tu i tam. Sam żem go chyba raz widział w Łupkowie pod starym geesem, ledwo się na nogach trzymał.

Nie uwierzyła. Gdyby ojciec był tak blisko, to nawet ledwo trzymając się na nogach, w końcu by do domu zajrzał. Mijają dwa lata, jak wyszedł, mówiąc, że idzie za robotą, i od tamtej pory się nie pokazał. Choćby po to, by najmłodszą, Emilkę, choć trochę na rękach potrzymać. Trzeźwy czy pijany, zazwyczaj każdą chwilę wykorzystał, by małą ponosić, poprzytulać, tak za nią przepadał.

Rok miała, jak przestał sobie radzić z obowiązkami ojca siedmiorga dzieci, wyszedł w poszukiwaniu pracy i tyle go widzą do tej pory. Tuśce się zdaje, że wyjechał dostatecznie daleko, żeby go nie kusiło w chwili słabości wrócić. Siedmiorgo dzieci to studnia bez dna. Ile by zarobił, zawsze było mało.

Rok mija, jak matka przestała sobie radzić z obowiązkami głowy rodziny i beztrąsco podcięła sobie żyły. Ledwo ją odratowali. Jakimś cudem Marlenie, z pomocą Olgi, Doris i Gawlińskiej, udało się wszystko odkręcić, jako tako postawić na nogi matkę i sprowadzić całą siódmkę, porozrzucaną po różnych domach dziecka, z powrotem do domu.

Od dwóch lat Tuśka jakoś sobie z obowiązkami najstarszej musiała radzić. Nie miała innego wyjścia. Ale chyba już brakowało jej sił. Dlatego wsiadła na rower i pojechała do Łupkowa, choć wcale Zenkowi nie uwierzyła. Pod starym geesem stało tylko dwóch notorycznych pijaków i żaden z nich o jej ojcu nie słyszał. Sprawdziła w innych miejscowościach – to samo. Tyle że się nasłuchiwała, żeby nosa w świat dorosłych nie wtykać.

Świat dorosłych nie przestawał jej zadziwiać.

Świata dziecka prawie nie znała.

Nie wiedziała, czy rzeczywistość, nad którą jeszcze jako tako starała się panować, w pewnej chwili jej nie przerośnie. Zwłaszcza gdy zacznie się szkoła i trójka najmłodszych na osiem godzin zostanie z matką. Gimbus podjeżdża po siódmej, wraca po trzeciej. Zimą, nim dotrą do domu, ona i dwóch młodszych braci, będzie noc. Wielkie szczęście, że przynajmniej z Różyczką sprawa rozwiązana. Razem z Adelą Małgośki idą do pierwszej klasy i Małgośka będzie je zawozić i przywozić, tym przynajmniej nie trzeba się martwić.

Z fasonki zostało niecałe dwa tysiące, na nieprzewidziane wydatki zimą musi starczyć. Nic by nie zostało, gdyby ich w porę nie schowała. Matka, jak zobaczyła, że jest trochę pieniędzy, to zaczęła wydawać na głupoty. W sklepie albo u Zenka. Aż sam Zenek się odezwał, że po co pani tyle tych pierdół kupuje. Tuśka wraca z jeżyn, a tu na stole pełno słodczy, zupki chińskie i jakieś inne badziewie. Emilka, Jasek i Czarus zadowoleni, bo im słodczy zawsze mało i nic nie rozumieją. Różyczka mniej, bo już trochę pomaga i wie, że pieniądze nie spadają z nieba. I nasłuchuje, gdy Tuśka ze starszymi, Grzesiem i Maćkiem, robią wieczorami plan na następny dzień – co trzeba zrobić, co kupić, co załatwić. Ale najważniejsze w tym wszystkim, to ustalić, które z nich będzie uważało na matkę, żeby nie narobiła kłopotów. Nie ma problemu, kiedy leży na wersalce i ogląda od świtu do nocy seriale. Gorzej, jak zaczyna ją nosić, a to po paru dniach oglądania durnych historii murowane. Chodzi po kuchni, załamuje ręce i lamentuje, że i tak sobie poradzą.

Poradzą sobie! Bez problemu. Zdziwiłaby się, jak wszystko wokół można sobie zorganizować, gdyby to do niej dotarło. Zwłaszcza jeśli otoczenie zna sytuację i pomaga. Tuśka już się tego nie wstydzi. Wstydziłaby się, gdyby leżała do góry brzuchem i nie ruszyła palcem, gdy inni coś dla nich robią. Z zakładów drzewnych dostali wywrotkę odpadów do palenia. Grześ

z Maćkiem posegregowali, poukładali w szopie – do wiosny tego nie spalą. Sklepowa przywiozła starą kuchenkę z butlą gazową, bo sobie zmieniła na indukcyjną i już jej była niepotrzebna. Tuśka wyszorowała, kuchenka jak nowa. O wygodzie się nie mówi. Zwłaszcza latem, jak na dworze gorąc i pot się lał strugami, kiedy trzeba było palić i na żywym ogniu coś gotować.

Czterysta dwanaście złotych, jakie miesiąc w miesiąc dostają z opieki, też drogą nie chodzi. A pranie?! Dziesięć złotych od zmiany! A tyle samo uprać dwie, co pięć, niewielka różnica. Maciek nanosi wody, Grześ grzeje na kuchni, wlewają do pralki, Tuśka przychodzi ze wsi czy ze sklepu na gotowe. Proszku tylko dobrego nasypać i samo się pierze. A potem co – tylko wypłukać w starej wannie przy studni (woda pod ręką), wyżąć i jak uschnie, wyprasować. Gorzej będzie jesienią czy zimą, bo na dworze się nie wypłucze, a tyle wiader nanieść do domu to już nieprosta sprawa. Gawlińska zadowolona, zarobek stały, ale na zimę trzeba będzie jakoś się z tego wymigać. Nałgać, że matce ręce powykrzywiało, przy okazji utwierdzić Gawlińską w przekonaniu, że to matka pierze, bo jak się dowie, że Tuśka, może być niezadowolona. Szkoda, bo stały zarobek, ale trudno. Raz, że zima, a dwa, że szkoła. Kiedy wszyscy troje wrócą po ciemku do domu, ciężko będzie się brać do prania. Swojego wystarczy. Ale swoje to swoje, pierze się kiedykolwiek.

Zostanie jeszcze sprzątanie u starego komendanta, choć tyle. Pięćdziesiąt złotych co sobota też drogą nie chodzi. Stary komendant lubi mieć wysprzątanę, a roboty niewiele, bo co on tam sam nabałagani, jak pod sklepem cały dzień siedzi albo po okolicy łązi i każdemu obcemu zdjęcie Lenki Sikorówny pokazuje. O to głównie nowy komendant taki zły na ojca. I że się nie chce do niego sprowadzić, tylko sam w starej chałupie bez żadnych wygod mieszka. Zająłby się starym durniem, synowa by mu pod nos wszystko podsunęła, bo dobra i szanuje teścia, ale co staremu przetłumaczysz. Nic. Dla Tuśki to lepiej, bo pięćdziesiąt złotych to pięćdziesiąt złotych, a jeszcze się wygada ze starym, nasłucha o Lence Sikorównie... Zna tę historię na pamięć. Sama mogłaby ją opowiadać i opowiadać, ale Gawlińska po tamtej historii z Luizą i Rudolfem bardzo czujna się zrobiła na opowieści Tuśki. Nie da nic powiedzieć, od razu przerywa. Takie złe były, że tamta historia tak się śmiercią Rudolfa na torach skończyła. Bo cały czas myślały, że to Luiza, która całe życie igrała ze śmiercią, że w końcu to ona powinna się doigrać... Zresztą, o czym tu mówić i skąd znaleźć czas, żeby przesiadywać godzinami w Magnolii, jak w tamtym roku przesiadywała. Rano trzeba wstać, ubrać najmłodsze, nakarmić, chałupę ogarnąć, nastawić coś na kuchni, żeby zawsze coś było nagotowane, na wypadek nalogów z opieki. Pierwsze, co robią, to do garów zaglądną, czy jest co jeść. Barszcz jaki, pomidorową albo jarzynówkę żaden problem z rana ugotować albo klusków czy placków kartoflanych nasmażyć. Na razie spokój, bo dopiero co były. Matka akurat miała „serialowy” nastrój, więc uśmiechała się do nich i nawet nie zauważyły, że niewiele więcej ją obchodzi i jeszcze mniej kojarzy. Zajrzały do garów, do lodówki, z zadowoleniem pokiwały głowami, no to im Tuśka jeszcze szafki pootwierala, proszę bardzo, wszystkiego na zapas.

Grześ i Maciek wiedzą, co robić i co mówić. Różyczka już też nauczona, choć na całe szczęście to wszystko do niej jeszcze nie dociera. I najszcześniejsza, bo ma jakąś rozrywkę – Małgośka ją co rusz na noc albo na niedzielę zabiera, żeby się z jej Adelą bawiła, a Różyczka Adelę uwielbia. Grześ z Maćkiem też mają na wsi kolegów i Tuśka staje na głowie, żeby się jeden czy drugi choć na godzinę, dwie z domu wyrwał, pograł z chłopakami w piłkę albo rowerem pojeździł – w końcu są wakacje. Kiedy Tuśka ma ochotę posiedzieć chwilę w Magnolii albo przejechać się z Maurycym czy pogadać ze starym komendantem, to oni pilnują młodszego rodzeństwa. I przede wszystkim matki.

Musi być trochę oddechu, odrobina swobody, na poczytanie książki czy głupie gadanie o niczym i czymkolwiek. Na spacer nad Oslawą, gdzie Luiza i Rudolf spędzili część swojego

beztroskiego dzieciństwa. Na pogapienie się na przechodzących turystów z plecakami pełnymi beztroski. Trochę czasu nieograniczonego obowiązками. Żadnymi. Musi być ta chwila dla siebie. Dwudziesta piąta godzina z doby, a niekiedy ósmy dzień tygodnia...

– Tuśka! Co się tak pałętasz po wsi? Nie masz co robić? Złap za ucho torby, pomóż mi to dodźwigać do Magnolii. – Głos Józefiny zaskrzeczał nad uchem Tuśki, aż się wzdrygnęła. Stała na mostku i gapiła się w wodę.

– Do sklepu idę.

– Sklep ci nie ucieknie.

– Z komendantem o czymś chciałam pogadać...

– Komendant też ci nie ucieknie, do wieczora tam będzie siedział.

Tuśka chwyciła za ucho torby i aż się skrzywiła.

– Po co pani dźwiga tyle tego przez całą wieś. Na stare lata...

– Młoda jestem – przerwała urażona Józefina. Wolną ręką przytrzymała tył ałtasowej sukni, dłuższy od reszty, żeby jej się nie włókł po ziemi.

– Młoda to ja jestem. – Tuśka na to.

– Ty jesteś dzieckiem. I nic nie dźwigam, widzisz, że lekkie, tylko bardzo niewygodne.

– A co to? Ogórki jeszcze?

– Gdzie ogórki! Już na początku sierpnia szlag je trafił. Zaraza jakaś. Konfitura wiśniowa. Gawlińska pączki faszeruje w karnawale.

– Z wiśni?! To dopiero teraz?!

– A kiedy! Sznurki z wisienkami mi zabrakło, musiałam dohaftować.

Tuśka pokręciła głową.

– Że też pani się chce!

To samo powiedziała Czesia Gawlińska, wypakowując słoiczki z konfiturą, każdy z haftowaną szmatką na denku, fantazyjnie zawiązaną kolorowym sznurkiem.

– Że też się kobiecie chce – mamrotała, podczas gdy Józefina dokonywała inspekcji na stelażu z wisiorami. – Jakieś hafty, sznurki, cuda niewidy i osiem złotych, proszę bardzo, nie wiadomo za co.

– Po osiem złotych to są zwykłe dzemy – zareagowała natychmiast Józefina. – Konfitura po dziesięć.

– Oszalałaś, kobieto?! W sklepie połowę tańsze!

– To jedź sobie do sklepu.

– Tak w końcu zrobię. Tuśka, coś chciała?

Tuśka burknęła, że nic, napiła się w kuchni kompotu i wróciła pod sklep. Chciała poprosić starego komendanta, by pogadał z młodym o jej ojcu. Policjanci, patrolujący okolice, mogliby zwrócić uwagę, czy gdzieś tu się w pobliżu nie szwenda. Sama w to nie wierzyła, ale kto wie. Może go i widzieli.

– Pijak do pijaka podobny – skomentował stary komendant jej prośbę, odrywając wzrok od kartki papieru, na której coś z Maurycym kreślili. – Potrzebny wam jeszcze pijak w chałupie, jakbyście mieli mało kłopotów.

– Nie mamy żadnych kłopotów! – zareagowała może nazbyt ostro. Komendant przyjrzał jej się podejrzliwie, więc szybko dodała: – Ale ojciec to ojciec.

Od czasu do czasu jakiś grosz do domu przyniósł, dokończyła w myślach. A przede wszystkim matka może by się ocknęła. Bała się nadchodzącej jesieni, a po niej zimy, bardziej niż skłonna była sama przed sobą się przyznać.

Usiadła obok Maurycego i zaczęła słuchać, o czym mówią. Zerknęła na kartkę, którą miał na kolanach, ze szkicem Wzgórza Wilków i chatą u podnóża. Detale, takie jak dziecięcy wózek, a obok niego na ziemi kocyk, przedmioty na schodach, garnek na ziemniaki przy studni, ciało Lenki oparte o nią i wstążka były oznaczone bardzo schematycznie, za pomocą kółek, i wszystko oprócz ciała Lenki opisane.

– Skąd wiemy, panie Maurycy, że to był środek dnia, a więc pora wykluczająca ponad wszelką wątpliwość niedorzeczny pomysł z atakiem wilków?

– Ustalono, że dziewczyna nie żyje od wielu godzin – przypomniał mu Maurycy. – Jakie w sumie znaczenie ma tu świt czy środek dnia?

– Ma! – odparł gwałtownie stary policjant. – Dla wykluczenia tych cholernych wilków! Żaden lis nie podejździe do kurnika w środku dnia, żadna kuna i żaden wilk. Zaryzykują w okresie karmienia młodych, gdzieś w pobliżu ludzkich siedlisk, na obrzeżach, ale nie aż tak, nie przyjdą pod sam dom w środku dnia. Strach dzikich zwierząt, w tym także drapieżników, przed człowiekiem jest silniejszy niż ich instynkt.

– W porządku – zgodził się Maurycy. – Skąd pewność, że to był środek dnia?

– Po pierwsze, wózek.

– Czy dwuletnie dziecko jeszcze go potrzebuje?

– Naszą Emilę – wtrąciła Tuśka – jeszcze w tamto lato kładliśmy do wózka, jak się co robiło na dworze w ciągu dnia, a ona chciała spać.

– Ile Emilka ma lat? – spytał komendant.

– Trzy.

– Ma pan odpowiedź, panie... Jak panu tam?

– Maurycy.

– W pogodne dni – tłumaczył policjant – Lenka kładła Natusię do wózka, jak miała coś zrobić na dworze. Jest też parę innych szczegółów – ciągnął – takich jak pranie w misce przy schodach, dziabka do spulchniania ziemi w warzywach. Takie rzeczy można robić przed wieczorem i o świcie, zgoda, ale nie o to tu chodzi. Tylko o to, że Lenka miała zajęcie na dworze. Wystawiła więc wózek, żeby mieć dziecko na oku, kiedy małej zachce się spać. Mogła go wystawić z rana, zgoda, zwłaszcza że tamtego dnia dopiero po południu lunęło. Wszystko to razem – wózek, pranie i praca w ogródku – może nie wskazują na konkretną porę dnia, ale przewrócony garnek z obranymi ziemniakami przy studni już tak.

– Garnek z ziemniakami? – zadziwił się Maurycy. Po jego minie widać było, że to, co mówi komendant, niespecjalnie do niego przemawia.

Tamten skinął głową i milczał przez chwilę zamyślony.

– Sześć ziemniaków... – wyjaśnił w końcu. – Dla siebie i dla dziecka. Była środa, Romek zjeżdżał z roboty na niedzielę. Dziecko spało w wózku, obrała ziemniaki na obiad i poszła je wypłukać pod studnię. Wcześniej pielęła grządki. Dziabka w warzywach świadczy o tym, że miała tam jeszcze wrócić... Lenka bez przerwy coś robiła. Byłem u niej nieraz i widziałem, nikt mi nie powie. A raz... – Komendant spuścił głowę i nie podnosząc jej, dokończył: – Raz trafiłem, jak razem z małą obiad jadły... Tak jakoś przed drugą. Powiedziała, że gdybym przyszedł dwadzieścia minut wcześniej, obrałaby parę ziemniaków więcej, bo tak, dla siebie i Natusi, to tylko sześć obiera...

Uniósł głowę. Siedzieli obaj bez słowa. Tuśka też nie miała odwagi się odezwać.

– Widzi pan... – zaczął komendant po jakimś czasie – takie niby drobiazgi... Takie w sumie nic. Mimo wszystko o czymś jednak świadczą, coś potwierdzają, jednocześnie coś wykluczając. Nikt wtedy – w jednej chwili zmienił ton na bardziej rzeczowy – z całej tej ekipy śledczej nie zwrócił najmniejszej uwagi na takie rzeczy, nie rozpracowywał tak banalnych faktów

z tej czy innej strony. – Parsknął śmiechem. – Czepili się kocyka.

– Kocyka?

– Że na ziemi leżał. Durnie! Było ciepło, dziecko mogło go skopać albo matka go zrzuciła przy wyjmowaniu małej z wózka...

– A więc dziecko mogło już nie spać – wpadł mu w słowo Maurycy.

– Nie ma to absolutnie żadnego znaczenia, poza tym jednym, że z wózka raczej trudno byłoby wilkom wyciągnąć małą. Czepili się więc leżącego na ziemi kocyka, by i tak w rezultacie zakończyć sprawę wnioskiem, że matka została przypadkiem lub celowo postrzelona, a dziecko wywlokły wilki. Wstążka na stoku wzgórze załatwiła sprawę. Brak śladów zwierząt, a zwłaszcza krwi dziecka, wytłumaczono ulewą, jaka tamtego dnia przetoczyła się nad okolicą.

Na drodze obok sklepu zatrzymało się auto. W jednym momencie stary komendant skierował tam wzrok i już sięgał do kieszeni marynarki, by wyjąć zdjęcie Lenki, ale rozpoznał samochód i schował fotografię z powrotem. To było auto Wilczewskich. Borys lub Olaf – Tuśka ich nie rozpoznawała – zawołał w jej stronę:

– Nie widziałaś gdzieś Marleny?!

– Nie! – odrzyknęła Tuśka. – Byłeś w Magnolii?

– Byłem.

– To w domu!

– Zamknięte!

– Pewnie gdzieś pojechała.

– Auto stoi na podwórku.

Tuśka wzruszyła ramionami. Wilczewski postać chwilę, porozglądał się i odjechał. Pomachała mu na pożegnanie ręką, a potem oparta o ramię Maurycego, pochyliła głowę, wsłuchując się w elektryzująco niski głos starego komendanta. Tyle razy już pytał tym głosem: „Czy nie widział pan... pani... Czy nie widzieli państwo takiej dziewczynki”, i tyle razy kierował pełne nadziei oczy w twarz rozmówcy, że nikt nie zliczy. Nikt też już się z tego nie śmieje ani nawet nie dziwi. Dziwiliby się, gdyby pewnego dnia go tutaj zabrakło. Gdyby taki czy inny turysta albo zwyczajny przejezdny nie został pod sklepem zapytany o zaginione kilkanaście lat temu dziecko, które tak by teraz wyglądało. Był jak gracz, który stracił już wszystko, ale mimo to ciągle siedzi przy stole, licząc, że zła passa w końcu się odwróci. Zdjęcie piętnastoletniej Lenki Sikorówny, wyjęte z jej albumu, komendant najprawdopodobniej sam zrobił. Zapewne jest w tym albumie jeszcze trochę jej „starszych” fotografii. Jeszcze kilka lat może je pokazywać. Ale w którymś momencie się skończą – Lenka miała dwadzieścia jeden lat, kiedy zmarła. A potem co? Zwinie karty? Odejdzie od stolika? Co mu zostanie w życiu, gdy już nie będzie mógł pytać o zaginioną trzynaście lat temu dziewczynkę?

– Jak to, przypadkiem postrzelona? – spytał nagle Maurycy.

– Nabój w jej brzuchu pochodził z broni myśliwskiej. To i brak motywu...

– Brak motywu?

– Pokaż mi pan człowieka, który znalazłby powód, by strzelać do Lenki Sikorówny!

– zdenerwował się mężczyzna. – Wystarczy, jeśli uznamy, że motyw to nie przypadek, a wszystko inne, złość, zazdrość, pragnienie zemsty czy co tam jeszcze. Dajmy, panie...

– Maurycy.

– ...cholerny spokój pieprzonej terminologii, bo tamci idioci z ekipy śledczej, zdaje mi się, najwięcej czasu temu w całej tej sprawie poświęcili, spierając się, czy śmierć Lenki to zabójstwo, czy przypadek. Ostatecznie, biorąc pod uwagę, że została zabita z broni myśliwskiej, przychylnono się do tej drugiej opcji. Myśliwi też bywają różni. Zdarza się, że taki jeden czy drugi lubi sobie postrzelać na boku. Patrz pan... – Komendant chwycił kartkę z kolan Maurycego,

podniósł z ziemi jakiś patyk i zaczął nim pokazywać. – Wypłoszone zwierzę... powiedzmy, jelen... pędzi w dół po wzgórzu. Nie na oślep, bo z drugiej strony za mało uczęszczaną drogą jest także las. Na linii prostej... Patrz pan!... tu jest studnia, przy której Lenkę dosięgnął strzał. Wyprostowała się w chwili, gdy padł. Zwierzę mogło odbić w jej stronę, myśliwy mógł być partaczem... Najprawdopodobniej to żaden myśliwy, tylko zwykły kłusownik.

– Skąd u kłusownika profesjonalna strzelba?

– Dajże pan spokój! Rozejrzyj się pan dookoła, gdzie pan jest?

– W środku Bieszczad.

– Więc nie zadawaj pan głupich pytań. Wszystko jedno. Mogło tak być? Mogło.

– Ale pan w to nie wierzy.

– Nie, bo w świetle tego, co już powiedziałem, kategorycznie odrzucam niedorzeczną koncepcję z wilkami czy jakąkolwiek inną zwierzyną. Ktoś wyjął dziecko z wózka albo zabrał spod domu, gdyż inaczej znaleziono by je wyczerpane, wyziębione, ale wciąż żywe, przy matce. Mała... W świetle tego, co też już mówiłem... nie odeszłaby od matki na krok. Lenka nie spuszczała jej z oka. W takim razie wciąż żyje...

– W takim razie był jakiś motyw.

Komendant spojrzał bacznie na Maurycego, po czym westchnął z rezygnacją.

– Nie znalazłem go. Cały rok nie robiłem nic, tylko starałem się znaleźć powód, dla którego Lenka zginęła. Potem już tylko szukałem dziecka. Byłem wszędzie, objeździłem całą okolicę, badałem tropy, gubiłem... W końcu już tylko o nie pytam. Może, da Bóg, trafi tu ktoś, kto widział gdzieś taką dziewczynę...

Maurycy wstał, a zaraz za nim Tuśka. Wyszli na drogę. Maurycy wsunął ręce w kieszenie, popatrzył w jedną stronę, potem w drugą, jakby nie wiedział, którą z nich wybrać. Wracająca z Magnolii Józefina rozwiązała tę kwestię.

– Piękny dzień, Ambroży! – zawołała, przytrzymując dłonią kapelusz, cały z koronki.

Tuśka rozejrzała się dookoła, nie wiedząc, kogo kobieta ma na myśli. Dopiero gdy stary komendant machnął ręką w odpowiedzi na pozdrowienie, domyśliła się, że właśnie jego.

– Ale jazda! – zapiszczała. – Do tej pory nie wiedziałam, jak pan ma na imię.

– A potrzebne ci to było do czegoś? – mruknął.

– Umarłby pan i bym nie wiedziała.

Stali bywalcy ze sklepowego ogródka, amatorzy złocistego płynu, omietli Józefinę obojętnym spojrzeniem, w przeciwieństwie do pasażerów przejeżdżającego auta, którzy rzucili się na tylną szybę, nie dowierzając własnym oczom, zaskoczeni podobnym zjawiskiem w środku bieszczadzkiej wsi, oddalonej od głównych dróg o wiele, wiele kilometrów.

Wszystko, co dzieje się od dawna, pomyślała Tuśka, staje się częścią krajobrazu. Nierozzerwalnym elementem takiej czy innej rzeczywistości. Wystarczy sobie wyobrazić, że stara kobieta pokazuje się na wsi w szarej spódnicy za kolana i gładkiej bluzce... Nie, to rzecz nie do wyobrażenia. Menele spod sklepu dopiero by mieli uciechę.

Rzeczywistość zawłaszcza sobie pewne zdarzenia, zjawiska i ludzkie charaktery, budując z tego wszystkiego swoją specyfikę, inność.

Ciekawe, zastanowiła się nagle, w jakiej rzeczywistości żyje córka Lenki Sikorówny, Natusia. O ile żyje.

– Maurycy! – Chwyliła go za ramię, gdy stał tak na środku drogi i patrzył za odchodzącą Józefiną. – Wierzysz komendantowi?

Pisarz dłuższą chwilę nie odpowiadał. Dopiero gdy Tuśka machnęła ręką i chciała odejść, odezwał się:

– Jeszcze kilka tygodni temu nie wierzyłem w nic.

– A teraz?

– A teraz wszystko zaczyna mnie przerażać – odparł, wsiadł do auta i odjechał.

Nawet nie zapytał, czy nie chce się z nim zabrać, pomyślała z żalem i wróciła do starego komendanta, by mu przypomnieć, żeby mimo wszystko przy okazji wspomniał synowi o jej ojcu. Gapił się w zabazgraną rysunkami kartkę i zdawało się, że nic do niego nie dociera. Mamrotał coś pod nosem o mordercy. Że może rzeczywiście należałoby do niego wrócić. A przede wszystkim pomyśleć o dawno temu zlekceważonym motywie...

Stary wariat, pomyślała, zacznij teraz na nowo szukać mordercy. Po trzynastu latach! Schowa do kieszeni zdjęcie Lenki i przestanie je pokazywać. A może podjedzie tu akurat ktoś, kto ją widział... Przewrotność losu, na który z maniackim uporem liczył, obróci się przeciwko niemu. Dorośli docierają do jakiegoś momentu i tracą czujność, nie potrafią się skupić na kilku rzeczach naraz.

– O co pytałaś? – usłyszała Tuśka spod sklepu, gdy zaczęła biec w stronę mostku nad Osławą.

Nawet się nie odwróciła. W kilka minut znalazła się pod chatą Marleny. Dla pewności chwyciła metalową klamkę i mocno nią szarpnęła, ale drzwi nie drgnęły. Tyle razy tu przychodziła, ale nie przypominała sobie, by kiedykolwiek zastała je zamknięte, czy Marlena była w domu, czy nie. W prostej łemkowskiej chacie nie znalazłoby się nic, co mogłoby skusić potencjalnego złodzieja. Marlena, oprócz wygodnego łóżka, nie wniosła do niej nic nowego. Wszystko odnowiła, odświeżyła, odmalowała ściany i naprawiła stare sprzęty. Nie po to, by z nich korzystać, tylko żeby zdobiły wnętrze. W prosty świat, mówiła nieraz, wchodzi się po to, by cieszyć się jego prostotą. Telefon komórkowy i laptop były jej potrzebne, zdaje się, tylko do kontaktów z przebywającą w Londynie córką. Telefon zawsze miała przy sobie, laptop chowała w pięknie odmalowanym piecu chlebowym. Ale odkąd zaczęła chorować, nawet o tym zapominała, gdy wychodziła do Magnolii lub jechała po coś do sklepu. Zamykała się tylko na noc, bo bała się tylko nocy. Jeśli drzwi są zamknięte, to oznacza jedno: że jeszcze nie wstała.

Tuśka zaczęła się modlić, by ostatnie okno, to, pod którym stało wygodne łóżko, było uchylone. Było. Wsunęła się przez nie, strącając jeden z ręcznie malowanych glinianych dzbanów, którymi Marlena zastawiła parapety, tak jej się podobały. Ona sama leżała na granicy pokoju i sieni z głową na bok i jedną ręką wyrzuconą nad nią, tak jakby spała.

– Marlena! – Tuśka bardzo starała się nie krzyknąć, jednak krzyknęła.

Pochyliła się nad nią, wstrzymując oddech. Serce samo przestało bić na długą chwilę, a potem zaczęło łomotać jak oszalałe.

– Marlena... – powtórzyła cicho, kładąc rękę na jej szyi, a później na czole. Czoło było zimne, pod ręką nie wyczuła pulsu. Żadnego znaku życia i żadnej nadziei. Łomot serca, rozdygotane dłonie i strach. Paraliżujący, od stóp do czubka głowy.

– Tuśka... – usłyszała głos aniołów z nieba. – Co ty, do cholery, robisz?

Minęło kilka sekund, nim minął strach i wróciły zmysły. Palce Marleny, rozpostarte na surowych deskach, poruszyły się lekko. Poruszyły się także usta, coś szepnęły. Tuśka jednym ruchem uniosła jej głowę. Twarz Marleny była jak biała ściana.

– Pomóż mi, bo sama nie wstanę.

Pomogła jej. Razem doczołgały się do łóżka i razem na nie upadły. Marlena leżała twarzą do poduszki, dysząc ciężko.

– Już mnie nie było – wyszeptała.

– Jesteś... Marlena, jesteś.

Dopadła do drzwi, odsunęła rygiel i otworzyła je na oścież. Otworzyła także dwa pozostałe okna, zrzucając jeszcze jeden gliniany dzban. Dalej nie wiedziała, co robić. Dzwonić

po pogotowie czy biec do Magnolii. Marlena rozwiązała dylemat.

– Zawołaj tu Małgoškę.

Tuška zerknęła na zegarek – Małgoška powinna jeszcze być w Magnolii. Tylko po diabła Małgoška, skoro Gawlińska pod ręką.

– Nie wołaj mi tu Czeški! – poleciała Marlena, chyba czytając w jej myślach. – Całą zimę tu ze mną siedziała. Ani pogotowia!

Dopiero po tych słowach odwróciła się na plecy i otworzyła szeroko oczy. Była rozpalona, gorąca. Skąd ten przedchwilowy chłód czoła, Tuška nie wiedziała.

– Nie mogłam się zwlec z łóżka – zaczęła Marlena łagodnie, cicho, widząc strach w oczach dziewczynki – a jak wstałam, to nawet do drzwi nie doszłam. Już dobrze, już wszystko dobrze. Przyprowadź tylko Małgoškę, nic więcej.

Tuška ruszyła do drzwi, przymknęła je za sobą i popędziła do Magnolii. Nogi się pod nią ugięły, gdy nie zobaczyła na podjeździe hondy Małgoški. Chciała wrócić, ale przed wejściem pokazała się Gawlińska z żarciem dla Absurda.

– A co ty tak latasz w tę i z powrotem?! – zawołała.

– Małgoškę chciałam o coś zapytać, ale widzę, że już odjechała...

– A o co?

– O szkołę. Czy zabierze Różyczkę na rozpoczęcie...

– Dziesięć razy już żeś się dopytywała.

Gawlińskiej łatwo byle czym się nie zmyje. Jeszcze trudniej ją oszukać. We wszystko wściubi nos i wszystko chce wiedzieć. Tuška wbiła wzrok w ziemię, po czym walnęła się w czoło i zawołała:

– O! I z tego wszystkiego rower pod sklepem zostawiłam!

Czeška, wygarniając z garnka żarcie dla Absurda, nie spuszczała z niej wzroku.

– Jedna pojechała z mężem się rozwodzić, druga dzieciaka od miesiąca do szkoły szykuje, wszystko na mojej głowie. Jeszcze psa mi artystka zostawiła do kompletu, jakbym mało miała wszystkiego... Coś kombinujesz.

– A co mam kombinować, pani Gawlińska? Lecę po rower!

Biegiem pobiegła z powrotem, nie wiedząc, co robić dalej. Mogła poprosić Czesię o telefon i zadzwonić z niego do Małgoški, ale przecież tamta by na krok nie odeszła i zaraz wszystkiego by się dowiedziała. Jeśli jeszcze jakimś szóstym zmysłem nie wie.

Za bramą Tuška o mało nie wpadła na auto Maurycego. No, choć tyle! Otworzyła drzwi, wpakowała się do środka i kazała mu jechać do Małgoški. Natychmiast. Maurycy, o nic nie pytając, pojechał. Jeden, co nie zadaje zbędnych pytań i wszystkiego nie musi wiedzieć.

Przed chatą Małgoški siedział stary z Adelą. Gdy podjechali, obrzucił ich nieufnym wzrokiem. Kiedy z chaty wyjrzała Małgoška, zobaczyć, kto przyjechał, szepnęła jej na ucho, co miała szepnąć, i wzrokiem starego się nie przejmowała. Pogadała chwilę z Adelą, czekając, aż tamta coś na siebie zarzuci, a i Maurycy wyszedł z auta i grzecznie przedstawił się staremu, wyciągając rękę.

– Maurycy Murawski.

– Aleksander Braniewski – raczył odpowiedzieć tamten, ale sztywno, bez entuzjazmu.

O czymś takim jak sympatia można w przypadku tego człowieka w ogóle zapomnieć. Sympatią Braniewski darzył tylko dwie istoty na świecie: Małgoškę i jej córkę Adelę. Tuškę tolerował, a wszystkich innych, o czym wiele razy, przychodząc tu po książki, zdążyła się przekonać, traktował nieufnie. Jeśli w ogóle nie wrogo. Tuška nie miała pojęcia, kim właściwie jest dla Małgoški ten człowiek, bo że nie był dziadkiem, to wiedziała.

Nim odjechały z Małgošką z Polany, odprowadziła wzrokiem auto Maurycego do samej

drogi, zazdroszcząc mu swobody. Tej wolności, która pozwala wyruszyć z każdego miejsca i o każdej porze, dokądkolwiek mu się zamarzy.

Ten dzień, jeden z niewielu w ostatnim czasie, w którym chciała dla siebie odrobinę wolności, zakończył się bardzo późno. Do samej nocy usiłowały przekonać Marlenę, że w jej sytuacji głupotą jest bagatelizować tak źle samopoczucie, a lekceważyć omdlenie – to już prawdziwe szaleństwo.

Marlena się uparła i nie wyglądało na to, że cokolwiek ją przekona. Dość już się wyleżała w szpitalach. Dość już się nabrała wszelkiego rodzaju świństw, które nie tylko pozbawiły ją włosów, ale także siły, a coraz częściej też wszelkiej ochoty do życia. Nie mówiąc już o jakiegokolwiek z niego radości.

– Ogarnijcie mi tylko pokój – mówiła słabym głosem, unikając wzroku jednej i drugiej.
– Jutro na pewno przyjdzie Olaf, nie chcę, żeby czegokolwiek się domyślił. Tuśka, podłącz mi do ładowarki komórkę. A ty – zwróciła się do Małgośki – wbij mi wreszcie swój numer, wtedy nie będę głowy zawracać małej...

– Mam trzynaście lat – zaprotestowała urażonym głosem Tuśka.

– Jak widać, może się przydać. Ugotujcie mi zupy...

– Zupy?

– Jakiegokolwiek. Nic innego nie przejdzie mi przez gardło. A coś powinnam zjeść.

– A zaraz potem pojechać do lekarza – odparła Małgośka, biorąc się do porządków.

Nigdzie nie pojedzie i nie będzie się powtarzać, więc mogą sobie darować. Jedno, co powinna, to kazać sobie uciąć cycki na wstępie i trzy lata pożyć z głupią nadzieją, że to dziadostwo nie zdążyło się nigdzie rozejść. Posłuchała się córki, której jakiś konował wmówił, że to operowalny guzek. „Mamo, dadzą radę, jesteś bardzo młoda. Gdyby nie było nadziei, sami by ci to zaproponowali”. Posłuchała się Czeški. „Głupia jesteś? Cycki sobie obetniesz?! Jak będziesz chodzić bez cycków?”. Olaf nic nie powiedział. Olga dyplomatycznie, jak zawsze, że to jej życie, jej decyzja. Doris, że z cyckami czy bez, Marlena może zawsze na nią liczyć. Tylko Borys coś mruknął pod nosem, jak to Borys, że lepiej dmuchać na zimne. Więc teraz już wie, że powinna siebie przede wszystkim słuchać. Nie weźmie już ani jednej cholernej chemii...

– Po mastektomii też byś brała chemię! – przerwała jej Małgośka. Zamiotła podłogę, poprawiła haftowaną serwetę, która przykrywała nieużywaną kuchnię węglową. Obok stała gazowa, na butlę.

– Niekoniecznie – Marlena wiedziała swoje. – Trochę na początku szperałam w internecie, to wiem. – I jakby tonem usprawiedliwienia dodała po chwili: – Ale już nie czytam.

– Pomidorowa może być? – spytała Tuśka, zdejmując z parapetu glinianą misę pełną dojrzałych pomidorów.

Marlena skinęła głową.

– Jak najbardziej. – Nie spuszczać wzroku z Tuśki, krzątającej się po kuchni, zapytała: – Podręczniki do szkoły dla dzieciaków już pokupowałeś?

– No chyba mamusia już kupiła. – Tuśka beztrudno wzruszyła ramionami. – Nawet nie wiem dokładnie...

– Nie mydl mi tu oczu – przerwała jej Marlena – tylko odpowiadaj, jak pytam. Akurat twoja mamusia o tym myśli! Bo to dawno ją widziałam.

– Pokupowałam – odpowiedziała pokornie Tuśka.

– A ty – Małgośka odwróciła się do Marleny – nie mydl nam oczu podręcznikami, tylko mów, co mamy robić!

– Zajrzyjcie tylko kilka razy na dzień, która będzie mogła. – Marlena spuściła z tonu.

– Jak mamy cię tu zostawić samą?

– Już mi jest lepiej.
– Co mamy powiedzieć Cześci, jeśli jutro nie zjawisz się na kawie? – dopytywała się Małgośka. – Już dziś co rusz wyglądała oknem i co rusz mamrotała pod nosem, że ciekawe, czego to Marleny jeszcze nie ma, pewnie z Olafem się migdali albo gdzie z nim pojechała...
– Powiedzcie jej, że pojechałam z Olafem.
– Gdzie?!
– Załatwiać jakieś sprawy związane ze ślubem.
Małgośka usiadła na brzegu łóżka, zjrzała Marlenie w oczy i spytała łagodnym głosem:
– To masz zamiar umierać czy szykować się do ślubu, bo już nie wiem.
– Wszystko samo się ułoży... – odparła Marlena, po chwili dodając bezradnie: – Nie wiem... Już sama nie wiem. Wymyślcie coś. Nałgajcie Cześć, żeby uwierzyła... Po każdej chemii siedziała przy mnie cały czas, jednego dnia nie odpuściła. Ale to była zima, początek wiosny... Do Magnolii pies z kulawą nogą nie zaglądał.
– Teraz też by siedziała – Małgośka na to.
– Wiem. Dlatego jej nie mówcie.
– Znam przyczynę. – Małgośka parsknęła śmiechem. – Ona by ci nie popuściła. Pogotowie już by cię wiozło do szpitala... Ale ty masz gorączkę! – zawołała nagle, dotykając czoła Marleny.
– Nie... – Marlena pokręciła głową. – Taka tam gorączka.
Małgośka jeszcze raz sprawdziła jej czoło, policzki i wyraźnie coś jej się nie podobało.
– Nie podoba mi się to – oświadczyła Tuśce, gdy dwie godziny później wsiadały do samochodu. Wyjęła telefon, wybrała numer i po chwili powiedziała: – Borys? Nic nie mów, jeśli jest tam Olaf, tylko słuchaj. Jeśli możesz... A zresztą, możesz czy nie, zjrzysz do Marleny, potrzebuje opieki...
Przed północą Tuśka wróciła do domu. Maciek z Grześkiem siedzieli w kuchni i odetchnęli z ulgą, gdy weszła. Młodsze dzieciaki spały jedno koło drugiego w małym pokoju, Emilka w łóżeczku. W dużym pokoju matka właśnie podnosiła się z kanapy sprzed telewizora.
– Zgaś już telewizor i połóż się spać – zaczęła Tuśka, stając w drzwiach – bo jutro od rana musisz się zająć dziećmi. Ja jadę do Marleny.
– Do jakiej Marleny? – spytała matka lekkim głosem, jakby od niechcienia.
– Do tej, co wyciągnęła nas z domów dziecka, jak w tamtym roku podcięłaś sobie żyły. A ciebie z wariatkowa.

&&&

– Jeszcze mi ciebie tylko, ojciec, tu brakowało w tę piękną wrześnieową noc.
– Ano widzisz, synu – odparł Miśkiewicz senior, siadając na podsuniętym przez Dulębę, starym jak świat krześle. – Nieraz tak jest, że się od ludzi nie opędzisz.
– Też żeś przyszedł wstawić się za pisarzem?
Stary zerknął na Maurycego, bez zdziwienia popatrzył na rozwaloną ścianę, skinął głową mecenasowi. Jaszczuk uciął sobie krótką drzemkę.
– Prawda broni się sama... Gdzieś tak slyszalem – odpowiedział, rozglądając się w dalszym ciągu dookoła. – Remont zacząłeś?
– Sam się zaczął – burknął junior. – I lepiej od razu, zanim zaczęliśmy, skończmy ten temat. To co cię tu sprowadza?
Stary zabębnił palcami o blat, wyprostował się, po czym wyjął zza pazuchy sporych rozmiarów kartkę, rozłożył ją na stole i spojrział synowi w oczy.
– A tak przyszedłem, bo coś nie daje mi spokoju...

Młody rzucił tylko okiem na kartkę, parsknął nerwowym śmiechem i naskoczył na ojca.
– Cała okolica wie, co tobie od dwutysięcznego roku nie daje spokoju! To już dziś byś sobie darował.

– Dziś czy jutro...

– ...bo ja tu mam, jak widać, dość bałaganu. Rozpieprzony komisariat, trzech aresztantów, w tym jeden na ochotnika, i wieczorna awantura w cholernej Magnolii. Chcesz mi jeszcze coś dołożyć?

– Wzgórze Wilków – odpowiedział stary.

Młodym aż zatrzęsło. Spojrzał na ojca, wyciągnął przed siebie ręce, opierając je na blacie stołu, i zawołał na Dulębę. Jaszczuk na dźwięk tych słów zerwał się z wyrka jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, stanął na nogi i zawołał przytomnym głosem:

– Piękne miejsce, komendancie! Daleko takiego szukać.

– Takiego idioty jak ty, Jaszczuk, też – prychnął młody Miśkiewicz. – Co ci do tego durnego łba przyszło, żeby to kupić, to nie wiem.

Jaszczuk rozejrzał się po wszystkich, zdumiony, że nikt się słowom komendanta nie dziwi, poprawił wymiętoszoną błyszczącą marynarkę i wystawił nogę za rozwaloną ścianę.

– Za psie pieniądze, komendancie! To by pan nie kupił?

– A kupilem?! – wrzasnął komendant. – Nie wyłaż mi tu, bo tak cię stuknę, że do rana nie wstaniesz.

– Już dawno trzeba tak było – wtrącił mecenas Lorka.

Jaszczuk pokornie cofnął się za ścianę, oparł o nią łokieć i, obgryzając paznokcie, powiedział:

– Każdemu się podoba, kto tamtędy przejedzie. Nawet panu pisarzowi... – Skierował wzrok na Maurycego, wypluł obgryziony paznokieć i dodał: – Co to wiadomo, że ma wyższe wymagania. Całe dni pod moim Wzgórzem nieraz przesiadywał.

Stary Miśkiewicz wygładził dłonią rozłożoną kartkę i popatrzył kątem oka na Maurycego.

– No właśnie, panie... jak panu tam... – zaczął. – No właśnie. Tuśka dziś sprzątała mi w chałupie, a buzia jej się nie zamykała nawet na chwilę. Cały czas mówiła o jednym i tym samym. Aż w końcu zacząłem słuchać, o czym tak jazgocze...

– Jeszcze tylko tej gówniary tu brakuje do kompletu – skomentował młody i znowu krzyknął w stronę kanciapy: – Dulęba!

– I jakoś do mnie tak dotarło – kontynuował jego ojciec – że w kółko o jednym gada. A mianowicie o tym, że panu Wzgórze Wilków nie jest obce...

– Ładne miejsce – odrzekł Maurycy. – Spokojne. Mimo wiedzy o tym, co tam się wydarzyło... Tak, lubiłem tam godzinę, dwie posiedzieć...

– A i cały dzień nieraz – wtrącił Jaszczuk.

– Pomyśleć, zastanowić się nad tym i tamtym.

Wszedł Dulęba. Nim zaczął się jąkać, komendant zarządził:

– Herbatę ojcu przynieś. I nam też.

Jaszczuk prychnął pogardliwie, ale ostrzegawczy wzrok komendanta powstrzymał go od komentarza. Na temat herbaty dla starego ojca.

– A napiję się, tylko mocnej. Bo lury nie tknę! – zawołał za Dulębą stary Miśkiewicz, wysunął przed siebie ręce, splótł palce, wyprostował plecy i znowu spojrzał w twarz Maurycemu. – Pan widział już Wzgórze Wilków dawno temu – stwierdził.

Maurycy chwilę nie odpowiadał. Sięgnął po kartkę ze schematycznym rysunkiem Wzgórza z dnia, w którym znaleziono opartą o studnię martwą Lenkę Sikorównę, popatrzył, podniósł wzrok na starego policjanta i odpowiedział:

- Widziałem. Wiele lat temu.
- Jak wiele?
- Murawski wzruszył ramionami.
- Dwanaście... Trzynaście... Dokładnie nie wiem, w którym to było roku.
- Tak w okolicach dwutysięcznego?
- Może i tak...
- A miesiąc? – wypytywał go stary Miśkiewicz. – Pamięta pan, jaki to mógł być miesiąc?
- Latem... To musiało być lato. Brałem udział w programie liczenia ptaków...
- Czego?! – rzucił przez ścianę Jaszczuk.
- Zaraz po studiach...
- Może lipiec...
- Może lipiec, może sierpień... – Pisarz pochylił głowę i nie podnosząc jej, dodał:
- Połowa lipca, panie Miśkiewicz. Tak w okolicach piętnastego.

&&&

Na drugi dzień po nagłym zasłabnięciu Marleny Tuśka podjechała pod jej dom i zobaczyła auto Wilczewskich. Zakręciła rowerem, chcąc odjechać, ale jeden z braci, Olaf lub Borys, zamachał na nią z otwartego okna. Weszła więc i na pełne wyrzutu spojrzenie Marleny odpowiedziała:

- To nie ja! – Zerkając na Wilczewskiego, rzuciła: – Cześć...
- Borys – odpowiedział.
- Cześć, Borys. Całą noc tu siedziałeś? Co na to brat?
- Nie wściubiaj nos w nie swoje sprawy – skarciła ją Marlena.

Obrzuciła Tuşkę wzrokiem, w którym na upartego można byłoby się dopatrzeć trochę troski, a może nawet sympatii, i podziękowała za przyście. Wiedziała przecież, że Tuśce niełatwo wyrwać się z domu, gdzie jest szóstka rodzeństwa plus nierozgarnięta matka wymagająca stałej opieki. Borys pojechał z samego rana do domu, nałgał coś bratu i uparł się, że do południa nie spuści oka z Marleny, więc Tuśka może spokojnie wracać do rodzeństwa.

Marlena pozostała blada, miała szkliste oczy, ale było w niej coś niespodziewanie dziewczęcego. Co chwila niespokojnym gestem dotykała króciutkich włosów, jakby zawstydzona brakiem chustki, w której nigdy nie wyglądała dobrze, chociaż nie dało jej się tego wytłumaczyć. W pewnej chwili nawet sięgnęła po nią do stojącej za łóżkiem komódki, ale Borys położył wielką dłoń na jej dłoni i powiedział, że nie potrzeba. I po jakiego diabła.

Tuśka nie zamierzała wracać do domu. Miała dość troski o młodsze rodzeństwo, dość gotowania, smarowania chleba masłem, prania, prasowania, zrywania fasolki, zbierania jeżyn, a także grzybów, które w tym roku jeszcze się nie pokazały i na razie nie było na nie wielkiej nadziei, ale po jakichś deszczach pewnie w końcu się zaczną. Miała dość tej nieustającej pracy, ostatecznie wsiadła więc na rower i pojechała do Magnolii. Bez tobołu z pościelą czy wiadra jeżyn, bez powodu, jak dawniej.

Ucieszyła się na widok Olgi. Patrząc, jak siedzi na miejscu Marleny z jakąś mapą rozłożoną na kolanach, z jasnymi włosami lekko spiętymi z tyłu, z odsłoniętym karkiem, w który jeszcze rok temu Filip Spalski wpatrywał się z takim rozmarzeniem, nie mogła uwierzyć, że Olga i jej matka chodziły do jednej klasy. Co wbrew wszystkiemu świadczyło tylko o jednym: że są rówieśniczkami. Trzydzieści cztery lata to – jak kiedyś powiedziała Marlena, dziwiąc się, że taka kobieta jak Olga świata nie widzi poza dwadzieścia lat starszym kalekim mężem – wiek, w którym kobiety w Warszawie chodzą po klubach i dopiero się rozglądają za życiowym partnerem. Nawet niekoniecznie mężem.

Czesia Gawlińska robiła remanent w lodówce, zadowolona, że jest ktoś, komu można dogadywać. Dogadywała więc Oldze, że trzeba się trochę stuknąć i zastanowić nad przyszłością, a nie tylko jeździć w tę i z powrotem nie wiadomo po co, jak się całe życie nigdzie nie jeździło.

– Właśnie dlatego – odparła z uśmiechem tamta.

– Przepieprzyć pieniądze raz-dwa, a potem się zastanawiać...

– Potem się będziemy zastanawiać – stwierdziła Olga. – Na razie chcę się cieszyć z tego, co jest, a zwłaszcza z tego, że Adama cieszą te wyjazdy. Zresztą... – Rozrzuciła mapę na stoliku Marleny i zaczęła coś zakreślać. – Parę dni temu byliśmy u kolegi Adama na Słowacji... Ma piękne stado owiec, ale coś innego mu w duszy zagrało i chce się ich pozbyć. Może weźmiemy.

– Owiec wam tylko jeszcze potrzeba! Dawno żeście się swoich pozbyli?

– Wtedy nie było Świetłany. Adam myślał jedynie o śmierci, a ja nie miałam na nic siły.

Teraz mam siłę na wszystko.

Czesia powyjmowała jakieś mięsa z zamrażarek, rozłożyła na stole i zaczęła się w nie wpatrywać ze zmarszczonym czołem.

– Sama bym gdzieś pojechała.

– Dawno byłaś? – Olgi do tej pory nikt nie uświadomił co do podróży Czesi Gawlińskiej na Capri.

– Wszyscy się gdzieś porozjeżdżali, jedna za tym, druga za tamtym, niedługo gęby nie będzie do kogo cały dzień otworzyć. Nawet Marek przestał przychodzić, jak nie ma Doris. Przyjdzie, posiedzi, ale zawsze to facet, jakoś inaczej. Bo pisarza też bez przerwy gdzieś niesie.

Jak na zawołanie, z góry zbiegł Maurycy. Włączył ekspres do kawy i usiadł do śniadania, które od razu postawiła mu na kuchennym blacie. Pozdrowił ręką stojącą w drzwiach Tuškę, co nie umknęło Czesi. Wyrzała z kuchni.

– Przyszłaś i nawet się nie odezwiesz?

– Mówiłam dzień dobry.

– Pościel rano matce zawiozłam, bo się nazbierało, to mi powiedziała, żeś do Marleny z samego rana wyrwała... Po jakiego diabła?

No to klops! Nie wiadomo, co tu nałgać tak na poczekaniu. Gawlińska nie spuszczała z Tuški wzroku.

– Mowę ci odjęło?

– Tak pojechałam... W internecie coś sprawdzić. No ale nie sprawdziłam, bo Marleny nie było. Z Olafem gdzieś pojechała.

Czesia Gawlińska oparła ręce na biodrach, świdrując Tuškę podejrzliwym wzrokiem.

– Jak z Olafem pojechała, jak Olaf podobno chory!

– Kto ci tak powiedział? – wybawiła Tuškę z opresji wchodząca do Magnolii Małgoška.

– A Jaszczuk! Mówi, że Olaf Wilczewski chyba chory, bo po papierosy z rana nie wyszedł, a tak normalnie to zawsze wychodzi.

Małgoška rzuciła torebkę na krzesło i zajrzała do sali, czy kogo nie ma.

– Wielka mi wyrocznia! Zenek Jaszczuk i jego grafik handlowy: kto, kiedy i po co wychodzi. Nie masz większych zmartwień?

– Mam – rzuciła Czesia – ale coś mi się tu nie podoba. Wczoraj Marleny cały dzień nie było, dziś też jeszcze na pierwszą kawę nie przyszła.

– Och, daj spokój! – Małgoška z lekceważeniem machnęła ręką. – Bierz się do gotowania, bo do południa niedaleko, a po południu zawsze ktoś się trafi.

Puściła oko do Tuški i zaczęła się mizdrzyć do niespuszczającego z niej wzroku Maurycyego. (Maurycy patrzył tylko na Małgoškę. Tak jak dawniej Filip na Olgę). Potem kiwnęła na nią, wyszły na werandę i tam ustaliły, że na razie sytuacja z Marleną opanowana. Do południa

jest Borys, potem Małgośka zajrzy ze dwa razy, a po pracy zawiezie jej rosółu.

– Idź sobie, gdzie chcesz – zdecydowała na koniec. – W Magnolii się nie pokazuj, bo Czeška zacznie coś podejrzewać. Na wieczór możesz zajrzeć do Marleny, jak ci się uda, chyba że w domu masz robotę...

– Mam ostatnie dni wakacji – zdecydowała Tuśka i pobiegła za Maurycym, który z małym plecakiem na ramieniu wsiadał do samochodu.

Nie obchodziło jej, dokąd pojedzie. Dzień był idealny na przejażdżkę: słoneczny, ale nie upalny. Upały tego lata odeszły dość szybko. Całe lato minęło szybko. Jakoś tak nerwowo, chaotycznie. Niczemu nie zdążyła się dokładnie przyjrzeć i niczym nacieszyć. Postanowiła więc cieszyć się tym, co jest, i nie patrzeć na każdy mijany wiejski sklep, każdą grupkę mężczyzn popijających piwo. Nadzieja, że ojciec pałęta się gdzieś po okolicy i pewnego dnia wróci do domu, weźmie się do roboty, a matka odejdzie od telewizora, też się kończyła.

– Ale jazda, Maurycy! – odezwała się w pewnej chwili. – Jak powiem w szkole, że całe wakacje jeździłam sobie na przejażdżki z autorem kryminałów, to się dopiero zdziwią!

– Piąty raz ze mną jedziesz – powiedział tym swoim wiecznie spokojnym, jednostajnie brzmiącym głosem. – Może szósty.

Tuśka udawała, że nie słyszy. Oparła głowę o szybę i chłonęła wzrokiem piękno mijanych wzgórz. Na co dzień nie ma czasu, żeby zwracać uwagę na takie sprawy, jak uroki natury: ani się im przyglądać, ani nimi zachwycać.

W pewnym momencie zorientowała się, że celem tej krótkiej podróży jest Wzgórze Wilków. Koło zaniedbanej chaty leżała sterta świeżych desek, a ziemia zryta była kołami wielkich samochodów. Tym samym wrażenie złowrogiej tajemniczości tego miejsca znacznie osłabło. Nie uderzało już tak i nie uruchamiało wyobraźni, że jakieś zło, ukryte za drzewami, domem czy starą studnią, czeka na swoją drugą chwilę.

– Jaszczuk już się przymierza tu do jakichś remontów – zauważyła, wyskakując z samochodu. – Gawlińska nie może się nadziwić, co mu do łba strzeliło, żeby ni z tego, ni z owego ze środka wsi przenosić się na takie odludzie.

Maurycy nic nie powiedział. Wyszedł z samochodu, popatrzył, a potem usiadł pod studnią i siedział bez ruchu. Może dokładnie w tym samym miejscu, do którego doczołgała się ranna Lenka Sikorówna. Obrala sześć ziemniaków, przyszła je opłukać... Opłukała czy nie, to nie miało najmniejszego znaczenia. To była ostatnia czynność w jej życiu. Prozaiczna, jednak – Tuśka pod tym względem zgadzała się ze starym komendantem – określającą dokładny czas śmierci, między pierwszą a drugą.

Maurycy popatrzył na polną drogę – z wybojami, zapewne podczas deszczu pełną błota. Wznosiła się na prawo od zagrody, znacznie od niej wyżej. Z jednej strony dróżka, z drugiej wzgórze, między nimi w bajecznej dolinie chata, mała stodołka i studnia...

– Stamtąd – odezwał się Maurycy. – Z drogi... Wszystko stamtąd widać jak na dłoni.

– Co?

Nie odpowiadając, zerwał się spod studni i poszedł na skos, mijając zwalone deski i chatę, wdrapał się po łagodnej skarpie w górę, a Tuśka pobiegła za nim. Gdy stanęli na skraju drogi, spojrzęła z tego miejsca w dół, gdzie jak na dłoni widać było chatę, jej najbliższe otoczenie i na prawo od niej Wzgórze Wilków obejmujące w swym pięknie, ale i złowrogie.

Tuśka pamiętała, o czym była pierwsza książka Maurycego (tak jak i druga, bo następnych w bibliotece w Komańczy już nie znalazła) i patrząc wraz z nim z tego miejsca na Wzgórze Wilków, oczami wyobraźni zobaczyła mężczyznę, który stoi pod zalesioną ścianą wzniesienia, patrzy i widzi, jak do jego domu wchodzi, jak do swojego, obcy mężczyzna. Nie ma jego rodziny, nie ma psa ani żadnych śladów, że cokolwiek w tym miejscu się zdarzyło. Jest

tylko obcy człowiek, wchodzący do jego domu z taką pewnością siebie, z taką naturalnością, jakby był nim samym... Wyobraźnia Maurycego uruchomiła ciąg niesamowitych, trzymających w napięciu zdarzeń, które doprowadziły do nie mniej zaskakującego zakończenia, ale samo miejsce akcji – Tuśka teraz była już tego pewna – nie wzięło się z jego wyobraźni, tylko stąd. Z tej drogi, wychodzącej z lasu, która biegła w dół, otaczając półkolem zagrodę, i kończyła się na skraju rozległej łąki.

– Byłeś tu już kiedyś... dawniej? – spytała.

– Jest tyle miejsc podobnych do siebie... – odparł, po czym odwrócił się i ruszył do auta, zaparkowanego na niższym odcinku drogi, dokładnie naprzeciwko oddalonej od chaty studni.

Stała jeszcze chwilę i patrzyła w dół i w górę, omiatając wzrokiem całą przestrzeń, jaką dało się zobaczyć z tego miejsca, a potem pobiegła za Maurycym. Ledwie zdążyła wsiąść do auta, gdy ruszył. Dopiero wtedy zamknęła za sobą drzwi.

&&&

Stary komendant od pięciu minut wolno popijał herbatę, lekko tylko siorbiąc i, skupiony na tym zajęciu, od pięciu minut się nie odzywał. Młody to przerzucił nogę na nogę, to wstał, to znowu usiadł, to przejechał palcem po zakurzonych półkach zastawionych segregatorami. Nagle zerwał się z krzesła, wsunął ręce w kieszenie i zaczął mówić dość spokojnym głosem:

– Ojciec, bo już mi to twoje picie herbaty zaczyna działać na nerwy... – Zmroził spojrzeniem parsającego krótkim śmiechem Jaszczuka i pochylił się nad starym. – Zbliża się północ. Od teraz jestem na urlopie. A mam tu jeszcze swoje sprawy, tych twoich przedawnionych mi nie potrzeba.

– A jakie tam masz sprawy! – Miśkiewicz senior lekceważąco machnął ręką.

– Pożar w Magnolii, strzelanina, trzy osoby w szpitalu... To mało?

Stary ponownie machnął ręką. Może jeszcze bardziej lekceważąco.

– Normalna rzecz – powiedział, włożył łyżeczkę do szklanki, którą odsunął na środek stołu. – Są ludzie, są awantury. A pewne sprawy się nie przedawniają, jako policjant powinieneś to wiedzieć.

– Nie w takim sensie to powiedziałem. Wiem, kim jestem, i wiem, gdzie jestem. Dlatego siedzę tu jeszcze i czegoś chcę się dowiedzieć, bo mógłbym machnąć ręką i zostawić wszystko wyższej instancji. Przyjadą, zapakują pisarza, wsadzą i nikt go tam o szczegóły nie będzie wypytywał, jak on się w całej tej awanturze... przypadkiem czy nie... znalazł.

Mecenas Lorca wyszedł zza ściany i zapytał:

– Mogę?

– Co?

– Wyjść z aresztu.

– A wyłaż pan! Przecież pan tam dobrowolnie... Ty, Jaszczuk, gdzie?! Siedź i czekaj na rozwój wypadków, bo u ciebie akurat sprawa jasna, wszystko poukładane jak w szwajcarskim zegarku.

Mecenas chwycił jakąś skrzynkę, przysunął ją do stołu, usiadł między Maurycym a starym komendantem, naprzeciwko młodego.

– Jeszcze nim zacznę – zaczął – to tak na marginesie zasugerowałbym delikatnie, żeby w tej całej sprawie Jaszczuka się za bardzo nie czepiać...

– Bo? – spytał rzeczowo komendant.

Na te słowa mecenasa Zenkowi obsunął się wsparty na murku łokieć, a wtedy Jaszczuk opartą na dłoni brodą boleśnie uderzył o kawałki pokruszonych cegieł.

– Bo z jego przyczyny to tylko pożar zawczasu ugaszony...

– Czterech ciotecznych braci w straży! – wtrącił z dumą Zenek. Tego, że wszyscy czterej ledwie trzymali się na nogach, gasząc pożar, już nie dodał.

– Cóż tam w sumie... Wiata przy grillu, weranda – wyliczał mecenas niefrasobliwym tonem – dwa pokoje i samochód Murawskiego...

– Po jaką cholerę samochód Murawskiego stał pod werandą, przy okazji zapytam – warknął komendant.

– Towarzystwo pana Jaszczuka zapragnęło muzyki – niespodziewanie wyjaśnił Maurycy.

– Swoich aut nie mieli?

– Na alkoholową imprezę! – oburzył się za murku Zenek. – Samochodami?! Panie komendancie!

– Zamknij się!

– Taksówkami się pojeżdżali – wtrącił Lorka.

– No nie wszyscy! – zaoponował Jaszczuk. – Bracia cioteczni to przeważnie piechotą z okolicy...

– Zamknij się, do kurwy nędzy, Jaszczuk! – Komendant nie wytrzymał. W sekundę ochłonął, zerknął na mecenasa i rzeczowym głosem zapytał: – To było na marginesie, panie Lorka. A poza nim, co pan w sumie chce powiedzieć?

– No... – Adwokat zamachał rękoma. – Tak czy siak, mąż Doris by się tam o właściwej porze zjawił, a nie wiem, czy nawet nie gorszej i chyba raczej z tymi samymi intencjami.

– A strzelanina to pryszcz?

– Za strzelaninę żeś Jaszczuka przymknął? – zdziwił się stary komendant.

– Za osiemnaście butelek nielegalnie pędzonego alkoholu. Czyli, kurwa, bimbru!

– Czyś ty zgłupiał?

– A jaki dobry, panie komendancie! – zaskamlał Jaszczuk, wysuwając się zza fragmentu ściany. – W życiu zem takiego nie pił. Specjalnie dla koleżanek Anusi brat cioteczny, nie będą mówił który, się postarał, żeby se miały co wypić jutro na kaca, bo tam pod Magnolią to bardzo kurturarnie było, same te... sztoki, szampany i... aż mi wstyd powiedzieć... wina wytrawne po trzydzieści parę złotych za butelkę, no ale Anusia tak nauczona, że byle czego...

Zamilkł nagle, bo młody komendant gwałtownie wysunął szufladę starego jak świat stołu, wyjął z niej kluczyk, podszedł z nim do metalowej szafki, otworzył kłódkę, wyjął z szafki broń, położył ją na stole i najpierw wytarł kurz rękawem, a potem poprawił, żeby pistolet równo, a nie byle jak na skos, leżał. Potem usiadł, spojrzął na Jaszczuka, na Maurycego, mecenasa, na końcu złapał głęboki oddech, spojrzął na ojca i spytał:

– Na czym to, tato, skończyliśmy, nim się ta głupia gadka o dupie Maryni, czyli o niczym, zaczęła?

– Na Wzgórzu Wilków – odparł stary komendant. Zerknął na syna, na mecenasa, na Maurycego i znowu spojrzął młodemu w twarz. – Nigdy żeś, synu, nie kłął. Nawet za gówniarza. Cóż ci się dziś nagle stało? – dodał zatroskanym głosem, sięgnął ręką za pazuchę, wyjął książkę, położył ją na stole.

Młody łypnął wzrokiem na okładkę.

– *Twarc mordercy...* – przeczytał.

– Mnie, synu, od lat niezmiennie chodzi o to samo.

&&&

Nie trzeba wstać lewą nogą, żeby mieć zły humor, albo, jak to mówiła babka Klara, tyłkiem do góry. Wystarczy puste miejsce pod ścianą przy stoliku, gdzie zawsze ktoś o konkretnej porze pił kawę i było do kogo, robiąc to czy tamto, z samego rana ponarzekać.

Marlena trzeci dzień nie przysłała nie tylko o konkretnej, ale o żadnej porze, i dla Czesi Gawlińskiej był to znakomity powód do rzucania garami, odburkiwania każdemu, kto się trafił, i snucia czarnych wizji.

– Artystka wyjechała – zaczęła trzeciego dnia nieobecności Marleny Czesia po przekroczeniu progu Magnolii – na parę dni, proszę bardzo, a drugi tydzień jej nie ma. Tylko patrzeć, jak zadzwoni albo przyśle mejla, że się z pajacem pogodziła i weź szukaj teraz kogo na jej miejsce, żeby tak zawsze był pod ręką, jak ona i wszystko, co trzeba, wiedział.

– Lewą nogą wstałaś? – spytała od niechcienia Małgośka.

– A wyobraź sobie, że nawet nie – Czesia na to. – Słońce mi z rana zaświeciło w okno, wstałam, wyszykowałam się, jadę przez wieś rozglądam się, podśpiewuję, patrzę, a od Poniedziałka kaczkę z podwórka przez rów na drogę wychodzą...

– Kaczki?

Stała i pyta Poniedziałka, czy nie ma do sprzedania, bo jej się zatęskniło, a odkąd drugiej artystce, starej wariatce coś odbiło i przestała hodować, nie ma skąd wziąć...

– Ze sklepu – podpowiedziała Małgośka.

Ze sklepu, pasione na koncentratkach, to niech sobie do tych szpanerskich restauracji biorą i podają gościom, niby Bóg wie jaki rarytas, a nie do Magnolii, jeszcze czego! Poniedziałek mówi, czemu nie, złapał jedną, potem drugą, bach na pieńku, w reklamówkę i po krzyku.

Czesia, z reklamówką w ręku, rozglądała się chwilę po kuchni, po czym wykopała nogą ze szpiżarki plastikową miskę, wyrzuciła do niej z reklamówki dwie dorodne kaczki i postawiła na stole pod oknem.

– Marleny dziś nie było? – spytała, myjąc ręce w zlewie.

– No jeszcze nie... Będiesz to skubać?

– Co?

– No... te kaczki.

– Same się nie oskubią, jakoś trzeba będzie. Poniedziałek powiedział, że to nie dla niego robota. – Westchnęła. – Od Józefiny to gładziutki, gotowe do pieczenia Filip przywoził...

– To po coś wzięła?

– Przyrządzą w jabłkach, pomarańczach na jaką lepszą okazję, to się przestaniesz głupio pytać, po co wzięłam.

Małgośka wzruszyła ramionami.

– Zadałam tylko proste pytanie – odpowiedziała i poszła otwierać wolne pokoje pod werandą, żeby się tam wietrzyło, póki jeszcze pogoda pozwala.

Czesia miała dość roboty przy podszykowaniu obiadu, więc na razie kaczkami, które, jak potem sama przyznała, dość pochopnie kupiła, głowy sobie nie zawracała. Doris, artystka, niby zamieszania wokół siebie wielkiego nie robiła, tu zajrzała, tamto dopilnowała, ale dopiero gdy jej zabrakło, Czesia zdała sobie sprawę, jak bez niej ciężko. Tamta ogarniała pokoje, ogarniała kuchnię, zajmowała się gośćmi i wszystko grało.

Czesia rozejrzała się wokoło i doszła do wniosku, że jakoś ten bałagan trzeba będzie w końcu opanować. Niech się kto lepszy trafi, to zajrzy, popatrzy i wyjdzie. Zaczęła więc ogarniać wszystko, zaczynając od kuchni, kończąc na pokoju. Nie bardzo jej to szło, bo jak nie ma do kogo gęby otworzyć, robota w miejscu stoi. Pies artystki pobiegł z wywieszonym jęczorem na cmentarz, to i dobrze, nie trzeba go było z miejsca na miejsce przeganiać. Pisarz z laptopem na kolanach siedział pod kuchennym oknem i kontaktu z nim, jak zwykle, nie było żadnego. Jeszcze z początku to zajrzał tu i tam, o to i tamto zapytał. Teraz był, a jakby go nie było.

Koło południa zaczęło ją nosić. Jakiś niepokój, jakieś myśli przelatujące przez głowę jedna za drugą. Nie trzeba wstać lewą nogą czy też tyłkiem do góry, żeby mieć zły humor.

Każdym swoim gestem Czesia okazywała więc paskudny humor. Małgośka jednak miała to w nosie. Zajęła się pokojami, werandą, nielicznym gościom podała to, co tam Czeška akurat naszykowała, i schodziła jej z drogi. Maurycy koło południa wsiadł w samochód i gdzieś pojechał. Absurd wrócił z cmentarza, wyłopał wodę z miski, stojącej przy schodach, uwalił się pod kabarynami i spał.

Kaczki leżały w misce na stole.

Gdy w samo południe, nie wiadomo po co przyszedł Jaszczuk, Czesia Gawlińska spytała, co chciał, i przegoniła go z miejsca Marleny, kiedy jakoś tak odruchowo tam usiadł.

– A tak się przyszedłem poradzić, pani Gawlińska – odparł Jaszczuk, siadając na stołku przy blacie kuchennym – czyby może tej mojej chatki od razu przy remoncie nie rozbudować.

– Jakiej chatki? – spytała bez specjalnego zainteresowania.

– No tej, co kupiłem pod Wzgórzem.

– A to rozbuduj – mruknęła. – Wielki problem.

– No i to samo pomyślałem – ucieszył się Jaszczuk. – Jaki to problem przy jednym bałaganie ze dwa małe pokoje albo sypialnię dobudować, a nie potem się zastanawiać, że to czy tamto.

Czesia nie miała pojęcia, o co mu chodzi, więc tylko przytaknęła. Tak jak i Małgośce, gdy ta rzuciła w przelocie, że do Tuśki trzeba po pościel jechać, bo ostatnią zmianę pozakładała.

– U Marleny po podwórku się pałęta – wtrącił Jaszczuk.

– Tuśka? – Czesia zerknęła czujnie w jego stronę.

– No a kto!

– U Marleny na podwórku? Kiedy?

– A ile! Pięć minut temu, jak tu jechałem, żem ją widział.

Przy ostatnich słowach Zenka zadzwoniła komórka Czesi. Dzwoniła Asia, córka Marleny z Londynu. Zaniepokojonym głosem spytała, czy z matką wszystko okej, bo albo nie odbiera, kiedy się do niej dzwoni, a jak odbierze, to jakimś dziwnym głosem mówi. Czesia uspokoiła córkę Marleny, mówiąc, że jej matka jeździ bez przerwy teraz gdzieś z Olafem, coś załatwiają na miesiąc przed ślubem, choć ona nie ma pojęcia co, bo o ile wie, to wszystko było już pozałatwiane.

Potem wszedł jakiś gość z plecakiem na karku, uklonił się, więc wzięła kartę i podała mu do stolika, a że od razu zdecydował, że to co wczoraj, wróciła do kuchni i podpaliła palnik pod zupą kresową, po czym wyciągnęła do smażenia gotowe już roladki schabowe z serem, nie zwracając sobie głowy, co on tam wczoraj mógł jeść. Może Małgośka by wiedziała, ale gdzieś wsiąkła.

Zaraz po gościu pojawił się Marek. Gdyby Czesi jakieś dziwne myśli po głowie nie chodziły, nawet by się na jego widok ucieszyła, bo dawno nie zaglądał. Zanosząc zupę do stolika, zauważyła tylko, że Marek nie rozsiadł się pod oknem jak zawsze, tylko łąził po sali w tę i nazad i jakoś dziwnie wyglądał.

Gość zjadł kresową, a potem roladki i powiedział, że też mu smakowało. Czesi nawet specjalnie to nie obeszło. Zjadł, zapłacił, do widzenia.

– I zaraz pewnie będzie tu Józefina – odezwał się ni z tego, ni z owego Jaszczuk – bo żem ją przed mostem minął.

Usłyszawszy o Józefinie, Czesia przypomniała sobie o kaczkach. Stała więc przy kuchennym oknie i zaczęła je skubać. Skubie, skubie – nic. Kilka piórek na siłę wyrwała, ale pod nimi puch nie do ruszenia.

– A kiedy te kaczki zabite? – Józefina jeszcze nim weszła, z podwórka zobaczyła przez okno, co Czesia robi, i zaraz po wejściu zapytała. Zdjęła kapelusz, potrząsnęła głową, wsunawszy

dłoń z tyłu pod włosy gestem światowej damy, i położyła go na stoliku Marleny.

– Koło dziesiątej! – warknęła Czesia.

– To dopiero teraz skubiesz?

– A kiedy!

– Na ciepło się kaczkę skubie.

– Na jakie ciepło?! Wiem, że się nie parzy jak kur...

– Bo się nie parzy. Nim ostygnie. Na takie ciepło. Teraz to ze skórą obedrzej, bo inaczej rady nie dasz.

– A na co mi kaczką bez skóry?! I tego tłuszczu pod nią! Jak to się bez skóry upiecze!

– odparła Czesia jednym tchem.

Popatrzyła na kaczkę, wzięła ją za szyję, i wyrzuciła przez okno. Nie było otwarte. Potem cisnęła drugą. Odwróciła się i zawołała do wchodzącej Małgośki:

– Co wy mi tam z tą Marleną kombinujecie?!

– To znaczy kto?

– Nie wiem kto! Ty, Tuśka, Olaf Wilczewski...

– Olaf Wilczewski to zaziębiony w łóżku leży – wszedł jej w słowo Zenek Jaszczuk.

– Wiem, bo jak dziś ze sklepem podjechałem, to tylko z okna o papierosy zawołał.

Pogrzebał w kieszeni, wyjął miarkę, podszedł do okna i zaczął mierzyć, dodając śpiewnym głosem, że po południu brata ciotecznego z szybą przyśle. Dobrze, że tylko jedna wyleciała.

Czesia Gawlińska miała gdzieś szybę. Jedną czy dwie. Podeszła do Małgośki i ze zmarszczonym czołem wycodziła:

– To z kim Marlena jeździ, że na kawę czwartego dnia nie przychodzi, skoro Olaf chory?

– Bo ona też chora – odparła Małgośka, patrząc Czesi w oczy. – To nie był mój pomysł, żeby przed tobą ukrywać.

Czesia nie pytała o nic więcej, tylko zrzuciła z bioder fartuszek i wyszła. Pies artystki, zauważyła przytomnie mimo wielkiego wzburzenia, obwąchiwał kaczkę pod kuchennym oknem, ale ich nie ruszył. Machnęła ręką. W pięć minut była w chacie Marleny. Odsunęła Borysa, który siedział przy łóżku, i sama tam usiadła. Spojrzała lekko przerażonej, przezroczyściej na twarzy Marlenie w oczy i kazała sobie wszystko opowiedzieć. Natychmiast! Marlena powoli wszystko powiedziała. Że zasłabła, straciła przytomność, że nie dała rady wstać, że to i tamto, a na koniec, odwracając głowę, szepnęła, że chyba nic z tego nie będzie.

– Z czego? – warknęła Czesia.

– A daj mi spokój – mruknęła Marlena, odwracając się na drugi bok.

Ale Czesia nie miała takiego zamiaru. Przeszła na drugą stronę, położyła rękę na czole Marleny, zajrzała jej w oczy, kazała pokazać sobie gardło.

– Boli cię coś? – spytała.

– Cała głowa – przyznała tamta potulnie.

– Co jeszcze?

– Wszystko.

– Kości?

Marlena przytaknęła.

– Grypę masz – orzekła Czesia.

– Jaką grypę?! – zaprotestowała chora. – Normalna jesteś?

– I na moje oko anginę. Nie weźmiesz szybko antybiotyku, pójdzie ci na serce. Jak ci jeszcze nie poszło.

– U Olafa to samo – odezwał się Borys. – Ból gardła, kaszel, ale bez gorączki...

– Gdzie oni tak się dorobili? – zapytała Czesia, nie czekając, aż Borys skończy.
– Chyba nad Soliną w zeszyły piątek. Wiało, padało...
– Trzeba mieć rozum – prychnęła Czesia. – Po Solinach się szwendać, bo tu mało mają wszystkiego dookoła.

Marlena prychnęła lekceważąco i nakryła głowę kołdrą. Borys stał w nogach łóżka i uśmiechał się z niepewną miną.

– To samo Olaforowi powiedziałem – odezwał się po chwili. – Od soboty coś go łamało, kasłał... W końcu się położył. Ale nie aż tak...

– Złapali gdzieś jakiegoś wirusa, jedno od drugiego. Widać coś paskudnego, skoro chłopca metr dziewięćdziesiąt rozłożyło – oświadczyła wesołym głosem Czesia. – A ta już sobie wymyśliła jakieś przerzuty! Już pewnie do trumny się szykowała.

Marlena wysunęła głowę spod kołdry i spojrzała z pretensją na Czesię.

– Jeszcze się będzie patrzeć. Bo ja źle mówię! – skomentowała to jej spojrzenie Gawlińska. – Przy osłabionym organizmie byle katar cię rozłoży. Wyłaż spod tej kołdry, zasuważ do lekarza i przychodź na kawę, bo mnie krew zaleje, jak tak dalej będzie.

W radosnym nastroju wróciła do Magnolii. To tylko zwykłe zaziębienie czy grypa – Marlena poleży, weźmie lekarstwo i za parę dni stanie na nogi. Kamień z serca.

Przeszła z nią wszystkie cztery chemie. Dzień i noc, na zmianę z braćmi Wilczewskimi siedziała przy Marlenie w szpitalu, a potem w domu, nie myśląc o niczym innym. Razem z nią traciła każdy kilogram i każdy włos z głowy. Nikt poza nią i braćmi nie wiedział, bo Marlena udawała chojraka i nikomu nic nie pozwalała mówić, ale były momenty, gdy jedno drugiemu spoglądało w oczy i bez słów pytało, co z tego dalej będzie. Marlena bezustannie miała odbierające siły nudności, gorączkę i zapalenie śluzówki. Jedyne, co mogła przełknąć, to zupy, które Czesia specjalnie dla niej osobno gotowała, a Borys Wilczewski ją karmił, bo w takim stanie Marlena Olaforowi nie pozwalała się do siebie zbliżyć.

Gdy przyjechała córka z Londynu, chora jakimś cudem zebrała się w sobie, nie dając poznać, jak z nią źle. Zakryła chustką łysą głowę, zatuszowała makijażem bladość. Poruszała się wolno, żeby się nie zachwiać. Jak jej było niedobrze, natychmiast szła do łazienki, a Borys Asię w tym momencie czymś zagadywał.

Ani razu nie mówiła wtedy o śmierci i to było najgorsze, bo w jej przerażonych, zapadniętych oczach cały czas ten strach przed śmiercią było widać.

Dopiero późną wiosną, po ostatniej chemii, zaczęła od czasu do czasu zaglądać do Magnolii, choć jeszcze nie na kawę, bo nie mogła na nią patrzeć, ale już próbowała żartować z nieuchronności swego losu, nierzadko zahaczając o czarny humor. Dopiero wtedy Czesia odetchnęła z ulgą, choć może dość ostrożnie, bo zdała sobie sprawę, że w sercu przyjaciółki nie ma już tego strachu. Że jakoś podświadomie, czując jako taką fizyczną poprawę, wyzwoliła się z niego. Dopiero wtedy i ona, Czesia Gawlińska, także zaczęła wracać do życia.

Powoli wszystko weszło na swoje tory. Rozpoczął się sezon, Doris posadziła wszędzie nowe kwiatki i pielęgnując je potem, gadała bez przerwy do Filipa. Małgośka zaczęła przychodzić codziennie, bo zimą rzadko była potrzebna. Ktoś wpadł na obiad, ktoś na kolację – Magnolia odżyła. Ale dopiero regularne wizyty Marleny i zapach kawy z ekspresu tchnął w tę rzeczywistość prawdziwe życie.

Czesia Gawlińska zatrzymała się w bramie przed wejściem, zamknęła oczy i zobaczyła Filipa Spalskiego, siedzącego na ławce pod krzakiem bzu. Przechodząc chwilę później koło tej ławki, powiedziała:

– Nie było tematu, Filipie. Siedź sobie i czekaj cierpliwie, na razie żadna z nas tam się nie wybiera.

- W przedśionku minęła się z Markiem.
– Jesteś... – ucieszył się.
– No jestem. Bo co?
– Bo chciałem z tobą o czymś pogadać.

&&&

Zenek Jaszczuk, odkąd komendant położył broń na stole, stał nieruchomo, wystawiając tylko głowę zza murku, i ani słowem się nie odzywał. Zresztą, jak zaczęli gadać o książkach, to z czym tu się odzywać.

Murawski nie mógł sobie przypomnieć, kiedy dokładnie zaczął ją pisać, ale w końcu sobie przypomniał. Że w dwutysięcznym jesienią, a może jeszcze latem.

- Miało to jakiś związek ze Wzgórzem Wilków? – spytał stary komendant.
– Jakiś miało – rzucił lekceważąco Maurycy.
– Tylko jakiś? To dlaczego okładkę zdobi zdjęcie Wzgórza?
– Mojego Wzgórza?! – Jaszczuk nie wytrzymał i wyszedł z aresztu.

Młody komendant położył rękę na pistolecie, ale o dziwo, pozwolił Zenkowi podejść do stołu i zajrzeć ojcemu przez ramię.

– No patrz pan! Jak żywcem zdjęte... – Jaszczuk zreflektował się w jednej chwili i zerknął ze strachem na komendanta. – Na chwilę tylko kości rozprostuję, panie komendancie, niech pan na razie nie strzela.

Miśkiewicz z rezygnacją machnął ręką, wysunął szufladę i wrzucił tam pistolet.

– Nawet sam pan żeś to zdjęcie zrobił – powiedział stary, nie zwracając uwagi na wiszącą mu nad głową gębę Jaszczuka.

– Skąd pan wie?

– Bo tak tu jest napisane. – Otworzył książkę i przeczytał: – „Zdjęcie na okładce: Maurycy Murawski”.

Maurycy odpowiedział bagatelizującym tonem:

– Pokazałem w wydawnictwie... Pasowało do klimatu powieści, więc wzięli... Nie było sensu szukać czegoś lepszego.

– Szkoda, że samo wzgórze – jęknął z żalem Jaszczuk. – Jakby tak całość z moją chatą... Braciom ciotecznym bym pokazał... – Zamilkł w jednej chwili, gdy komendant wsunął rękę pod stół. Dopiero po chwili dodał: – A w ogóle które to wzgórze? Jedno do drugiego podobne. Górka, las...

– I mężczyzna pod lasem – dokończył stary. – Skoro to prawdziwe zdjęcie, to mężczyzna na nim też prawdziwy. Czyli że faktycznie tam stał.

– Faktycznie – przytaknął Maurycy.

Miśkiewicz senior odsunął się nieznacznie z krzesłem od stołu, wyprostował nogi, przeciągnął się i z powrotem zbliżył do stołu.

– Sam bym pewnie nawet nie zauważył – mówił tym swoim jednostajnym, pozbawionym emocji głosem – ale mała zwróciła mi uwagę...

– Tuśka?

– Wczoraj po południu. Wypożyczyła w bibliotece książkę i przyleciała z nią prosto z autobusu. – Popatrzył uważnie w oczy Maurycemu: – Czy mógł pan zrobić to zdjęcie mniej więcej w tym terminie, o którym niedawno mówiliśmy?

– Około piętnastego lipca? Mogłem – zgodził się Maurycy. – I tylko wtedy, panie Miśkiewicz. Nigdy więcej już tam owego lata nie byłem.

– W środku lipca?! – zadziwił się Jaszczuk. – To chyba coś nie tak. Facet w jakiejś

kapocie do samej ziemi. W płaszczu – poprawił się. – Chyba że jakiś ziąb akurat wyskoczył albo padało...

– Nie padało – odparł pewnym głosem Maurycy.

Jaszczuk pochylił się jeszcze niżej nad zdjęciem na okładce.

– To dziwne. W taki kapocie w środku lata. Całkiem jak ten... no... Pamięta komendant – zwrócił się do młodego – tego pszczelarza spod słowacki granicy, jeszcze żeśmy chłopakami były, co to z pięć lat koło Zośki Buchatówny z Rzepedzi się kręcił, stary panny, a ona nie i nie, aż ją w końcu ojciec pognął, bo mówi, ile będziesz czekać na księcia z bajki, stara dupo, dobrze, że ci się taki trafił, żeń się, a nie wybrzydź, że dziwny czy niedziwny...

Obaj policjanci i Maurycy popatrzyli na Jaszczuka takim wzrokiem, że aż się wzdrygnął, walnął ręką w głowę i dokończył:

– No tak samo, zima lato, w takim ciemnozielonym płaszczu, jeszcze chyba po dziadku z partyzantki, chodził.

Ponieważ w dalszym ciągu nie spuszczała z niego nieruchomego wzroku, wzruszył ramionami i wrócił do aresztu. Stamtąd jeszcze dorzucił:

– Już nie żyje. O, a odkąd on już nie żyje!

– Odkąd? – rzucił pytanie stary komendant.

– A bo ja wiem! Który to teraz mamy? Trzynasty. Tuśka ile ma lat?

– Trzyście, bo co?! – warknął młody Miśkiewicz.

– No to od tamty pory nie żyje, bo pamiętam, jak Bogdan Kęcki pod sklepem wina do ciemnej nocy stawiał, że mu się córka urodziła...

– A co to ma do rzeczy? Wyłaź stamtąd, bo nic nie słyhać, jak tam mamrociesz za tą ścianą, debilu.

Jaszczuk wyszedł, bez żadnej pretensji do komendanta o tego debila, zdjął kartony z dokumentami z krzesła pod ścianą, przysunął je do stołu, usiadł wygodnie i dopiero wtedy powiedział:

– To ma do rzeczy, że się nagle pod sklepem rozniosło, że zięć Buchata się powiesił i już żadnego nastroju do picia nie było. A jeszcze któryś zaczął klepać, że lepiej by było, jakby Buchat pozwolił Zośce spokojnie w chałupie się zestarzeć, to i ona, i pszczelarz by do ty pory żyły, a tak to masz...

– Zaraz, zaraz... – przerwał mecenas Lorka. – A z Zośką co?

– A przecież rok wcześniej pod samochód wpadła tu, niedaleko od komendy – referował rozemocjonowanym głosem Jaszczuk. – Z brzuchem pod nosem, bo w dziewiątym miesiącu, ojców se przyjechała odwiedzić, wyleciała kobiecie prosto na maskę, tak jej było pilno, no to ją teraz Buchaty od czterestu lat na cmentarzu odwiedzają.

Mecenas Lorka spojrzawszy niedowierzającym wzrokiem na młodego komendanta. Ten przytaknął skinieniem głowy. Jaszczuk, zadowolony, że na nim skupiła się uwaga, obtarł nos rękawem błyszczącego garnituru i opowiadał dalej:

– Pszczelarz rok wytrzymał, aż go coś dopadło, wziął się i powiesił z żalu za Zośką i nienarodzonym dzieckiem, aż się każdy dziwił, że w takim odludku, w takim dziwołagu, co to lato zima w kapocie do samej ziemi łąził, tyle żalu mogło się zebrać i tak żeśmy się wtedy wszystkie zaraz spod tego sklepu porozchodziły, bo za dużo tych nieszczęść naraz... No co się pan komendant tak patrzy? Dzień wcześniej przecież na Wzgórzu nieżywą żonę Romka Witczaka znaleźli...

– Zapomniałeś dodać, że na twoim Wzgórzu – wtrącił młody komendant.

– ...i cała okolica o tym gadała. Takie to trefne lato było, panie mecenasie, jakby pan myślał, że tylko w Warszawie się takie rzeczy dzieją, no to pan teraz widzi, że diabeł wszędzie

może ludziom w głowach rozum pomieszać.

Ostatnie słowa wyrzucił z siebie mocno zachrypniętym głosem. Odkaszlnął, tęsknym wzrokiem obrzucił pudło z bimbrem, stojące pod ścianą, i cicho dodał jeszcze:

– Gardło by się przydało czym zwilżyć, no ale chyba żadnej nadziei na to nie ma.

– Nie ma – zgodził się komendant, sięgnął za siebie ręką, podniósł z podłogi butelkę wody mineralnej i rzucił ją Zenkowi. – Zamknij oczy, zatkaj nos, może jakoś przełkniesz.

Jaszczuk odkręcił butelkę, napił się, grzecznie podziękował.

Stary komendant utkwiał wzrok w ścianie za plecami syna, zmarszczył czoło, zabębnił lekko palcami po blacie.

– Co tam ci, ojciec, znowu po głowie chodzi? – ze zniecierpliwieniem rzucił do niego syn. – Przychodzisz w środku nocy z książką pisarza, coś zaczynasz, nie kończysz... Wiesz jeszcze, o co ci chodziło i z czym przyszedłeś?

– Wiem, wiem... – odezwał się po chwili stary Miśkiewicz, nie przestając bębnić w blat palcami. – Tylko jakoś tak nie kojarzę samobójstwa pszczelarza...

– Bo to nie było w twojej kompetencji. Pszczelarz nie z naszego rejonu – odparł młody.

– Mogłeś nie słyszeć. A nawet jakbyś coś słyszał, to... jeśli wierzyć pamięci Jaszczuka... co innego przykuło wtedy twoją uwagę. Na trzynaście kolejnych lat. Sam już teraz nie wiem, na czym to w tej bieżącej, tu i teraz, stanąłem. Zabierz, ojciec, tę książkę i idź spać, bo zaczynam już tracić nerwy. Jak chcesz, to ci powiem, ile mnie obchodzi ta książka i zdjęcie Wzgórza Wilków zrobione przez pisarza na okładce.

– Trzynaście lat temu... – szepnął stary, nie zwracając uwagi na jego zniecierpliwienie.

Uniósł wysoko głowę i spytał: – Masz jakiś kontakt z Gawlińską?

Syn spojrział na niego beznamiętnym wzrokiem, po czym spokojnym głosem odpowiedział:

– Nieustający. Za każdym razem, jak ją radar za krzyżówką namierzy.

– Ale jakiś telefon... Do niej czy do tej... jak jej tam... Magnolii.

Młody komendant wstał, wsunął ręce do kieszeni, zrobił parę kroków od jednej ściany do drugiej, zatrzymał się koło pudła z bimbrem i utkwiał w nim wzrok. Po chwili odwrócił się w stronę ojca, zaczerwieniony ze złości, a wtedy odezwał się szybko mecenas Lorke:

– No przecież ja mam! – Wyjął z kieszeni telefon. – Co pan chce od Gawlińskiej? O tej porze...

– Od niej to nic. Tylko od Tuśki.

– Czego chcesz od tej gówniary, ojciec?! – wrzasnął młody komendant. Rzucił się do stołu, oparł mocno ręce na jego blacie i pochylił się nad starym: – Nie mów mi, że gówniara siedzi z tymi wariatkami o tej porze w Magnolii.

Mecenas już wybrał numer i czekając na połączenie, przenosił wzrok z ojca na syna. Po chwili się odezwał:

– Pani Czeško... chwileczkę... Co pan chce wiedzieć od Gawlińskiej?

– Niech się zapyta Tuśki, kiedy się urodziła.

– Niech pani zapyta Tuśkę o datę urodzenia... To nieistotne, pani Czeško. Niech pani po prostu ją spyta... – Czekał chwilę z telefonem przy uchu, przenosząc wzrok z młodego komendanta na ojca, w końcu powiedział: – Trzynasty lipca dwa tysiące.

Młody komendant z hukiem odsunął krzesło od stołu pod ścianę i na nie opadł. Wyciągnął nogi do przodu, przymknął oczy.

– Trzynasty lipca... – zaczął stary Miśkiewicz, zerkając od niechcienia na syna. – Dzień po śmierci Lenki Sikorówny...

– Nie, panie komendancie – sprostował od razu Zenek Jaszczuk. – W dniu śmierci

pszczelarza. Chociaż z tego, co ludzie gadali, to pszczelarz już mocno zimny dyndał, jak go siostra znalazła. Od poprzedniego dnia.

– Czyli od dwunastego... – zastanowił się stary komendant.

Jego syn otworzył oczy.

– Coś ci się, ojciec, zaczęło układać? – spytał drwiąco. – Połączysz teraz każdą nagłą czy naturalną śmierć w okolicy ze śmiercią Sikorówny. Masz już wspólny mianownik? Bo chyba musi jakiś być, żeby jedną sprawę łączyć z inną, poza samym faktem śmierci. – Zerwał się z krzesła, uderzył ręką w stół i zaśmiał się nerwowo. W jednej chwili spoważniał, wyciągnął ręce w stronę ojca, i pochylił się nad stołem. – Trzynaście lat zmarnowałeś, szukając najpierw Lenki Sikorówny, a potem jej rzekomo żyjącego dziecka.

– Może nie zmarnowałem... – odparł tamten. – Może tylko coś przegapiłem. Czy to zdjęcie – zwrócił się do Maurycego – mógł pan pstryknąć dwunastego lipca dwutysięcznego roku?

– Właśnie tego dnia je zrobiłem – odparł Maurycy. Spojrzał staremu w oczy, przykrył dłonią książkę, po czym rozejrzał się wokoło bezradnym wzrokiem.

– Skąd pan tak dokładnie to pamięta? – spytał mecenas Lorka.

– Po prostu pamiętam.

– Skąd?

– To był... powiedzmy... przełomowy dzień w moim życiu.

– Coś pan wtedy zobaczył? Coś przeżył? Coś pana uderzyło? – padały pytania jedno za drugim.

Maurycy nawet nie wiedział, kto i w jakim celu je zadaje. Pokręcił niepewnie głową.

– To nie ma absolutnie żadnego znaczenia. Stałem w jakimś miejscu, popatrzyłem na wzgórze... Jedno z wielu w tych okolicach. Nie wiem, czy ładniejsze od innych, bardziej urokliwe... Było cicho. Taki spokój... Powietrze stało w miejscu, czuło się w nim już nadchodzącą burzę. Na stoku stał mężczyzna... Zdjąłem aparat z ramienia, zrobiłem zdjęcie... Patrzył w dół. A w dole...

– A w dole...?

– W dole przed chatą siedziała kobieta, coś trzymała na kolanach, coś robiła... Obok niej siedziało dziecko, a kilka metrów dalej stał wózek... – Urwał w połowie zdania.

Przez minutę lub dwie panowała cisza. Mecenas Lorka, Zenek Jaszczuk i młody komendant patrzyli na pisarza, czekając na ciąg dalszy, ale on skulił się, objął ramionami i siedział tak bez słowa.

Stary komendant wyciągnął rękę po książkę, przysunął ją do siebie, wbił wzrok w okładkę i powiedział:

– A więc jeszcze wtedy żyła...

&&&

W dziwnym świecie dziwne sprawy stają się ważne. Czesia Gawlińska w sprawach ogólnych rzadko się wymądrzała, ale gdy Marlena usiadła przy swoim stoliku i zaczęła pić kawę, oglądając co pięć minut swoje paznokcie, a co dziesięć zerkając w okna, coś ją naszło. Widziała po jej minie, po oczach, że w konkretnej sprawie Marlenę naszły wątpliwości. Nie mogło chodzić o nic innego jak o Olafa Wilczewskiego i coś z tym szybko trzeba było zrobić.

– Musisz zadać sobie pytanie, co jest w twoim życiu ważne... – zaczęła Czesia po bardzo ogólnym wstępie i chwili milczenia. – I nie wyskakuj mi tu zaraz, że córka, bo że córka, to wiadomo, ale ona jest dorosła i ma już własne życie. A ty masz swoje.

Córka Marleny zresztą miała bardzo rozsądne podejście do matki. Rodzice rozstali się

dostatecznie dawno, żeby to, jeśli nawet nie do końca zaakceptować, to przynajmniej przywyknąć, więc o czym tu, na Boga, mówić i na co czekać. Na kolejny rok życia?

Olaf Wilczewski dawno powiedział, że jeśli ma być jakaś kobieta, to tylko Marlena. Dla niej oderwał się od komputera, bo przedtem to całe dni przesiadywał przy monitorze i nic więcej mogło nie istnieć. Dla niej zaczął całkiem poważnie traktować projektowanie okładek i ilustrowanie książek science fiction, bo wcześniej była to tylko zabawa. Jest jego ideałem, z cyckami czy bez. Jeszcze żeby się taka druga dla Borysa trafiła.

Niech więc Marlena teraz poważnie się zastanowi, co jest dla niej ważne, bo przyszła na to odpowiednia chwila. Może chce wrócić do jednego z wielu zawodów wykonywanych przed przyjazdem na to zadupie...

– A nie mam najmniejszego zamiaru – oświadczyła tamta zdecydowanie, sięgając po papierosa, którego Czesia natychmiast jej odebrała.

– Więc co zamierzasz robić? – spytała bez ogródek. – Kiedy się okaże, że jednak będziesz żyć?

– To jeszcze nie wiadomo.

– Ale jeśli.

– Znajdę sobie jakieś sensowne zajęcie. Pieniądze z wynajmu warszawskiego mieszkania spokojnie mi tu na wszystko wystarczą.

– A potem? – dopytywała się Czesia.

– Kiedy potem?

– Za dwadzieścia, trzydzieści lat.

Marlena łypnęła na nią zirytowana, otworzyła leżącą na stoliku książkę i zaczęła przewracać kartki.

– Nie wiem. Daj mi święty spokój.

– Ale ja ci powiem. – Czesia wyjęła z jej rąk książkę, rzuciła na ławę obok. – Będiesz chodziła po wsi w rozwleczonych swetrach, jak Józefina w tych swoich kieckach, i opowiadała każdemu o dawnym życiu, koloryzując to, co zostawiłaś i od czego uciekłaś, jak Józefina opowiada o swoich kochankach z Paryża czy Barcelony. Kto ją tam wie, gdzie ona w sumie była, ilu miała tych kochanków i czy w ogóle miała...

– A ty? – przerwała jej ze złością Marlena. – Co ty będziesz robić za dwadzieścia, trzydzieści lat?

– Ja jestem stąd.

– Mówiłaś kiedyś, że nie stąd.

– Z tej okolicy. Z tego świata.

– Co z tego?

– Nie mam innych wspomnień.

– Co nie znaczy, że na starość nie zdziwaczejesz. – Marlena parsknęła śmiechem.

– Może nawet bardziej od ciebie. Nie o to chodzi.

– Ale też masz szansę czegoś uniknąć.

– Niby czego?

– Kiedy umarł twój mąż? – spytała Marlena, nie odpowiadając na pytanie przyjaciółki.

– Chłopcy byli jeszcze mali.

– A teraz są na studiach. Byłaś jeszcze bardzo młoda...

– Jeszcze raz ci powtarzam, że ja się w tym świecie odnajduję! – przerwała jej ostrym tonem Czesia. Po chwili dodała łagodniej: – A ciebie wcześniej czy później coś dopadnie. Ale już nawet nie o to chodzi... Tylko o to, że masz takiego Olafa.

Marlena zatrzepotała rzęsami, wyjęła nowego papierosa, odpaliła i tym razem nie

pozwoliła go sobie odebrać.

– Dowiem się w końcu, do czego tak naprawdę zmierzasz? – spytała słodko. – Bo jak tak gładzisz... Jak się tak rozkręcisz, to zaczynasz gadać jak nie Czeska Gawlińska, a mnie to okropnie wkurza. – Podniosła głos: – O co ci, kuźwa, chodzi?!

– O to, że masz czterdzieści jeden lat, jakieś doświadczenie, finansowy spokój i jest to dobry moment, żeby skończyć z samotnością.

– Jedno zdanie, kilkanaście słów... Po co było tyle tego przedtem?

Czesia, niezrażona ironią, dokończyła:

– I nad czym się tu zastanawiać? W końcu Wilczewski to miłość twego życia.

– Dobrze powiedziane – przytaknęła Marlena. – Wilczewski.

– No! Przynajmniej pod tym względem... – zaczęła Czesia i nagle urwała. Opadła na ławę, na którą wcześniej rzuciła książkę, przyłożyła dłonie do policzków i wlepiając w tamtą oniemiały wzrok, wykrztusiła: – A więc o to chodzi... O Borysa! Ja chyba śnię! No to ty jesteś zwyczajnie rozwiązała!

– Jaka?

– Rozwiązała!

– Słyszysz sama siebie?

– I nawet, wyobraź sobie, rozumiem to, co mówię. Znudzil ci się jeden, sięgasz po następnego.

– Na razie jeszcze nie sięgnęłam.

– Skąd wiesz? Sama nawet nie wiesz, czy z obydwoma nie spałaś.

– Spałam z obydwoma! Z obydwoma naraz! – wrzasnęła Marlena.

Zgasiła papierosa, poszła do kuchni, umyła filiżankę, a potem włączyła ekspres na drugą kawę. Czesia śledziła każdy jej ruch.

– Właściwie po czym jednego od drugiego rozpoznajesz? – spytała ugodowym tonem.

Marlena stała przy ekspresie i wpatrywała się w dwie cienkie, brunatne strużki lejącej się kawy. Dopiero kiedy wróciła na swoje miejsce, odpowiedziała:

– Na pewno nie po tym, o czym myślisz.

Czesia parsknęła śmiechem.

– Borys jest cichy – kontynuowała Marlena już całkiem spokojnie. – Romantyczny... Nieśmiały... I bardzo mi oddany. Pamiętasz tego zwariowanego sylwestra, kiedy ich poznałam?

Czesia wydała z siebie pogardliwy pomruk. No raczej! Impreza nie do zapomnienia. I czas nie do zapomnienia. Parę dni wcześniej zjawiła się Doris cała na różowo i przez parę nocy odsypiała rzekome balangi, w których bezustannie w swym rzekomo beztroskim życiu uczestniczyła. Co się potem okazało, to wiadomo. Doris z forszą Marka, którą zwinęła mężowi szantażyście, uciekła do byłego kochanka matki, Marcela, i pół roku nie spała, czekając nie wiadomo na co. Jak się dowiedziała, że Marek za pobicie policjantów trafił tu, w Bieszczady, do pobliskiego więzienia, przefarbowała się, przebrała i z całym majdanem i trzystoma tysiącami w torbie przyjechała pewnej nocy do Magnolii. Jadła i spała na przemian. Albo trzepotała rękami jak idiotka. Chyba nawet na tego sylwestra nie zeszła.

Był mecenas Lorka z żoną i kuzynką.

Był też Filip, ma się rozumieć. Jeszcze wtedy nie pił. Dopiero po Nowym Roku zaczął.

No i bracia Wilczewscy, dzikusy z Górki, których Marlena do tej pory na oczy nie widziała. Co nie przeszkadzało jej na nich złorzeczyć (a oni na nią) o stare gazety od Jaszczuka. Ale wystarczyło, że ich zobaczyła. A oni ją. Zakochała się w obydwoch. Oni obaj w niej.

– Ale to Olaf się zdeklarował – przerwała wspomnienia Czesi Marlena.

– Zdeklarował? Wiesz, jak to brzmi?

– Tak jak wygląda. Mówię, jak jest, a ciebie, widzę, już poniosło. Zakochać się w obydwu, a pokochać jednego to wielka różnica. Skończmy ten temat. Nie chce mi się tłumaczyć jak, kiedy i dlaczego. Po prostu.

Po prostu? Jak to, po prostu? I co teraz? Ślub za miesiąc. Nawet niecały. Co Marlena ma zamiar teraz zrobić? Piąty raz go odwołać? To chyba już trochę za późno. Była wprawdzie nadzieja, ale nie wyszło, jak się okazało, że to tylko banalna grypa, a nie nawrót śmiertelnej choroby z przerzutami na wszystkie organy. Zwłaszcza na mózg. Przyzwoitość nakazuje...

– Przyzwoitość – Marlena szeroko otworzyła oczy – nakazuje mi się z tego wycofać.

Ledwie skończyła mówić, wszedł Wilczewski. Czesia nie widziała który, póki nie spojrzała na Marlenę. Ach tak, to po tym pisarz poznał, który to Olaf, a który Borys. Nieraz tak jest, że kiedy się za dużo wie, to nic się nie wie.

– Borys... – powitała go cicho Marlena, spuszczać oczy.

Mogła sobie darować. Co trzeba, Czesia już wiedziała.

Borys uściskał Marlenę, zapytał o samopoczucie, po czym oznajmił, że Olaf także już zdrowy, wyskoczył z łóżka, zajrzał do szafy, przymierzył do siebie garnitur i wesoło zaśpiewał.

– Zaśpiewał... – powtórzyła za nim Marlena.

– Zmartwił się tylko, czy z tobą nie będzie problemu.

– W jakim sensie? – zagadnęła, wyciągając z torebki papierosa, którego z głębokim westchnieniem jej odpalił.

– No... w sensie ubioru – odpowiedział i dodał zaraz: – Jemu to naprawdę wszystko jedno.

– Nie będzie ze mną żadnego problemu – odrzekła z uśmiechem. – Mam taki kremowy kostium... Rok temu jeszcze się w niego nie mieściłam, ale teraz będzie w sam raz.

Czesia opadła ciężko na ławę, z której po wejściu Borysa na chwilę wstała. Popatrzyła na Marlenę, w jej oczy błyszczące na widok miłości swego życia i szepnęła:

– Rzeczywiście, tyle niepotrzebnych słów... Ta w jednej chwili zdecydowała.

– Co zdecydowała? – zainteresował się Borys.

– W czym pójdzie do ślubu – odparła Czesia.

Wstała i poszła do kuchni. Tam, przestawiając gary z jednego miejsca w drugie, dodała jeszcze:

– Za Boga nie wiem dlaczego. Ona pewnie też nie.

Co za różnica, mamrotała do siebie chwilę potem, podlewając wiszące przed Magnolią przy wejściu badyle, którymi Doris obwiesiła dookoła wszystko, co tylko dało się obwiesić, a potem wyjechała i drugi tydzień jej nie ma, tak najlepiej.

Marlena z Borysem wsiedli do jego terenówki i odjechali.

Co za różnica, Olaf czy Borys. Jakoś samo się ułoży, jeśli ma się ułożyć. A jeśli nie, żadna miłość nie pomoże. Miłość jest, a za chwilę jej nie ma, o czym tu mówić. Najważniejsze, żeby ktoś tu był i żeby coś się działo. Żadne cuda, tylko zwyczajne codzienne sprawy...

– Do siebie już gadasz? – Czesia usłyszała głos Małgośki. Nawet nie było słyhać, kiedy podjechała. Wyniosła w pojemniku chleb ze stacji, postawiła go na ławce przed wejściem i sama usiadła obok.

– A do kogo mam gadać, jak nikogo nie ma. Coś tak długo marudziła z tym chlebem? Jak się kto trafi, jednej kromki nie ma. Doris to piorunem załatwia.

– Zobaczyłam ławkę na peronie, więc poszłam tam, usiadłam i siedziałam. Taki spokój dookoła, takie widoki za torami daleko – tłumaczyła Małgośka rozleniwionym głosem. Spojrzała na Czesię, która wspięła się na oparcie ławki, żeby podlać kwiaty w koszach zawieszonych na ścianie, i przytomnie dodała: – I już tak nie mów, że Doris piorunem wraca, bo ona też tam

siedzi na tej ławce.

– I do Filipa gada.

– Skąd wiesz?

– A po co by tam tyle czasu marnowała. Usiądzie, siedzi i gada. – Czesia zeskokczyła z ławki i wytarła ręce o fartuch. – Dobra! Przyjedzie, niech sobie podlewa. Po południu będzie parę osób, zabieramy się do roboty.

Po południu wpadła Swietłana od Olgi. Rozejrzała się, zapytała, co się stało ze ścianami, że takie puste, na co Czesia wzruszyła ramionami, mówiąc, że tak naprawdę sama nie wie, co z tego wszystkiego wyniknie. Pewnie nic dobrego, znając Doris. Swietłana kręciła się tu i tam, o to i tamto zagadywała, dopóki Czesia nie kazała jej usiąść i mówić, o co chodzi. Bo, że o coś Swietłanie chodzi, to na oko widać.

– A bo już nie wiem, co robić – wypaliła od razu Swietłana, siadając na wskazanym stołku. – Olga z Adamem, tak mnie się zdaje, trochę się zagalopowali.

Czesia wydała z siebie wymowny pomruk, co miało znaczyć, że myśli podobnie.

– No Olga, jak nie Olga – kontynuowała Swietłana. – Nic tylko jeżdżą, pieniądze trwonią, a pieniędzy tam przecież wielkich na takie sprawy nie ma.

Czesia słuchała uważnie, przytakując tamtej po każdym zdaniu. No niechby sobie pojechali raz na jakiś czas, każdemu się należy, ale oni dopiero tu, a już tam. Na jej oko przejeździli już sporo tego, co zostało z pieniędzy Olgi po zakupie wózka i łóżka dla Adama, a co będzie dalej, nie wiadomo. Stracili kontakt z rzeczywistością, cieszą się tymi podrózkami jak dzieci i tak się zachowują. Cała kuchnia zavalona prospektami, mapami, a oni siedzą i planują, gdzie jeszcze pojedą.

– Może skończą – wtrąciła Czesia – jesienią.

– A gdzie tam! Do Chorwacji chcą jechać.

Za co – Swietłana nie wie. Adama renta, jak to renta. Jej przecież jakąś pensję też płacą... Strach pomyśleć, jak tam nagle zaczną brakować na podstawowe sprawy. Jak się zaczną problemy finansowe – nic gorszego nie ma.

– Jakieś owce ze Słowacji od znajomego Adama mają podobno sprowadzać – przypomniało się Gawlińskiej.

– A niech pani Czesia, za przeproszeniem, głupot nie opowiada. Bo ja po ludziach przy owcach nie pomagałam! Bo nie wiem! Do takiej roboty trzeba chłopca, dwóch chłopów i pomocy jeszcze jakiej. Co Olga sama przy takiej hodowli robi, to ja nie wiem.

Swietłanie łyżę zakręciły w oczach. Szkoda takich ludzi, bo dobrzy i tak się kochają, i tacy sobie oddani. Mało takich w okolicy. Mało takich w całym świecie. Gdzie się obejrzyysz, złość, gniew, nienawiść i wieczna gonitwa nie wiadomo za czym.

– Przyjedzie z warzywami, to jej nagadam – postanowiła Czesia.

– Nie przyjedzie, bo mnie zapakowała do bagażnika, jak zobaczyła, że jadę. Z tego wszystkiego zapomniałam.

– Kiedyś przyjedzie.

– Tylko żeby to kiedyś nie było za późno.

Czesia rozłożyła ręce. Co będzie można zrobić, to się zrobi.

– Ja też tam u nich wiecznie nie będę – zakończyła Swietłana. – Córnka skończy szkołę baletową, może jaką pracę na swoje utrzymanie znajdzie, trzeba będzie wrócić.

Czesia popatrzyła ze współczuciem na tę silną, pięknie zbudowaną kobietę.

– A do czego ty tam wrócisz, Swietłana? Co tam masz swojego po tylu latach na tej Ukrainie?

– Tu swojego też nic nie mam. Tyle że u Olgi i Adama lepiej jak u innych. Ale co dalej

będzie, nie wiadomo. Co będzie jutro, za miesiąc, za rok... Tego nikt nie wie.

Po jej odejździe Czesia usiadła przed Magnolią, wystawiła twarz do słońca i zamknęła oczy. Absurd zbliżył się do niej ostrożnie, usiadł koło ławki i wbił wzrok w bramę. Potem się położył.

Co będzie jutro, za miesiąc, za rok...

Małgośka wyjrzała z przedsionka i usiadła koło Czesi.

– Coś się chyba przypala... Nie czujesz? – odezwała się pogodnie.

– Niech się przypala. – Czesia beztrąsko machnęła ręką. – Świat się zawali, jak raz w życiu coś będzie przypalone?

– Może tylko twój. Ja z takich spraw nie robię problemów.

– Ty w ogóle masz jakieś problemy? – zagadnęła Czesia, otwierając oczy. – Jedna, co się na nic nie skarży i o niczym nigdy nie mówi.

– Mam dom...

– Jak większość ludzi.

– Ja nigdy przedtem go nie miałam. I jeszcze Adelę i Aleksandra przy sobie. Wszyscy jesteśmy szczęśliwi.

– Tylko pozazdrościć.

– Były momenty nie do pozazdroszczenia. Zbyt wiele ich było... Wyłączyć pod tym garnkiem, czy niech się przypala?

– Niech się przypala – odparła pogodnym głosem Czesia. – Niech coś się dzieje. Z drugiej znowu strony, jak ma się dziać coś złego...

– Nie kracz.

– To niech już będzie tak, jak jest.

&&&

Minęła północ.

Światło ze starych jak świat jarzeniówek zaczęło migotać. Młody Miśkiewicz w pewnej chwili nie wytrzymał, rzucił w sufit grubym notatnikiem – i przestało.

Od paru dobrych minut milczeli. W końcu odezwał się mecenas Lorka:

– Panowie... Sytuacja zrobiła się ciekawa...

Młody komendant prychnął wymownie, dalej nic nie mówiąc. Zenek, zadowolony, że go wreszcie dopuszczono do stołu, przerosił rozbiegany wzrok z twarzy na twarz.

– Żeby czegoś w tak niewiarygodnej sytuacji nie zlekceważyć – kontynuował mecenas – ale i nie zapędzić się, jak to mówią, o jeden most za daleko...

– Ja nie wiem, czy już żeśmy się nie zapędzili! – odparł młody, zrywając się od stołu.

Zaraz jednak przy nim usiadł, dodając ciszej: – O dwa mosty.

– Spokojnie. – Adwokat położył rękę na książce Maurycego. – Przeanalizujmy sytuację.

– A co tu analizować? Mamy obrazek jakiegoś wzgórza... Jedno wzgórze podobne do drugiego, a drugie do dziesiątego. Coś jeszcze? Zarys sylwetki mężczyzny, bez twarzy, bez żadnych szczegółów. Tylko tyle, że w płaszczu do ziemi. – Zaśmiał się. – Durnemu Jaszczukowi się przypomniało, że jakiś pszczelarz...

– Nie jakiś, panie komendancie, tylko...

– Zamknij się! Że jakiś pszczelarz w takim łąził po okolicy.

– Spokojnie – powtórzył Lorka. – Po pierwsze, nie obrazek, tylko zdjęcie...

– Po drugie – odezwał się stary komendant – zrobione konkretnego dnia. Którego, jeśli wierzyć obecnemu tu... eee... Maurycemu, dobrze wiemy.

– Nie ma powodów, żeby mu nie wierzyć – wtrącił mecenas.

Stary Miśkiewicz wyciągnął książkę spod ręki mecenasa, popatrzył na zdjęcie i położył ją na środku stołu.

– Przenieśmy się do tego konkretnego dnia. Do tego utrwalonego w ułamku sekundy momentu.

Młody komendant założył splecione dłonie na karku, zacisnął usta, dając do zrozumienia, że się nie sprzeciwia. Przynajmniej do jakiegoś momentu.

Jego ojciec zaczął mówić niskim głosem.

Jest dwunasty lipca, wczesne popołudnie. Lenka siedzi na progu przed chatą, obok z jednej strony koszyk z ziemniakami, z drugiej dziecko, trochę dalej wózek. Na kolanach ma miskę na obierki, które potem rzuci do kompostownika, koło nóg garnek z wodą na obrane kartofle. Gdyby spojrzała w górę, dostrzegłaby pod ścianą lasu mężczyznę w płaszczu do ziemi, patrzącego w jej stronę. Ale nie patrzy. Za to patrzy ktoś inny. Pstryk! Mężczyzna pod lasem w tamtej konkretnej chwili zostaje utrwalony na wieki. Nie wiemy, kim jest, i na podstawie tej fotki nie da się za żadne skarby świata ustalić jego tożsamości, nawet gdyby się spróbowało dotrzeć do oryginału zdjęcia i z pomocą nowoczesnej techniki każdy jego fragment wyostrzyć czy powiększyć. To tylko zarys sylwetki, niewyraźny, rozmazany, tyle tylko wiadomo, że człowiek.

Zostawmy więc w spokoju zdjęcie, bo nic więcej nam już nie powie. Spójrzmy poza nie. Parę minut później. Tyle mniej więcej autor zdjęcia stał tam wyżej, na drodze, po tym jak je zrobił. Potem odwrócił się i poszedł w dół, drugą stroną drogi, gdzie jak okiem sięgnąć rozciągały się rozległe połoniny, a nad nimi szybowwały ptaki, główna przyczyna, dla której znalazł się tam z lornetką i aparatem fotograficznym.

Kilka minut później Lenka obrała sześć ziemniaków i poszła z garnkiem do wiadra przy studni, żeby je jeszcze przepłukać. Wiadomo, że wtedy padł strzał, w tym miejscu zginęła. Ale nie od razu. Strzał ją unieruchomił. Ile czasu minęło i co widziała, nim się wykrwawiła? Zostawmy to, wróćmy do mężczyzny. Do jego tożsamości. Bo tylko to da odpowiedź, co i dlaczego. I najważniejsza już teraz rzecz: co się stało z dzieckiem.

– Śmiało, ojciec! – Młody Miśkiewicz zdjął ręce z karku i położył dłonie, rozpościerając palce, na stole. – Powiedz teraz: Przypuśćmy, że to był ten i ten, wspomniany przez durnego Jaszczuka, konkretny facet.

– No ale dlaczego nie, komendancie – wtrącił mecenas. – Przypuśćmy.

– Z jakiego to powodu pszczelarz miałby się dopuścić tak bezsensownej zbrodni? Kto zabija bez powodu! – uniósł się tamten. – Seryjny zabójca!

– Albo wykolejeniec, powodowany jakimś impulsem – podsunął smętnym głosem Maurycy Murawski.

Stary komendant zerknął w górę na migające znowu świetlówki i, wpatrując się w nie zmęczonym wzrokiem, powiedział:

– Mnie bardziej interesuje powód, z jakiego dzień później, a może i w tym samym dniu, umarł.

– Powiesił się! – zawołał triumfującym głosem Jaszczuk, jednak po minach pozostałych mężczyzn widać było, że staremu Miśkiewiczowi nie chodzi o bezpośrednią przyczynę śmierci.

Żał po śmierci żony i nienarodzonym dziecku? Po roku? Być może. Straceni najbliżsi, dozgonna samotność...

– Z siostrą całe życie mieszkał – odezwał się Jaszczuk.

– Skąd wiesz?

– Jeżdżę tam ze sklepem raz w tygodniu, zawsze co nie bądź kupi. Wychodzi opatulona chustką zima lato, jak tamten w ty kapocie. Wszystko jak w tym... no... horrorze. Ule

pozarastane trawą...

– Jak się nazywa? – przerwał Miśkiewicz.

– Ona czy on?

– Wszystko jedno.

– On to się nazywał Stefan Barcz, a ona też Barcz, ale imienia, komendancie, to nawet nie wiem.

– Dulęba! – zawołał młody komendant.

Dulęba pojawił się po chwili. Po oczach było widać, że drzemał.

– Ppppp...

– Skończ z tym panem komendantem za każdym razem – warknął młody Miśkiewicz, zapisując coś na kartce wyrwanej z notesu.

– Pppo północy już, chciałem powiedzieć, pppaaa...

– Dowiedz się na łupkowskim komisariacie, co tam w sprawie śmierci tego tu mają... Okoliczności i tak dalej. A Gajczak niech wygrzebie, co u nas jest w sprawie wypadku Zofii Buchat, jak i kto, on będzie wiedział, gdzie w tym bałaganie czego szukać...

– Ggggaaajczak pojechał na aaaakcję...

– Chyba że ty, ojciec, coś pamiętasz? – Komendant zignorował wyjaśnienie Dulęby.

– A tyle pamiętam, co każdy. Pięćdziesiąt metrów od komendy pod samochód wyskoczyła. Sprawca zbiegł z miejsca wypadku. Przyjechało pogotowie, Buchatówna w karetce umarła.

– Wtedy już Barczowa – odezwał się Jaszczuk.

– Co?!

– Barczowa, mówię. A pan komendant to tak: Sikorówna, Buchatówna, a przecież tamta to też już była Witzczakowa, znaczy się, Romka Witzczaka żona...

– Wszystkie komisariaty naokoło postawiliśmy na nogi – kontynuował stary komendant, nie zważając na uwagi Zenka. – Wszystkie drogi były obstawione. Gdzie zniknęli – nie wiadomo.

– Zniknęli? – zainteresował się mecenas.

– Dwoje w samochodzie było. Granatowy volkswagen golf... Tyle paru naocznych świadków widziało.

– Doktory z Rzeszowa ją rąbnęli – odezwał się znowu Jaszczuk.

Na starym Miśkiewiczcu nie zrobiło to wrażenia.

– Była taka pogłoska – odrzekł na pytające spojrzenie mecenas. – Kręciła się tu akurat w tamtym czasie taka para, chcieli coś kupić w okolicy, bo wtedy się taka moda na Bieszczady akurat zaczęła. Stare chaty, schroniska, opuszczone stacje albo jak ta... jak jej tam... Magnolia, po oddziale więzienia... Sprawdziliśmy. Dwoje młodych stomatologów w większym towarzystwie siedziało wtedy w Polańczyku w jakimś hotelu. Granatowy golf stał na hotelowym parkingu. Samochód nietknięty... Zresztą zepsuty od paru dni. Oni mieli alibi.

– I to są te pana mosty, mecenasie – oświadczył ponuro młody komendant. – Co ma piernik do wiatraka? Zdjęcie, pszczelarz, samobójstwo, wypadek... Od czego to się zaczęło, bo już nie pamiętam? Od dużej uwagi Jaszczuka o pszczelarzu? Że w takiej samej kapocie jak ten na zdjęciu, zima lato łąził?

– Psi węch – powiedział cicho jego ojciec. – Mój psi węch i babska intuicja Tuśki. Od tego się zaczęło. Z każdej fałszywej drogi można zawrócić. Ale najpierw trzeba nią pójść, żeby się przekonać, że fałszywa.

Młody Miśkiewicz zerwał się od stołu, klasnął w dłonie i z udawaną swobodą zawołał:

– No to co, panowie! Może by tak z rozpędu sprawdzić okoliczności śmierci całej rodziny Buchata? Może gdzieś tam coś da się powiązać z czymś innym. Gdyby nie to, że rodzony ojciec

i mecenas, tobym powiedział: Wypieprzać, ludzie, bo ja jeszcze nie skończyłem z obecnym tu pisarzem... – Znieruchomiał nagle i popatrzył na ojca. – To jak, zepsutym samochodem po okolicy jeździli?

– Komendant ma rację. – Jaszczuk zaczął gwałtownie kiwać głową. – Jeździli, bo ich ludzie widzieli, z palca nikt by sobie nie wyssał, że to czy tamto. A jakaś chata czy czego tam szukali, to nie czapka czy co tam, że się od ręki kupuje. Sam ile razy żem jeździł i oglądał, nim zaliczkę Romkowi Witczakowi wpłaciłem...

– O czym ty, Jaszczuk, gadasz? – przerwał mu stary Miśkiewicz. – Grosze żeś zapłacił, bo nikt tego po tamtej tragedii nie chciał. Nawet obcych Wzgórze Wilków, dziwna sprawa, nie zauroczyło...

– Ja tam ty nazwy nie uważam i nie lubię, jak się tak o nim mówi. Wilków czy nie wilków, teraz to moje, Zenka Jaszczuka, o! I taką tabliczkę tam postawię... – mówił z entuzjazmem, chociaż entuzjazm w każdej chwili słabł. – Chyba że znowu sprzedam, bo już nie wiem. Tak się porobiło z tą Anusią...

Mecenas rzucił się z pięściami w stronę Jaszczuka, ale komendant zdążył go powstrzymać. Palcem wskazującym pokazał Zenkowi jego miejsce za rozwaloną ścianą, a ten pokornie tam poszedł.

Wszedł Gajczak, rozpinając policyjną kurtkę.

– Z bandziorami, co ostrzelali Magnolię, sprawa, panie komendancie, wyjaśniona – zameldował. – Na stacji próbowali przeczekać. Póki nie popili i znowu nie zaczęli strzelać.

– Do czego?

– Do budynku.

– Jakieś debile?

– Od południa jeździli dżipami naokoło więzienia, niby w ramach wsparcia dla osadzonego tam kolegi. Już ich cały komisariat łupkowski miał na oku, ale przed wieczorem dali spokój, bo tamci odjechali.

– W naszą stronę. Łupkowskie ich dorwały?

– Razem z naszymi chłopakami. W tunelu ich zamknęliśmy. Oni z tamtej, my z tej strony.

– Choć tyle – ucieszył się komendant. – Pozwalniaj chłopaków, skończyli służbę.

– Pan też, komendancie – powiedział Gajczak oficjalnym tonem, strzelił obcasami i wyszedł.

Ledwie zamknęły się za nim drzwi, Jaszczuk zaczął pomrukiwać i chrząkać wymownie zza ścianki, a w końcu zawołał:

– Alfonsy miały być! Za moją Anusią i koleżankami podobno przyjechały! A to bandziory zwykle... Dobrze zrozumiałem? – Nie doczekawszy się odpowiedzi, ciągnął: – Najłatwiej to kogoś od ćci i wiary odsądzić, oszkalować i od kurew nawyzywać. A się okazuje, że przypadkowa zadyma była. Tylko przez to się Anusi nie zdążyłem oświadczyć...

– Ale prezent zaręczynowy widziała! – Mecenas Lorka nie wytrzymał. – I o to chyba pierwszą awanturę zaczęła, jak zobaczyła, coś z żywą gotówką, którą zamierzała od ciebie, debilu, wyrwać, zrobił!

– Bo w szoku była.

– Co?!

– No ze szczęścia, mecenasie. Że to wszystko dla niej. Całe to... moje wzgórze.

Mecenas popatrzył szeroko otwartymi oczyma na czerwoną gębę Jaszczuka, wystającą nad murkiem, po czym schylił głowę i dwa razy uderzył czołem w blat stołu.

Młody Miśkiewicz z rękoma w kieszeniach chodził po pokoju, nie reagując na wymianę zdań między adwokatem a Jaszczukiem. W pewnym momencie zatrzymał się, ściągnął mocno

czoło, po czym ruszył do drzwi, otworzył je i zawołał:

– Gajczak, przywieź mi tu w tej chwili Romka Witczaka!

– O pierwszej w nocy?! – zdziwił się tamten.

Komendant zerknął na zegarek i powiedział:

– Jeszcze pierwszej nie ma.

&&&

Po powrocie Doris siedemnaście minut (z zegarkiem w ręku – Czesia patrzyła) witała się na podwórku z Absurdem, zanim weszła do środka. Pies dobiegał do niej, wskakiwał w jej rozpostarte ramiona, zeskakiwał, robił dwa lub trzy radosne kółka, a Doris z piskiem łapała go co chwila i całowała w paskudny łeb.

Czesi, mimo uważnego śledzenia wskazówek zegarka, nie umknął jednak fakt, że Doris nie wróciła sama. Marcel, były kochanek jej matki, wygramolił się powoli z samochodu i obserwując radosne powitanie pani z psem, zbliżył się powoli do Czesi, pocałował podaną dłoń i powiedział:

– Całą drogę o tym kundlu gadała. Już miałem dosyć.

Czesia skromnie spuściła wzrok, lekko wysuwając dłoń z mocnego uścisku, po czym głęboko westchnęła. To z kolei nie uszło uwagi Marcela.

– Nie cieszysz się, że wróciła? – I nie czekając na odpowiedź, dodał tonem usprawiedliwienia: – A! Pomyślałem, przejadę się, ją odwiozę, żeby się pociągami nie tłukła, a sam trochę oddechu złapię... Jak zdrowie?

Czesia, czerwieniąc się nie wiadomo czemu, kiwnęła głową, że w porządku.

– Dobrze, że akurat kremowe ciasto z malinami upiekłam.

– Na to liczyłem. – Marcel czule spojrzął jej w oczy i jeszcze raz uściśnił dłoń.

Czesia zaprosiła go ruchem ręki do środka.

Rozsiedli się w kuchni, gdzie przy kawie i słusznym kawałku kremowego ciasta z malinami gość poinformował Czesię o efektach wizyty Doris w rodzinnym mieście Krakowie. Adwokat wynajęty, papiery rozwodowe złożone, teraz tylko czekać. Marcel nie wie, jak długo i czy fakt, że mąż Doris z więzienia został przeniesiony do psychiatryka, to źle czy dobrze, wszystko się zobaczy.

– To mąż Doris jest w szpitalu psychiatrycznym?! – zdziwiła się tamta. Wtedy weszła Doris i rozpromieniona rozejrzała się po kuchni, a Czesia, zerkając na zegarek, oznajmiła:

– Siedemnaście minut.

– Podobno zaczął się rzucać na wszystkich i wyć po nocach – tłumaczył w odpowiedzi na zdziwienie Czesi Marcel, podczas gdy Doris przechadzała się po korytarzu, po sali, aż do werandy, a za nią merdający ogonem Absurd.

Czesia na jedną chwilę nie spuściła z niej wzroku; wzdychała co jakiś czas i potakiwała przy każdym słowie Marcela rozkojarzona. W końcu wstrzymała oddech, bo Doris znieruchomiała nagle na granicy sali i holu, obejrzała się za siebie, zlustrowała wzrokiem ściany holu i dalej, w głębi korytarza, a potem zapytała cicho:

– A gdzie moje obrazki?

– Sprzedane – wypaliła bez tchu Czesia.

– Jak to, sprzedane?

– No sprzedane. Chyba o to ci chodziło, nie? Czy może coś nie tak zrozumiałam?

Doris opadła na krzesło Marleny, popatrzyła na Czesię, na puste ściany i przerażonym głosem zapytała:

– Za ile?

– A za sto czterdzieści tysięcy – mruknęła niewyraźnie Gawlińska.

Marcel zakrzuszył się kawą; Doris zerwała się z krzesła i chwyciła przyjaciółkę za ramię.

– Żartujesz!

– Jakie obrazki? Co? Za takie pieniądze?

– A malowała całą tamtą jesień i zimę. Jak zaczęła po śmierci Filipa, tak na wiosnę skończyła, poobwieszała całe ściany ni w pięć, ni w dziewięć... – Umilkła nagle i odważnie spojrzała w oczy Doris, spodziewając się tego, co nieuniknione – kolejnego pytania.

– Kto zapłacił tyle kasy za mało warte mazaje?

– O! Nagle co za samokrytyka. Miały być takie dzieła i nie mniej niż po tysiąc dwieście za jeden, jakby kto chciał...

– Tak sobie gadałam! – przerwała jej Doris. Znowu opadła na krzesło pod ścianą, przycisnęła dłonie do policzków i wykrztusiła: – Ja wiem... Ja wiem, kto je kupił. Nie musisz mówić. Nikt normalny by tego nie zrobił, bo po pierwsze, musiałyby być milionerem, żeby zapłacić za to lekką ręką tyle kasy, a po drugie, co już wynika z pierwszego, mieć nie po kolei pod sufitem!

Z przedsonka wyłonił się Marek. Ogolony, nie wczorajszy i porządnie ubrany, jak ostatnim razem.

– Doris... – powiedział, dodając po chwili: – Doris... Musisz mnie teraz wysłuchać.

Doris wyciągnęła sztywno przed siebie rękę i wrzasnęła:

– Precz! Jak śmiałeś kupić moje obrazy?!

– Były do sprzedania, to kupiłem.

Usiadł z prawej strony na ławie, zaczął rozpinąć cienką kurtkę. Wtedy Doris się zerwała i zaczęła chodzić od progu sali do progu kuchni, dysząc ciężko, ze wzrokiem wbitym w podłogę.

– Pamiętasz, jak wyszedłeś z więzienia i wpadłeś tu na obiad? – rzuciła w jego stronę.

– Doris... dajmy spokój tamtym sprawom...

– To ja wtedy nieprzytomnie czekałam na widzenie z tobą, które Marlena z dyrektorem więzienia mi załatwiła.

Marek machnął ręką. Doris przystanęła przed nim; obok niej stanął Absurd i zawarczał na Marka.

– Obmyśliłam sobie każde słowo, każde zdanie, które ci tam po wyjaśnieniu całej sytuacji, a głównie tego, że uratowałam twoją forszę, powiem. A także...

– Doris...

– ...co ty mi powiesz.

Czesia podeszła do barku, wyjęła z niego siódemkę i dwa kieliszki, jeden postawiła przed Marcelem, drugi przed sobą.

– Napijesz się?

– Pewnie.

Doris zerknęła ze złością na nich oboje, po czym znowu odwróciła się do Marka.

– Pamiętasz, co mi wtedy powiedziałeś?

– Nie poznałem cię.

– Matko jedyna, dziewczyno, jak miał cię poznać! – wtrąciła Czesia.

– Powiedziałeś: „Taką jedną ofiarę losu”, gdy zapytałam, kogo ci przypominam. Bo kogoś ci, mimo wszystko, przypominałam, prawda?

– Byłem innym człowiekiem – powiedział cicho. – Straciłem wszystko, wyszedłem z więzienia... Do tej pory nie wiem, za co tam trafiłem...

– Za pobicie policjantów – przypomniała Czesia.

– Ty się nie wtrącaj! – warknęła na nią Doris.

Czesia z Marcelem porozumieli się wzrokiem i wypili jeszcze po jednym.

– Wtedy oddałam ci te cholerne trzysta tysięcy – kontynuowała Doris – poszłam na zaplecze i zemdlałam...

– Po tym jak wciągnęłaś z gwinta pół butelki wódki – wtrąciła Czesia.

– A ty wzięłaś swoją kasę, wyszedłeś i tyle cię widziałam. Po kilku miesiącach wracasz...

– Tyle czasu potrzebowałam, żeby coś do mnie dotarło.

– ...przepieprzasz kasę, którą z narażeniem własnego życia ocaliłam dla ciebie, przychodzisz tu każdego dnia, siadasz w kącie i jedno, co potrafisz powiedzieć, to „Doris”.

– Doris...

– A teraz chcesz mnie kupić, przekupić, bo już sama nie wiem co, płacąc za gówniane obrazki dokładnie tyle, ile potrzebuję na swój wymarzony dom. Myślisz, że jestem głupia i się nie domyślę?!

– Mam to gdzieś – stwierdził Marek. Wstał, ujął twarz Doris w dłonie i wyrecytował:

– Mam to gdzieś, Doris. Nie obchodzi mnie, co zrobisz z tą forszą. Straciłem wszystko, zostały mi tylko pieniądze. – Próbowała się wyrwać, ale jej nie pozwolił. Patrząc jej w oczy, mówił dalej spokojnym, delikatnym głosem: – Nie wiem, czy cię Kocham, Doris... Po tej historii z kobietą, która była moją żoną, chyba nawet nie powinienem wierzyć w coś tak niedorzecznego, jak miłość. Nie wiem, czy cię Kocham, ale...

– Ale, do cholery! – syknęła Doris.

– Ale nigdy od ciebie nie odejdę. Przyjmij to do wiadomości lub nie, twoja sprawa. Puścił ją, zgarnął kurtkę z ławy i wyszedł.

Doris chwilę stała jak zamurowana, po czym zerknęła na Czesię.

– Nie odzywaj się!

Odwróciła się gwałtownie i pobiegła na górę.

Kilka minut później do Magnolii weszła Małgośka z naręczem czystej pościeli. Skinęła głową Marcelowi, który zerwał się natychmiast, by się przywitać i przedstawić, spojrzała na Czesię, lejącą wódkę do kieliszków, i powiedziała:

– Doris wróciła? To dobrze, wreszcie będzie tu jakoś normalnie.

Na drugi dzień Marcel, odprowadzony przez Czesię do samej bramy i wyposażony na drogę w pojemnik ciasta z kremem, odjechał. Stała na środku podwórka i patrzyła za nim, póki nie zniknął jej z oczu.

Trzeciego dnia przysłała Józefina. Zrobiła remanent na stojaku z wisiorami, parę zrzuciła niechcący kapeluszem, rozsiała się na tapicerowanym krześle, podsunętym jej przez Maurycego, i zaczęła wydziwiać na pogodę, że taki brzydki wrzesień się zaczął, a mogło być jeszcze tak pięknie.

Tuśka z plecakiem szkolnym na plecach chodziła za Maurycem, który z rękoma w kieszeniach spacerował po sali, patrząc ponurym wzrokiem w okna. Opowiadała mu o szkole. Że w sumie to po gimnazjum czegoś lepszego się spodziewała. Że tylko na informatyce wielkie wymagania. Tu może być problem, bo ona dopiero od niedawna ma laptopa od Marleny i mało jeszcze w tym temacie oblatana. I jeszcze się nie przyznała, że nie ma internetu, żeby jej nie wyśmiali, ale chyba się przyzna. Niech się śmieją. No i pani od polskiego też od razu wzięła ich w obroty, to nawet dobrze, bo ona polski lubi i tu akurat nikt jej nie podskoczy. Najlepszy przykład, kiedy pani kazała opisać jakąś adaptację filmową znanej książki, to jedni się złapali za *W pustyni i w puszczy*, a drudzy za *Tajemniczy ogród*, no i jeszcze tam parę osób coś w tym stylu...

– A ty? – spytał Maurycy, stając przed oszklonymi drzwiami na werandę.

– *Greka Zorbę!* – wyrzuciła jednym tchem Tuśka.

– Dlaczego? – zainteresowała się Marlena, unosząc oczy znad rozłożonej gazety.
– A dlaczego nie?! – odpowiedziała Tuśka. – Zorba to moja ulubiona postać. Facet wiedział, jak się cieszyć życiem.
– Miał na to jakąś receptę? – zagadnęła Czesia.
– Na to nie ma recepty, pani Gawlińska. Z tym się trzeba urodzić. Albo nic cię nie cieszy, albo cieszy wszystko.
– Nawet katastrofy – wtrąciła Marlena z przekąsem.
– Jakie znowu katastrofy? – czujnie spytała Czesia, wyglądając z kuchni.
– Taki cytat. Z książki – wyjaśniła Marlena.
– Z filmu – sprostowała Tuśka. – W książce to bardziej wypływa z narracji i nie brzmi tak pięknie. A ty, Maurycy? Dużo już napisałeś swojej książki?
Maurycy odwrócił się od drzwi prowadzących na werandę, popatrzył na Tuśkę w zamyśleniu, po czym jakby się nagle ocknął, odpowiedział:
– Dokładnie tyle, ile chciałem.
Wszedł Marek. Usiadł przy stoliku w głębi sali i poprosił Małgośkę o obiad.
W odpowiedzi na pytanie Doris, rzucone do Czesi, czy on tu teraz będzie przychodził na obiad, jak kiedyś przychodził trzeźwieć, odparł głośno, że codziennie.
Doris zaczęła ostentacyjnie sprzątać. Robiąc to, mamrotała pod nosem, że wystarczy na parę dni wyjechać, a bałagan taki, że nie wiadomo, od czego zacząć. Kwiatków też nie miał kto podlać albo choć raz wybrać się na cmentarz i wyrzucić z wazonu uschnięte badyle.
Marek jadł obiad i ostentacyjnie nie zwracał na Doris najmniejszej uwagi. Zagadał do Małgośki, pochwalił kapelusz Józefiny, a także jej wygląd.
– Ty też dobrze wyglądasz – odwdzięczyła mu się tym samym. – Coś się stało?
– Pora stanąć na nogi – odparł pogodnie. – Jeszcze sporo życia przede mną.
– Gdybym miała twoje lata... – zaczęła Józefina rozmarzonym głosem – świat by do mnie należał.
– To samo sobie pomyślałem – przytaknął. – Świat jeszcze do mnie należy. Coś trzeba z tym zrobić.
– Jeszcze bym gdzieś pojechała – marzyła dalej. – Jeszcze kogoś uwiodła...
– Jeszcze możesz – wtrąciła Czesia. – Paru starych wdowców na wsi do wzięcia.
Tuśka usiadła obok Józefiny, z zachwytem patrząc jej w oczy.
– Stary komendant mówił kiedyś, że takich oczu jak pani to nikt nie miał – powiedziała.
– Ja myślę, że nadal są piękne.
Stara kobieta roztargnionym ruchem poprawiła kapelusz.
– Każdy ma w sobie coś wyjątkowego... – szepnęła.
– I że on się parę razy w tych oczach zakochał – ciągnęła Tuśka. – Tylko że od dziecka coś z panią było nie tak, coś nie po kolei tu i tam, i wiecznie panią gdzieś niosło.
– Świat mnie wzywał! – Józefina rozłożyła ręce, potrząsając bransoletkami, których miała po kilka na każdej. – Cały świat! Każdy, moje dziecko, ma coś nie po kolei. Jeden mniej, drugi bardziej... A komendantowi też niczego nie brakuje. Pierwsze słyszę, że się kochał w moich oczach. Zresztą, kto się nie kochał! Pamiętam ich imiona. Wszystkich, co do jednego.
– A pamiętasz, po coś przyszła? – zagadnęła Czesia.
– Pamiętam! Powiedzieć Doris, że chałupą po wujku Rudolfa ktoś się interesuje.
Doris znieruchomiała przy jednym z parapetów, z którego ostentacyjnie ścierała kurz.
– Moją chatą na skarpie? – spytała bez tchu.
– No przecież o innej bym ci nie mówiła.
– Kto?

Józefina wzruszyła ramionami i poprawiła bransoletki, podciągając je do samego łokcia.

– A nie wiem. Jakies przyjezdne. Z miejscowych nikt przecież takich pieniędzy nie ma.

– Doris ma – przypomniała Czesia.

Marek skończył obiad, wytarł usta chusteczką i przywołał wzrokiem Małgoškę.

– Nie są moje – jęknęła płaczącym głosem Doris. Rzuciła ścierkę do miski z wodą. – Nic nie jest moje i nic nie mam.

– To prawda – przytaknęła Czesia, wodząc za nią wzrokiem. Doris zdjęła z wieszaczki przy lustrze kluczyki do samochodu. – Nie masz nawet rozumu, bo jakbyś miała rozum, wzięłabyś sto czterdzieści tysięcy, które leżą u ciebie w pokoju na oczach i czekają chyba na złodzieja, poszłabyś na wieś, kupiła chałupę i raz na zawsze przestała jęczeć.

– Jadę na cmentarz! – oświadczyła tamta.

– A jedź! – Czesia machnęła ręką. – Bo dawno nie byłaś.

Doris ruszyła do drzwi, za nią pobiegł Absurd. Po chwili usłyszeli silnik auta i głuchy huk. Małgoška wyjrzała oknem.

– Wjechała w kwietnik. Kwietnik leży, ona pojechała – oznajmiła ze spokojem, po czym wróciła do stolika Marka i zaczęła sprzątać talerze.

Marek zapłacił za obiad, podziękował i zapytał o Jaszczuka.

– Koło siódmej przychodzi – odpowiedziała Czesia. Obrzuciła Marka życzliwym wzrokiem i dodała: – A będziesz się jej samochodem przejmował! Niech sama się z Zenkiem dogaduje, który tam z braci ciotecznych jej go wyklepie. – Zwróciła się do Małgoški: – W który kwietnik wjechała?

– Przy kabarynach.

– No to pewnie i zderzak do wymiany...

– Ale ja nie dlatego o Jaszczuka pytam.

– I prawe światła... A dlaczego?

– Mam sprawę – odparł Marek, nic więcej nie wyjaśniając, i wyszedł.

Maurycy przestał wreszcie chodzić po całej sali od jednych okien do drugich, podniósł z podłogi plecak, który Tuška w pewnym momencie beztriosko rzuciła, i powiedział, że może ją podrzucić.

– A to nawet dobrze – zapiszczała z zadowoleniem Tuška – bo mamusia jakies niewygodne buty mi kupiła i o, całą piętę sobie zdarłam, o numer za małe!

– Spodnie chyba też za małe – zauważyła Józefina.

– Spodnie? – Tuška wysunęła przed siebie jedną nogę i pomachała stopą. – Spodnie to jeszcze dobre...

– Do kostek to dobre? Jakoś tak dziwacznie wyglądasz. Dziwaczniej niż zwykle.

– A bo specjalnie sobie podciągnęłam, żeby mi się w błocie nie wypaprały. Mamusia już ma po dziurki w nosie tego prania. A właśnie! Pani Gawlińska, mamusia kazała powiedzieć, że na jesień i zimę to chyba będzie musiała zrezygnować z tego prania...

– Bo? – zainteresowała się Czesia, zaglądając małej w twarz.

– Bo więcej nami musi się zająć. Obiadu nagotować, jak ze szkoły powracamy, naszykować nam wszystko, w piecu palić, żeby było ciepło – wyrecytowała Tuška, wsunęła rękę pod ramię Maurycyego i wychodząc z nim z Magnolii, mówiła: – Szkoda, że nie masz swojej książki, bo w bibliotece w Komańczy pytałam, to też na razie nie mają. – Obydwa tytuły wypożyczone. Nic nie poradzę, poczekam. Chyba że w międzyczasie byś mi wydrukował to, co teraz napisałeś, bardzo jestem ciekawa.

– Jeszcze nie skończyłem – odparł, puszczając ją w drzwiach przed sobą. – Na wszystko przyjdzie pora.

– Ale jazda! – ucieszyła się Tuśka. – Jak powiem w szkole, że pierwsza będę czytać twoją książkę!

– Strasznie się zdziwią – skomentowała Czesia zachwyty małej, zamykając za nimi drzwi.
– Kto to w ogóle jest... ten Murawski. – Nie wyglądało na to, żeby Józefina zbierała się do wyjścia, więc usiadła koło niej, kontynuując: – Ale zawsze to jakiś facet kręci się po Magnolii... Nie odezwie się, mało co skomentuje, ale co tu komentować, nie wiem. Napisze książkę, odjedzie i znowu zostaniemy same na zimę. Szkoda, bo trochę się do tego jego milczenia przyzwyczyłam.

– Przed zimą jeszcze ślub – wtrąciła Józefina. – Podobno Marlena wreszcie się zdecydowała.

Czesia niewyraźnie skinęła głową.

– Z nią nigdy nie wiadomo. Czwarta godzina, a jeszcze na drugą kawę nie przyszła.

Piąta minęła i Marlena też nie przyszła. Dopiero przed szóstą zjawiła się łaskawie w Magnolii, rozłożyła się z gazetami przy swoim stoliku i poprosiła o podwójną kawę.

– Mówiąc to, mam też na myśli podwójnie mocną – zaznaczyła, widząc, że Czesia sypie do ekspresu standardową ilość ziaren. – Wystarczy nie dopilnować, nie przypomnieć... Wiesz, że lury nie piję.

– Znowu zaczęłaś czytać gazety sprzed tygodnia? – zemściła się natychmiast Gawlińska.

– Myślałam, że już trochę zmądrzałaś. Ale widać nie i chyba nie ma co się za bardzo dziwić. Sami wariaci ciągną do tej Magnolii, jeden za drugim.

– Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś normalny mógł tu długo wytrzymać.

– Przecież cię nie przegadam. – Czesia z rezygnacją opadła na stołek przy kuchennym blacie. – Co ciekawego u Wilczewskich?

To co zwykle – usłyszała w odpowiedzi. Obaj przy komputerach, w domu bałagan, że się przewrócić można. Chociaż nie! Olaf jakiś taki rozkojarzony, jakby duchem nieobecny, jednym słowem inny. Dostrzegła to od razu, zapytała, co mu chodzi po głowie, a on na to, że nic, nic. Jak to nic, jak widzi, że coś.

Zaczął więc w końcu bąkać, że tak sobie leżał te parę dni w łóżku i jakaś taka tęsknota go porwała za światem. Ale za czym konkretnie, to on nie ma zielonego pojęcia. Może by gdzieś pojechał, coś zobaczył, może czegoś innego spróbował... Gdy zapytał, czy Marlenę nie nachodzą podobne myśli, odparła twardo: „Nie”. Nie wchodząc w zbędne szczegóły, powtórzyła tylko to, co już wielokrotnie mówiła: Biegając przez życie, dotarła tutaj i nie ma zamiaru nigdzie stąd się ruszać. Znużył ją świat, w którym nie wiadomo, o co chodzi...

– Jak nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o pieniądze – odpowiedziała Czesia.

– Pieniądze, władza, bezmyślny pęd do gromadzenia rzeczy...

– I buty po dwieście czterdzieści dziewięć dziewięćdziesiąt dziewięć... – zażartowała Gawlińska.

Marlena przytaknęła.

– Niech każdy żyje sobie tak, jak mu pasuje.

– Gdyby jeszcze każdy miał na to wpływ.

– Ja miałam. A Olaf – przypomniała sobie nagle, o czym tak naprawdę mówiła – uspokoił mnie szybko, że to nic, jakaś obca myśl, zaplątana między swoimi.

– Borysowi też coś chodzi po głowie? – spytała Czesia.

Borys to dzikus (Czesia po raz kolejny spostrzegła, że Marlena w zupełnie inny sposób wymawia jego imię. Gdyby nie wiedziała tego, co wie, mogłaby pomyśleć, że nie tylko imieniem, ale i barwą głosu każdego z nich stara się za wszelką cenę odróżnić), samotny wilk, który najchętniej nie schodziłby ze swojej Górki. Po co ma się gdzieś ruszać, skoro to nie jest

w jego naturze. Wychodzi tylko wtedy, kiedy musi. Świat jest wspaniały i wielki. Za pomocą paru kliknięć na klawiaturze podróżuje tam, gdzie zechce. Nie musi wszystkiego dotknąć i wszędzie postawić stopy. Nie opuszczając swojego świata, dociera wszędzie wyobraźnią.

– Odwrócił się w pewnej chwili od komputera – mówiła Marlena miękko głosem – uśmiechnął się do nas i powiedział: „Nie macie pojęcia, gdzie przed chwilą byłem”. Wtedy Olaf zmarszczył czoło i poradził bratu, żeby jednak pewne miejsca omijał. Z daleka.

– Jakie znowu miejsca? – zainteresowała się Czesia. – Pewnie jakieś te... wirtualne agencje towarzyskie.

– Żeby tylko o takie agencje chodziło, to byłabym spokojna – zakończyła temat Marlena.

Doris zeszła z góry z jakimś zawiniątkiem w ręku. Położyła je przed Czesią i powiedziała:

– Nie chcę jego pieniędzy.

– Ale ja też ich nie chcę, Doris. To nie są już jego pieniądze, tylko twoje. Zapłacił za obrazy, które wystawiłaś na sprzedaż. Uczciwa transakcja, nie uważasz?

– Każdy wie, że nie.

– Guzik mnie obchodzi, co wie każdy. Zabierz tę forszę i nie wcinaj się, jak rozmawiam z Marleną o ważnych sprawach.

Doris wzięła zawiniątko, otworzyła zamrażalnik i próbowała je tam schować.

– Gdzie mi to wtykasz? – wydarła się na nią Czesia. – Na karkówkę?

– To gdzie?

– Do dolnej szuflady na grzyby połóż, grzybów do Wigilii nie będę ruszać. Matko jedyna, tamtej zimy trzysta tysięcy do lata po pokoju się poniewierało, teraz znowu sto czterdzieści chowasz po zamrażalnikach, idź już stąd i mnie nie denerwuj.

Doris potulnie wycofała się w głąb kuchni i zaczęła robić kolację dla Maurycego. Co ukroiła, od razu zjadła. Czesia, nie spuszczać z niej wzroku, zagadnęła Marlenę:

– Przymierzałaś już ten kremowy kostium, czy na ostatnią chwilę będziesz czekać?

– Przymierzałam.

– I co?

– Za duży.

– No masz! Jak za duży, przecież tydzień temu mówiłaś, że dobry?

– Tydzień temu był dobry, dziś jest za duży.

– Niemożliwe.

– Nie będę się z tobą spierać.

– Nie spieraj się.

– W każdym razie do ślubu w nim nie pójdę.

– To w czym pójdziesz?

– Józefina coś mi uszyje. Zawołałam ją, jak wracała z Magnolii, wzięła miarę.

– Lecisz sobie? Jak ci Józefina uszyje jakieś dziwactwo? Chcesz na własnym ślubie wyglądać jak dziwaczka, proszę bardzo... Maurycy, co tam tak siedzisz na schodach?

– A nie wiem. Usiadłem, słucham, o czym mówicie, i siedzę...

&&&

Komendant Miśkiewicz w oczekiwaniu na przybycie Witczaka przymknął oczy, o nic nikogo nie pytał i na nic nie reagował.

Mecenas z Jaszczukiem spoglądali na siebie spode łba. Maurycy wyciągnął przed siebie nogi, założył jedną na drugą, ręce oparł na brzuchu. Z twarzy od dłuższej chwili nie schodził mu delikatny uśmiech. Od czasu do czasu z tym uśmiechem popatrzył dookoła, ledwie przesuwając wzrokiem po każdym przedmiocie. Sprawiał wrażenie człowieka, który w pogodny dzień siedzi

na ławce, unosi twarz do słońca i myśli o czymś przyjemnym, czekając na autobus.
W najgorszym wypadku na pociąg.

Romek Witczak po śmierci młodej żony i zaginięciu dziecka wrócił do rodzinnego domu, a po kilku latach założył rodzinę i wiódł spokojny żywot. Zdawać by się mogło, że zamknął gdzieś na dnie duszy minioną tragedię, nie obnosząc się z nią i jej nie rozpamiętując. Nawet nie pił.

Teraz też, gdy Dulęba wprowadził go do pokoju, rozejrzał się bez zdziwienia po obecnych, skinął głową i usiadł na przyniesionym z sąsiedniego pokoju krześle.

– Panie Witczak – komendant Miśkiewicz przeszedł od razu do rzeczy – nie będę o tej porze i w warunkach, jakie widać, owijał w bawełnę, tylko od razu zapytam...

Witczak zwrócił ku niemu twarz, trochę jakby zdziwiony tą chwilową pauzą. Stary komendant obserwował go spod zmrużonych powiek. Jaszczuk, obgryzając paznokcie, wyszedł z aresztu.

– Zapytam wprost, panie Witczak... – Młody Miśkiewicz znowu się zawahał, ale po krótkim westchnieniu dokończył: – Czy pamięta pan, od kogo w wiadomym czasie kupił Wzgórze Wilków?

– Pamiętam – odparł tamten od razu. Na jego twarzy nie było widać ani grymasu wywołanego bolesnym wspomnieniem, ani ulgi z powodu szybkiego wyjaśnienia przyczyny, dla której ściągnięto go tu w środku nocy. – Pamiętam – powtórzył.

– Może nam pan powiedzieć?

– Tak. To byli Guzowscy... Jakieś lekarze... chyba z Rzeszowa. Za grosze sprzedawali, więc jak się dowiedziałem, kupiłem to dla siebie i... wie pan.

Młody komendant zerknął na starego i już wiedział, że nazwisko wymienione przez Witczaka nie jest ojcu obce.

– To tak, jak i ja – wtrącił Jaszczuk. – Za psie pieniądze żeś to wystawił, to trzeba być głupim, żeby z takiej okazji nie skorzystać.

– Nie zdziwiło to pana – pytał dalej komendant, ignorując Jaszczuka – że tak tanio? Nie pytał pan?

– Nie pytałem. Sami coś mówili, że nieprzemyślanie kupili na wakacyjne wypady, ale jak popatrzyli, ile tam trzeba zrobić i że wszędzie daleko, to im się odmieniło. Coś innego gdzieś bliżej Rzeszowa znaleźli i tego chcieli się szybko pozbyć... A! Przypomniało mi się! Nie lekarze. Dentyści.

Obaj komendanci i mecenas popatrzyli na siebie. Maurycy wyprostował nogi i przysunął się z krzesłem do stołu. Miśkiewicz położył rękę na ramieniu Witczaka.

– To tyle na razie, panie Witczak. Dulęba odwiezie pana do domu.

Tamten, podnosząc się z krzesła, powiedział:

– Nie wiem, gdzie... – Rozejrzał się niespodzianie po wnętrzu, chyba dopiero teraz lekko zdziwiony. – Ale jakby trzeba było jakiś dokument, że to od nich... Gdzieś pewnie powinienem jeszcze mieć...

– Jak będzie trzeba, panie Witczak, są notariaty, urzędy gminy... Wszystko się znajdzie. Nie zdejmując ręki z ramienia Witczaka, poprowadził go do drzwi. Już wychodząc, tamten odwrócił się i spytał zaniepokojony:

– Czy to ma jakiś związek ze śmiercią Leny? Z moim dzieckiem?

– Z inną śmiercią, Witczak. Z innym dzieckiem – odparł młody komendant, ale zaraz jakby się zreflektował, że na proste pytanie nie zawsze wypada udzielać prostej odpowiedzi, więc się poprawił: – Tego jeszcze nie wiemy. Być może...

Kiedy Roman Witczak opuścił komisariat, w pokoju zapadło długie milczenie. Nawet

Jaszczuk trzymał głowę na kłódkę, choć widać było, że coś niecoś i do niego dotarło.

– Co i kiedy przegapiłem? – odezwał się w końcu stary komendant. – Cały czas wiedziałem, że coś, gdzieś w którymś momencie mi uciekło...

– Ale w której sprawie, komendancie? – Jaszczuk nie wytrzymał. – Morderstwa z mojego wzgórza czy wypadku żony pszczelarza?

– Zamknij się, głąbie – skarcił go natychmiast mecenas. – I słuchaj.

– Volkswagena obejrzałem z każdej strony – ciągnął stary Miśkiewicz. – Nie było ani śladu... Ani jednego draśnięcia. Możliwe to?

– Niemożliwe, ojciec.

– Niemożliwe, komendancie! – zawołał Jaszczuk. – Zając mi raz wpadł pod samochód niechcący...

– Czy ty niechcący na zająca? – wtrącił mecenas.

– ...to na błotniku otarcie na lakierze takie! Jeszcze jakby o koło się obił, to tak, a co pan porównujesz zająca czy psa do człowieka. Nie ma takiej możliwości, komendancie. Chyba że dentysty Zośkę innym samochodem rąbnęły, granatowych golfów do ty pory nie brakuje, u Waldka, brata ciotecznego w warsztacie co rusz to jakiś stoi, a jeszcze jak mówiły, że tamten ich zepsuty od paru dni stał na parkingu pod hotelem, no to coś nie tak, bo ludzie niektóre rękę se dawały uciąć, że dentysty na dniach ciągle w te i z powrotem jeździły...

Komendant Miśkiewicz wałał ręką w stół. Jaszczuk w jednej chwili się zamknął. Po chwili jednak zwrócił się do policjanta z wielką pretensją w głosie:

– No co? Chciałem tylko pomóc, a pan zaraz...

– I może przez przypadek pomogłeś.

– Dlaczego przez przypadek?

– Nikt tu się nie spodziewa – wtrącił mecenas Lorka – że drogą dedukcji, Jaszczuk, dojdiesz do konstruktywnych wniosków.

Jaszczuk popatrzył na mecenasa beznamiętnym wzrokiem.

– Głąbie, jeszcze pan dodaj – powiedział i usiadł na kartonowym pudle, widząc rękę komendanta Miśkiewicza w powietrzu, którą ten niechybnie uderzyłby o blat stołu.

Zapadła cisza.

Młody Miśkiewicz wstał, przeciągnął się i ze zmarszczonym czołem zaczął chodzić po pokoju. W końcu zatrzymał się przy skrzynce bimbru pod ścianą i nie spuszczać z niej wzroku, odezwał się:

– Od czego to wszystko się zaczęło? – Uniósł gwałtownie dłoń w górę, dając do zrozumienia, że nie oczekuje odpowiedzi. Sam ją znalazł: – Od okładki książki obecnego tu pisarza. Ściśle mówiąc, od zdjęcia, które, jeśli wierzyć obywatelowi Murawskiemu, a powodów, żeby mu nie wierzyć, nie ma, zrobił w dniu śmierci Lenki Witczak. Co dalej? Sylwetka mężczyzny w płaszczu do ziemi na tej fotografii. Jaszczuk chlapnął coś o pszczelarzu, wywołując wilka z lasu... Cisza! I dalej poszliśmy w przypuszczenia, dając się ponieść... Niech pan podpowie, panie Murawski, bo mi zabrakło słowa...

– Wyobraźni – odpowiedział Maurycy.

– Otóż to – wyobraźni. Nie wahałbym się nawet powiedzieć – fantazji, bo nie znaliśmy żadnego związku... powodów obecności pszczelarza Stefana Barcza, dziwaka spod słowackiej granicy, na Wzgórzu Wilków w tamtym konkretnym dniu... Może pan by to wszystko ładniej opowiedział – zwrócił się nagle do pisarza.

– Ja?!

– Przecież pan powiedział na początku, wczoraj, parę minut po dziewiątej, jak zaczynaliśmy tę rozmowę, że życie to ciąg przypadkowych zdarzeń...

– Cóż z tego?
– Mój ojciec z kolei – Miśkiewicz skinął głową na starego komendanta – uważa, że nie dzieje się przypadkiem.
– To prawda – potwierdził tamten.
– Co to wszystko ma do rzeczy? – spytał Maurycy, odchylając do tyłu głowę, by widzieć komendanta. – Jakby się tak zastanowić... Nie wiem, czy to w sumie nie jedno i to samo.
– W jakim sensie? – spytał z nagłym zainteresowaniem mecenas.
– W takim, że samo pojęcie przypadku...
– A przestań pan! – przerwał Maurycemu Miśkiewicz. – Bo mi się zaraz we łbie popieprzy. To, co, zdawało mi się, już jako tako mam poukładane.
– A mnie to się już, panie komendancie – wpadł mu w słowo Jaszczuk – całkiem popieprzyło.

Słyszając te słowa, mecenas Lorka parsknął wymownym śmiechem. Tamten spojrział na adwokata raz, potem drugi, a potem nagle zerwał się z kartonowych pudeł, rzucił się na mecenasa i zaczął go dusić.

Komendant Miśkiewicz popatrzył na Zenka niewidzącym wzrokiem, włożył ręce do kieszeni, zaczął się bujać na piętach, w końcu zerknął na skrzynkę z bimbrem, schylił się, wyjął butelkę i postawił ją na stole. Jaszczuk, widząc to, w jednej chwili puścił Lorkę, zbłądł i opadł bez słowa na swoje kartony. Mecenas, nie mogąc złapać tchu, kręcił głową, trzymając jedną rękę na szyi. Drugą ręką podsunął szklanekę po herbacie na środek stołu.

– Niech się dzieje, co chce – mruknął pod nosem młody komendant, lejąc bimber do szklanek. – Każdemu w gardle zaschło o tej porze, a na sucho chyba się tej historii nie obejmie.

– Nie obejmie się! – skwapliwie przytaknął Jaszczuk.

Jak na zawołanie w drzwiach stanął Gajczak.

– Czuję się w wielkim obowiązku zauważyć, panie komendancie – zaczął czerwony na twarzy – że miejsce i okoliczności...

Komendant, nie odwracając się do niego, zamachał tylko ręką w powietrzu.

– Nie wyskakuj mi tu, Gajczak, o drugiej w nocy z drętwą gadką!

– Ale jakby nie daj Boże, co, panie...

– Jakby co – przerwał komendant – albo kto, to ja na urlopie jestem. Wracalem z wesela, zajrzałem sprawdzić, co się dzieje, i tyle. Koniec gadki!

Gajczak był uparty.

– Duleba raport sporządził na okoliczność zarekwirowania nielegalnego alkoholu...

– Nie zwracaj mi tyłka raportami. Mogła się jedna butelka podczas transportu potłuc.

– Nawet dwie mogły się spokojnie potłuc, komendancie – podpowiedział Jaszczuk, nieśmiało wyciągając rękę pod szklanekę.

– Nie przeginaj, Jaszczuk! Pijaństwa tu żadnego się nie spodziewaj, podziel sobie to, co normalnie na raz bierzesz, na jakieś kilka razy, żebyś się nie ślinił i na nas nie gapił.

Gajczak strzelił butem o but i wyszedł.

– Ja to normalnie nie piję – odezwał się Maurycy, przekładając szklanekę z bimbrem z jednej ręki do drugiej.

– A bo normalnie nie jest. Napij się pan, pomyśl chwilę i powiedz, jak pan to wszystko widzisz. W świetle tego wszystkiego, co już zostało powiedziane, przypuszczeń, domniemań i niespodziewanych faktów.

A nad czym tu myśleć? Maurycy pociągnął ze szklanki porządny łyk, krzywiąc się lekko. Trzeba zwyczajnie sprawdzić fakty. Od czego zacząć? Od śmiertelnego potrącenia żony

pszczelarza. Jeśli się okaże, że sprawcą wypadku było jedno ze wspomnianych stomatologów, w owym czasie właściciele Wzgórza Wilków, to utrwalona na zdjęciu, choć ciągle jeszcze domniemana obecność pszczelarza na owym wzgórzu rok później, w dniu śmierci Lenki Sikorówny-Witczak, może się okazać nieprzypadkowa. Na tym etapie Maurycy nie posunie się jeszcze do stwierdzenia, że konkretnymi planami wspomnianego mężczyzny uzasadniona.

O drugiej w nocy, w nieco dziwnych, żeby nie powiedzieć – groteskowych – warunkach i podobnej zresztą atmosferze, z całą pewnością można stwierdzić tylko to, że jest wspólny mianownik dla wszystkich, wielokrotnie przywoływanych tu bohaterów przypuszczalnego ciągu zdarzeń, to znaczy dla paru młodych dentystów, pszczelarza i Lenki Sikorówny. To Wzgórze Wilków. Co z tego wyniknie – Maurycy nie wiedział, ale jeśli pewne fakty zostaną potwierdzone, wyjaśnione pewne wątpliwości, a wszystko razem rozwinie w takim kierunku, w jakim i on, i być może wszyscy tu obecni zmierzali, znany będzie przynajmniej motyw absurdałnego mordu pod Wzgórzem Wilków dwunastego lipca dwutysięcznego roku.

– Motyw... – powtórzył Maurycy, zwracając się do starego komendanta. – Nie mógł pan go znaleźć, więc w końcu dał pan sobie spokój i skupił się już tylko na zaginionym dziecku. Tak naprawdę, nie wiem, na co pan liczył.

Tamten wypił na raz zawartość szklanki, podniósł się, przesunął wzrokiem po całym wnętrzu i zatrzymując go na książce Maurycego, powiedział:

– Cały czas na przewrotność losu. Wystarczyłoby, żeby pana zabrakło na wczorajszej imprezie w Magnolii... Albo żeby pan nie napisał tej książki.

&&&

Marlena, w niebieskiej sukience, pięknej i niewiarygodnie prostej, biorąc pod uwagę to, spod czyjej wyszła ręka, patrzyła na przepiękny ikonostas, przenosząc wzrok z jednego fragmentu na drugi, a na koniec, przechyliwszy lekko do tyłu głowę, zerknęła na dwa anioły, które wyglądały z rogów kopuły, zamykającej całość. Każdej niedzieli, z wyjątkiem okresu choroby, przychodziła do tej starej cerkiewki, teraz katolickiej świątyni, siadała między braćmi w ostatniej ławce, a więc nigdy nie widziała ołtarza z tak bliska. Nigdy też nie przyszło jej do głowy, że te dwa anioły, w porównaniu z każdym innym detalem ikonostasu, są o wiele za duże. Tak jakby wyszły spod ręki całkiem innego artysty, przywiązującego małą wagę do czegoś takiego jak proporcje. Zresztą może tak i było.

Obok niej stał jeden z braci, za nią drugi i Doris w roli starszej, w pierwszej ławce zaś Czesia, która nie zgodziła się świadkować, mówiąc, że jeszcze nie upadła na głowę, żeby w tym wieku i jako wdowa, a także Olga z Adamem, Małgośka i Tuśka... Byli więc wszyscy najważniejsi ludzie w jej tutejszym życiu. Córce wypadła jakaś niespodziewana sprawa w Londynie, ale obiecała przyjechać za dwa tygodnie na dłużej.

Marlena jeszcze raz objęła wzrokiem cały ikonostas od lewej strony do prawej i na sekundę przymknęła oczy, nie wierząc, że stoi tu, gdzie stoi, i dzieje się to, co się dzieje.

Niech się dzieje, co chce, zdecydowała, zdając sobie sprawę, że to ostatni moment na powstrzymanie tego szaleństwa – nawet jeśli nie ma to nic wspólnego z rozsądkiem. Albo z tak zwaną przyzwoitością.

Dziesięć minut wcześniej, gdy na czele małego orszaku, do którego jakby nigdy nie zaczęli dołączać miejscowi ludzie, dotarła piechotą ze swojego domu z narzeczonym u boku, do wzgórza z cerkiewką, z czarnego mercedesa, zaparkowanego nieopodal, wysiadło dwóch mężczyzn w ciemnych garniturach i takich samych okularach. Zagrodzili im drogę, pytając, który to Borys Wilczewski. Olaf lub Borys – po raz pierwszy tego nie wiedziała, bo jakoś tak się zakręcili koło niej, jeden podniósł upuszczone kwiaty, a drugi podtrzymał ją pod ramię, żeby

sama nie upadła – zapytał bez zdziwienia w głosie:

– Pod kościołem, panowie? To nie można było w domu?

– Byliśmy w domu – padła odpowiedź. – Ale tam zastaliśmy tylko komputery. – A po chwili jakby dla usprawiedliwienia dodali: – Nie było zamknięte.

Bracia znowu jakoś tak się zakręcili, ten tu, drugi tam i gdy skołowana już do reszty Marlena chciała krzyknąć, co tu się dzieje, jeden z nich powiedział:

– Ja jestem Borys.

Jeden z mężczyzn mignął mu przed nosem jakąś odznaką.

– Może pan to udowodnić?

– To znaczy?

– Jakiś dowód tożsamości, człowieku.

– Nie chodzę do kościoła z dowodem tożsamości. Tu nie muszę jej nikomu udowadniać.

Co trzeba było, ksiądz już wpisał w papiery... To tak à propos... Jestem świadkiem na ślubie brata Olafa. Jeśli panowie pozwolą...

Mężczyźni zerknęli na siebie w jednej chwili, a w drugiej jednocześnie skinęli głowami. Orszak ruszył do cerkwi. W całkowitym milczeniu. Najmniejszego szmeru, o dziwo, nie było słychać.

Gdy podeszli do ołtarza i ksiądz powitał ich uśmiechem, zapraszając gestem o krok dalej, obaj nachylili mu się do ucha, Borys do jednego, Olaf do drugiego, i coś mu tam szeptnęli, a potem wrócili na swoje miejsca.

Marlena wreszcie oderwała uwagę od ikonostasu, przechyliła głowę na prawo i spojrzała w oczy miłości swojego życia. Wiedziała już, co się wydarzyło u stóp wzgórza, nim kapłan wypowiedział słowa: „Czy ty, Borysie, bierzesz sobie za żonę Marlenę Marię...”, a potem: „Czy ty, Marleno Mario, bierzesz sobie za męża obecnego tu Borysa...”.

Z tyłu uniósł się szmer, nim jedno czy drugie zdążyło odpowiedzieć, a ponieważ cerkiewka była maleńka, parę kroków od drzwi do ołtarza, Marlena słyszała każdy szept, jakby rozbrzmiewał tuż za jej uchem.

– To Borys czy Olaf w końcu?

– Na zapowiedziach było, że Olaf?

– To jak to tak?

Wtedy rozległ się ucinający wszelką szeptaną dyskusję głos Czeński Gawlińskiej:

– Jaki Olaf! Od początku miał być Borys i jest Borys. Przychodzą na mszę, myślą o niebieskich migdałach, nic nie słyszą.

Potem powtórzyli słowa przysięgi, ksiądz powiedział swoje i oto stali się mężem i żoną. Póki śmierć ich nie rozdzieli.

Przed kościołem najbliżsi dopełnili reszty, składając życzenia długiego, szczęśliwego życia, a po nich miejscowi, to samo jeden za drugim, i nikt się nie zdradził, że wie, który to Olaf, a który Borys. Być może ze wstydu, że przez trzydzieści dziewięć lat tego nie wiedzieli, prawdę znali tylko sami bracia i Bóg (i podobno Marlena), a Bóg utrzymuje takie sprawy w tajemnicy.

Obaj mężczyźni stali wyprostowani przy mercedesie, z rękoma przed sobą, dopóki ostatni z koleжки nie odszedł od państwa młodych, wtedy zrobili zapraszający gest, otwierając drzwi samochodu. Olaf uściśnął oboje nowożeńców, powiedział: „A tak mi ostatnio chodziło coś po głowie, żeby się stąd wyrwać”, i poszedł w stronę tamtych dwóch. Odprowadzili go wzrokiem, a potem poszli na cmentarzyk, pięć kroków za cerkwią, gdzie Marlena położyła wszystkie otrzymane kwiaty na grobie Filipa Spalskiego. Wtedy Doris, która powstrzymywała łzy od rana, odkąd się dowiedziała, że jej wymarzoną chatę na skarpie ktoś kupił, uderzyła w płacz i długo płakała, rozmazując sobie starannie wykonany makijaż. Przestała płakać dopiero na moście, gdy

minęli już skarpe.

– A tam! – Machnęła ręką. – Taki mój los. Nad czym tu teraz płakać.

– Dostałaś forszę, mogłaś nie wydziwiać, to teraz masz – dołożyła jej Czesia, mając na usprawiedliwienie tylko to, że nie zwykła niczego owijać w bawełnę i zawsze mówiła wprost, co jej ślina przyniosła na język, ale tym razem naprawdę nie musiała.

Marek szedł za Doris i milczał.

Marlena kroczyła na początku orszaku malejącego z każdym mijanym domem, trzymała Borysa za rękę i też nic nie mówiła. Nie miała nawet takiego zamiaru. Kiedy podczas tych dwóch nocy domniemanej grypy siedział przy jej łóżku, w pewnej chwili tak samo wzięła go za rękę i powiedziała: „Wiem, że to nie grypa, Borys, ale nic nie mów”. Położył głowę na jej ramieniu, westchnął głęboko i oznajmił: „Dopóki będę przy tobie, nie umrzesz”, a ona mu uwierzyła. Dlatego nic nie powie i o nic nie zapyta. Z pomocą Lorki dowiedzą się, o co właściwie chodzi z Olafem, to znaczy o co chodziło z Borysem. Patrząc na męża, odniosła wrażenie, że za bardzo się tym nie przejął, co potwierdził, nim doszli do domu, jakby czytał w jej myślach.

– Nie martw się. Mój komputer od paru dni był czysty, Olafa od miesiący, skończyliśmy z tym, przyszła pora, by dorosnąć.

– Coś więcej muszę wiedzieć? – zapytała.

– Nie musisz, ale jak chcesz, to ci powiem.

– Zabawialiście się w hakerów.

– Tylko trochę, z nudów, nic szczególnego, kilka razy mnie poniosło, sprawdziłem swoje możliwości... Wcześniej Olaf trochę się zabawiał, wtedy ja go ostrzegłem, ale on jest w te klocki lepszy.

– W jakie klocki? – Czesia zajrzała mu przez ramię.

– Nie te, co myślisz – odparła Marlena.

Zatrzymali się przed jej chatą; wtedy Marlena odwróciła się, by wszystkim podziękować i się pożegnać. Zanim zdążyła się odezwać, Czesia wzięła oboje pod ramię i powiedziała:

– A to chodźcie do Magnolii, postawię wam obiad.

Marlena, przeczuwając, że tamtej chodzi przede wszystkim o zaspokojenie ciekawości w sprawie wiadomo jakiej, podziękowała, dodając szybko, że sama ugotowała. Czesia oparła ręce na biodrach, mierząc ją karcącym wzrokiem.

– Za mąż wyszłaś i rozum ci odjęło? Zjesz obiad, wstawisz gary do zlewu – jak to będzie wyglądało? Bo chyba mi nie powiesz, że w dniu ślubu zamierzasz zmywać gary?

– Co masz na ten obiad? – zapytała Marlena, zagryzając usta. Wiedziała, że łatwo się nie wywinie, więc lepiej od razu się poddać.

– Kaczka!

– Jedna z tych, co je pewnego dnia wyrzuciłaś za okno?

– Kupiłam u gospodarza nowe. Józefina pomogła mi oskubać.

Nie było rady. Z miny Borysa Marlena wywnioskowała, że jemu propozycja Czesi pasuje. Nie chciała zaczynać wspólnej drogi z ukochanym mężczyzną od kłótni; wzięła męża pod rękę i razem poszli do Magnolii. Na kaczkę.

Nie była to tylko kaczka. Na stołach, ustawionych w podkowie, nakrytych białymi jak śnieg obrusami, stały misy, półmiski, wazy i podgrzewane naczynia, a w nich i na nich wszystko, czym Czesia Gawlińska, właścicielka Magnolii, mogła się pochwalić.

Były mięsa duszone, schaby pieczone na różne sposoby, a jakby tego mało, to jeszcze w galarecie. Kaczka w pomarańczach i nadziewana jabłkiem. Były, rzecz jasna, rozslawione przez mecenasa Lorkę w stolicy pasztety. Do nich ręcznie tarty chrzan albo żurawina.

I tradycyjny rosół, który zapachniał Marlenie już od bramy. I królik duszony. A także duszone

w piwie golonki ze świnek hodowanych na kartoflach parowanych, ospie i pokrzywach; świnek, które Czesia przywoziła aż ze Słowacji. A między tym wszystkim w porcelanowych miseczkach sałatki, surówki i na przekąskę przetwory najrozmaitsze, które przez całe lato skupowała od Józefiny. Osiem złotych słoiczek.

W dzbankach kompoty, a w butelkach wódka.

Był też piękny bukiet kwiatów na samym środku centralnego stołu.

A przede wszystkim byli goście: Adam z Olgą, Małgośka, Marek, Maurycy, mecenas Lorka, Józefina, Tuśka i po raz pierwszy w tym miejscu w roli gościa także Czesia Gawlińska. Dwie wynajęte na tę okoliczność dziewczyny ze wsi miały sprawić, że mogła sobie usiąść między pozostałymi przy stole i o nic się nie martwić.

– Myślałaś, że tak łatwo się wywiniesz – powiedziała Czesia, widząc zdumienie Marleny, gdy przekroczyły próg Magnolii i weszły z przedsionka do holu między salą a kuchnią.

Korek od szampana huknął w sufit, a goście zebrani na początku sali wyciągnęli w górę kieliszki.

– Wyjść za mąż – dogadywała Czesia Marlenie, prowadząc ją po toaście do stołu – i gości na wesele nie zaprosić! Sami się więc zaprosiliśmy.

Marlena chciała wyjaśnić, że miało nie być wesela, tylko cichy ślub – który, jak się okazało, nie obył się bez atrakcji i nic więcej, bo to w jej wieku, w jej stanie i tak swego rodzaju ekstrawagancja, ale nie zdążyła tego wszystkiego powiedzieć. Posadzono ją z Borysem za stołem i zaczęło się przyjęcie.

Wznoszono toasty: za państwa młodych, za gości i za Olafa Wilczewskiego, a potem były tańce.

Marlena konsekwentnie nie poruszała tematu niewiarygodnej zamiany braci Wilczewskich pod cerkiewką, nie dowierzając własnemu szczęściu, ale gdy w pierwszym tańcu spojrziała w oczy Borysowi, dopiero wtedy naprawdę dotarło do niej, że ta zamiana się dokonała.

– Olaf od dawna patrzył na nas... – w pewnej chwili szepnął jej do ucha Borys. – Kiedy zobaczyliśmy tych facetów pod wzgórzem, tylko raz spojrzeliśmy sobie w oczy. I stało się.

Goście w tej sprawie milczeli taktownie. Marlena była nawet trochę zdziwiona, dopóki nie pomyślała, że być może wszyscy zobaczyli przed ołtarzem to, co Olaf Wilczewski dostrzegł dawno – jak ona i Borys patrzą sobie w oczy. Być może wystarczyło im to, by nabrać pewności, że stało się, co się stać powinno.

Raz tylko, kiedy wznoszono toast za Olafa, mecenas Lorka skomentował zaistniałą sytuację.

– A tam – machnął beztrąsko ręką – w poniedziałek, najdalej wtorek go wypuszczą. W drodze z kościoła zadzwoniłem do odpowiedniego człowieka. Musiałby sporo namieszać w sieci, żeby mieli jakieś podstawy zatrzymać go na dłużej.

– Namieszałeś? – spytała cicho Borysa Marlena.

– Mówiłem ci – odpowiedział – to była tylko zabawa. Coś w zastępstwie czegoś. Ale to – spojrzął na zegarek – godzinę i piętnaście minut temu definitywnie się skończyło.

Dopiero wtedy Marlena odegnała od siebie wszystkie niepotrzebne myśli, w tym pytanie, nie wiadomo do kogo, jak długo jeszcze będzie żyła, i zaczęła uczestniczyć we własnym weselu. Tak jak grupka przyjaciół, których, biegnąc, odnalazła na krańcu swego życia, tego od niej oczekiwała.

Dwie dziewczyny ze wsi, niewprawione w obsłudze gości jak Małgośka i Doris, trochę niezdarne poruszały się przy zastawionych stołach, nie zawsze na czas podawały jedno czy też sprzątały drugie, ale nikomu to nie przeszkadzało.

Jedzenie było wyśmienite, alkohol z wyższej półki, towarzystwo doborowe – nikt nie

miął powodów, by na cokolwiek narzekać. Mecenas Lorka klasnął w dłonie i zawołał:

– Bawmy się, póki na to pora!

Bawili się więc. Tylko Doris chwilami nie nadążała za resztą. Co sobie przypominała o wymarzonej chacie na skarpie, lży stawały jej w oczach i spoglądała na Marka z ukosa, jakby to on był winien, że w porę nie wzięła tych stu czterdziestu tysięcy poniewierających się po jej pokoju i póki był czas, swojego miejsca na ziemi nie kupiła.

Marek, przyzwoicie ogolony, w szarym garniturze, idealnie pasującym do jego bardzo przeciętnej aparycji, w ogóle się nie przejmował spojrzemiami z ukosa Doris. Sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego z życia. Siedząc między Olgą a Józefiną, jednej i drugiej podawał sałatki, podsuwał półmiski, a wszystkim naokoło lał wódkę.

Józefina, cała w kremowych koronkach, ale o dziwo, bez zbędnych kokardek, tu i ówdzie, i w kapeluszu, w którym jeszcze nikt jej nie widział (powiedziała, że na wyjątkowe okazje zawsze wygrzebie z jednej z ośmiu szaf coś wyjątkowego), maczała tylko delikatnie usta w kieliszku, mówiąc, że w jej wieku, nawet jakby jeszcze było na to zdrowie, to już nie za bardzo wypada.

– Bo trzeba wiedzieć co, komu i gdzie pasuje – zakończyła z pięknym uśmiechem, a jej nadzwyczajne oczy zabłysły tak, jakby miała siedemnaście lat, a nie siedemdziesiąt kilka.

– Lepiej sam bym tego nie ujął! – zawołał mecenas wesoło, porywając ją do tańca.

Wzbraniała się początkowo, mówiąc, że to nie Barcelona, nie te rytmy i nie ta muzyka, a wtedy mecenas Lorka przechylił ją, aż musiała sobie kapelusz jedną ręką przytrzymać, i zawołał:

– Doris, a puść no nam tego wariata z Bałkanów!

Doris, ocierając łzę z oka, bo to był akurat jeden z tych momentów, w którym dopadł ją żal za chatą, wygrzebała w koszyczku z płytami Bregovicia i na życzenie mecenasa ją włączyła.

Na pierwsze „bum bum” mecenas zawiął Józefinę wokół siebie, na drugie „bum bum” od siebie odsunął, a na trzecie wskoczył na ławę pod ścianą. Józefina, niewiele myśląc, wskoczyła za nim. Trzymając się za ręce, wymachiwali nogami w jednej linii, bo na wąskiej ławie inaczej się nie dało.

Doris stała na środku sali, szeroko otwartymi oczyma patrząc na tańczących, w końcu jednak roześmiała się głośno, beztrąsko, radośnie, jak dawniej, przed śmiercią Filipa Spalskiego, gdy zachwycała się wszystkim: słońcem, deszczem, śniegiem, kałużami błota, a nawet wiatrem i każdemu, kto słuchał czy nie, mówiła z dziecięcą naiwnością, że świat jest piękny. Teraz uniosła rozłożone dłonie, dając znać wszystkim, żeby wstali od stołu i zaczęli tańczyć. Drugi raz nie musiała pokazywać. Olga podsunęła Adamowi wózek, pomogła mu w nim usiąść i położywszy dłonie na rączkach, wypchnęła go na środek sali. Bałkańskie rytmy poderwały na nogi wszystkich. Oprócz Maurycego. Siedział na skraju stołu i patrzył na tańczących z łagodnym uśmiechem i wyrazem twarzy, który mówił: „Bawię się równie dobrze jak wy, choć tak do końca w tej zabawie nie uczestniczę”. Małgośka dwa razy próbowała wyciągnąć go stamtąd. Za trzecim razem pogładził ją delikatnie po policzku, przeprosił leniwym mrugnięciem powiek, wtedy zrezygnowała.

Na widok kaczek, wnoszonych na półmiskach przez obie dziewczyny, mecenas zeskoczył z ławki, chwycił wpół Józefinę, co przyjęła głośnym śmiechem, postawił na podłodze i zarządził przerwę w tańcach. Siadając za stołem, uprzedził jednak:

– To dopiero początek.

Wtedy ktoś wyjrzał przez okno i zwrócił uwagę pozostałych na taksówki podjeżdżające pod Magnolię. Na ten widok Czesia nagle się ocknęła.

– Z tego wszystkiego zapomniałam!

Parę dni wcześniej Zenek Jaszczuk zapytał, czy może na sobotę wypożyczyć altankę, rozpalić grilla, a może ognisko, bo nagle tak się wykroiła impreza, a tu wszystko pod ręką, jak na zawołanie: i grill, i krąg wyłożony kamieniami na ogień, i altana z pięknym słomianym dachem, który, nota... coś tam, brat cioteczny Stasiek, prawie za darmo po znajomości położył.

Czesia najpierw powiedziała, że absolutnie, bo w sobotę poważniejsza impreza w Magnolii się szykuje, a jak już te znajomości notabene wspomniał, to tylko tyle dodała, że dla niej trzy tysiące to darmo nie jest.

– Ale jaki solidny, pani Gawlińska! – Jaszczuk uderzył w lament. – Impregnowana słoma, żaden ogień tego nie weźmie!

Kiedy zapytała, czy o słomie przyszedł z nią gadać, to mu się przypomniało, że chodziło o imprezę dla Anusi i jej koleżanek, paru braci ciotecznych, to wszystko. I nie ma mowy, żeby to przekładać na inny termin, bo Anusia powiedziała, że jeszcze do niedzieli nad Soliną zostaje, a potem z koleżankami do Rzeszowa wraca, bo tu już nie ma czego szukać. Anusia i jej koleżanki, wiadomo, tancerki, w wojewódzkim mieście mają lepsze miejsce do popisu.

– To niech jedzie – Czesia na to. – Krzyż na drogę. Co ty, Zenek, masz jeszcze, głupku, do tego?

– A to mam – Zenek na to – że niespodziankę taką dla Anusi zem przygotował. Jak jej powiem, że chcę się żenić i zdjęcie chaty pod wzgórzem pokażę, że to dla niej w prezencie ślubnym, trupem padnie, pani Gawlińska i nigdzie nie pojedzie.

– Ja myślę – skomentowała Czesia.

– Bo tak mi dogadywała cały czas, że w końcu przepieprzę te pieniądze, co mam na koncie, jak zem jej o nich powiedział, i nic z nimi nie zrobię... tego... no...

– Sensownego – odpowiedziała Czesia.

– O! Właśnie! – ucieszył się Zenek. – Całkiem jakbym Anusię słyszał. Niech pani się zgodzi, my tam sobie spokojnie nad strumykiem, pod altanką, osobno, nikt się do imprezy w Magnolii nie będzie wtrącał.

Rozbrojona głupotą Jaszczuka, ni z tego, ni z owego się zgodziła.

I oto są.

Z kilku taksówek wysiadły dziewczęta z ostrym makijażem, w kusych spódniczkach, z kurteczkami nonszalancko przewieszonymi przez ramię bądź też owiniętymi na biodrach. Z kilku następnych – bracia cioteczni Zenka, on sam i Halinka.

– Przyszedłem tylko powiedzieć dzień dobry wszystkim gościom, pani Gawlińska – usłyszeli w minutę później głos Zenka i zobaczyli jego samego, jak zaglądał z przedsionka – powinszować pani Marlenie i Olafowi na nowej drodze życia i jeszcze raz uspokoić panią, że wszystko będzie jak ta lala.

– To dobrze – odparła Czesia, zerkając na niego z lekkim zdziwieniem. – W garnitur żeś się na ognisko ubrał?

– Na taką okazję, pani Gawlińska, to co, spodnie byle jakie miałem włożyć i flanelową koszulę, i jeszcze najlepiej nieogolony, no to chyba nie bardzo i jak by to wyglądało.

– Nie było tematu! – ucięła Czesia. – Żeby mi tylko niczym nie zawracać głowy, bo żadnej obsługi dziś w Magnolii nie ma.

– Wszystko się przywiozło, pani Gawlińska, niczym tu głowy nie będziemy zawracać, koleżanki Anusi wszystkich obsłużą.

Zza brata wychyliła się Halinka.

– Pierwszorzędnie! – powiedziała.

Zenek, zły, gwałtownie odwrócił się w jej stronę.

– Zaprosiłem cię, bo jesteś siostra, ale jak masz dogadywać Anusi...

Halinka, nim skończył, wypchnęła go z przedsionka.

– Idź, gośćmi się zajmij – zarządziła. – Ja tylko chcę się upewnić, czy aby na pewno wszystko za zgodą właścicielki...

– Wszystko w porządku, Halinka – uspokoiła siostrę Zenka Czesia.

Do pewnego momentu nawet tak było.

Jedni bawili się tu, drudzy tam.

Tak jak zapowiedział mecenas, po krótkich przerwach na podjadanie bawiono się nieskończenie. Na przyjęciu, którego miało nie być, nie zabrakło niczego: były zastawione stoły, byli goście i była atmosfera.

W pewnym momencie tamci pozazdrościli zabawy weselnym gościom, bo Jaszczuk nieśmiało zajrzał z werandy i przepaszającym głosem zapytał, czy nie dałoby się przestawić któregoś samochodu na ich stronę, żeby mogli sobie włączyć jaką muzykę, bo koleżankom Anusi nogi same chodzą, jak z daleka takie wesołe melodie słyszą, Anusi zresztą też. Maurycy wstał bez słowa, wyszedł z Magnolii i przestawił swój samochód pod werandę z drugiej strony, po czym wrócił bez słowa na swoje miejsce.

W pewnym momencie Marlena z Borysem usiedli na honorowym miejscu i z uśmiechem zaglądając sobie co chwila w oczy, już do samego końca obserwowali stamtąd zabawę swoich weselnych gości, a potem wszystko inne.

Pijani swoją bliskością, której za przyczyną niespodziewanych zdarzeń nie musieli się wstydzić ani tym bardziej przed sobą i całym światem jej ukrywać, nie reagowali na nic.

Ani na jakąś awanturę, którą na zewnątrz Anusia urządziła Zenkowi, gdy jej pokazał w komórce zdjęcie chaty pod Wzgórzem Wilków i powiedział, że to dla niej. To znaczy, dla nich dwojga.

Ani na strzały padające na oślep z samochodów, które pojawiły się nie wiadomo skąd i nie wiadomo po co naokoło po podwórku jeździły jak nakręcone. To cud, powiedziała potem Józefina, że nikt nie zginął.

Ani na pożar, który ze słomianego dachu przeniósł się na werandę i dwa pokoje dla gości, a który cioteczni bracia Jaszczuka, nim doszedł do trzeciego i nim przyjechała straż, lejąc wiadrami wodę ze strumyka, prawie ugasili. Byli tak pijani, że dwóch z nich, padając w końcu w tym płytkim strumyku na twarz, mało się nie potopiło.

Dopiero gdy do Magnolii wpadł jakiś szaleniec i rzucił się z nożem na Doris, wołając: „Zabiję cię, ty dziwko!”, Borys wyjął z kieszeni pistolet i przez chwilę mierzył do intruza, chcąc go strzałem unieszkodliwić w nogę, ale że na linii strzału było zbyt wiele osób, położył go na stole i napił się wódki.

Co się tak naprawdę działo, trudno powiedzieć. Było tak, jakby oni oboje, Marlena i Borys, siedzieli w kinie, oglądali film, który w pewnym momencie się skończył. To znaczy – urwał. Marlenie nigdy w życiu nie urwał się film, bo nigdy dużo nie piła. Tego wieczoru mniej niż zwykle, dwa lub trzy kieliszki (w jej sytuacji to i tak wiele), dlatego będzie się upierać, że ten dziwny stan wziął się z nagromadzonych emocji. O chorobie nie wspomni. Jeśli zaś chodzi o Borysa, to siedząc obok i zaglądając jej co chwila w oczy, jakby się chciał wciąż upewniać, że to na pewno Marlena koło niego siedzi, chyba do końca nie zdawał sobie sprawy z tego, co się stało. Najlepszy dowód, że w pewnym momencie powiedział: „Na razie nic się nie dzieje, najdroższa. Jak będzie trzeba, wstanę i zrobię porządek”.

Nie ma co się dziwić – zza stołu pod oknem mógł nie widzieć, jak Marek zasłania sobą schody, po których przed mężem uciekła na górę Doris. To, że Marek dostał w bok nożem od szaleńca, wszyscy inni zobaczyli dopiero wtedy, gdy ranny upadł, ciągnąc za sobą stolik, przy którym Marlina zwykła pić kawę.

Wtedy Czesia dzwoniła już na policję. Ścisłe mówiąc, na osobistą komórkę komendanta Miśkiewicza (tyle razy dzwonił do niej z pytaniem, co ma z kolejnym zdjęciem z radaru zrobić, że za którymś go sobie w końcu w kontaktach zapisała), a zaraz potem na pogotowie.

Później wszystko potoczyło się w jakimś zawrotnym tempie. Szalenciec odepchnął mecenasa Lorke, który próbował go powstrzymać, i pobiegł schodami za Doris.

Borys zerwał się i przewracając jeden ze stołów, ruszył na pomoc. Ale tamten był już na górze. Chwyił Doris za gardło, przycisnął do ściany i próbował dźgnąć nożem. Doris szamotała się na wszystkie strony, usiłując się wyrwać. Nie miała szansy i w końcu dopiąłby swego, gdyby nie Maurycy, który nagle wbiegł na schody, trzymając w ręku kij bejsbolowy.

Przeskakując po dwa lub trzy stopnie, momentalnie znalazł się na górze, uniósł kij i z całej siły uderzył drania. Tamten, upadając, pociągnął za sobą Doris. Ta szarpnęła się gwałtownie, a wtedy jej stopy znalazły się na krawędzi stopnia. Nie mogąc utrzymać równowagi, poleciała w dół. Borys skoczył z wyciągniętymi ramionami, by ją złapać, ale o ułamek sekundy nie zdążył. Doris uderzyła głową o podłogę i straciła przytomność. Na górze, z głową zwisającą z ostatniego stopnia, leżał jej mąż. Maurycy rzucił kij pod ścianę, a potem pod nią usiadł.

Marlena dobiegła do Doris, chwyciła jej rękę, puściła, położyła ręce na swoich króciutkich włosach i potrząsając głową, wykrztusiła:

– To ja miałam pierwsza umrzeć... To ja pierwsza... To ja...

Czesia uderzyła ją w twarz i tamta dopiero się opamiętała.

– Nikt tu nie będzie umierał! – powiedziała stanowczym tonem Gawlińska. – Chyba że po moim trupie! Ty właśnie wyszłaś za mąż, a Doris ma przed sobą całe życie.

Marlena usiadła na podłodze obok Doris, pochyliła głowę i ukryła twarz w dłoniach.

Borys jednym ruchem poderwał ją z podłogi, chwycił w ramiona.

Całe towarzystwo Jaszczuka w tym czasie rozbiegło się po okolicy. Anusia i jej koleżanki odjechały samochodem Maurycego. (Takie szczupłe – powiedziała potem Józefina – to się zmieściły).

Przyjechała policja. Komendant Miśkiewicz rozejrzał się na zewnątrz, popatrzył w środku, stanął w holu i odezwał się bardzo spokojnym głosem:

– Już nie pamiętam, kiedy kłąłem, ale teraz muszę zapytać: Co tu się, kurwa, działo?

Nikt nie potrafił mu odpowiedzieć. Wtedy komendant Miśkiewicz zaklął po raz drugi i znowu zapytał, co tu się działo. Wówczas zaczęli mówić wszyscy, jedno przez drugie.

Przyjechało pogotowie. Najpierw jedna karetka, zaraz za nią druga. Zabrali rannego, ale przytomnego Marka. Zabrali półprzytomnego nożownika. A także nieprzytomną Doris.

Józefina, eleganckim gestem poprawiając kapelusz, stanęła przed komendantem i w kilku słowach referowała mu całe zajście, uznając, że kiedy mówili wszyscy naraz, to nic nie rozumiał. Było tak i tak i gdyby Maurycy nie wyciągnął skądś tej pałki...

– Jakiej pałki? – zainteresował się komendant.

– Bejsbola – podpowiedział mecenas.

– A skąd tu się wziął bejsbol?

– A kto to wie, skąd się wzięło to czy tamto, komendancie. W takim bałaganie?

Komendant namierzył wzrokiem Maurycego i zaprosił do radiowozu. Mecenas Lorke, niezaproszony, wyszedł za nimi.

Tuśka siedziała w kącie, wzrok miała wbity w podłogę. Marlina stanęła przed nią, uniosła

podbródek małej w górę i zapytała:

– Pamiętasz, skarbie, co powiedział Zorba, jak cała ta miesiącami budowana konstrukcja poleciała w dół, zabierając z sobą kamienie, a gapie rozbiegli się w wielkiej panice?

– W książce czy w filmie? – odparła rezolutnie Tuśka, zaraz jednak uśmiechnęła się, zerwała z ławki i, wyrzucając ręce w bok, wykrzyknęła: – Jaka to piękna katastrofa, pani Gawlińska! Jaka piękna katastrofa!

Czesia popatrzyła na Tuśkę, skarciła wzrokiem śmiejącą się Marlenę, postukała się po głowie, po czym opadła na tapicerowane krzesło. Jedyne takie w sali.

Borys usiadł za stołem, pociągnął żonę na kolana i powiedział:

– Ludzie nie mają żadnej wyobraźni, najdroższa. Tak nam spaprać piękne wesele!

OGRÓD LUIZY

W niedzielne przedpołudnie przed Magnolią stanęło dwoje młodych ludzi z plecakami. Szli kilkanaście kilometrów od poprzedniego noclegu, byli głodni, trochę zmęczeni, rozglądali się więc dookoła w nadziei na krótki odpoczynek i porządny posiłek przed dalszą wędrówką. Nie zniechęcił ich smród spalenizny, unoszący się w powietrzu, i ruszyli do wejścia.

– Kuchnia dziś nieczynna – powitała ich w przedsionku właścicielka. Widząc jednak zawód, jaki odmalował się na ich twarzach, machnęła ręką i dodała z rezygnacją: – Ale proszę bardzo. Tu są czyste talerze, tam zastawione stoły... Jak wam nie przeszkadza bałagan... Wszystko bardzo świeże.

Nie przeszkadzało im. Zrzucili plecaki w holu, z kuchennego blatu wzięli talerze, sztućce, usiedli za stołem. Stąd dostrzegli nadpalone filary, podtrzymujące dach werandy, a także osmalone ściany, nie było jednak kogo zapytać, co tu się stało, bo kobieta, która ich zaprosiła do stołu, wyszła przed dom.

Czesia Gawlińska usiadła na schodach przed Magnolią, wystawiła twarz do słońca, przymknęła oczy. Taka piękna niedziela, kto by się spodziewał. W całym kraju pochmurno – usłyszała z samego rana w radiu – opady, a tu proszę bardzo.

Zjawia się Marlena z Borysem, to pojedą razem do Doris. W nocy ich nie wpuszczono. Wyszła tylko łaskawie jakaś pielęgniarka i skrzeczącym głosem oznajmiła, że pani Anna Woźniak odzyskała przytomność, siedzi na łóżku i mówi, że świat jest taki piękny. Raz za razem. Pyta także o rok i kręci głową, kiedy jej mówią, że dwa tysiące trzynasty. Rano zbada ją lekarz, może coś wyjdzie, bo z tomografii mózgu nie wyszło nic, poza krwiakiem zewnątrzczaszkowym.

Z rana Czesia zadzwoniła do szpitala. Ta sama pielęgniarka (poznała po skrzeczącym głosie) poinformowała ją, że Anna Woźniak śpi jak zabita, tak że trzeba ją będzie jakoś obudzić do obchodu. Nie ma się czym martwić, bo nic się nie dzieje.

Czesia przestanie się martwić, jak zobaczy Doris na własne oczy, a najlepiej tu, na miejscu.

Dobrze, że chociaż pisarza wypuścili. Przywieźli go o świcie. Poszedł na górę i też śpi do tej pory. Gdyby nie on, byłoby po dziewczynie. Jeden, co przytomnie i na czas zareagował, nie licząc się z własnym bezpieczeństwem. Jak tylko się dowiedziały, że Doris odzyskała przytomność, wsiadły wszystkie z Borysem do auta i pojechały na komisariat. Całą drogę Borys mówił, że byłoby lepiej Maurycego stamtąd wyciągnąć, nim go, nie daj Bóg, przekażą wyższej instancji, bo tam nikt się nie będzie z nim ceregielił, a pisarz mruk – sam się nie wybroni. Śledztwo, tymczasowy areszt, zanim się wszystko wyjaśni, rozprawa... Po co to komu?

Czesia miała przy sobie sto czterdzieści tysięcy, które przed wyruszeniem z Magnolii w ostatniej chwili wyjęła z zamrażarki, bojąc się taką sumę bez żadnej opieki tam zostawiać, wpadła więc na pomysł, że wyciągną Maurycego za kaucją. Marlena zaczęła się śmiać, umilkła na chwilę, powiedziała: „Próbuj”, i śmiała się dalej. No, ale się nie udało.

Nie było innego wyjścia, tylko czekać na rozwój wypadków.

Borys wziął Marlenę za rękę i, zapowiadając, że wrócą, jak Marlena trochę odpocznie, zaprowadził ją do domu.

Olga z Adamem już wcześniej odjechali, zabierając z sobą Józefinę.

Tuśka położyła się na jednej części narożnej kanapy i nakryła kocem. Czesia, niewiele myśląc, położyła się obok. Myślała, że nie usnie, ale chyba w końcu usnęła.

Kiedy się ocknęła, Maurycy szedł po schodach na górę. Zerwała się, zerknęła w okno

i poszła do kuchni postawić wodę na herbatę. Wkrótce zaczęło świtać. Gdy wróciła z herbatą do stołu, Tuśka usiadła na kanapie, nieprzytomnym głosem wymamrotała, żeby ją obudzić, jak będą jechać do Doris, a potem położyła się, nakryła kocem i zasnęła.

Śpi do tej pory.

Młodzi ludzie wyszli z Magnolii uśmiechnięci, zadowoleni. Chłopak wyjął z plecaka portfel, ale nim go otworzył, Czesia machnęła ręką, mówiąc, że dziś się nie płaci. Podziękowali i odeszli.

Musieli obudzić Tuškę, bo zaraz wyszła z kocem na ramionach, rozszpana, i podała telefon Czesi, mówiąc, że ktoś dzwonił.

Było kilka nieodebranych połączeń. Ostatnie od Olgi – Czesia oddzwoniła i dowiedziała się, że Olga nie pojedzie do Doris, bo Adam źle się czuje – wszystkie kolejne od Marcela.

Marcel ucieszył się, gdy usłyszał jej głos. Dzwonił wczoraj cały wieczór (kto by to usłyszał?) i dziś dwa razy z rana (chyba jeszcze spała), by je uprzedzić, że mąż Doris uciekł ze szpitala psychiatrycznego – pewnie w reakcji na wiadomość, że wystąpiła o rozwód – a potem pojechał do jej matki i podstępem wydobył z niej informację o miejscu pobytu Doris, więc niech się, na wszelki wypadek, mają na baczności. A tak poza tym, to co słyhać? Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

Zaraz zjawiała się Małgośka, a za nią Marlena z Borysem. Normalnie Czesia nie omieszkałaby (niby to żartem) zapytać o noc poślubną, ale co to za noc – parę godzin zaledwie – nie było o co pytać. Wsiedli do samochodu Borysa i pojechali. Pod Komańczę Tuśka kazała się zatrzymać przy kiosku. Borys stanął tuż przy nim, mała wyskoczyła, kupiła podpaski i niosła je tak, żeby każdy widział.

– A kiedy żeś dostała? – Czesia nie wytrzymała, żeby nie zapytać.

– A wczoraj, jak tylko wróciliśmy z kościoła – odparła z dumą Tuśka. – Doris mnie poratowała.

Nim odjechali, z okienka wychyliła się Halinka i zawołała:

– Ale się tam wczoraj u was działo! Cała okolica już gada.

– Dobrze, że mają o czym! – odkrzyknął Borys.

– Zenek wrócił z posterunku nad ranem. Nic nie mówi. Tyle dobrze, że sam wrócił, bo myślałam, że jak nic tę lafiryndę sprowadzi do domu, ale chyba też wreszcie przejrzał na oczy.

– Ciekawe na jak długo – mruknęła Gawlińska.

– Bogu dziękować – kontynuowała Halinka – że się takiego wstydu uniknęło, dopiero by mieli o czym gadać, a tak to tylko o was, jak zwykle...

– Jedź, Borys – zarządziła Cześka.

Borys uklonił się Halince na pożegnanie i ruszył w drogę.

– Mamusia mówiła – odezwała się w pewnym momencie Tuśka, wpatrzona w widoki za szybą – że jak dostanę, to wreszcie urosnę. I chyba już zaczęłam, wszystko na mnie małe.

Małgośka wzięła ją za rękę.

– Zajechałam do was po drodze – odezwała się do niej – bo myślałam, że ktoś cię zawiózł do domu... Matka była przy kuchni, coś gotowała... Chyba powoli staje na nogi?

Tuśka odwróciła wzrok od szyby, popatrzyła Małgośce w oczy i odparła cicho:

– Od czasu do czasu jeszcze się ocknie, ale... ja nie mam już złudzeń. Żeby tylko te pięć lat jakoś wytrzymać... Do mojej osiemnastki. Żeby dzieciaków nie porzrzucali po domach dziecka, jak wtedy...

Marlena, siedząca na przednim siedzeniu, odwróciła się i wypaliła wprost:

– Pięć lat? Jakim cudem?

– No to co mam zrobić?

– Nie wiem – Marlena na to. – Sama nie zostaniesz, nie bój się. Skończy się to wariactwo, pomyślimy.

Po tych słowach Tuśka jakby odetchnęła z wyraźną ulgą. Marlena dodała jeszcze:

– I przestań przed nami udawać, że jest dobrze, jak jest źle, bo mnie to okropnie wkurza.

Tuśka potulnie skinęła głową i nie odezwała się do samego szpitala.

W szpitalu na oddział wpuszczono tylko Czesię z Marleną. Idąc korytarzem, dostrzegły w jednej z sal Marka. Natychmiast tam weszły. Znieruchomiały, widząc na sąsiednim łóżku męża Doris. Głowę miał owiniętą bandażem, drzemał.

– Spokojnie – uspokoił je Marek. – Nie wie, gdzie jest, a do mnie mówi: Konrad. – Zrobił palcem znaczący gest na czole i usiadł. – Jutro wychodzę, to powierzchowna rana, nic groźnego. Idźcie lepiej do Doris. Podpisała na obchodzie, że chce wyjść na własne żądanie, siedzi na łóżku i czeka na was.

– Matko jedyna! – Czesia uderzyła w lament, ale Marlena stuknęła ją w bok i wyciągnęła na korytarz.

Tak jak powiedział Marek, Doris, w swoim własnym ubraniu, siedziała na łóżku i z uśmiechem rozglądała się dookoła. Jak je zobaczyła, podbiegła i rzuciła im się na szyję, najpierw jednej, potem drugiej, ściskając je z taką żarliwością, jakby całe lata ich obu nie widziała.

– Jutro trzeba wypis odebrać! – rzuciła pielęgniarka, podłączająca pacjentce na sąsiednim łóżku kroplówkę. – Bo tak od ręki, kiedy się komu spodoba, to nie ma. Nic by się nie stało, jakby pani do jutra poleżała. Dla obserwacji chociażby.

– Mało się tu należałam? – odparła Doris. Objęła Czesię i Marlenę, poprowadziła je do drzwi.

Nie wiedziały, co miała na myśli, mówiąc „mało”. Prowadziła je w pośpiechu korytarzem do wyjścia, uśmiechając się do każdego, ale nic nie mówiła. Dopiero na zewnątrz przyłożyła dłonie do twarzy i wykrzyknęła:

– Boże, jaki świat jest piękny!

Marlena z Czesią wymieniły znaczące spojrzenia i zabrały ją do samochodu. Tu, jak tylko Borys ruszył, Doris od razu spytała:

– Powiedzcie mi, bo tam chyba chcieli zrobić ze mnie wariatkę... Jaki teraz jest miesiąc? Popatrzylili po sobie, ale tylko Gawlińska miała odwagę się odezwać.

– Jak to jaki? Wrzesień.

– Którego roku? – pytała dalej Doris.

– Dwa tysiące trzynastego! Co ty, dziewczyno, zwariowałaś? – wypaliła Czesia.

Z twarzy Doris zniknął wreszcie uśmiech.

– Zaraz pomyślę, że tak. Przecież bardzo długo mnie nie było...

– A gdzie byłaś? – spytała bez ogródek Czesia.

– No właśnie nie wiem... Chyba... w śpiączce.

– W jakiej śpiączce?

– Nie wiecie, co to jest śpiączka?

Czesia oparła się plecami na fotelu i uniosła dłoń do ust. Marlena wyciągnęła rękę, nakryła nią dłoń Doris i odezwała się spokojnym głosem:

– Doris, byłaś nieprzytomna dwie godziny...

– Jak to dwie godziny... Tyle przeżyłam.

– Posłuchaj mnie, Doris... Obudziłam się którejś nocy ze snu, w którym bardzo, bardzo

dużo się działo.. Spojrzałam na godzinę w komórce – okazało się, że spałam tylko pół godziny...

– To nie był sen! – jęknęła Doris.

– Skupmy się na razie na czym innym – mówiła dalej łagodnym głosem Marlena.

– Wczoraj był nasz ślub, a potem przyjęcie...

– Bardzo piękne – wtrącił Borys.

– Pojawił się twój mąż, zranił Marka, rzucił się na ciebie...

– To wiem, dalej nic nie pamiętam – przerwała jej Doris. – Ale to było dawno.

– To było wczoraj. Spadłaś ze schodów i straciłaś przytomność, ale tylko na jakieś dwie godziny...

Tamta kręciła głową; nic z tego, co mówiła Marlena, do niej nie docierało.

– Spójrz! – Marlenę olśniło. – Borys jest w tym samym garniturze, w tej samej koszuli...

Nad ranem poszliśmy do mnie odpocząć, nawet nie miał się jak przebrać.

– A tam garnitur! – skwitowała Doris płaczącym głosem. – To gdzie ja w końcu byłam?

Tyle czasu...

– A z kim tam byłaś? – zapytała Tuśka.

– Z Filipem – odparła i odwróciła się do okna.

Dopiero w Magnolii Doris uwierzyła, że nie było jej tu tylko jedną noc. Popatrzyła na zastawione stoły, przewrócony stolik Marleny, zobaczyła nadpaloną werandę, dwa pokoje bez drzwi, w środku czarne od dymu, wciągnęła nosem swąd, usiadła na narożnej kanapie, wzięła na kolana Absurda i powiedziała:

– To przynajmniej wiem, że nie zwariowałam.

Położyła się na kanapie i tuląc psa do siebie, zaraz zasnęła. Małgośka nakryła ją kocem, po czym zaczęła sprzątać ze stołów. W dwie godziny sala była uprzątnięta. Marlena zmywała, a Czesia chowała resztki mięs do lodówek, mamrocząc pod nosem, że ciekawe, kto teraz to wszystko zje. Wszystko jeszcze dobre, wyrzucić szkoda.

Po południu zaczęła mięsa, pasztety i kaczkę na nowo z lodówek wyjmować, bo wszyscy zgłodnieli, a nikomu nie pozwoliła odejść.

– Samej mnie tu w tym wariactwie nie zostawiajcie – usprawiedliwiła się i zaczęła odgrzewać jedzenie.

Borys na chwilę tylko odjechał, żeby się przebrać. Wrócił z Józefiną, która szła piechotą do Magnolii, by się wszystkiego dowiedzieć. Usiedli razem przy kuchennych blatach (Maurycy podsunął tapicerowane krzesło dla Józefiny), rozmawiali i jedli. Brakowało tylko mecenasa Lorki.

Doris wkrótce do nich dołączyła. Wypoczęta, z uśmiechem uściśnęła Maurycego, usiadła przy blacie i zaczęła jeść. Gdy po jakimś czasie, ciągle jedząc, zorientowała się, że wszyscy w zdumieniu jej się przyglądają, parsknęła śmiechem i rzuciła wesoło:

– No co? Wiecie, ile czasu nie jadłam?

Dopiero wtedy, widząc, że jakoś to wszystko sobie poukładała w głowie, wie, jaki jest dzień, miesiąc i rok, zaczęli dociekać i zastanawiać się, co takiego właściwie przeżyła.

– Kiedy się obudziłam, myślałam, że byłam w sypialni. Nie opuszczało mnie wrażenie, że minęły miesiące od przyjęcia weselnego, całe lata...

– A zanim się obudziłaś? – padło pytanie.

– Zanim się obudziłam... myślałam, że nie żyję. Nie wiedziałam tylko dlaczego.

Kojarzyłam ślub, przyjęcie, to, jak tańczyliśmy, pożar, nawet tego sukinsyna. Ale tylko do momentu, kiedy rzucił się na Marka. – Nagle jakby się ocknęła: – Co z Markiem?!

– Jutro będzie z nami – zapewniła ją Marlena.

Uspokojona Doris opowiadała dalej o swoim dziwnym stanie, przeżyciu, z którego chyba nigdy nie zdoła się otrząsnąć. Myślała więc, że nie żyje, nie czuła jednak żalu, nie była przerażona czy coś w tym stylu. Wręcz odwrotnie: ogarnął ją spokój. Przez ten długi, długi czas czuła tylko spokój. Można chyba nawet powiedzieć, że swego rodzaju szczęście. Przynajmniej na początku, gdy zobaczyła Filipa.

Szedł drogą od stacji. Wybiegła mu naprzeciw i stanęli koło siebie, jakby nigdy nic, a później razem wrócili do Magnolii. Tu Filip usiadł na swojej dawnej ławce. Ona usiadła na schodach. Uśmiechali się do siebie, rozglądali dookoła, potem znowu gdzieś poszli: raz drogą do wsi, zatrzymując się na chwilę przed domem Marleny albo na mostku, raz na łąki, raz do samej cerkwi albo jeszcze gdzieś indziej. I tak sobie spacerowali albo siedzieli pod Magnolią i patrzyli na wszystko. Padał deszcz, śnieg skrzył się w słońcu, łupkowy kurz unosił się za bramą w lipcowym upale...

– A my? – spytała bez tchu Czesia. – My też tam byliśmy?

Były, ale tak jakoś... bez zdarzeń. Była Czesia, Marlena, Olga i Tuśka. Nie było tylko Małgośki, to dziwne. Coś chyba robiły, ale nie zapamiętała co. Nie pamięta zdarzeń. Tylko myśli i świadomość, że czas mija, ale gdzieś obok. Że ktoś coś robi, w czymś uczestniczy, jednak metr, dwa metry dalej. Że w tym konkretnym miejscu, w którym była Doris z Filipem, czas nie mijał...

– Więc mijał czy nie mijał? – przerwała ze zniecierpliwieniem Czesia. – Mówiłaś, że co ci się zdawało po przebudzeniu? Że minęły miesiące, lata...

– Tak, ale dopiero po przebudzeniu. Przed nim był taki dziwny piękny stan. Spokój Filipa, obecność Filipa... Boże, gdzie ja właściwie byłam?

– W szpitalu – odparła rzeczowym tonem Czesia. – Kaczki ci jeszcze dołożyć? Jedz, nie wyrzucę, bo szkoda, a psu kaczki nie dam.

Józefina oparła głowę na rozpostartej dłoni, w pięknych oczach kobiety pojawił się łagodny uśmiech.

– Mózg jest niezbadany – powiedziała. – Jakaś furtka czasem się otworzy i patrzcie, co można przeżyć.

– Jaka furtka? Bierzcie tę kaczkę, skoro Doris nie je. Śniło jej się. Filip jej się śnił. Tęskni za nim, gada tu do niego, świadomość spletała jej figła, dlatego jej się zdaje, że trwało to tak długo.

– Może i mi się śniło – odrzekła cicho Doris – ale Filip mi się nie śnił. Był przy mnie.

Czesia pogłaskała ją po głowie i spytała życzliwie:

– Tak? Rozmawialiście o czymś? – Zdjęła z suszarki filiżanki, wyjęła z szafki pudełko z kawą: – Mówił coś konkretnego?

– Konkretnego? – powtórzyła za nią Doris. – Konkretnego może nie. Może raz... jak wchodziliśmy na stację...

– Co?

– Popatrzyliśmy na wzgórze za torami... Było tak pięknie. Uśmiechnął się, wziął mnie za rękę, zaprowadził do ławki i powiedział, że śmierć jest przereklamowana.

Dwie filiżanki wypadły Czesi z rąk i potłukły się na podłodze.

– Śmierć jest przereklamowana?! Matko jedyna! – Gawlińska przeżegnała się pobożnie.

– Tak, to chyba tylko Filip mógł powiedzieć.

– Dlaczego? – zainteresowała się Małgośka.

– Bo on tak gadał. Tak palnął nieraz coś, ni z tego, ni z owego. Gdzie ty, Doris, byłaś, to ja nie wiem!

Doris uśmiechnęła się do nich wszystkich.

- Ale przez to jest jeszcze piękniej.
- I na stacji byliście? – zainteresowała się nagle milcząca dotąd Tuśka.
- Byliśmy. Nieraz. Nie wiem, w jaki sposób, nie pamiętam drogi... Choć może szliśmy...

Budynek, peron, tory, ławka i ten mężczyzna...

- Jaki znowu mężczyzna? – zapytała Marlena.
- Młody. W garniturze... Taki piękny. Tylko włosy...
- Co, włosy?
- Miał siwe pasma we włosach, dziwne...

Józefina nagle zerwała się z tapicerowanego krzesła i bąkając coś niewyraźnie, że chyba furtkę otwartą na oścież zostawiła, jeszcze jej kur z drogi się najdzie, grządki z astrami przy płocie rozgrzebią, wyszła z Magnolii.

– Co jej się nagle stało? – zdziwił się Borys. – Mówiłem, że z powrotem też ją odwiozę. I gdzie ona ma tam kury!

Czesia ze zmarszczonym czołem popatrzyła przez okno za Józefiną, popatrzyła na Doris, a potem wbiła wzrok w Tuśkę.

- Co tak się kręcisz na tym stołku? – huknęła na nią. – Masz coś do powiedzenia?
- Mam – odparła Tuśka. – Ta historia z Luizą i Rudolfem, co wam opowiadałam...

Pamiętacie?

– Przez pół roku z przerwami głądziłaś nam nad uchem, trudno nie pamiętać. To co?

– To chyba niedokładnie słuchałyście. Bo jakbyście dokładnie słuchały, to pamiętałybyście, że zanim Rudolf skoczył na tory przed nadjeżdżającym pociągiem, żeby uratować Luizę, to w jednej chwili osiwał.

Czesia zagryzła wargi, wyjęła spod zlewu szczotkę, szufelkę i zgarniając potłuczone filiżanki, jeszcze raz powiedziała:

- Kto cię tam wie, Doris, gdzie ty tak naprawdę byłaś.

Czesia ani razu nie wyjrzała na werandę (chyba że przypadkiem), nie zajrzała do spalonych pokoi i w tym względzie zachowała daleko idącą konsekwencję. Do tego stopnia, że w jednej chwili uciniała wszelkie komentarze na ten temat. Po pewnym czasie nikt już nie próbował o tym mówić. Nawet Doris, którą nie najlepszy stan werandy i pokoi pod nią bardzo niepokoił. Czesia raz tylko wyjrzała z sali jadalnej na werandę, obrzuciła ją obojętnym wzrokiem, zabrała z kanapy poduszki i wyszła z nimi przed Magnolię. Tam, okładając się nimi dookoła, usiadła na ulubionej ławce Filipa, na której lubił drzemać, gdy one wszystkie letnią porą rozsiadały się z drinkami późnym popołudniem przed wejściem.

Była piękna, wrześnie niedziela. Zważywszy na datę w kalendarzu, być może ostatnia już taka tego roku. Czesia wywiesiła na bramie kartkę z napisem: „Nieczynne”, i wróciła do reszty pod Magnolię. Wkrótce przyjechały Małgośka z Olgą.

- Piękna niedziela – powiedziała Czesia, rozsiadając się w wiklinowym fotelu.
- I wszyscy na miejscu.
- Nie wszyscy – odezwała się Doris – bo nie ma Marka.
 - Marek będzie – uspokoiła ją Marlena, choć Doris wcale na zaniepokojoną nie wyglądała. Rozglądała się dookoła z lekkim uśmiechem na ustach i od czasu do czasu delikatnym ruchem ręki przesuwiała po oparciu ławki.

Marlena z Czesią obserwowały ją czujnie. Delikatna sugestia, by Doris położyła się do łóżka, pozostała bez echa.

Czas jakby się zatrzymał.

Nikomemu nie chciało się nic mówić ani nic robić, wszyscy siedzieli z wystawionymi do słońca twarzami. Borys nawet zdrzemnął się na chwilę, kładąc głowę na ramieniu Marleny, po czym ocknął się nagle, spostrzegł, że ona ukradkiem na niego spogląda, objął ją obydwoma rękoma w pasie i mocno się do niej przytulił.

Spokój wrześnieowego popołudnia, zmęczenie i niewątpliwie także atrakcje poprzedniej nocy jakby zatrzymały wszystkich w nieruchomym kadrze. Nawet Tuśka nie kręciła się, swoim zwyczajem, w kółko, nic nie mówiła i do niczego się nie wtrącała, bo nic tak naprawdę się nie działo. Są chwile, gdy czas nie płynie, i to była właśnie jedna z nich.

Dlatego kobieta, która w pewnym momencie pojawiła się na wysokości bramy, minęła ją i zniknęła za kabarynami, by po chwili wynurzyć się dalej na drodze wiodącej do stacji, wydawała im się powstała w ich wyobraźni zjawą. Mirażem utkanym z babiego lata, którego nitki fruwały sobie nad łąką i drogą, połyskując ulotnie, gdy patrzyło się na nie pod słońce. Na chwilę tylko mignęła im jej twarz, a potem widzieli jedynie jej długie do pasa, pozbawione wszelkiego ładunku włosy, znieruchomieli jednak (jeszcze bardziej niż dotąd w tej obojętniejszej aurze wrześnieowego popołudnia) na ów widok. Bo dotychczas nikt tak piękny tędy nie przechodził.

Szła w powiewnej sukience wijącą się dróżką między łąkami, a przed nią i z tyłu fruwały zwabione spokojem i słońcem wrześnieowe motyle. W pewnym momencie zdawało się wszystkim, że ona nie idzie, lecz płynie.

Tuśka pierwsza zerwała się na równe nogi, zasłoniła dłonią oczy przed słońcem i oświadczyła:

– To Luiza.

Wtedy wszyscy zerwali się z miejsc, chociaż jeszcze nikt nie uwierzył.

– Stuknij się... – Czesia pierwsza odzyskała głos. – Jaka Luiza?

Ledwie skończyła mówić, w bramie pojawiła się Józefina. Właściwie wyglądało to tak, jakby się w nią wtoczyła, a zaraz potem wytoczyła ostatkiem sił. Podeszła do nich zdyszana i spocona – pierwszy raz widzieli Józefinę w takim stanie – bez kapelusza. Gdyby nie atlasowa sukienka i koronkowa narzutka z rękawami trzy czwarte, można byłoby nie poznać tej starej ekscentryczki.

– Kapelusz ci z głowy zleciał po drodze? – zapytała Czesia, żeby w ogóle o cokolwiek zapytać.

Józefina odruchowo przeciągnęła ręką po gładko upiętych, siwych włosach i wykrztusiła, ledwie łapiąc oddech:

– Boże, co ja narobiłam!

– Co narobiłaś? – Czesia wzięła ją pod ramię, posadziła na krześle.

Ta chwyciła parę głębokich oddechów i zaraz się z niego zerwała.

– Biegnijcie za nią – zawołała błagalnym tonem. – Powstrzymajcie ją... Dokąd ona idzie?

– Na stację – odrzekła Tuśka, nie czekając, aż ktokolwiek z obecnych cokolwiek zrozumie, a po chwili dodała: – Niech idzie.

Józefina w rozpaczy pokręciła głową, wygrzebała z rękawa jedwabną chusteczkę i wycierając oczy, już teraz pozwoliła się Borysowi na dobre posadzić na krześle. Dopiero wtedy opowiedziała, co się stało.

Tak więc gdy tylko doszło do niej to, co mówiła Doris i – choć nie pojmując – uwierzyła, że ta w jakimś niepojętym stanie świadomości dotarła do miejsca, w którym zmarli mogą się spotkać z żywymi, zerwała się – jak pamiętają – z miejsca i odeszła. W połowie wsi skręciła na skrót przez łąki, by jak najszybciej dotrzeć do swego domu. Chciała usiąść na ławce wśród krzaków malin i doprowadzić do jakiegoś porządku swoje myśli.

Dotarła więc do domu, weszła do ogrodu, lecz zamiast się uspokoić w jakimś zaciszu, jak zamierzała, poszła prosto do Luizy, stanęła przed nią i powtórzyła wszystko, co usłyszała od Doris.

Luiza, pochylona nad lnianą szmatką, haftowała na niej krasnoludki i borowiki, bo te z tamtego roku gdzieś się zapodziały albo Cześka ich po prostu nie oddała. Zaczną się deszcze, w lasach pojawią się grzyby. Tuśka nazbiera, trochę sprzeda Cześce na suszenie, resztę przyniesie Józefinie na przetwory – będzie jeszcze co robić... No tak, ale nie o tym chciała mówić i nie ma się co niecierpliwic, przewracać oczami i tak dalej...

– Do rzeczy, Józefino – Borys delikatnie uściśnął jej rękę, zaglądając w szafirowe oczy.

– No więc powtórzyła – kontynuowała Józefina – co już wiedzą i dopiero wtedy zrozumiała, że raczej nie powinna była tego robić. Luiza znieruchomiała nad haftem i, nie podnosząc głowy, szepnęła: „To Rudolf. Cały czas czeka na mnie na tej stacji”. Wstała, rzuciła szmatkę na podłogę i wyszła z domu.

– Przez tyle lat Luiza mieszkała z tobą – odezwała się Czesia z wyrzutem – a my nic o tym nie wiedzieliśmy?

– Nie pora teraz na to. – Józefina westchnęła ciężko, spoglądając jej bezradnie w oczy.

Czesia natychmiast się zreflektowała i bąknęła pod nosem „przepraszam”. Józefina machnęła ręką i zapytała, co robić. Wtedy Borys wypuścił z objęć Marlenę, wstał, rzucając cię na kilka osób, jednym ruchem odgarnął długie do ramion włosy i powiedział:

– No cóż robić! Czekać. Poszła to i wróci.

Czekali więc. Po godzinie Józefina wstała z krzesła i załamując ręce, zaczęła chodzić po podwórzu. Reszta próbowała o czymś rozmawiać, coś komentować, ale w końcu, po jakimś czasie, nie wytrzymali. Borys uruchomił jeden samochód, Małgośka drugi, zapakowali się do nich wszyscy i pojechali na stację.

Luiza siedziała na ławce i patrzyła poprzez tory na wzgórze, które zaczęła spowijać już wczesnojesienna mgła. Gdy zobaczyła tyle osób na peronie, objęła się rękami, jakby ze strachu, ale po chwili, widząc wśród obcych Józefinę, wstała z ławki, ale dalej patrzyła za tory. Dopiero gdy podeszli bardzo blisko, odwróciła się w ich stronę i powiedziała:

– Boże, nawet nie ma jak rzucić się pod pociąg.

Józefina spróbowała ją objąć, lecz wyswobodziła się z jej ramion, stanęła na skraju peronu, powiodła wzrokiem hen, wzdłuż torów, i patrząc w dal tak, jakby kogoś lub czegoś wyglądała, spytała cicho:

– Gdzie się podzieli ludzie? Gdzie rozkład jazdy? Gdzie pociągi?

Nikt nie miał odwagi jej wyjaśnić, że przez dwadzieścia lat, odkąd w dzień własnego ślubu była tu ostatni raz z Rudolfem (podobno potem ktoś ją tu jeszcze widział, ale nie wiadomo kto i czy to w ogóle prawda) i odeszła stąd sama, świat zmienił się tak bardzo, że pociągi nie docierają już do każdej stacji.

Dopiero Tuśka, wystąpiła przed pozostałych i odezwała się zduszonym głosem, że świat głupieje i nie ma na to rady. Wtedy także Doris wyszła z szeregu, nieśmiałym ruchem ujęła dłoń Luizy i lekko ją uściśnęła.

– Czekał dwadzieścia lat, poczeka drugie dwadzieścia albo jeszcze więcej – powiedziała i zaraz, podchwyciwszy pytające spojrzenie Luizy, dodała uspokajająco: – Nie wyglądał na niecierpliwionego. Jestem Doris. Wczoraj spadłam ze schodów, coś mi się poprzestawiało pod sufitem...

– Jakbyś kiedykolwiek miała pod nim poustawiane – wtrąciła Czesia.

– ...i byłam tu jakiś czas z twoim Rudolfem i naszym Filipem. – Doris wzruszyła ramionami. – Takie tam... Inny stan świadomości, w sumie nic szczególnego.

– Wiem, kim jesteś – odrzekła Luiza niespodziewanie przytomnym głosem. – Wiem, kim jesteście wszyscy. Józefina mi o was opowiada.

Obejrzała się na ławkę, potem jeszcze raz objęła wzrokiem wzgórze za torami, po czym podała rękę Józefinie, mówiąc, że mogą wracać.

Powiadali do samochodów, robiąc miejsce dla Luizy, i odjechali.

Nie zatrzymali się jednak pod Magnolią. Borys bez namysłu minął bramę, bo Luiza z Józefiną siedziały w jego aucie. Za nim, nagabywana przez ciekawską Czesię, ruszyła Małgośka. Gdy zatrzymali się pod chatą Józefiny, ta wygramoliła się pierwsza z samochodu, podeszła do furtki, zerwała tabliczkę z napisem: „Dzwonić!” i otworzyła furtkę na oścież.

Kilka minut później Doris, stojąc pośrodku zarośniętego wzdłuż parkanu ogrodu, aż piała z zachwyty.

– Boże, jak tu pięknie. Jak romantycznie. Jak nieziemsko. Czesia, Marlena, Małgośka... Tylko patrzcie.

Dookoła ścieliły się dywany astrów, a w głębi, za pasem krzewów owocowych dogorywało uprawne pole. Bluszcze wiły się po ścianach chaty przez niewielką werandę, ale na dobre rozpanoszyły się na parkanach, odgradzając ten niewielki zakątek od reszty świata. Ogród był jednak wystarczająco duży i różnorodny, by nie tylko przed światem się tu ukryć, ale także w jakiś sposób funkcjonować.

Należało tu wejść, stanąć i rozejrzeć się dookoła, by zrozumieć, że to miejsce przez dwadzieścia lat było jedynym światem Luizy.

A ona zatrzymała się pośrodku jednej z wielu ścieżek niepewna i jakby zawstydzona – wszak nigdy dotąd nie przyjmowała gości. Ale towarzystwo ugościło się samo, jedni tu, drudzy tam. Józefinie – widać było – wielki ciężar spadł z serca, bo podniosła z ziemi zapomniany kapelusz, elegancko umieściła go sobie na głowie i, spoglądając zza czarnej koronki, opadającej z jednego boku, powiedziała:

– A to może i dobrze, że stało się, jak się stało.

– Może i dobrze – potwierdziła Małgośka, spoglądając na Luizę – ale nie wydaje mi się, żeby twoja siostrzenica kiedykolwiek na dobre wyszła z tego ogrodu.

Na dobre to nawet niemożliwe, tłumaczyła Józefina, prowadząc przybyłych do chaty, żeby, skoro już stało się, jak się stało, wszystko sobie obejrzeni. Ale przynajmniej ona sama nie musi się już pilnować, by się nie wygadać o Luizie, a potem musieć tłumaczyć, co i dlaczego. Jakby obecność siostrzenicy nie była niczym uzasadniona. A jest. Przecież każdy widzi, że jest.

Wszyscy przytaknęli.

Rozglądali się po niewielkiej chacie, która wydawała się ogromna z powodu ilości nagromadzonych w niej rzeczy, poustawianych tak, że jakimś cudem nie wydawała się zagracona.

– Pamiątki z mojego życia. – Józefina wskazywała ręką na to czy tamto. – Z całego świata.

– Niektóre sporo warte – powiedział Borys, oglądając piękne mebelki i stojące na nich bibeloty.

– To przyszłość Luizy – odparła jej ciotka. – Mam już swoje lata i powoli trzeba zacząć myśleć o tamtym świecie. Nic przecież z sobą nie zabiorę. Chyba że kapelusze.

– A ile ci wejdzie do trumny tych kapeluszy? – wypaliła Czesia, przyglądając jej się podejrzliwym wzrokiem. – Coś ci dolega?

– Nic.

– A ciągle gadałaś o lekarzach i zdzieraaś ze mnie za te przetwory, a teraz się okazuje, że sama nawet żeś ręki do nich nie przyłożyła.

– A co miałam mówić? Że zbieram na podróż dla Luizy?

– Na jaką podróż? – dopytywała się Czesia.

– Chciałam jej pokazać kawałek świata, nim umrę. Kawałek, dosłownie, na więcej mnie nie stać. Kraków, stolicę albo morze...

– A po co jej to? – wtrąciła się do rozmowy Małgośka. – Pierwszy raz ją na oczy widzę, ale nie wydaje mi się, żeby tęskniła za podróżami...

– Nic nie widziała – próbowała bronić swojego Józefina.

Małgośka stanęła przed starą kobietą i zadała rzeczowe pytanie:

– Ile ona ma lat?

– Czterdzieści trzy.

Wszyscy wydali z siebie jęk zdumienia.

– Naprawdę? – zapytała Małgośka. – Nie poplątało ci się coś? Wygląda jak... jak...

– Jak piękna młoda kobieta – dokończył Borys.

– Co mi się miało poplątać? – broniła się Józefina.

– To prawda! – zawołała Tuśka rozemocjonowanym głosem. – Luiza miała dwadzieścia dwa lata, jak w dzień ślubu Rudolf zawiózł ją na stację, żeby sobie ostatni raz przed pociągiem przebiegła. No... – Spostrzegła minę Czesi i dokończyła spokojniej: – A potem to już wiadomo, jak było. Dwadzieścia jeden lat temu... Co się tak patrzycie?

– Zastanawiamy się, skąd ty to wszystko tak dokładnie wiedziałaś – odparła Marlena.

– Tu się naczynam, tam nasłucham... To nie wiecie?

Poprawiła spodnie, sięgające do kostek, zrobiła obrażoną minę i wyszła z chaty.

– Czterdzieści trzy lata... – powiedziała Małgośka. – To trochę za dużo, żeby zaczynać nowe życie. Pozwól jej żyć starym.

Józefina stanęła przy oknie, skąd widać było Luizę, idącą ścieżką, z koszyczkiem pełnym pomidorów.

– Chyba nie mam innego wyjścia – szepnęła. – Ale kamień spadł mi z serca, że ktoś już wie o jej istnieniu i jakby co, to może nawet tu do niej zajrzy...

– Jakby co, to ja na pewno – zgłosiła się Doris. – Gdyby to było możliwe, sama nigdy nie wyszłabym z takiego ogrodu.

– Miałaś szansę na swój. Na skarpie było na to miejsce – powiedziała Czesia, wypychając ją z chaty.

Przed wejściem stała Luiza. Zapytała Olgę o zdrowie Adama, Tuśkę o to, jak się czuje w nowej szkole, po czym wyciągnęła przed siebie koszyk z pomidorami i podała je Marlenie.

– W prezencie ślubnym – powiedziała z delikatnym uśmiechem na pięknej twarzy.

– Ostatnie w tym roku. Weźcie, bardzo proszę, na zdrowie... – I dodała zawstydzona:

– Przepraszam, że tylko taki drobiazg.

Marlena pocałowała ją, zapewniając, że to wcale nie drobiazg, kiedy ktoś daje coś innemu prosto z serca. Luiza, jeszcze bardziej zawstydzona, sięgnęła ręką do karłowatej jabłoni, rosnącej na rogu chaty za ścieżką, zerwała piękne jabłko i wręczyła Czesi, mówiąc:

– A to dla Maurycego.

– Dla Maurycego? – zdziwiła się właścicielka Magnolii.

– Dla Maurycego – powtórzyła śmiało. – To taki smutny człowiek.

Józefina odprowadziła ich do furtki. Luiza stała na ścieżce i patrzyła za nimi, obejmując się rękami, spokojna, nadal uśmiechnięta. Nim odjechali, Tuśka obejrzała się i dostrzegła, jak tamta podchodzi do furtki, podnosi z ziemi tabliczkę z napisem: „Dzwonić”, i wiesza ją

z powrotem.

– Ale przynajmniej wiemy, że istnieje – skomentowała Czesia, rozsiadając się na tyle auta, po czym pełnym nadziei głosem dodała: – Mam nadzieję, że to już koniec atrakcji na ten weekend.

&&&

Po dwóch godzinach niespokojnego snu komendant Miśkiewicz zerwał się na równe nogi, włożył dżinsowe spodnie, a do nich bawełnianą koszulę, ignorując mundur zwisający na oparciu krzesła, i wyszedł z domu. Nie zdziwił się, gdy zobaczył Gajczaka siedzącego w prywatnym samochodzie przed bramą – był na to zbyt zmęczony. Rzucił tylko młodemu policjantowi, że jego zmiana skończyła się o szóstej rano, na co tamten nie zareagował i gdy tylko przełożony wsiadł do samochodu, ruszył z miejsca.

Nim wyjechali na szosę, komendant odezwał się jakby od niechcienia:

– Przecież ten stary dureń do końca życia mi nie daruje, że go nie zabrałem...

Gajczak zakręcił na najbliższym podjeździe i wrócił do wsi.

Stary komendant siedział przed starą chatą, trzymając grubą marynarkę na kolanach. Gdy tylko podjechali, podniósł się, zarzucił marynarkę na ramię i bez słowa wsiadł do samochodu.

W czterdzieści minut, błędząc trochę, dojechali do zagrody dawnego pszczelarza. Wiekowa, ale solidnie wyglądająca chata stała w szczerym polu. Z tyłu widać było zaniedbany sad. Między drzewkami znajdowały się zarośnięte wysoką trawą ule ustawione w kilku rzędach.

Zawiał wiatr, załomotał okienkiem na strychu; mimo wczesnej pory dnia wyczuwało się wokół nastrój grozy.

Żaden z trzech przybyłych mężczyzn nie zwracał sobie jednak głowy nastrojami. Rozejrzeli się tylko i od razu weszli do chaty. W ciemnej sieni potknęli się o wysoki próg. Dalej było duże pomieszczenie, niewiele od niej jaśniejsze. Małe okna, zasłonięte firankami, które dawno temu mogły być białe, wpuszczały do środka bardzo niewiele światła. Mimo to dostrzegli od razu sylwetkę kobiety. Stała tyłem do nich przy jednym z okien. Odwróciła się powoli w stronę niespodziewanych gości. Na głowie miała wielką chustę, spływającą na wąskie ramiona – takich chust nie widziało się już na wsiach nawet u starych kobiet. Nie mogła być tak stara, na jaką wyglądała. Głęboko osadzone oczy, szare, pozbawione blasku, z zadziwiającym spokojem spoczęły na przybyłych i choć w tamtej chwili mogło się to wydawać niewiarygodne, kobieta jak gdyby odetchnęła z wyraźną ulgą.

– On się pomylił – powiedziała, zanim o cokolwiek zdążyli zapytać, i utkwiała wzrok w Gajczaku. Być może dlatego, że tylko on był w policyjnym mundurze.

Nim na nowo otworzyła usta, zrozumieli, co znaczą te trzy słowa i gdyby nie nieznany dotąd los dziecka Lenki Sikorówny, mogła nic więcej nie mówić. Ale powiedziała. Od razu, bez ponaglenia i zbędnych pytań. Zaczęła dziwacznie, choć wszyscy ją zrozumieli: „On nawet nie kochał tej Zośki Buchatówny...”.

Stefan Barcz nie kochał nikogo, a starszej siostry nawet nie lubił. Może dlatego, że była zbyt blisko, a on w bliskim otoczeniu tolerował tylko pszczoły. Może dlatego, że tak jak on nie potrafiła znaleźć sobie miejsca między zwykłymi ludźmi. W ich rodzinie był to odwieczny problem, tak stary jak pasieka przechodząca z dziada na ojca, a z ojca na syna. Na niektóre sprawy nie ma rady, ale wszystko kiedyś się kończy. Tak i pszczoły w sadzie doczekały się swego kresu.

Nie wiadomo, gdzie brat wypatrzył tę Zośkę ani kiedy zaświtała mu w głowie myśl o potomku, którego nauczył chodzić koło pszczoł, bo chyba tylko o to mu chodziło, gdy ją tu pewnej soboty po cichym ślubie sprowadził. Jak tylko zaczął jej rosnać brzuch, zmienił się nie

do poznania. Pojaśniał na twarzy, jego ponure oczy poweselały – z całych sił pokochał to dziecko. Z każdym miesiącem coraz mniej wspominał o powodzie, dla którego miało przyjść na świat, coraz więcej o tym, żeby już się po prostu urodziło. „Będę je nosił po chałupie – mówił każdego wieczoru do siebie, bo przecież nie do niej ani nie do Zośki – a w lato na hamaku między jabłonkami będzie se leżeć”.

Ale się nie urodziło. Umarło razem z Zośką, potrąconą na szosie przez samochód, w drodze do szpitala, choć podobno lekarze robili wszystko. Stefan nie miał do nich żadnych pretensji. Tylko do tego młodego małżeństwa dentystów, co się rozbijało granatowym volkswagenem po okolicy, dopóki mu nie zabili dziecka. A zwłaszcza do niej, bo to podobno ją widzieli ludzie za kierownicą. Policja ustaliła swoje, on wiedział swoje. Chodził, pytał, nasłuchiwał, co ludzie gadają. Jak już się nasłuchał, to się zamknął w komórce... O tam, na prawo z sieni... i prawie wcale z niej nie wychodził. Ocknął się na miesiąc, dwa, położył po okolicy, poszwendął się, nawet cukru do uli pszczołom nasypał, a potem znowu to samo. Jeszcze większy się dzikus zrobił, już wcale do nikogo się nie odezwał, tylko stanął w polu albo przy oknie i patrzył. Aż do tamtego lipcowego dnia, kiedy zerwał się nagle od stołu, na którym postawiła mu miskę z gęstą zupą. Strącił łyżkę na podłogę, ruszył do drzwi i pognął przez pola na oślep, w kapocie do ziemi, pod którą jedną ręką coś do siebie przyciskał. Nie pierwszy i nie ostatni raz, pomyślała.

Zapakowała słoiki z miodem do torby, bo grosza nie było na nic w chałupie i trochę piechotę, trochę autobusem wybrała się z nimi do Cisnej. Tam, w rynku najszybciej i po najlepszej cenie schodziły. W drodze powrotnej w autobusie usłyszała od ludzi o tragedii na Wzgórzu Wilków. Wiedziała, że zagrodę pod wzgórzem kupili ci młodzi, co ich Stefan o śmierć swojego dziecka winił, ale nie pokazywali się tam wcale od dnia wypadku, nasłuchiwała więc, o co i o kogo dokładnie chodzi. Dowiedziała się w końcu, że jakiś chłopak z Komańczy, ożeniony z dziewczyną ze Smolnika, kupił chałupę od dentystów za niewygórowaną sumkę i dopiero co tam zamieszkali z dwuletnim dzieckiem. Na swoje nieszczęście – bo dziewczyna zastrzelona, a dziecka nie ma.

Kiedy wieczorem wróciła do domu i zobaczyła skulone w kącie za szafą przerażone dziecko, wiedziała wszystko. Podeszła do brata, który z rozrzuconymi rękoma siedział przy stole, oszalałym wzrokiem wpatrzony w to maleństwo, i tak właśnie mu powiedziała: „Pomyliłeś się. Zabiłeś Bogu ducha winną kobietę i przyniosłeś przerażone dziecko. Co chcesz z nim zrobić, bo przed światem go tu nie ukryjesz”. Nie zareagował. Ona nie wiedziała, co robić. Zawinęła dziecko w chustkę, poszła ciemną nocą na stację, wsiadła w jakiś pociąg, przejechała parę przystanków, wysiadła, potem wsiadła w inny... Nie wie, nie odtworzy tego dzisiaj. Z dzieckiem na rękę w środku nocy wysiadła na dworcu w Kielcach. Zeszła z peronów. Z dwóch różnych dalekobieżnych pociągów wysypało się razem z nią sporo pasażerów. W podziemnym przejściu, w tłumie ludzi po prostu puściła rękę dziewczynki i wróciła na peron.

Nie pamięta powrotu. Nie myślała o niczym, tylko o tym, że dwuletnim dzieckiem, pozostawionym bez opieki na dworcu kolejowym w środku nocy, ktoś musiał się zainteresować, zanim ona zdążyła wsiąść do jakiegokolwiek pociągu. I o tym, że na pewno jest już bezpieczne. I jeszcze o tym, że mało prawdopodobne, by kiedykolwiek skojarzono dwuletnią dziewczynkę zależoną samą w środku nocy na kieleckim dworcu z dzieckiem, które zaginęło na Wzgórzu Wilków w dalekich Bieszczadach.

Wróciła do domu późnym popołudniem. Nie wiedziała, jak dalej będzie żyć, ale odetchnęła z ulgą, gdy, nie mogąc nigdzie znaleźć brata, zajrzała w końcu do komórki i zobaczyła go wiszącego pod sufitem.

Komendant Miśkiewicz wypadł z mrocznej chaty i oparł się rękoma o obitą drewnem studnię, usiłując zachować równowagę. Zaraz za nim wyszedł Gajczak i dopiero na końcu ojciec. Twarz starego komendanta prawie nie różniła się od jego białych włosów. Stał jednak prosto, nieruchomo, nie drgnął mu na tej białej twarzy ani jeden mięsień, ani powieka. Dopiero w samochodzie, patrząc w boczną szybę, powiedział cicho:

– Wiedziałem, że to nie wilki.

&&&

Jabłko, które Luiza dała Czesi dla Maurycego, leżało do samego wieczoru w holu pod lustrem. Obracał je w rękę przez chwilę, gdy Doris mu wręczyła, mówiąc, że to od Luizy, i powtarzając jej słowa.

– To nie smutek – odparł. – To myśli.

Położył jabłko, poprosił Doris o pożyczenie samochodu i gdzieś pojechał.

Wszyscy zaczęli się rozchodzić. Doris kazała sobie przynieść z góry pościel, bo sama na górę dziś nie wejdzie.

– A kiedy wejdiesz? – zareagowała dość nerwowo Czesia.

– Nie wiem, może jutro.

– Na kanapie będziesz spać? Jutro nie wstaniesz! – złościła się dalej Gawlińska, nagle jednak spuściła z tonu: – Rób, co chcesz. Jutro to nie wiem, czy sama wstanę. Nie wiem, co mnie tu jeszcze na nogach trzyma.

– Emocje – podpowiedziała Tuśka. – Adrenalina. Z tego wszystkiego zapomniałam, że we wtorek mam sprawdzian z informatyki. Miałam przez weekend się podszkolić u Marleny, no ale jak! Jutro pójde po szkole. Może już się wyśpią.

Czesia zamachała Tuśce ścierką pod nosem.

– Idź już, nie wściubiaj we wszystko nosa, a wtedy będziesz miała czas na informatykę.

– Na Małgoškę czekam...

– Zabierajcie się wszyscy w cholerę! Doris, pozamykaj wszystko, jak pisarz wróci.

Dobrze, że tu w ogóle jest, będę trochę spokojniejsza, bo coś mnie szarpie w środku, sama nie wiem.

Doris jeszcze nie spała, gdy wrócił nie wiadomo skąd Maurycy. Wpadł do sali, zajrzał do kuchni, chwycił jabłko spod lustra, ruszył na górę.

– Gdzie byłeś – zawołała za nim Doris – po tym wszystkim? Czeška się denerwuje, mnie też coś ściska...

– Na Wzgórzu Wilków – przerwał, odwracając się w jej stronę. – Usiadłem, patrzyłem, a potem zamknąłem oczy i zobaczyłem, jak to wszystko było.

– Co? – spytała, nie wiedząc, o czym on mówi.

– Takie zdarzenie sprzed lat. Tuśka zna tę historię. Jak będziecie chciały...

– To chętnie nam opowie – dokończyła Doris, pozamykała wszystko, zasunęła kotarę na drzwiach werandy, żeby nazajutrz, jak się obudzi, całej tej katastrofy nie widzieć, i uspokojona obecnością Maurycego na górze, poszła spać.

Nazajutrz z samego rana Czesia była w Magnolii. Zignorowała docinki Doris, nie słuchała uwag Małgoški.

– No miałam nie przychodzić – mamrotała pod nosem, tłumacząc się sama przed sobą – ale co miałam robić w domu, wzięłam i przyszłam. Nie wiem po co, kartka na bramie wisi, że

nieczynne, zdjęłabym, ale mi się nie chce... Marleny na pierwszej kawie też chyba nie ma co się spodziewać. Ogarnę chociaż kuchnię.

Ogarniając kuchnię, nasłuchiwała, czy coś bez jej udziału się nie dzieje: czy nie skrzypną drzwi wejściowe, czy ktoś nie idzie, o czym szepczą do siebie Doris z Małgością. W końcu Małgościa nie wytrzymała, weszła do kuchni i zapytała, co się dzieje.

– No właśnie nie wiem. – Gawlińska rozłożyła bezradnie ręce i zagubionym wzrokiem rozglądała się dookoła.

Dopiero pojawienie się Maurycego trochę ją uspokoiło. Mężczyzna to mężczyzna. Potłukł talerzyk i szklankę, szykując sobie śniadanie, bo jej się nie chciało, a potem zasypał cały blat kawą. Kręcił się po tej kuchni, potykał, ale – po raz pierwszy od bardzo dawna, a może i w ogóle – pogwizdywał i to Czesi wystarczyło. Miała ochotę z kimś pogadać od serca, lecz z Maurycem konsekwentnie nie wdawała się w dłuższe dyskusje. Przyjechał, napisze książkę, pojedzie i tyle go będą widziały. O czym chciała gadać, nie miała zielonego pojęcia. Zapytała więc tylko o tę noc w komisariacie, ale tu z kolei Maurycy zlekceważył temat, mówiąc, że zaczęło się od próby uzasadnienia jego udziału w tej awanturze, a skończyło na całkiem czym innym. Tyle się dowiedziała.

Doris pojechała z Małgością po wypis do szpitala, miały wrócić po południu. Po południu pewnie wszyscy się zjedzą, a wtedy nie będzie wiadomo, kogo słuchać, mogą się wypchać.

Czesia Gawlińska wyszła przed Magnolię i rozejrzała się z niesmakiem dookoła. Rzeczywiście, jakies to wszystko w całości niepokładane – tu kawałek ogrodu, tam kabaryny, brama w takim stanie, że w końcu zawali się komuś na głowę, a to jeszcze nie wszystko. Najgorsze to z tyłu po sobotniej imprezie, ale Czesia za żadne skarby tam nie zajrzy. Kiedyś będzie musiała? Nic nie musi, robi, co chce i co jej się podoba. Jak jej się spodoba, narwie kwiatków i pójdzie na cmentarz.

Narwała kwiatków i poszła.

Położyła pod grobem pęk żółtych dalii, bo cała płyta była usłana ślubnymi kwiatami Marleny, poprawiła więc bukiety, poukładała, zapaliła znicz, zmówiła modlitwę i odeszła. Chciała coś Filipowi powiedzieć, ale w porę ugryzła się w język, bo doszła do wniosku, że to niedorzeczne.

Zrobiła to jednak po powrocie do Magnolii. Usiadła na jego ławce pod krzakiem bzu i wypaliła:

– No widzisz, Filipie, widzisz, co tu się narobiło? Marlena miała wyjść za Olafa, a wyszła za Borysa... Nie wiem, czy się zorientowała... Miało nie być wesela, ale było... Dwie karetki, policja, straż pożarna... O czym tu mówić! Dobrze, że chociaż Doris na nowo się poprzestawiało, jak upadła na głowę, może wreszcie przestanie do ciebie gadać, bo nie dało się wytrzymać. Nie patrzyła, czy ktoś jest, czy nie ma...

– Do kogo pani gada, pani Gawlińska? – usłyszała głos Zenka Jaszczuka.

Szedł od bramy różnym krokiem, zza krzaka nie widziała.

– Do siebie – odparła. – Do kogo mam gadać?

Zenek rozejrzał się i usiadł na ławce pod kuchennym oknem.

– Ano nikogo już nie widać.

– Obiadu dziś nie ma, jakżeś na obiad przyszedł.

– A tam z obiadami! Jak sobie pomyślę, jaki żem był głupi, to mi się obiadów odechciewa i wszystkiego.

Czesia kątem oka zerknęła na Jaszczuka.

– No... – przytaknęła. – Grunt, żeby jakąś nauczkę wyciągnąć z głupoty.

– Ale jaka to była głupota, pani Gawlińska! Jaka głupota! Z kim ja żem się zadawał!

– Z Anusią – podpowiedziała.
– Nawet niech mi pani nie wspomina! A! – Machnął ręką. – Tak jak pani mówi, nieraz na głupocie człowiek dochodzi do jakiegoś rozumu.
– Już tak znowu nie przesadzaj z tym rozumem.
– Kończę z tym wszystkim – mówił dalej. – Rzucam w cholerę ten handel, bo też już mi się odechciało skoro świt okolicy budzić, idę do firmy Marka, rozejrzę się za jakąś starą panną, może będzie chciała iść na Wzgórze, a jak nie, to sprzedam i tyle...
– Zaraz, zaraz. – W całym tym potoku słów Zenka Czesię coś zaintrygowało. – Do jakiej firmy Marka? O czym ty mówisz?
– No to pani nie wie? Jeszcze w zeszłym tygodniu Marek się pytał, czybym u niego nie pracował, bo zaraz z firmą remontową rusza i jeszcze żeby ze dwóch do pomocy znalazł... To na początek, bo potem, jak się trochę rozkręci... No i w końcu zapomnę, że przyszedłem się o samochód pisarza spytać, czy gdzie nie znaleźli, bo aż mi wstyd. Jeszcze żeby to tylko samochód, ale on tam wszystkie papiery w schowku zostawił...
Zenek przerwał, bo na podwórko wjechała honda Małgoški. Ona i Doris wysiadły z auta, ruszyły w ich stronę. Czesia wstała z ławki, zajrzała do samochodu.
– To Marka żeście nie przywiozły? – zapytała z wyrzutem.
– Przywiozłyśmy – odpowiedziała Doris.
– To gdzie jest?
– Kazał się w środku wsi wysadzić. – Wzruszyła ramionami. – Powiedział, że potem przyjdzie.
– A ty żeś pewnie na to, że może sobie przychodzić albo nie, bo ci to lata i powiewa. Małgoška szturchnęła Czesię łokciem i puściła do niej oko.
– Coś ty! Przymilała się do niego całą drogę.
Czesia popatrzyła na Doris, która wyjmowała reklamówki z zakupami z tylnego siedzenia.
– No to widać nieźle jej się znowu poprzestawiało pod sufitem. Matko jedyna, kiedy to wszystko się skończy!

&&&

W poniedziałkowy rano komendant Miśkiewicz włożył mundur, w kuchni wypił na stojąco pół szklanki herbaty, zjadł kromkę chleba, a na pytanie żony, czy nie zapomniał o urlopie, odpowiedział, że o urlopie może na razie zapomnieć, po czym wyszedł z domu.

Po sobotniej nocy i niedzielnym wyznaniu siostry pszczelarza nie spodziewał się spokojnych snów, mimo to spał wyjątkowo dobrze.

Jeszcze wczoraj Gajczak skontaktował się z krośnieńską policją, bo to oni trzynastę lat temu prowadzili śledztwo w sprawie śmierci Lenki Witczak. Niech więc teraz wznawiają śledztwo, niech prokurator stawia zarzuty żywym i zmarłym – on, Miśkiewicz, skoro nie musi, nie chce mieć z tą sprawą nic wspólnego.

Zeznanie siostry pszczelarza rozłożyło go na łopatki. Ojciec, ten stary dureń, w drodze powrotnej miał łzy w oczach. Ukrywał je, ale wystarczyło spojrzeć na jego twarz, by wiedzieć, że po raz kolejny oplakiwał śmierć swojej ulubienicy, prawie wychowanki. Być może ów żal choć odrobinę złagodziła wiadomość, że dziecko Lenki ocalało, że gdzieś jest, gdzieś żyje. Tak jak przez trzynastę lat od tamtego lipcowego dnia z uporem utrzymywał.

Pozostawało teraz jeszcze tylko dobrać się do stomatologów z Rzeszowa, zdobyć dowód, że rok przed tamtą tragedią poruszali się tu po okolicy innym, podobnym do swojego samochodem (być może należącym do kogoś z tamtej paczki, balującej tygodniami w jednym

z hoteli w Polańczyku), pod którym straciła życie ciężarna Zośka Barcz, z domu Buchatówna. Gdyby nie to, Lena i Romek Witczak żyliby sobie szczęśliwie do tej pory w chacie pod Wzgórzem Wilków, a z nimi ich piętnastoletnia córka.

A jeśli chodzi o pisarza... Pies ganiał, skąd i kiedy wytrzasnął tego bejsbola. Być może uratował życie nie tylko Doris, ale i połowie całego tego pokręconego towarzystwa w Magnolii, bo jakby Borys w końcu się podniósł zza stołu i zaczął strzelać, to w całym zamieszaniu na jednej ofierze mogłoby się nie skończyć. Jeszcze z rana zadzwonił do szpitala, by się upewnić – Woźniak już wczoraj opuściła szpital, a ten jej adorator lada chwila miał wyjść. Mąż ofiary w stanie niezagrożającym życiu wydzierał się na cały szpital, że jeszcze dopadnie tę dziwkę, która mu zrujnowała życie. Komendanta guzik obchodziło, kto tam komu życie zrujnował, ale temu wariatowi chyba raczej będzie trudno kogokolwiek dopaść, bo podobno już tam stoi przy jego łóżku funkcjonariusz, więc nawet jak tamten będzie mógł, sam na krok nigdzie się nie ruszy. A najbliższa podróż, jaka go czeka, to wyprawa do radomskiego więzienia, gdzie ma ustalone wyrokiem, a opłacone przez podatników jeszcze parę ładnych sezonów do odsiadki. Może już mu nie będą zalecali dodatkowych atrakcji w postaci badań w szpitalu psychiatrycznym, a jeśli tak, to teraz lepiej przypilnują. To już nie jego, Miśkiewicza, sprawa.

Przed komisariatem Dulęba próbował mu coś wyjąkać o samochodzie Murawskiego, ale komendant nie miał cierpliwości słuchać do końca. W środku Gajczak, wypoczęty, bo na służbie dopiero od rana, od razu zaczął przedstawiać, jak się mają sprawy, ledwie komendant przekroczył zavalony gruzem próg. (Na szczęście ekipa remontowa na czas nieokreślony została odwołana).

- Do Polańczyka pojechał Kwiatkowski, komendancie...
- Ten nowy?
- Ale jaka piła, szefie. Niemożliwie dokładny. Uznałem, że skoro się pojawiły jakieś wątpliwości i przesłanki, nie ma co odkładać...
- Nie ma – przytaknął Miśkiewicz.
- Sam sprawdziłem już w Kielcach, co należało. Od szóstej nie odrywałem się od telefonów i komputera, dopiero teraz...
- I?
- W nocy z dwunastego na trzynastego lipca dwutysięcznego roku tylko jedno dziecko zostało przywiezione przez policję do pogotowia opiekuńczego...
- Tak?
- Około dwuletnia dziewczynka, Natusia...
- Natusia???
- Tak ją nazwali, bo tylko to jedno mówiła.

Komendant Miśkiewicz opadł na krzesło i chwycił się za głowę. Mocno zacisnął na niej dłoń.

- Mamy dziecko, Gajczak... Mamy to dziecko...
- Obecnie Natalia, w rodzinie zastępczej u Agaty i Piotra Okrojów z Kielc, ulica Sienkiewicza, oboje nauczyciele w liceum...
- I tak tyle tych informacji przez telefon, internet...?
- To dziecko znikąd, szefie.
- Znikąd?
- Ustalenie tożsamości daje możliwość prawnej adopcji. Rodzina bardzo porządna, dziecko kochane, szczęśliwe... Sama podobno zagląda do domu dziecka... Długo rozmawiałem z wychowawczynią... Zawsze pyta, czy coś się w jej sprawie nie wyjaśniło.
- Wie?

– Już jej przestali tłumaczyć, że jakby się miało wyjaśnić... – Gajczakowi głos się załamał. – A jednak. Niby tylko trzynaście lat, a jaka przepaść w przepływie informacji, komendancie. Teraz to się wydaje aż nieprawdopodobne.

– Jasna cholera! – zaklął Miśkiewicz. Zerknął z uwagą na Gajczaka. – A ten stary...
A mój ojciec już wie?

Gajczak chrząknął niewyraźnie.

– A to nie zna pan swojego ojca? Z samego rana już tu siedział.

– I gdzie polazł?

– Do Romka Witczaka.

– To i tak dobrze, bo przez chwilę pomyślałem, że już jest w drodze do Kielc... A niech to!

– Niech pan mu się nie dziwi, komendancie. Tyle lat o nią pytał... A! Bo w końcu bym zapomniał. Z Komedy Głównej pół godziny temu był telefon...

– Z jakiej głównej?!

– No, jest tylko jedna Komenda Główna, komendancie. Ta w Warszawie.

– Nie wymądrzaj się, Gajczak. Po jaką cholere dzwonił?

– Dostali sygnał o poszukiwanym samochodzie... Że gdzieś się tu poruszał w naszym rejonie. Prosilili, żeby zwrócić uwagę... W komputerze mam wszystkie dane, chłopaki już wiedzą.

– Dulęba coś zaczął o citroenie Murawskiego, jak już jesteśmy przy samochodach...

– No znaleźli, nad Soliną, pod jakimś ośrodkiem. Anusi i tych jej koleżanek już nie było.

– Spytałem tego popaprańca, czy miał świadomość, z kim się zadaje, jak się zaczął z nią zadawać. Poniedziałek! Nowy tydzień! Pięknie się zaczyna.

Gajczak chrząknął, poprawił mundur.

– No nie wiem, czy tak dobrze, szefie. Bo z Warszawy już ktoś jest w drodze.

– W jakiej drodze?

– No do nas.

– A po co?

– Nic nie wiem, komendancie, nic nie powiedzieli.

Komendant rozejrzał się po zrujnowanym wnętrzu, parsknął nerwowym śmiechem, rozłożył ręce, kopnął kawałek gruzu pod ścianą, zerwał ze stosu pudeł kawał folii i krztusząc się od opadającego z niej pyłu, powiedział:

– No to czekamy, Gajczak! Czekamy na gości z Warszawy!

&&&

Wbrew prognozom Czesi Marlena pojawiła się w Magnolii już wczesnym popołudniem. W towarzystwie Borysa, ma się rozumieć, rozpromieniona i radosna. Co rusz delikatnym ruchem ręki przegarniała kilkucentymetrowe włosy i co rusz wzdychała. Wyglądała młodziej niż zwykle – najwyżej na czterdzieści lat. A ma czterdzieści jeden, o czym każdy wie i czego sama nigdy nie ukrywała. A Borys był zabójczo przystojny. I równie beztroski. W południe dzwonił Olaf, uspokoił oboje i zapewnił, że sprawa nie jest aż taka poważna, na jaką wyglądała. Dostał trochę po nosie, trochę się nasłuchał. Ze wszystkiego się wytłumaczył. Teraz rozgląda się po Warszawie i bardzo mu się tam podoba – chyba na jakiś czas zostanie.

– Na moje oko – odezwała się Czesia ponurym głosem, bo już jej euforia Marleny zaczęła działać na nerwy – sam to wszystko ustawił. Wynajął dwóch facetów z mercedesem, zainwestował w dwie pary ciemnych okularów, zapłacił, żeby podjechali pod cerkiew tuż przed ślubem i go niby zgarnęli.

– W jakim celu? – Marlena zatrzepotała rzęsami, które przy tych krótkich włosach

wydawały się nadzwyczaj długie.

– Żeby z honorem wyłgać się z małżeństwa z tobą. Ludzie gadają.

Rzęsy Marleny opadły wraz z powiekami, kładąc cień na bladych policzkach. Kilka razy przymykała i otwierała oczy, a tajemniczy uśmiech nie schodził z jej twarzy. W końcu wlepiła w przyjaciółkę przytomniejszy wzrok i powiedziała:

– A zgadnij, ile mnie to obchodzi.

– Albo mnie – wtrącił Borys.

– Albo Borysa.

Wobec tego Czesi nie pozostawało nic innego, jak trzepnąć jakimś garem na kuchni, tylko że akurat żadnego pod ręką nie było. Mruknęła więc pod nosem, że matko jedyna, co się na tym świecie wyprawia, i zaczęła uprzątać blaty.

Jaszczuk na sali jadł obiad, choć to nie była jeszcze jego pora. Machnął jednak ręką na porę, tak jak Czesia na swoje wcześniejsze oświadczenie, że obiadów dziś nie ma. Podała mu, co było. Je, to nie gada.

Wszedł mecenas; przywitał się ze zbiegającym z góry Maurycym.

– Jak samopoczucie, pani Czeško! – huknął adwokat. – Jak nowożeńcy?! Widzę, że dobrze, o nic więcej nie zapytam. Jakieś drinki, pani Czeško, by się przydało zrobić, bo wódki to raczej nie...

– O! – wpadł mu w słowo Jaszczuk. – To może i ja bym się napił.

– Dopiero co wstałem – kontynuował Lorka. – Tyle czasu już potrzebuję, żeby odespać, nie to, co kiedyś.

– Nie mówiłam – zamamrotała pod nosem Czesia. – Jak do południa, to gęby nie było do kogo otworzyć. Teraz wszyscy naraz, jedno za drugim... Dziwne, że tej smarkuli jeszcze tu nie ma...

– Siedzi u mnie przy internecie – wtrąciła Marlena.

– Małgośka! – wydarła się Czesia. – Zostaw w jasną cholerę werandę, nic tam sama nie zrobisz, chodź tutaj, rób drinki, ja się takimi pierdołami nie będę zajmować. O proszę!

– Chwyliła ze skraju blatu miskę z psim żarciem i uniosła w górę, prezentując obecnym.

– Artystka ze spalonego teatru kundlowi żarcie naszykowała i gdzieś poszła. Gdzie, nie wiem!

Trzymając na rozłożonej dłoni miskę, wyszła z nią na zewnątrz. Rozejrzała się dookoła i nie dostrzegając nigdzie Absurda, poszła za klombik z aksamitkami i tam ją postawiła obok garnka z wodą.

– Kundel poleciał za nią – skwitowała i odwróciła się do Magnolii. Przy ławce pod krzakiem bzu coś ją jednak zatrzymało. Zerknęła na nią i odezwała się konspiracyjnym szeptem:

– Aha, i temu no... Rudolfowi możesz powiedzieć, że Luiza cały czas mieszka z tą starą wariatką. Zresztą może on wie, nie wiem, nie będę wnikać... – Przycisnęła nagle dłonie do twarzy, jęknęła: – Matko jedyna, muszę coś zrobić, bo już na dobre zacznę wariować. Tylko patrzeć, jak mi się poprzestawia, jak wszystkim dookoła.

Doris, szykując żarcie dla Absurda, nie przestawała myśleć o dziwnym zachowaniu Marka. A zwłaszcza o tym, że kazał się wysadzić w środku wsi, a potem stał na drodze i patrzył za nimi, aż zniknęły mu z oczu. Nagle ją olśniło. Poszedł się napić pod sklep! No chyba nie po szpitalu i nie w takim stanie! Rzuciła miskę na blat, ruszyła do drzwi, nie odpowiadając Czeście ryczącej za nią, gdzie idzie.

Minęła mostek i kilka chałup za nim; przy zagrodzie na skarpie odwróciła głowę, starając

się patrzeć tylko na drugą stronę. Doszła do sklepu, ale Marka tam nie było. Sklepowia oświadczyła, że w ogóle go nie widziała.

W drodze powrotnej Doris mimo wszystko zatrzymała wzrok na swojej wymarzonej skarpie. Jakiś dym się stamtąd unosił, było słychać jakieś trzaski i uderzenia czegoś o coś. Przez chwilę się wahała, lecz w końcu ciekawość zwyciężyła. Wdrapała się po łupkowych, dawno nieużywanych schodkach w górę i rozsuwając ścianę dziko rosnących krzewów, zajrzała na podwórko.

Na środku płonęło ognisko, trzaskały w górę iskry, a przez okno wyleciało jakieś połamane krzesło. Łzy jej się zakręciły w oczach – ktoś kupił zagrodę i robi porządki, zaraz się wprowadzi, a ona dalej będzie bezdomna.

Ktoś wyszedł z chaty; Doris ukryła się za krzakami i już chciała się wycofać, ale ten ktoś ruszył z połamanym krzesłem do ogniska i wtedy zobaczyła, że to Marek.

Na chwilę ją zamurowało, ale zaraz tam ruszyła.

– A co ty tu robisz? – zawołała ze środka podwórka.

– Remont – odparł Marek, obrzucając ją obojętnym spojrzeniem.

– Ach tak... Czeńska coś mówiła, że firmę znowu uruchamiasz. Widzę, że jednak postanowiłeś tu zostać.

– Od tamtego tygodnia nie zmieniłem zdania.

Doris odgarnęła blond loczki z czoła, zerkając z troską na Marka.

– Nie możesz poczekać parę dni? Jeszcze ci się szwy porozłożą.

Słyszając jej troskliwy ton, odpowiedział z uśmiechem:

– Bez szaleństw, nic mnie nie goni, ile mogę, to zrobię. Na razie mam gdzie mieszkać.

– To ty masz zamiar tu mieszkać?

– Po to ją kupiłem.

– Ty ją kupiłeś? – wykrztusiła, zbliżając się do ogniska.

– Ty nie chciałaś...

– Za ile?! – ryknęła.

– Za sto trzydzieści tysięcy. Opuścili jeszcze dychę.

– Skąd miałeś? – spytała bez tchu. – Mnie dałeś sto czterdzieści za obrazki!

Marek podgarnął żar do środka ogniska, oparł się o metalowe grabie i popatrzył na Doris znużonym wzrokiem.

– Doris... jestem już tym wszystkim zmęczony... Zostało mi jeszcze trochę z tego, co mi oddałaś w tamtym roku.

– A ile ci zostało, jak piłeś i szlajałeś się gdzieś od zimy.

– Popijałem, a w temacie szlajania też bym się spierał. Zanim tu przyjechałem, sprzedałem, co się dało sprzedać.

– Co sprzedałeś? Skrzynkę na listy, którą bank przeoczył?

– Plac z siedzibą firmy, maszyny, na ojca były... Nie dokuczaj mi już... Powiedziałem, że nigdy od ciebie nie odejdę. Wyjedziesz, sprzedam to w cholerę i pojadę za tobą, bo...

– A niby gdzie mam wyjeżdżać? – przerwała mu w pół zdania. – Byłam popychadłem ojca, potem męża. Gdyby nie Filip Spalski, który kupił Magnolię, a potem miał gdzieś, co się w niej dzieje i ilu życiowych rozbitków się tam kręci, nie miałabym nawet gdzie się zatrzymać, kiedy pewnej grudniowej nocy przyjechałam tutaj z twoimi cholernymi pieniędzmi!

Marek popatrzył na nią i zaczął spokojnie zgrabić nadpalone kawałki drewna i patyki wokół ogniska.

Doris oparła się na jakimś pieńku, popatrzyła po zaniedbanym podwórku, na chwilę zatrzymała wzrok na chacie, a potem zwróciła spojrzenie na Marka.

Był dokładnie taki, jak go sobie wymarzyła. Zwyczajny facet, któremu chodzi tylko o to, żeby prowadzić zwyczajne życie. Dobrze, proste, bez kręactw i zerowania na innych.

Takim go zobaczyła z kuchennego okna w domu tego drania, obiboka i szantażysty, swojego męża. Wychodził ze swojego domu naprzeciwko do pracy albo na spacer z psem zadowolony, uśmiechnięty, nieświadomy zdarzeń, które rozwałą jego prosty świat, a jego samego zaprowadzą do bieszczadzkiego więzienia.

– Nigdzie nie zamierzam wyjeżdżać – odezwała się cicho, wygładzając sukienkę na kolanach. – Tu są wszyscy ludzie, którzy coś w moim życiu znaczą. Poza matką i jej byłym kochankiem Marcelem, oczywiście. – A po chwili dodała w zamyśleniu: – Poczulałabym się o wiele lepiej, gdyby się okazało, że to właśnie on jest moim ojcem. Chociaż z drugiej strony... jakie to w sumie ma teraz znaczenie.

Marek podszedł do niej bliżej.

– Nie powinnaś trochę poleżeć w łóżku po tym wszystkim? – zapytał z troską.

– A ty z raną w brzuchu nie powinienesz szarpać się tu z tym wszystkim. Nic ci tu nie ucieknie.

– Nic – przyznał. – Wracamy do Magnolii?

Doris skinęła głową. Wziął ją pod ramię i delikatnie poderwał z pieńka. Ruszyli razem w stronę drogi. Minęli wjazd, zatarasowany przewróconym przez wicher drzewem, i zeszli po schodkach z łupkowej skały. Tymi samymi, którymi dawno temu Rudolf biegł do swojej jedynej Luizy, gdy każdego lata przyjeżdżał tu do babki i wujka na wakacje.

Jedni ludzie ustępują miejsca innym, nowe zdarzenia odsuwają na bok to, co stało się dawniej. Tylko miejsca pozostają te same na długo, niezmiennie w swej podstawowej, nienaruszalnej strukturze.

Zaniedbana chata pewnego dnia zablýśnie odnowionym frontem, nową farbą w oknach i nowym dachem. Znikną wszystkie chaszczce, zza których nie widać drogi. Może powstanie tu jakaś szopa albo z tyłu niewielki warsztat. Coś zastąpi coś innego, ale to będzie wciąż to samo miejsce i po latach letargu zacznie się tu nowe życie.

Nim odgarnęli dzikie krzewy i zaczęli się przez nie przedzierać do schodków, Doris obejrzała się i obrzuciła wzrokiem miejsce na lewo od chaty – idealne na ogród pełen kolorów, zapachów i ścieżek, które same w sobie nie będą prowadziły donikąd. Na każdej z nich będzie można przystanąć i popatrzeć dookoła siebie. I pozachwycać się tym wszystkim.

Popatrzyła za Markiem, który przecierał szlaki wśród kłujących krzewów.

– Marek! – krzyknęła za nim.

– Co chcesz? – Odwrócił się w jej stronę.

– Nic... Uważaj na tych schodkach. Można się pośliznąć i polecieć na dół – powiedziała. Chciała dodać, że świat jest taki piękny, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język.

Pomyślałaby jeszcze, że zwariowała.

&&&

Komisarz Biernat... Albo Kiernat – komendant Miśkiewicz dokładnie nie usłyszał – rozejrzał się po przygotowanym do remontu wnętrzu i nie komentując niczego, od razu przeszedł do rzeczy. Wyjaśnił, że znalazł się tu z powodu pewnej niewiarygodnej, nawet jak na standardy tego porąbanego świata, zbrodni.

Pewnej nocy, równo trzy miesiące temu na niewielkiej stacji benzynowej w Warszawie doszło do niepojętego zabójstwa. Jakiś facet z zimną krwią uderzył drugiego w głowę bejsbolem tylko dlatego, że ten zwrócił mu uwagę na głośne zachowanie. A potem po prostu wyszedł.

– Wiem... – Komisarz omiół wzrokiem stare jak świat ściany – w takim miejscu jak tu

podobne rzeczy się nie dzieją...

– Dzieją się – odparł komendant Miśkiewicz. – Zdziwiłby się pan, gdybym opowiedział panu pewną historię, ale nie dla mojej historii tu jesteśmy. Rozumiem, że morderca nie został dotąd zatrzymany...

– Aż nieprawdopodobne, prawda? W świecie, gdzie każdy nasz krok jest rejestrowany przez tysiące kamer, gdy nosimy przy sobie dające się w każdej chwili zlokalizować komórki... Prozaiczna sprawa – na wymienionej stacji od jakiegoś czasu nie działał monitoring, a właścicielowi, szykującemu się do zwinięcia nierentownego interesu, nie chciało się już go naprawiać. Wchodzi więc jakiś facet – kontynuował komisarz – zabija drugiego i wychodzi. Nikt nic nie wie. Świadkowie mówią, że to były sekundy, a tamten mężczyzna nie wyróżniał się niczym, co pozwoliłoby go zapamiętać. Zwyczajny, między trzydziestką a czterdziestką, ani wysoki, ani niski, nie blondyn i nie brunet, a na pewno nie naćpany i zakapturzony gówniarz, po którym czegoś takiego można byłoby się spodziewać. Wszedł, zabił, wyszedł, wszedł w samochód (nikt nie zapamiętał jaki) i odjechał.

I nic. Żadnego punktu zaczepienia. Przypadkowa śmierć, a motyw...

– Motyw? – zagadnął komendant.

– Motyw – powtórzył tamten – w tym wypadku zwierzęca wściekłość istoty ludzkiej zaciera wszelkie tropy w samym punkcie wyjścia... Bo jak to zrozumieć i gdzie czego szukać... Najlepiej od razu odłożyć sprawę na bok i zająć się innymi, mającymi jakieś szanse na wyjaśnienie. I być może faktycznie, choć nieformalnie, tak by się stało, ale...

– Ale?

Tydzień po tej zbrodni w jednym ze stołecznych komisariatów zjawia się starsza kobieta. Przyjechała z Wejherowa, usiłuje przekonać olewających ją funkcjonariuszy, że coś niedobrego stało się z jej trzydziestosiedmioletnim synem. Nie odbiera komórki, nie otwiera drzwi, a co najgorsze, zza tych drzwi słychać sygnał, gdy kobieta, stojąc tam i pukając nadaremnie, wciąż do syna dzwoniła.

Ktoś tam w końcu reaguje i rusza razem z nią pod wskazany adres.

Rzeczywiście, zza drzwi odzywa się komórka, ale żadnego śladu życia tam nie słychać.

Policjant wzywa posiłki, wyważają drzwi, wchodzi. W środku panuje cisza. Rozglądają się ze zdumieniem dookoła. Jest to kilkupokojowe, przestronne mieszkanie w starej kamienicy, pełne antyków. Meble, bibeloty, obrazy, stare gobeliny – wszędzie, na każdym kroku, kapiące ze ścian i podłóg bogactwo, nawet dla oka kompletnego w tym temacie laika.

Kobieta tłumaczy, że syn dostał to wszystko w spadku od swojej babki, matki jej męża, starej dziwaczki, skłóconej ze wszystkimi i obrażonej śmiertelnie na cały świat, nie wyłączając najbliższej rodziny. Prawdziwe zrzędzenie losu, bo syn, choć wykształcony, zdolny i ambitny – na prowincji to wszystko znaczy tyle co nic – od ukończenia studiów przekładał papierki na biurku w miejscowym urzędzie. Z jednego biurka na drugie. Skorzystał więc z niespodziewanego daru losu i przyjechał do stolicy, by zrealizować zawodowe marzenia. O dach nad głową, jak widać, nie musiał się martwić. Reszta, jak zapewniał niezmiennie jeszcze na początku, to pestka. Noża na gardle nie miał, chciał się porozglądać, znaleźć coś, w czym mógłby się realizować do końca zawodowego życia. Oboje z mężem cieszyli się w tym maleńkim Wejherowie, jakiego to mają ambitnego syna. Zrobili wszystko, żeby go wykształcić, żal było patrzeć, jak się w tym urzędzie tyle lat marnuje. Codziennie dzwonił do nich albo oni do niego. Jakiś czas temu jednak przestał, a gdy matka próbowała się z nim kontaktować, ucinał rozmowę, odburkiwał dziwnym głosem albo wcale nie odbierał. W końcu się zorientowali, że ich syn robi ze swoim życiem coś dziwnego.

Tydzień temu ustalili, że muszą w końcu zainterweniować. Dzwoniła do niego cały dzień

– bez skutku. Dopiero późnym wieczorem odebrał, ale tylko kilka razy krzyknął z niepojętą wściekłością do telefonu, że to jego życie. Jego życie! I jeszcze to słowo. On takich słów nigdy nie używał.

Mąż choruje na serce, ledwo chodzi, ona też nie tryska energią, postanowiła jednak zebrać się w sobie i ratować jedynego syna.

Chodziła za policjantami, mówiąc to wszystko, przerażona, załamana, ale jeszcze pełna nadziei. Ta nadzieja skończyła się w dwóch pustych pokojach, kompletnie pozbawionych kosztownych antyków. Oparła się o ścianę i rozplakała. Ktoś obrabował jej dziecko, niech go szukają, ratują, nim będzie za późno.

Uspokoiłi kobietę szybko, tłumacząc, że śladów włamania nie widać. Po pobieżnych oględzinach całego mieszkania skupili się na jednym z pokoi. Na łóżku leżały spodnie dżinsowe, na oparciu krzesła wisiała koszula, na stole stał włączony komputer, a obok niego leżał telefon komórkowy – wszystko to razem wyglądało tak, jakby ktoś wyszedł stąd na chwilę po bułkę do delikatesów naprzeciwko albo do kiosku po gazetę. Na monitorze komputera trwała jakaś wirtualna gra. Ostatnie wejście – ustalił jeden z policjantów – było tam kilka godzin temu. Uspokoiłi więc po raz kolejny kobietę i chcieli opuścić mieszkanie, zastanawiając się, w jaki sposób wybrnąć z tych wyważonych drzwi, gdy jednemu z nich rzuciło się coś w oczy...

– Co? – zapytał z lekkim zniecierpliwieniem komendant. Komisarz chyba zabrnął za daleko w szczegółach, lecz Miśkiewicz z grzeczności nie chciał mu przerywać.

– Coś, co wiązało się bezpośrednio z ofiarą wścieklej napaści na stacji sprzed tygodnia. Książka, a na niej na okładce zakreślone w kółko grubym czerwonym markerem nazwisko autora. Niby nic, w tym mieszkaniu było pełno książek, ale tylko ta jedna pod ręką i to podkreślenie... Intuicja nie pozwoliła policjantowi zbagatelizować nic nieznaczącego, zdawałoby się, faktu. Kilka minut później, jako prowadzący sprawę, zostałem o tym poinformowany. Moja intuicja podpowiedziała mi, żeby porównać odciski palców, zdjęte z dystrybutora na stacji benzynowej, z tymi z mieszkania. Bingo! Mamy mordercę! Mamy drania, na którego moglibyśmy nigdy nie trafić, gdyby nie troska i miłość matki do syna... Mamy samochód, którym zapewne się porusza. Wyszedł z mieszkania jakby nigdy nic, zaraz do niego wróci. Jeśli nie wróci, namierzemy go na mieście...

– I co?

– I nic.

– Jak to nic?

– Zwyczajnie. Do tej pory nic. Mamy nazwisko, rysopis sprawcy, a także dane samochodu, którym się porusza, i przez trzy miesiące nie potrafimy go znaleźć. Wszystkie te informacje, wiadomo, znajdują się w bazie centralnej i są dostępne dla każdego policjanta z drogówki, a nawet – komisarz przesunął wzrokiem po ścianach dookoła – na takim posterunku, przepaszam za wyrażenie, na ostatnim zadupiu...

– Nie ma za co.

– Kamień w wodę. Nic. Dopiero w ten piątek...

– Co takiego?

– Stary policjant z komendy dzielnicowej przyjechał gdzieś w tę okolicę na pogrzeb do kogoś z rodziny. Albo na wesele...

– Jak w piątek, to prędzej na pogrzeb – wtrącił Miśkiewicz.

– Mniejsza z tym. W każdym razie idzie sobie z całym konduktem spod domu na cmentarz... No tak, faktycznie, jednak to był pogrzeb... i widzi auto, które próbuje ten kondukt, wciskając się na pobocze, wyminąć... Warszawska rejestracja. Cóż w tym dziwnego?

– Właśnie.

– Tacy starzy policjanci tuż przed emeryturą, komendancie, mają jakiegoś czuja...

– Tak zwany psi węch – podpowiedział Miśkiewicz.

– W ostatniej chwili koncentruje się na numerach rejestracyjnych, ale już całości nie dostrzega, bo tłum żałobników zasłania, jednak to, co widział, zapamiętuje. Po ceremonii kontaktuje się z jednym ze swych podwładnych. Zapamiętany początek rejestracji zgadza się z pierwszymi numerami jednego z poszukiwanych wozów. Zgadza się także marka. Nie robi na razie afery. Jest na pogrzebie, a marka i kawałek rejestracji jeszcze nic nie znaczą. Mógł się na dodatek pomylić...

– Mógł – przyznał Miśkiewicz nieco znużonym głosem. – Ile poszukiwanych aut widnieje w systemie...

– Tylko że facet na parę miesięcy przed emeryturą nic innego nie robi, młodzi idą na akcje, a od papierkowej roboty zawsze trzymał się z daleka. I na dodatek ufa swojej fotograficznej pamięci. Przez tyle lat go nie zawiodła. W poniedziałkowy rano stawia się w pracy. Sprawdza więc na wszelki wypadek, z jaką sprawą wiąże się poszukiwane auto, którego rejestrację można dopasować do cyfr, jakie zapamiętał. Na wszelki wypadek dzwoni do mnie. Ja na wszelki wypadek wsiadam do samochodu i jestem tutaj.

– Żartuje pan! – zadziwił się Miśkiewicz. – Czyli w sumie na wariata.

– Na wariata. Ale czasem tak trzeba. No i można powiedzieć, że się zawzięłem. Taka gratka nam się trafiła. Identyfikacja mordercy, którego mogliśmy nigdy nie namierzyć. I co? Kilka godzin spóźnienia. Pan by się nie zawzięł?

Komendant Miśkiewicz popatrzył kątem oka na komisarza. Kogoś mu przypominał. Sam przed sobą nie chciał się przyznać, że tego starego durnia, swojego ojca.

– Moi ludzie w terenie mają to auto na oku, ale wie pan... Jeśli nawet to było to... Już dawno może być gdzieś daleko – powiedział komendant, nie zdradzając się ze swoimi myślami, jednak co spojrział na komisarza, stawał mu przed oczami ojciec: to samo spojrzenie, ta sama pewność w oczach, a także to, z czym w środku sobotniej nocy tutaj się zjawił i co w rezultacie z tego wynikło. Przyszedł z książką. Położył ją na stole jakby nigdy nic... – Co to była za książka? – zapytał, zwracając się twarzą do komisarza. – Ta, którą znaleziono w mieszkaniu tego...

– *Twarz mordercy* – odparł komisarz zniechęconym głosem. – A zakreślone kółkiem nazwisko autora...

– Maurycy Murawski – dokończył komendant. – Jest tu... niedaleko...

– Jak to?!

– Kilkanaście kilometrów stąd. W, pożałuj Boże, pensjonacie o pięknej nazwie Magnolia.

&&&

– Dawno tu nie byłem – powiedział stary komendant, siadając na ławce obok mecenasa Lorki. Rozglądał się dookoła, z uznaniem kiwając głową. – Ze wszystkiego teraz da się zrobić wszystko. Nawet z administracji więziennej knajpę.

– O, to nie byle jaka knajpa. Tylko tak to z wierzchu wygląda – zaprotestował mecenas.

– Słyszałem, że pan dziś prosto z komisariatu poszedł do Witczaka.

– Ano poszedłem. Kto mu miał taką wiadomość przekazać? – Ukłonił się Czesi Gawlińskiej, która wraz z Maurycym wyniosła niewielki stół przed Magnolię. – Przekazałem... Przywiózł mnie tu, wysadził pod bramą... Chciałem tej małej powiedzieć, że to był strzał w środek tarczy, jak przyleciała do mnie z tą książką, ale widzę, że jej tu nie ma...

– Zaraz będzie – odezwała się przytulona do Borysa Marlana z ławki pod kuchennym

oknem. – Siedzi u mnie w internecie.

Stary Miśkiewicz pokiwał głową.

– Taki to teraz ten świat, bez internetu się nie obejdziesz, od ręki wszystko sprawdzisz, co kiedyś trzeba było tygodniami, a nawet i dłużej. Aż nie wierzyłem, jak mi Gajczak tyle tego z samego rana nasprawdzał...

Na podwórko wjechała Olga z mężem. Borys cmoknął Marlenę w policzek, zerwał się z ławki, pomógł Adamowi wyjść z samochodu, a potem usiąść w wózku. Małgośka i Doris wyniosły z Magnolii półmiski z mięsami i zaczęły je ustawiać na stole. Marek z Jaszczukiem wynurzyli się zza rogu budynku, targając ławkę.

– Poprawiny? – zagadnął stary komendant.

– Jak się bawić, to się bawić – odparła Czesia, dyrygując Doris i Małgośką, żeby jeszcze to i tamto doniosły, bo wszystkiego zostało. Wszystko dobre, wyrzucić szkoda. – Wczoraj mało kto się do czego nadawał. No i kompletu nie było – dodała, zerkając na Marka.

– A pewnie – przytaknął stary. – Co to komu szkodzi usiąść, zjeść, napić się i pogadać. Jutro już nie posiedzicie, deszcze od północy idą, ostatni taki dzień się trafił.

– No to za ten piękny dzień, panie i panowie! – zawołał mecenas, biorąc od Małgośki z tacy kolorowego drinka. Napił się, ujął starego komendanta pod ramię, poprowadził do stolika, a gdy usiedli, zapytał: – I co ten Romek na to? Mów pan, wszystko trzeba z pana wyciągać.

– A co? A nic. Zbladł, złapał się za głowę i słowem się nie odezwał. Ale to na razie jedynie domniemane fakty, mecenasie. Jakby pan nie wiedział.

– No wiem, wiem, ale co wiadomo, to wiadomo...

– Jak mi pan mecenas tu przed chwilą opowiedział – wtrąciła się do rozmowy Czesia – co tam się u was na tym komisariacie z soboty na niedzielę działo! Wierzyć się nie chce.

Wszyscy usiedli przy stole, bliżej, dalej, bez ceregieli. Doris nastawiała półmisków, Małgośka narobiła drinków, talerzyki stały na jednym końcu – pełna samoobsługa. Jaszczuk krzywił się trochę na te drinki, ale że nie było nic innego, a Czesia oznajmiła, że nic więcej dziś nie będzie, wziął szklaneczkę, obracał ją chwilę w wielkiej dłoni, a w końcu się napił – nie było wyjścia.

Gdy w bramie pojawiły się Józefina z Tuską, Czesia wykrzyknęła, podnosząc dłonie do policzków:

– No całkiem zapomniałam o biednej Józefinie! Mógł który ruszyć tyłek i podjechać.

– Trochę ruchu jeszcze nikomu nie zaszkodziło – skomentował Miśkiewicz. – Na stare lata tym bardziej.

Józefina usłyszała ostatnie słowa i zerknęła na niego z wyższością.

– Mów za siebie, Ambroży. Ruchu mi nie brakuje, a lat jeszcze nie mam tak wiele.

Maurycy zerwał się, wyniósł ze środka tapicerowane krzesło i przyniósł do stołu, zanim do niego doszła. Józefina wyciągnęła do niego rękę, w której było piękne jabłko.

– Ubzdurało się coś tej mojej Luizie – zaczęła się tłumaczyć. – Weź, mówi, dla Maurycygo, skoro idziesz do Magnolii.

Zapadło krótkie milczenie. Jaszczuk tylko rozdziawił gębę, ale Czesia kopnęła go boleśnie w łydkę, nim zdążył coś powiedzieć.

Tuśka obrzuciła baczny wzrokiem całe towarzystwo, po czym usiadła na schodach pod Magnolią. Zerknęła jeszcze na Maurycygo, a potem pochyliła głowę na kolana. Maurycy położył jabłko na stole i delikatnie je od siebie odsunął.

– Takie jabłko – wymknęło mu się z ust, jakby od niechcienia. – Taki najzwyklejszy owoc... z ogrodu życia.

– Co mu się stało? – Czesia rozejrzała się po obecnych. – Nigdy tak nie gadał. Co ty,

Maurycy, pleciesz?

– Niezjedzone zgnije – ciągnął, spoglądając na Tuškę. – Jak wszystko, co martwe.

A czasem nawet i to, co żywe.

Olga zajrzała mu w twarz.

– Hej, proszę pana! – odezwała się żartobliwym tonem. – Jesteśmy w Magnolii.

– Wiem – odpowiedział cicho.

– Skoro wiesz, to zachowuj się tak, jakbyś był w Magnolii, a nie w jednej ze swoich książek – skarciła go Czesia. – Tu się po prostu żyje.

– Co to znaczy po prostu? – zapytał.

– Nic nie znaczy – odparła. – Albo wszystko. Dla mnie to codzienne użeranie się z tym bałaganem dookoła. Trzeba tu być i pilnować, żeby jakoś się to z dnia na dzień toczyło.

Wysłuchiwać narzekań Marleny na cały świat, jak przyjdzie na pierwszą albo drugą kawę...

– Przecież ostatnio wcale nie narzekam – zaprotestowała tamta. – Odczep się.

Czesia wyciągnęła rękę i pogładziła króciutkie włosy Marleny.

– A niechby kiedy spróbowała nie przyjść. Albo żeby mi tu kiedy zabrakło Doris.

Małgośki, Olgi, Józefiny...

– Tej starej wariatki – uzupełniła Józefina.

– I tej smarkuli, która usiadła na schodach, spuściła łeb i nie wiadomo, co jej tam po nim chodzi. Niech mi tu nie brakuje nikogo, bo nikogo więcej tu nie mam. Ach... – Odgarnęła dłonią włosy z czoła. – Chyba się upiłam. Przez to całe wariactwo od soboty, niech już się to wreszcie skończy. A ty – zwróciła się do Maurycyego – pisz swoje książki, skoro już musisz.

– Jak już przy tym jesteśmy – wtrącił stary komendant – to sam pan żeś widział, że i to może się na coś przydać, panie... Jak panu tam?

– Maurycy Murawski – odpowiedziała Doris.

Wtedy Tuška uniosła głowę, wstała ze schodów i podeszła do stołu, ciągnąc za sobą plecak. Dopiero teraz zobaczyli, że wielkie lzy płyną po jej policzkach. Wycierając je byle jak rękawem, oznajmiła:

– Maurycy Murawski nie żyje. – Załkała krótko. – W wyszukiwarce mi wyszło...

&&&

– Mówi panu coś taki termin Southend? – rzucił komisarz z Warszawy do komendanta, gdy przed komisariatem wsiadali do samochodu.

Miśkiewicz pokręcił głową.

– Nic.

– A Second Life?

– Może Gajczak by wiedział.

– To może wirtualny świat?

– To już prędzej.

Gdy ruszyli, komendant odwrócił głowę w stronę przybysza, pytając wzrokiem, o co właściwie chodzi. Tamten zaczął wyjaśniać:

– Ja uważam, że wszystko jest dla ludzi... Dopóki nie zostaną przekroczone pewne granice. Są takie gry w internecie, kolego, gdzie wchodzisz, rejestrujesz się, dostajesz swojego awatara... Przeważnie o nienagannej, jak wyrzeźbionej sylwetce, szalenie męskiej twarzy i tak dalej. Dostajesz piękną powłokę i ruszasz w piękny świat. Są tam sklepy, kawiarnie, kluby, gdzie możesz poderwać panienkę, stacje benzynowe, banki, możesz stawiać własne budynki albo je sprzedawać...

– Coś tak słyszałem – wtrącił Miśkiewicz.

– Możesz robić wszystko. Tylko że niektórzy gubią granicę między swoim prawdziwym a tym wirtualnym światem. Do tego stopnia, że w tym realnym nie potrafią się już odnaleźć. I tu zaczyna się nieszczęście...

– Chyba oglądałem taki program – przerwał mu znowu komendant. – Albo Gajczak coś mówił... Gość siedział w tym gównie po kilkanaście godzin dziennie...

– Mówimy o tym samym – przytaknął komisarz. Milczał chwilę, chłonąc wzrokiem krajobrazy za oknem. – Otóż widzi pan, nasz morderca ze stacji benzynowej nie wychodził z tego świata od ponad roku.

Trzydziestokilkuletni, do bólu przeciętny facet, Tomasz Kieniewicz – ciągnął komisarz – przyjeżdża do stolicy, wprowadza się do obszernego mieszkania, w którym czas dawno temu stanął w miejscu, w starej kamienicy w centrum Warszawy. Na każdym kroku obrazy, starocie, a za oknem gwar wielkiego miasta. Nie może znaleźć pracy, bo jego wykształcenie też okazuje się przeciętne, nie ma znajomych ani rodziny... Pewnego dnia siada do komputera i odnajduje swój piękny świat. To bardzo prawdopodobny scenariusz. Szkoda sobie zresztą głowę łamać, zastanawiać się, jak było.

– A z czego żył? – zainteresował się nagle komendant.

– Z nagromadzonych przez pokolenia rzeczy. Dwie ulice dalej jest antykwariat...

Właściciel pokazał nam rachunki. Nie uwierzy pan, był tam nawet Malczewski, jeśli pan wie...

– Wiem, kto to był Malczewski, komisarzu Kiernat.

– Biernat.

– Przepraszam.

Informatycy dobrali się do komputera, mówił dalej komisarz. Jeden z nich włączył się do gry, wszedł w jego awatara i zaczął się ostrożnie poruszać w tym Southendzie. Idzie ulicą, kłania się znajomym, którzy go zagadują, zapraszają do kawiarni, a tam... Co się okazuje?... piękna Sabrina, spłoszona jego widokiem, próbuje się wycofać. Gdy ten zastępuje jej drogę, ona zaczyna się tłumaczyć z jakiegoś spotkania. Że było całkiem niepotrzebne. Że wygląd nic nie znaczy. Że mąż i dzieci nic nie wiedzą. Że po co szedł za nią aż do domu, skoro już zobaczył, jak wygląda, i to mu się nie spodobało...

– Uwierzy pan?! – zawołał komisarz, odwracając się od okna. – W wirtualnym świecie dowiedzieliśmy się, że nasz bohater i Sabrina mieli randkę w realu. Namierzamy panienkę, jedziemy tam. Niedaleko, do Wilanowa. Co się okazuje? Sabrina to tłusta, niechlujna kura domowa pod czterdziestkę. Mąż kierowca zawodowy, czworo dzieci w wieku szkolnym, zasyfione mieszkanie... Kocmołuch przy laptopie w swoim pięknym świecie. Nawet jak się odrobinę ogarnęła na to spotkanie, nasz bohater i tak zobaczył to, co my zobaczyliśmy: nieciekawą, zaniedbaną czterdziestkę o odstraszej barwie głosu. Witamy w realu! Przycisnęliśmy facetkę i natychmiast wyśpiewała, że wcale nie pragnęła tego spotkania, ale on nalegał, w końcu, co tam... Nas to nie obchodziło. Obchodziła nas tylko data tego spotkania. Zgadnie pan?

– Chyba tak – odezwał się po chwili Miśkiewicz. – Dzień morderstwa na stacji.

– Noc, ściśle rzecz ujmując – sprostował komisarz. – W rzeczywistym świecie nie znalazł swojego miejsca. Wirtualna baśń to jedno wielkie oszustwo. Wraca z Wilanowa, zatrzymuje się na stacji, żeby zatankować. Matka dzwoni od rana. Wściekły, odbiera w końcu, a ona gada mu do ucha, wypytuje, przestrzega. „To mój świat” – wykrzykuje kilka razy, na przemian ze słowami, których matka nigdy z jego ust nie słyszała. Może zapomina, że to matka, może ma to gdzieś. Może wciąż jeszcze, wbrew wszystkiemu, tkwi w tamtym świecie, w którym może wszystko, może mu się popieprzyło i sam już nie wie, gdzie, co i jak. Tankuje i idzie zapłacić, a wtedy ktoś zwraca mu uwagę, kiedy wrzeszczy do telefonu, jakby był sam na tym świecie albo

ten świat do niego należał. Idzie więc do samochodu, wyjmując z bagażnika bejsbola, którego woził być może dla obrony albo tak na wszelki wypadek, wraca do środka, uderza gościa, który zwrócił mu uwagę. Zabija. Enter. Wychodzi.

– Szlag! – zaklął po cichu komendant. – Tomasz... Jak pan mówił?

– Kieniewicz.

– Tomasz Kieniewicz to sprawca. A ofiara?

Komisarz odrzucił głowę do tyłu, pokręcił szyją, zataczając nią koła.

– Ofiara to Maurycy Murawski, komendancie.

&&&

Romek Witczak, mąż zastrzelonej trzynaście lat temu pod Wzgórzem Wilków Lenki Sikorówny, zatrzymał auto przy figurce Matki Boskiej na skraju wsi, postąpił chwilę, po czym zawrócił do Magnolii.

Zrobiło mu się wstyd, że słowem się nie odezwał do komendanta, gdy ten niskim, niższym niż zwykle głosem opowiedział mu, co dokładnie stało się tamtego dnia pod Wzgórzem, a potem dalej z jego córką. Z kamienną twarzą przyjął każde słowo, potem odwiózł policjanta do jego wsi, a ten kazał się podrzucić pod Magnolię. Chwilę później pomyślał, że trzynaście lat temu stało się i tak zbyt wiele. Siedział w tym aucie pod figurką dziesięć lub dwadzieścia minut i w pewnym momencie zdecydował, że pojedzie z komendantem zobaczyć swoje dziecko, dopełnić formalności, co tam będzie trzeba, ale nie będzie się starał odebrać Natusi. Niech jej wystarczy świadomość, że nie jest znikąd, a jemu, że jego córka żyje.

Lecz gdy znalazł się znowu pod bramą Magnolii, by to wszystko powiedzieć staremu komendantowi, przeprosić i podziękować za trzynaście lat upartych poszukiwań, spostrzegł, że tam coś się stało: ludzie przy stole, wystawionym na zewnątrz, wyglądali tak, jakby ich ktoś zaklął w kamienie. Na środku podwórka stał radiowóz, a przy nim młody komendant i jakiś obcy mężczyzna.

Wycofał i odjechał.

Łzy kapały po chudych policzkach Tuśki jedna za drugą. Już nawet nie próbowała ich ocierać rękawem. Wszystko stanęło w miejscu, ale czas się nie zatrzymał. Za sprawą słów działa się terazniejszość i przeszłość.

– Oto i cała przewrotność losu – odezwał się stary komendant niższym niż zwykle głosem. – Szkoda tylko, że musiał pan zabić człowieka, byśmy się dowiedzieli, kto zabił Lenkę Sikorównę, panie... Jak panu tam... Nawet nie wiadomo.

Marlena podeszła do Tuśki i objęła ją z tyłu z całej siły. To dodało małej odwagi.

Otrząsnęła się, popatrzyła na człowieka, odartego z fałszywej tożsamości, i powiedziała:

– Oto jest twarz mordercy, panie, panowie... – Pochyliła nisko głowę, załkała ostatni raz, a potem odważnie spojrzała mu w oczy i zapytała: – W którym momencie wtargnąłeś w jego życie?

– Na chwilę przed tym, nim go zabiłem – odpowiedział od razu głosem pozbawionym emocji. – Kilka dni po jego śmierci... Może tydzień...

Komisarz Biernat wyjął z kieszeni kajdanki, skuł mu ręce i zaprowadził go do samochodu.

Nim wsiedli, mężczyzna odwrócił się i popatrzył na mały kawałek wielkiego świata, którego nigdy by nie poznał, gdyby dwa dni po tym, jak zabił, nie natknął się w internecie na informację o morderstwie na stacji benzynowej pewnej pięknej czerwcowej nocy. Nie to, że

był ciekaw, kogo zabił, ale tak jakoś spojrział, przeczytał i dowiedział się, że ten facet to jakiś pisarz. Odruchowo wklepał nazwisko w wyszukiwarce i wśród innych informacji, takich jak co i kiedy wydał, wyszło to: *Wyznanie Maurycego* – ostatnia rzecz, którą tamten, kierowany chyba tylko jakimś impulsem, na dwa dni przed śmiercią napisał. Jakaś fanka zamieściła to na jednym z blogów literackich. Nie to, że był ciekaw, ale otworzył, przeczytał: „Nazywam się Maurycy Murawski i jestem autorem popularnych powieści kryminalnych. Tak przynajmniej od czasu do czasu lubię o sobie myśleć. Od czasu do czasu nawet w to wierzę...”

I na tym powinien był skończyć. Nic by się nie stało. Do tej pory miałyby się po wysokich pokojach pełnych rzeczy, które pozwalały na fizyczne przeżycie kolejnego dnia, miesiąca, roku... Ale, nieświadomy niczego, czytał dalej, aż doszedł do tego momentu wyznania, który wbił go w fotel i przez wiele godzin nie pozwolił się ruszyć z miejsca. „Sto razy dziennie wracam do tej ławki zapomnienia i jedno, co mnie jeszcze od niej oddala i nie pozwala usiąść na dobre, to myśl, że pewnego dnia wyrwę się z tej monotonii zdarzeń i spróbuję coś odnaleźć. Może tamto miejsce, z którego dawno temu chciałem rozpocząć proste życie...”

W księgarni na rogu zapytał o książki tego człowieka. Mieli po jednej z każdego tytułu. Przekartkował kilka ostatnich. Kupił pierwszą, bo zaintrygowała go sylwetka mężczyzny na tle zalesionego wzgórza. Wrócił do mieszkania i przeczytał. Zdawało mu się, że opis wspomnianego w wyznaniu miejsca jest w powieści na tyle dokładny, że bez problemu uda mu się je odnaleźć. Gdyby chciał go szukać.

Przez wiele dni nie wychodził z domu, nie patrzył w okna, nie robił nic. Jeszcze tylko otworzył komputer i spróbował, czy się nie da jak dotąd. Nie dało się.

Wtedy wrzucił do torby parę rzeczy, laptop, którego prawie nie używał, z premedytacją zostawił telefon komórkowy, wyszedł z kamienicy, wsiadł do auta i ruszył.

„Wrócił” na stację benzynową, to znaczy do tamtego wieczoru, „wszedł”, żeby zapłacić, i popatrzył na wszystko oczami Maurycego Murawskiego. „Nie odzywaj się” – powstrzymał odruch, by zareagować, gdy jakiś osobnik zaczął się wydzierać do telefonu i rzucać mięsem. Niech ktoś inny się odezwie. Ktoś inny się odezwał, nie Maurycy. I po co? Po co mu to było? Teraz patrz, jak leży, a z jego ust płynie krew, zaraz się zatrzyma. To samo stałoby się z tobą, Maurycy, gdybyś się odezwał...

Jestem Maurycy Murawski. Wchodzę na stację benzynową, by zapłacić za paliwo. Późna noc, spory ruch, początek wakacji. Jakiś facet wydziera się do telefonu, nie patrząc na nic. Nie zwracam mu uwagi, bo to nie moja sprawa. Ktoś inny to robi i w minutę później leży na podłodze martwy. Ja, Maurycy Murawski, opuszczam tę stację, jadę do domu, a po drodze śmieję się z własnego życia, które w tak idiotyczny sposób mógłbym stracić, gdybym się odezwał.

On, Tomasz Kieniewicz, morderca, i Maurycy Murawski, ofiara, „spotkali” się na ulicy przed starą kamienicą, wsiedli do samochodu i ruszyli, by odnaleźć miejsce, w którym można byłoby rozpocząć jakieś inne życie.

Nie, ani przez sekundę nie wierzył, że jest Maurycem Murawskim, ale bardzo chciał, żeby tak było. I może nawet było, przez kilka tygodni, nawet miesiąc. Żył nie swoim życiem, mówił słowa, które tamten by wypowiadał i nawet próbował myśleć jak on. Dopóki pewnego dnia nie rozejrzał się dookoła i nie uznał, że takie miejsce, w którym można coś rozpocząć, znajduje się właśnie tutaj. Wtedy przeraził się i zrozumiał, że niczego już nie rozpocznie, bo oto

wszystko się skończyło.

Zakochał się w uśmiechu Małgośki i w kapeluszach Józefiny tak, jak być może zrobiłby to Maurycy Murawski, gdyby tu kiedykolwiek trafił.

Polubił ten dziwaczny kawałek świata jako przeciętny, spokojny człowiek z małego miasteczka. Nie jako morderca.

Wszyscy się rozeszli. Zostali tylko ci, którzy są tu codziennie, najbliżsi. Czesia poszła po coś na górę. Po co, nikt nie wie. Małgośka z Doris sprzątnęły wreszcie wszystko na dobre. Doris wytarła rękę o rękę, mówiąc:

– Najbliższa impreza na sylwestra, dość tego.

Tuśka siedziała na krześle Marleny i cała się trzęsła. Czekwała na Małgoškę, żeby razem z nią wrócić do domu. Już dawno poszłaby piechotą, ale jej nie pozwoliły.

Marlena znalazła na parapecie kuchennym laptop mordercy. W pierwszym odruchu chciała go wrzucić do worka ze śmieciami, ale ciekawość, co on tam tyle czasu pisał, wzięła górę.

– Chodź, zobacz! – zawołała w pewnym momencie do Tuśki.

– Nie chcę!

Doris z Małgošką zjrzały jej przez ramię. Małgośka przeczytała:

– „Dlaczego to zrobiłem”. – Rozejrzała się. – Interesuje to kogoś?

Wszystkie jednocześnie pokręciły głową.

– No chodź. – Marlena znowu zwróciła się do Tuśki, odwracając laptop w jej stronę.

– Zaznacz wszystko i naciśnij backspace...

– Wiem, co nacisnąć – odparła tamta, podnosząc się wreszcie z miejsca.

Pochyliła się nad laptopem, zaznaczyła cały tekst, zerknęła na każdą z nich, a potem nacisnęła klawisz.

– Po krzyku – powiedziała Marlena, zamknęła z trzaskiem laptop i wrzuciła go do worka.

– Po jakim krzyku? – usłyszały głos Czeski z góry.

Zeszła ze schodów, ciągnąc za sobą wielką torbę podróżną. Tę, która po jej „powrocie” z Capri przez wiele dni poniewierała się pod nogami, póki Doris nie wtargała jej na górę.

Rozejrzała się po kuchni, znalazła w koszyczku z drobiazgami kluczyki od samochodu.

– Co robisz? – zainteresowała się Doris.

– Wyjeżdżam – oznajmiła Czesia, zarzucając na ramiona cienki płaszcz.

– Do domu? – zainteresowała się Małgośka.

– Nie...

– To dokąd?! – ryknęła Marlena.

– Do Barcelony – odpowiedziała tamta śpiewnym głosem.

– Zgłupiałaś?!

– Zgłupieję, jeśli natychmiast stąd nie wyjadę. To wszystko, co tu się działo... To nawet jak dla mnie za wiele.

– A cóż takiego się działo? – zawołała Marlena, rozkładając ręce.

– A w sumie to nic... – Czesia zaczęła systematycznie zapinać guziki płaszcza. – Ale ja dłużej tego nie wytrzymam. Zamrażarki pełne, przetworów od tej starej wariatki cała spizarka, koniec sezonu, trafi się ktoś albo i nie, radźcie sobie.

Doris opadła z hukiem na stołek.

– No nie, trzymajcie mnie! A ten burdel z tamtej strony, spalone pokoje, weranda to co? Na zimę masz zamiar tak to zostawić?

– A ten burdel to nie moja broszka – odpowiedziała Czesia z absolutnym spokojem.
– Tylko czyja?
– Marek się tym zajmie. To jego pierwsze zlecenie, coś taka zdziwiona? Adieu! – rzuciła, wychodząc. Odwróciła się i odgarnęła włosy z czoła: – Tak się mówi w Barcelonie?

– Chyba jesteś jakaś nienormalna – powiedziała Marlana.
– No to wszystko jedno, tak czy inaczej, do widzenia.
Znieruchomiały wszystkie, rozglądając się po sobie. Doris pierwsza się ocknęła, ruszyła za Czeską, pozostałe za nią.

– Do Barcelony jedziesz, tak?! – zawołała ze schodów. – Ja wiem, gdzie ty jedziesz. Do Marcela! Wstydziałabyś się!

Czesia zatrzymała się przed autem.
– W moim wieku to już ostatni moment, żeby jeszcze się czegoś zawstydzić.
Do tamtej widać to nie dotarło albo już coś innego wpadło jej do głowy, bo pobiegła za Czesią, stanęła przy aucie, zasłaniając sobą drzwi, i poprosiła przymilnie:

– Ale jakby tak... wiesz, w jakiejś sytuacji intymnej z Marcelem...
– W jakiej sytuacji intymnej, do cholery?
– No, w łóżku... To byś się dyskretnie wypytała, czy on jest moim ojcem, czy nie. No... co ci zależy.

Czesia patrzyła na nią przez chwilę z kamiennym wyrazem twarzy.
– Stuknij się, Doris – powiedziała w końcu, wsiadła do samochodu i odjechała.
Stały i gapiły się za nią jeszcze długo po tym, jak jej auto całkiem znikło im z oczu.
W końcu Marlana wzruszyła ramionami.

– Barcelonę sobie wymyśliła.
– Na sam wieczór – mruknęła Doris i jakby w uzupełnieniu dodała: – Ściemnia się, zaraz będzie noc. Co jej strzeliło, tak ni z tego, ni owego, pojęcia nie mam.

Małgośka położyła rękę na ramieniu Tuśki.
– A niech jedzie. Dobrze, że nie do Casablanki...
– A kto by ją tam wpuścił! – Zawołała ze śmiechem Doris.
– Żeby się nie okazało, że tak jak z Capri...
– Będziemy się przejmować. Od jutra ma padać, potem październik, pies z kulawą nogą tu nie zajrzy – mówiła powoli Małgośka – a jak zajrzy, to jest się czym rządzić, a potem zaraz zima. Chodź, Tuśka, spadamy do domu, pora wrócić do normalności. Chociaż na dwanaście godzin.

Poszły obie do samochodu. Doris i Marlana ruszyły do domu. Przed wejściem Doris nagle znieruchomiała.

– Ty nie wiesz, Marlana, co Czeska zrobiła z moimi stu czterdziestoma tysiącami?
– Mówiłaś, że nie są twoje.
– Podobno miała je przy sobie, jakżeście jeździły sobotniej nocy w tę i powrotem.
– To gdzie je miała zostawić? W zamrażarce? Żeby ktoś ukradł?
– Kto miałby je ukraść?
– Nie wiem, Doris, daj mi spokój, zbieram się, idę do domu. Borys już pewnie chrapie od godziny. Jutro przyjdę na kawę, to pogadamy. A wy pozamykajcie się z Markiem.
– To Marek ma tu spać?
– A co, samą cię zostawi w Magnolii po tym wszystkim? Stuknij się, Doris.

Marlana weszła do domu. Doris zmrużyła oczy, obejrzała się jeszcze raz na bramę, a potem stanęła przy ławce pod bzem i powiedziała do Filipa:

– Jak nic wzięła moje sto czterdzieści tysięcy i przetańczy w Barcelonie. Nasłuchiwała się

od Józefiny, tej starej wariatki, że tam się tak pięknie tańczy. Ciekawe, co powie, jak wróci...

...I COŚ SIĘ KOŃCZY

Gdy wychodziłem tamtego dnia z mieszkania w starej kamienicy, które w nieprzejednanej złości na cały świat zapisała mi babka, doskonale zdając sobie sprawę, że najmniej na to zasługuję, zostawiłem tam książkę M.M., włączony komputer i telefon komórkowy.

Potem powiedzą, powtarzając wytarte banały, że zbrodniarz świadomie zostawia za sobą ślady, by go schwytano. A adwokat, przyjmując określoną strategię, nawet zechce te fakty wykorzystać w mojej obronie.

Prawda jest taka, że o tym nie pomyślałem. Wstałem od stołu, spakowałem parę rzeczy i wyszedłem pod wpływem konkretnego impulsu, nie myśląc, co i na jaką swoją niekorzyść zostawiam. Telefonu nie wziąłem, bo już nie miałem do kogo dzwonić.

Dopiero później, na miejscu, zacząłem unikać głównych dróg i jeździć tak, żeby nie ściągnąć na siebie uwagi ewentualnych patroli. To nie było trudne.

Gdyby Czeska Gawlińska poprosiła o dowód tożsamości, nigdy bym w tej Magnolii nie został, bo jeszcze wtedy zdawało mi się, że uda mi się od tej tożsamości oddalić. Ale Czesia nie poprosiła. Doris wpisała „na gębę” moje dane do jakiegoś zeszytu i zaprowadziła mnie na górę. Ucieszyłem się, że może tydzień albo dwa uda mi się nie być sobą. Sobą już być nie chciałem. Modliłem się (choć to może dla niektórych zabrzmieć jak bluźnierstwo) o tydzień, góra dwa.

Dostałem o wiele więcej...

To nieuniknione wciąż się oddalało. Nawet tamtej nocy na komisariacie jeszcze wierzyłem, że znowu się oddali. Miałem wyjaśnienie na brak dokumentów.

Odjechały z niedoszlą narzeczoną Jaszczuka w siną dal. Jaszczuk widział saszetkę z dokumentami na przednim siedzeniu. „Tak jest, panie komendancie – powiedział. – Widziałem”.

Może spalą ten samochód, modliłem się bluźnierczo, wtedy to, co nieuniknione, oddali się jeszcze o dzień lub dwa, bo już nie miałem żadnej nadziei na tydzień... W końcu samochód, spalony czy zrzucony w przepaść, i tak, wcześniej czy później, wyjawi, kim jestem.

Gdyby nie ten człowiek w długim płaszczu na Wzgórzu Wilków, którego w jakiejś konkretnej chwili zatrzymał w kadrze Maurycy...

Dlaczego to zrobiłem? Dlaczego pozwoliłem mu szukać czegoś, czego już sam od dawna szukać przestał?

Co mam powiedzieć? Że zrobiło mi się żal niedokończonego życia?

– Kieniewicz! Ruchy! To spaceriak, a nie klatka w zoo, zabierz łapy od siatki, nie przyszedłeś tu stać i się gapić, tylko spacerować! Jasna cholera, Maniek, żeby mi kto pozwolił, tobym poszedł i spałował skurwysyna. Stoi i się gapi, nie wiadomo na co, i tak codziennie.

– Daj mu spokój, to niedojda jakaś, nie widzisz, że nawet nie reaguje, mów do niego! Pisarz zaszran, strażnik z bloku coś tam mówił, że od rana do nocy siedzi w celi odwrócony tyłem do drzwi, kartka na kolanach – pisze.

– A mnie nie obchodzi – złodziej, dzieciobójca czy gwałcieciel. Spacerować ma, niech spaceruje, koniec! Co mam powiedzieć?

Nic.

Poza tym, że nazywam się Tomasz Kieniewicz i jestem mordercą. Już zawsze będę tak o sobie myślał.